



Czy można
pokochać kogoś,
kogo się nigdy
nie spotkało?

Mężczyzna,
którego nigdy
nie spotkałam

Elle Cook



Elle Cook
Mężczyzna,
którego nigdy
nie spotkałam

PRZEŁOŻYŁA
BEATA SŁAMA



MUZA

WARSZAWSKIE WYDAWNICTWO LITERACKIE

Dla mężczyzny, którego o mało nie straciłam.

I dla pana Henry'ego Lewiego, który go uratował.



ROZDZIAŁ 1

Hannah, grudzień

Czy pamiętacie, co robiliście w chwili, która na zawsze zmieniła wasze życie? Bo ja tak. Gdy zabręczała moja komórka, stałam przed siłownią z potarganymi włosami, potrzebowałam prysznic po wyczerpującym treningu na rowerze stacjonarnym i przetrząsałam torbę w poszukiwaniu rękawiczek. Oczywiście wtedy jeszcze nie wiedziałam, że to właśnie ta chwila. Zawsze tak jest, prawda? Nigdy nie zdajemy sobie z tego sprawy. Wszystko staje się jasne dopiero później.

Wyjmuję telefon. Wciąż nie mogę znaleźć rękawiczek, które przepadły w czeluściach torby. Grudniowy chłód kąsa i choć to dopiero wczesny wieczór, niebo ma atramentowy odcień, jest zasnuwane szarymi chmurami, które wyglądają jak namalowane i przeciągnięte delikatnie z jednej strony płótna na drugą.

Przed właściwym numerem widnieje kierunkowy +1, więc waham się przez moment, a telefon wciąż wibruje w moim ręku. Gdzie na ziemi jest taki kierunkowy? Centra sprzedaży telefonicznej zaczynają się od różnych numerów, lecz od +1 raczej nie.

– Halo?

– Halo – odzywa się mężczyzna mówiący z amerykańskim akcentem i dodaje bardziej przyjacielskim tonem: – Jonathan White?

Wybucham śmiechem.

– A czy ja mam głos jak Jonathan White?

– Och, nie. Przepraszam. To znaczy, czy go zastałem?

– Przykro mi, ale wybrał pan zły numer.

Pauza, a potem szelest papieru.

– W porządku. Przepraszam. Do widzenia.

– Do widzenia – odpowiadam, lecz on już się rozłączył.

Po mniej więcej dziesięciu sekundach telefon znowu dzwoni. Rzucam „halo” i stwierdzam, że na ekranie i tym razem widnieje kierunkowy +1.

– O nie, znowu! – mówi wściekły mężczyzna. – Drugi raz wybrałem zły numer? Nie mogę być aż tak głupi.

Wybucham śmiechem.

– Myślę, że pan może.

Zapada cisza, a po niej:

– Proszę zaczekać.

Czekam więc i uśmiecham się rozbawiona. Mam wrażenie, że nie jest już tak zimno jak chwilę temu.

– Czy to plus cztery, cztery... – wymienia ciąg cyfr, które są moim numerem telefonu.

– Tak. A jaki numer chciał pan wybrać?

– Ten. – Staram się nie roześmiać. – Cholera, źle zapisałem. Miałem zadzwonić pod ten numer o czwartej po południu czasu brytyjskiego w sprawie pracy.

– Niestety to nie ten numer. Może niech pan zmieni którąś cyfrę?

– Tak – mówi niepewnie. – Ale którą? Jest miliard kombinacji.

– Nie mam pojęcia. Skąd pan dzwoni?

– Z Teksasu.

– I ma pan rozmowę w sprawie pracy z kimś w Wielkiej Brytanii? Będzie pan tu pracował? Ależ jestem wścibska.

– Mam nadzieję...

– To raczej mało prawdopodobne, bo rozmawia pan przez telefon ze mną, zamiast odpowiadać na pytania o... o coś, czego ma dotyczyć rozmowa.

– Budownictwa. Teraz powinienem odpowiadać na pytania dotyczące budownictwa. Niech to szlag!

– Budownictwo?

– Właściwie architektura. – Ma naprawdę miły głos. Głęboki, ale nie za bardzo.

– Może niech pan poszuka w Google numeru tej firmy – sugeruję, na wypadek gdyby rzeczywiście był

tak durny, że o tym nie pomyślał.

– Właśnie to robię – odpowiada pospiesznie i oboje wiemy, że od kilku minut powinien prowadzić tę właściwą rozmowę.

– No to powodzenia. Mam nadzieję, że wszystko pójdzie dobrze.

– Z numerem czy z pracą?

– I z tym, i z tym. Od numeru zaczynając – odpowiadam z uśmiechem.

– Dzięki. Przepraszam, że zawracałem pani głowę. Dwa razy.

– Nie ma sprawy. Chciałabym wiedzieć, czy dostanie pan tę pracę.

– Jeszcze raz dziękuję. Do widzenia.

– Do widzenia.

Przez kilka sekund wpatruję się w telefon, mając nadzieję, że nie jest aż tak nierozgarnięty, by po raz trzeci wybrać nie ten numer... I po prostu, żeby się upewnić. Nic strasznego by się nie stało, gdyby znowu zatelefonował, ale chcę, żeby ten mężczyzna o miłym głosie dozwonił się pod właściwy numer, odpowiedział na pytania dotyczące budownictwa i dostał pracę. Kimkolwiek jest.

Jest piątkowy wieczór i choć nie powinno się tak robić, właśnie to zrobiłam: gdy wróciłam po godzinie ćwiczeń na rowerze stacjonarnym, otworzyłam opakowanie jedzenia do podgrzania w mikrofalach i nalałam sobie duży kieliszek wina.

A nie poszłabym na siłownię, gdyby powalony facet, z którym postanowiłam się nie spotykać, nie odwołał spotkania. Zrobił to już dwa razy, choć nie byliśmy jeszcze na pierwszej randce. Moja najlepsza przyjaciółka Miranda nazywa to psychologią. Więc gdybym wyszła, i tak wypiłabym kieliszek wina. No to mam usprawiedliwienie. Ale na ohydne curry z mikrofalach już nie.

Kilka godzin później skaczę po kanałach i zastanawiam się, jak to jest, że dałam radę obejrzeć wszystkie dobre filmy na Netfliksie, mimo że nie spędzam w domu zbyt dużo czasu. Może choć raz powinnam prześledzić jakieś wiadomości i spróbować być tak dobrze poinformowana o tym, co się dzieje na świecie, jak moi współpracownicy. Albo pracować z ludźmi, którzy oglądają tandetne seriale, a nie debaty polityczne.

Obok mnie brzęczy telefon, to znak, że dostałam wiadomość na WhatsAppie. Odczytuję ją. Nadeszła z numeru, którego nie rozpoznaję, lecz przyglądam się uważniej i stwierdzam, że to numer Amerykanina. Wiadomość składa się z dwóch słów:

Mam to.

Przyciszam telewizor i pozwalam, by w tle leciały wiadomości, na które i tak nie zwracałam uwagi.

Czy on chce, żebym odpowiedziała? Liczy na to?

Cieszę się – odpisuję. A potem: – Gratulacje. Domyślałam się, że w końcu znalazł Pan właściwy numer.

Nie było to pytanie, więc nie spodziewałam się odpowiedzi, jednak po chwili nadeszła:

Tak. Przeprasiłem za kilkuminutowe spóźnienie i powiedziałem, skąd się wzięło. Nie mieli pretensji.

Cieszę się – piszę, po czym kasuję, bo dokładnie to samo napisałam przed chwilą. Zastępuję to słowami: Najlepiej zawsze być szczerym.

Zdecydowanie.

Patrzę na ekran komórki. Niczego nie pisze. Teraz moja kolej, żeby się odezwać, ale nic nie przychodzi mi do głowy. Po chwili on przysyła kolejną wiadomość:

A więc Anglia w styczniu. Zimno?

Unoszę kąciki ust w lekkim uśmiechu.

Bardzo. Przykro mi. Właśnie wtedy Pan przyjedzie?

Tak. Dokładnie za miesiąc od teraz.

Gdzie Pan mieszka w tym Teksasie?

W Austin.

Nie mam pojęcia, gdzie to jest. Przerzywam czatowanie, googluję Austin w Teksasie, po czym wracam na WhatsAppa, gotowa zademonstrować właśnie zdobytą wiedzę.

Ciepło tam teraz.

Tu jest ciepło o każdej porze roku.

Wygooglowałam to – wyznaję. – Stolica Teksasu, tak mówi Wikipedia. Właśnie odkryłam, że Houston też jest w Teksasie.

Odpowiada, dołączając uśmiechniętą buźkę:

Gdzie Pani jest?

Londyn.

Doskonale. Kiedy przyjadę, będę znał jeszcze jedną osobę.

Wpatruję się w te słowa, nie wiedząc, co myśleć. Sugeruje, żebyśmy się spotkali? Zostali przyjaciółmi? Gapię się na ekran tak długo, że gaśnie i muszę wstukać kod, by odblokować telefon. Ukazuje się jego numer, co oznacza, że nadal jest na linii.

Jak ma Pan na imię? – pytam.

Davey. A Pani?

Hannah.

Miło mi Cię poznać, Hannah.

Uśmiecham się. Mnie też miło go poznać. Choć to najdziwniejszy sposób, w jaki kiedykolwiek zawarłam znajomość.

Ile masz lat? – pytam.

Dwadzieścia dziewięć. – I jeszcze: – Mówiono mi, że to niegrzecznie pytać kobietę o wiek, więc...

Mam dwadzieścia siedem.

Podoba mi się ta rozmowa i zaczynam się zastanawiać, jak wygląda ten dwudziestodziewięcioletni mężczyzna z Teksasu. Na jego profilu na WhatsAppie nie ma zdjęcia, jest tylko standardowa szaro-biała ikonka. Kto tak robi? No, ale ja mam przecież zdjęcie naszego psa w okularach przeciwsłonecznych, więc przyganiał kociół garnkowi.

Która jest u Ciebie godzina?

Prawie 23.00.

Miło było z Tobą porozmawiać, Hannah.

Och, co za bezceremonialne zakończenie rozmowy. Rozczarowanie, że zamierza się rozłączyć, sprawia, iż wstrzymuję się z odpowiedzią.

I nawzajem.

Chciałbym znów z Tobą pogadać. To znaczy, jeśli Ty też chcesz.

Pozwalam, by te słowa pozostawały na ekranie, gdy się nad tym zastanawiam. Co odpowiedzieć, żeby nie wyjść na zbyt chętną, ale i nie na niezainteresowaną?

Decyduję się na neutralne:

Jasne.

OK – odpowiada.

I się rozłącza.

ROZDZIAŁ 2

Hannah

Budzę się ze słodkim uczuciem ulgi, że to nie dzień roboczy. Tym uczuciem mogę się cieszyć tylko dwa razy w tygodniu, więc się nim rozkoszuję. Nie nienawidzę mojej pracy. Pracuję w marketingu, dzięki temu mam na rachunki i mogę sobie pozwolić na kilka fajnych wyjazdów w roku. Na razie wystarczy, choć pewnie powinnam wypatrywać na horyzoncie lepszej możliwości zrobienia kariery, choć właściwie nie wiem, co by to mogło być.

Wyleguję się trochę, a potem powoli wstaję. Bawię się pomysłem, że mogłabym przygotować sobie coś wymyślnego na brunch, jednak najbardziej oryginalnym daniem, na jakie kiedykolwiek się zdobyłam, jest tost z awokado. Z powodu, którego nie potrafię wyjaśnić, dziś mam ochotę na fikuśne naleśniki z syropem klonowym, ale nie zamierzam ich smażyć, skoro na końcu mojej ulicy jest doskonały barek i tam przyrządzają je lepiej niż ja. To wymaga jednak ubrania się i wyjścia z domu. A jeśli to zrobię, przegapię jeden z moich ulubionych późnoporannych weekendowych rytuałów: pogawędkę przez płot z sąsiadką Joan. A tego bym nie chciała. Nie chciałabym jej tego zrobić.

Mieszkam na parterze i przysięgam sobie, że nigdy, przenigdy się stąd nie wyprowadzę, chyba że umrę i będą mnie musieli wynieść w trumnie. Nigdzie nie znalazłabym dwupokojowego mieszkania na parterze, z ogródkiem, i to za taką cenę. Wiem, bo mam ustawione powiadomienia z Rightmove[1] i ślinię się, gdy tylko jakieś przychodzi na moją skrzynkę. Kiedyś dzieliłam mieszkanie z Mirandą, lecz wyniosła się, by zamieszkać ze swoim chłopakiem Paulem. Po namyśle doszłam do wniosku, że sama pokryję koszty tego mieszkania, zamiast szukać jednopokojowego gdzie indziej. Po prostu mnie na to stać. Głównie dlatego że Joan jest właścicielką budynku, w którym mieszkam, i chyba nie za bardzo orientuje się w aktualnych cenach najmu. Nie przejmuje się tym i mówi, że ja i stewardesa z góry, której nigdy nie ma, tak bardzo dbamy o nasze mieszkania, że nie chciałyby nas wypłoszyć, podnosząc czynsz.

Otulam się szlafrokiem i zakładam uggi. Żaden z tych elementów stroju nie uchroni mnie przed ostrym zimowym powietrzem, ale przynajmniej na dworze jest jasno, a to już coś.

Joan i ja mamy mały weekendowy rytuał. Kiedy się budzę, wysyłam jej SMS-a, a ona odpala ekspres do kawy. Pięć minut później spotykamy się w ogródku na tyłach przy ogrodzeniu. Joan podaje mi elegancką kawkę, a ja przynoszę talerzyk herbatników z supermarketu. To nie jest uczciwa wymiana, lecz kiedy sugeruję, że kupię sobie ekspres do kawy, Joan się obrusza. Myśli chyba, że zamierzam zrezygnować z naszych pogawędek, więc zapewniam ją, że nie, a ona obiecuje, że w każdy weekend będzie dodawała mi energii kolorowymi kapsułkami nESPRESSO.

Gdy otwieram tylne drzwi, czuję zapach kawy. Wyślizguję się przez nie i natychmiast zamykam, żeby zatrzymać ciepło w środku.

– Jaka dzisiaj kawka?! – wołam.

Staję przy ogrodzeniu, opieram na nim łokcie i patrzę na idealnie utrzymany ogródek Joan. Tylne drzwi do jej mieszkania są otwarte, słyszę, jak krząta się w kuchni i jak sapie ekspres. Druga filiżanka kawy jest już gotowa. Nawet w środku zimy ogród Joan wygląda bujnie i zielono, jakby był pod opieką National Trust i znajdował się na przedmieściach.

Jak na zawołanie pojawia się Joan z filiżanką w każdym ręku i ulotką od kawy w zębach. Pochyla się w moją stronę, a ja biorę od niej kawę i ulotkę.

– Myślę, że dziś możemy spróbować firenze arpeggio – mówi.

Czytam ulotkę:

– Intensywnie kremowa. Ale chyba wszystkie takie są?

Upijam łyk. Smakuje tak samo jak ta z zeszłego tygodnia. Jest pyszna i zapewnia dokładnie to, czego potrzebuję w ten zimny dzień: pobudza kubki smakowe kofeinowym ciepłem.

Joan kiwa głową i stwierdza:

– Zdecydowanie cztery punkty na pięć.

Mieszka tu, odkąd około trzydziestu lat temu odziedziczyła ten dom po matce. Nigdy nie pytałam jej

o wiek, ale na podstawie tego, co opowiadała, ułożyłam oś czasu i uznałam, że pewnie ma około siedemdziesiątki. Jej mąż zmarł przed dwudziestu laty, lecz Joan nie może narzekać na samotność. Przez większą część dnia jest poza domem, jeździ brawurowo starym Citroënem saxo, jakby była osiemnastolatką na haju, która świętuje, że właśnie zrobiła prawo jazdy. Kiedyś sądziłam, że nasze kawowe poranki są dla niej, teraz wydaje mi się, że tak naprawdę zmuszają ją do zatrzymania się w pędzie. Wgryzam się w czekoladowy herbatnik, po czym podsuwam jej talerzyk.

– No i co słyhać u młodej wolnej singielki? – pyta, zanurzając herbatnik w kawie i pozwalając, by zbyt długo nasiąkał. Czekam, aż wpadnie do filiżanki z nieprzyjemnym chlupnięciem, jednak Joan nie jest amatorką i w ostatniej sekundzie go ratuje. – Wczorajsza randka? – podsuwa mi. – Ale już go tam nie ma?

– Nie! – wykrzykuję przerażona. – Nie spiam z facetami na pierwszej randce.

– Już nie – zaznacza Joan.

– Właśnie. Już nie – potwierdzam zakłopotana. – I nie byłam na randce.

– Rozmawialiśmy o tym – mówi z przyganą. – Masz tylko jedno życie. Skąd będziesz wiedziała, że to ten jedyny, jeśli nawet się z nim nie umówisz?

– Nie byłam na randce – powtarzam, nadgryzając kolejny herbatnik. Postanawiam, że to będzie mój brunch. – Ponieważ mnie wystawił. A raczej odwołał spotkanie. Po raz kolejny. Tak to wygląda.

– A więc znów psioczemy na wszystkich mężczyzn?

– Nie, bo to droga do szaleństwa. Ale na tego psioczę.

– Grzeczna dziewczynka. Do następnego.

Patrzę na Joan. Czy ona sobie wyobraża, że przedzieram się przez tłumy mężczyzn dostarczanych mi jakimś taśmociągiem? Zamiast to skomentować, tylko kręcę głową

– Co dzisiaj robisz? – pytam zadowolona, że mogę zmienić temat.

– Idę na lunch z moją przyjaciółką Sheila, a wieczorem na drinka z uroczym mężczyzną o imieniu Geoff.

– Naprawdę? A kim jest Geoff?

Zanurzam herbatnik w kawie, ośmielając się trzymać go w niej dłużej, niż powinnam. Nie jestem zaskoczona, gdy wpada w czarną toń i muszę zdecydować, czy go zjeść/wypić wraz z kawą, czy wyłowić palcami. Nie robię ani tego, ani tego.

Joan nie odpowiada. Spogląda na moją filiżankę, unosząc brwi.

– Chcesz nową kawę?

Śmieję się z siebie.

– Nie, ta jest dobra

Moja przyjaciółka tłumi chichot.

– Geoff to uroczy mężczyzna. Poznała mnie z nim moja córka. Uważa, że jestem samotna.

– A jesteś?

– Właściwie to nie, ale nikt nie jest samotną wyspą i takie tam.

Randka może Joan dobrze zrobić.

– No to jaki ten Geoff jest?

– Bardzo miły, przystojny. I trochę ode mnie młodszy.

– Joan, ty kokietko! – żartuję, a ona śmieje się zadowolona, że choć raz reflektory skierowane są na jej życie uczuciowe.

Nie to, żebym ja jakies miała. Czasem tylko pojawia się niewyraźna myśl, że mogłabym spotkać wreszcie tego jedyne. Randkuję, lecz to wciąż ciąg pierwszych randek i już mnie to męczy. Od czasu do czasu zdarza się druga randka. A niekiedy nawet trzecia. A potem wszystko idzie w diabły.

Atrakcyjność aplikacji randkowych i łatwość, z jaką da się wciągnąć kogoś do naszego życia albo z niego wyrzucić, sprawia, że mamy świadomość, iż możemy szukać kogoś następnego i kolejnego. A to rozleniwia.

Tęsknię za magicznymi czasami, o których wspominała Joan, czasami, kiedy poznała swojego męża, gdy oboje próbowali wypożyczyć ostatni leżak na plaży w Southend. Spodobali się sobie i żadne z nich nie wypożyczyło leżaka, zamiast tego jej przyszły mąż kupił lody i usiedli na piasku pod moło, by uciec przed południowym letnim słońcem.

Dlaczego ludzie już nie poznają się w taki sposób?

Piję kawę, zapomniawszy, że w jej głębinach wciąż czai się grudka namokłego herbatnika. Natrafiam na nią ustami, a Joan opowiada o Geoffie – widziała go na zdjęciu, lecz nigdy z nim nie rozmawiała. Na moją prośbę wyjmuję z kieszeni komórkę i z dumą wyświetla fotkę.

– Czy on ma na sobie skórzaną marynarkę? – pytam z podziwem.

Ten siedemdziesięcioletni mężczyzna jest bardziej trendy niż ja.

– Tak – odpowiada Joan, po czym odbiera mi telefon i patrzy na zdjęcie Geoffa. – Mam nadzieję, że nie okaże się draniem – dodaje, a ja krztuszę się herbatnikową kawą.

Nawet Joan ma życie uczuciowe bardziej ekscytujące od mojego, stwierdzam. Nadeszła pora na najgorszą część weekendu – rytuał sprzątanania mieszkania od góry do dołu. Postanowiłam uporać się z tym w sobotę, żeby mieć to z głowy i błogo spędzić niedzielę.

Nie wiem dlaczego, ale myślę o Daveyu, mężczyźnie, którego nigdy nie spotkałam ani nie widziałam na zdjęciu, lecz z którym rozmawiałam. Odwrotnie niż Joan – ona widziała Geoffa na fotografii, ale nigdy z nim nie rozmawiała. Jeśli Davey znów przyśle mi wiadomość tak jak zapowiedział, zdobędę się na odwagę i poproszę go o zdjęcie. Czy to nie będzie dziwne? Ale ja po prostu chcę wiedzieć, jak on wygląda. Może nie zrobię tego przy następnej okazji, tylko jeszcze przy następnej. Jeśli w ogóle napisze.



Siedzimy wieczorem w pubie otoczeni bożonarodzeniowymi dekoracjami. To jedyny w pobliżu pub „dla staruszków”, jak ja i Miranda czule go nazywamy. Brązowy kontuar, brązowe stoły, brązowe krzesła, w zakurzonych wazonach tanie chryzantemy. W sobotnie wieczory kontrolę nad kuchnią przejmuje żona właściciela, Tajka, i jedzenie jest o kilka punktów lepsze niż w tygodniu. Paul, Miranda i ja jedliśmy tu w każdą sobotę, zanim ona się do niego wprowadziła, i nie chcemy rezygnować z tej tradycji, zwłaszcza teraz, gdy jedzenie zrobiło się takie dobre.

– Przysięgam, że to tańsze niż dania na wynos – mówi Paul, wsuwając pad thai. Za każdym razem oznajmia, że zamierza spróbować czegoś nowego z menu. I nigdy tego nie robi.

On i Miranda są ze sobą od pięciu lat i irtującą idealnie do siebie pasują, lecz nie podkreślają tego na każdym kroku, co doceniam. Nie jestem samotna. Są jednak pary, których widok uświadamia nam, że od jakiegoś czasu jesteśmy sami. Ostatniego prawdziwego chłopaka miałam dwa lata temu. Choć właściwie nie był prawdziwy. Czy siedem i pół miesiąca się liczy? Lubię myśleć, że tak, ale to chyba smutniejsze, niż mi się wydaje.

Kelnerka przynosi nam drugą karafkę czerwonego wina, w niekończącej się rotacji świątecznych piosenek leci *Last Christmas* zespołu Wham!, a nad barem migają choinkowe lampki.

Na dworze jest ciemno i przenikliwie zimno, w przeciwieństwie do wnętrza pubu. Tajskie jedzenie rozgrzewa od środka i mam ochotę zarezerwować sobie wakacje na jakimś odległym wybrzeżu. Nigdy nie byłam w Tajlandii, więc z myślą o urlopie w przyszłym roku notuję w pamięci, żeby sprawdzić ceny. Co rodzi pytanie, z kim miałabym tam pojechać.

Miranda nie jeździ już na wakacje bez Paula, co jest w porządku, jeśli ma się tylko dwadzieścia dni urlopu w roku. Ja mam dwadzieścia pięć, jednak nie wspominam o tym Mirandzie, kiedy wyjaśniam, jak udało mi się zaoszczędzić siedem wolnych dni, żeby między świętami a sylwestrem pojechać do domu i zobaczyć się z rodzicami. Robię tak każdego roku. Jestem w tej kwestii bardzo skrupulatna.

Wyjmuję z torebki komórkę, żeby ustawić przypomnienie – spytam przyjaciół ze studiów, czy w przyszłym roku pojechaliby wyluzować się do Tajlandii – i widzę, że przyszła wiadomość. Tymczasem na stół wjeżdża trzecia karafka wina. Miranda i Paul patrzą na mnie skonfundowani. Żadne z nas jej nie zamawiało, ale nie ma chętnych, by powiedzieć o tym kelnerce.

– To się może źle skończyć – ostrzega Miranda śpiwnym tonem, po czym posyła mi szelmowskie spojrzenie i wsuwa do ust widelec żółtego curry.

Wiadomość od Daveya jest prosta:

Cześć.

Nadeszła dwadzieścia pięć minut wcześniej. Przygryzam usta, żeby ukryć uśmiech. Sprowokowałby pytania moich najlepszych przyjaciół, które szybko zamieniłyby się w przesłuchanie inkwizycyjne.

Zupełnie zapomniałam, po co wyjęłam telefon, i odpowiadam równie prosto:

Cześć.

Davey jest online i odpisuje:

Czy to nie dziwne, że znów do Ciebie piszę? Gdy to wysłałem, pomyślałem, że może się to wydać dziwne.

Zastanawiam się przez moment, po czym odpisuję szczerze:

Jest trochę dziwne, ale fajne.

Super, taką miałem nadzieję. Jak Ci minął dzień?

Miranda odkasłuje znacząco i mówi:

– Przepraszam, telefon przy stole? Czy nie ustaliliśmy, że nie będziemy wrzucać na Instagram relacji z każdego wspólnego wyjścia, jak niektórzy?

Spoglądam na nią przepraszająco i zmuszam się, by odłożyć komórkę, ale jeszcze piszę szybko do Daveya:

Dzień jeszcze się nie skończył. Czy mogę napisać później?

Pewnie – odpowiada i się rozłącza.

Paul orientuje się, że coś jest na rzeczy.

– Uśmiechasz się. Ona się uśmiecha – zwraca się do Mirandy, przekazując jej niewidoczną pałeczkę, by drażyła temat.

– Taaa... – mówi Miranda powoli. – Dzięki za wyjaśnienia.

O nie, wypowiedziała te słowa to głosem belferki, która chce dać do zrozumienia, że nie wyjdę stąd żywa.

Tylko że nie ma o czym opowiadać, więc powinno pójść łatwo. Czekam, aż zaczną się pytania.

– Kim on jest? – Miranda przechodzi do rzeczy, dolewając mi wina. Przesuwa je w moją stronę, jakby to było serum prawdy.

– Nikim – mówię zbyt obojętnie, czego natychmiast żałuję. Próbuję zmienić ton: – To znaczy... naprawdę nikim. Zadzwoił do mnie przez pomyłkę wczoraj po południu i trochę do siebie pisaliśmy. Jest miły. Mieszka w Stanach, ale za miesiąc się tu przeprowadza. To wszystko. Cała historia.

Miranda rozdziawia usta i pyta niezwykle spokojnym głosem:

– Rozmawiałas z człowiekiem, który zadzwonił do ciebie przez pomyłkę, i w dwadzieścia cztery godziny potrafiłaś skłonić go, żeby przeniósł się dla ciebie z kontynentu na kontynent?

Śmieję się tak, że wypływam wino, co jest okropne, jednak moi przyjaciele nigdy nie przejmowali się takimi rzeczami.

– Ależ skąd! – Wyjaśniam, jaka jest sytuacja, dodając nieco więcej szczegółów.

Na koniec oboje zarzucają mnie pytaniami.

– Czy go polubię? – pyta Paul.

– Czy jest wysportowany? – chce wiedzieć Miranda.

Paul posyła jej wymowne spojrzenie.

– Spokojnie, powoli. Nic się nie dzieje. I, Mirando, nie wiem, jak on wygląda, bo nie dodał zdjęcia profilowego. – Ale mam nadzieję, że jest wysportowany. Choć nie wiem dlaczego. Czy to ma znaczenie? Kiedy tu przyjedzie, może się dogadamy, zaprzyjaźnimy, kogo obchodzi, jak on wygląda? Przecież tylko ludzie płytkcy przejmują się wyglądem swoich przyjaciół.

– Zerknęłaś na jego konta w mediach społecznościowych? – pyta Miranda, łapie telefon i odpala Instagram.

– Nie, bo nie znam jego nazwiska. I nie śledzę tak od razu w mediach społecznościowych facetów, z którymi... – co ja właściwie robię z Daveyem? – z którymi koresponduję – kończę.

To kłamstwo, bo zawsze śledziłam w mediach społecznościowych facetów, z którymi wymieniałam się wiadomościami. Ale cieszę się, że, jak na razie, nie mogę tego robić.

– Hannah Gallagher, dlaczego nie znasz jego nazwiska? – karczi mnie Miranda.

– Bo to nie wyszło w rozmowie.

– Ile ma lat? – wtrąca się Paul.

– Dwadzieścia dziewięć.

Moja przyjaciółka krzyżuje ręce na piersi.

– A to jakoś wyszło.

Zapada cisza. Upijam łyk wina. Nikt nie oczekuje, że się odezwę.

– No dobrze, zostawmy to. Na razie – proponuje Paul, zupełnie jakby grał w serialu policyjnym i zamierzał wyłączyć magnetofon.

– Masz zamiar później z nim porozmawiać? – chce wiedzieć Miranda. Nie mam jednak szansy udzielić jej odpowiedzi, ponieważ dodaje: – Dowiedz się, jak ma na nazwisko. I zdobądź zdjęcie.

– O Boże – mamrocze i piję jeszcze więcej wina. Ciekawe, czy Joan słyszy od swoich przyjaciół takie komentarze na temat Geoffa.

Tego wieczoru nie odpisuję Daveyowi, tak jak obiecałam, ponieważ pod koniec jestem strasznie pijana. Do czasu zapłacenia rachunku skończyliśmy wino i przerzuciliśmy się na tajskie piwo Singha, którego nawet za bardzo nie lubię, ale kto by protestował przeciwko rozchodniaczce?

Paul i Miranda odprowadzają mnie do domu, bo mają po drodze. Organizowanych jest mnóstwo świątecznych imprez, ludzie wysypują się z restauracji i wędrują od baru do baru. Przedzieramy się przez tłum biesiadników uśmiechnięci tak jak chyba w żadnej innej porze roku. Święta Bożego Narodzenia robią coś takiego z ludźmi. To szczególnie czas, kiedy wszystko uchodzi. Nawet obściskiwanie się z kimś na firmowym przyjęciu, choć w środku października byśmy tego nie zrobili.

Miranda potyka się w pantoflach na szpilkach, a my łapiemy ją ze śmiechem. Uparła się, żeby je założyć, mimo że jest nieprawdopodobnie wysoka. Akceptuje swój wzrost, tak jak ja akceptuję mój średni. Nigdy nie umiałam chodzić w butach na obcasach. Poruszam się w nich jak mała żyrafka, która dopiero co się urodziła, więc nie zawracam sobie nimi głowy. Miranda to istny cud. Mężczyźni przystają i gapią się na nią, lecz w jej życiu nie ma miejsca na takie rzeczy. Zupełnie na to nie zważa. Jeśli chodzi o wzrost, mężczyzna, z którym się umawia, musi spełniać określone kryteria. Ona i Paul poznali się, ponieważ wszystkie pozostałe osoby w kolejce do baru sięgały im do ramienia.

Często się zastanawiam, jak to jest spotkać kogoś, kto do nas po prostu... pasuje. Jestem na to gotowa, tak sędzę. Mimo że moje życie wypełniają przyjaciele, rodzina, praca i różne fajne sprawy, czy nie byłoby miło z kimś je dzielić? Mieć kibica. I kibicować razem z kimś.

Jestem wstawiona. Muszę iść spać.

Budzę się w niedzielę i wiem, że trudno mi będzie zmusić się do pójścia na siłownię. Pracuje tam jednak mój kolega George, jest trenerem osobistym, i jeśli nie przyjdę, będzie się ze mnie nabijał, więc próbuję wykrzesać z siebie resztki energii.

Poznaliśmy się na siłowni kilka miesięcy temu, kiedy zainstalowali nowy zestaw platform wibracyjnych, a ja weszłam na jedną i wyglądałam na zagubioną. Pokazał mi, jak z niej korzystać, i po chwili śmialiśmy się, gdy rzucało mną na wszystkie strony na najbardziej nietwarzowym urządzeniu do ćwiczeń, jakie kiedykolwiek wymyślono. Nigdy więcej. Zwykle gdy kończyłam trening, a George nie miał klientów, szliśmy do kawiarni rozkoszować się smakiem najnowszego smoothie.

Zanim jednak pójdę na siłownię, na dobry start kawa z Joan. Piszę do niej SMS-a, biorę herbatniki i otwieram tylne drzwi prowadzące do mojego leżącego odłogiem ogródka. Rozglądam się. Naprawdę muszę skombinować kilka doniczek albo nawet postawić mały inspekt. Orientuję się, że czekam już wieki, a Joan ani śladu. Nie podnosi rolet i nie otwiera drzwi. Znów do niej piszę. Mija kolejnych kilka minut. Jem ciastka i zastanawiam się, czy wrócić do środka i wrzucić do tosterka ostatnie kromki chleba tostowego, bo kac bierze górę. Marzę o tym, by posmarować je solonym masłem. Joan wciąż nie ma.

Wracam do domu i zmierzam prosto w stronę białego chleba. Opuszczam dźwignię tosterka i zastygam. Wczoraj wieczorem Joan była na randce z Geoffem. A teraz nie ma jej w domu. To interesujące, ale też nieco niepokojące. Uśmiecham się do siebie. Czy aby na pewno?



W siłowni bardzo staram się skoncentrować, ćwicząc na bieżni, lecz rozprasza mnie podkast o prawdziwych zbrodniach, więc właściwie idę, czekając z zapiętym tchem, aż prezenter wyjawia, kto jest mordercą. Powinnam słuchać muzyki, jednak wciąż boli mnie głowa i wypłam całą wodę. Jeśli zejdę z bieżni, żeby jej nabrać, ktoś na nią wskoczy. Muszę wytrzymać kolejnych dwadzieścia minut, aż przyjdzie George.

Miło na niego popatrzeć. Niektórzy faceci są przystojni, męscy, on wygląda jak model Burberry. Kolejny tydzień widzi, w jak marnej jestem kondycji, i wie, że jeśli będzie się we mnie wpatrywał tymi swoimi błękitnymi oczami, wymięknę i poproszę, żeby został moim osobistym trenerem. Bez przerwy mówi o bardzo

długich wakacjach, a ja podejrzewam, że postrzega mnie i moje wątpliwe cele, jeśli chodzi o formę, jako sposób na ich sfinansowanie.

– Hej, ślicznotko – zagaduje.

Jest tak zabawnie zalotny, że właściwie, o wstydzie, nawet mi się to podoba. Jestem spocona. I czerwona. I zdecydowanie nie przypominam w tym momencie ślicznotki, jednak go nie poprawiam.

Gawędzimy przez chwilę o planie moich treningów. Po drodze do kranu z wodą George zachwyca się „cudowną” odżywką proteinową, którą właśnie odkrył, a ja kiwam głową.

Oczywiście nie wspominam o porannym tostowym szaleństwie. George rozprawia o różnych smakach odżywki, a w mojej dłoni wibruje telefon. Zerkam ukradkiem. Z jakiegoś powodu spodziewałam się, że to Davey, lecz tam, gdzie jest, właśnie minęła szósta (dowiedziałam się, jaka jest różnica czasu), no i właściwie teraz moja kolej, żeby odpisać. Muszę to zrobić.

To Joan. Bardzo chcę się dowiedzieć, gdzie była i co robiła. Choć chyba wiem. Nawet nie przyszło mi do głowy, że Geoff to morderca z siekierą, a Joan przez cały ten czas leżała martwa w rowie (dlaczego zawsze te rowy, które w Londynie dość trudno znaleźć?). Nie przesuwam palcem po ekranie, by odczytać wiadomość, ponieważ George wpatruje się we mnie z zabójczym uśmiechem, który rozbroiłby każdą kobietę. Chyba przegapiłam, co mówił, i muszę go przeprosić albo spytać, czy może powtórzyć.

– Spytałem, czy pójdziemy się czegoś napić – wyjaśnia.

– Do kawiarni na smoothie?

– Nie, na coś porządnego do jakiegoś baru.

– Och, naprawdę?

Jestem tak zdezorientowana, że George wybucha śmiechem.

– Tak. Nie masz ochoty?

To najdziwniejsza odpowiedź, jakiej można udzielić. Co mam powiedzieć?

– E... mam.

Rany, czy właśnie zgodziłam się pójść na randkę z George'em? Nie, na pewno nie o to mu chodziło.

– Dziś wieczorem? – sugeruje.

– Ojej, szybki jesteś.

Znów się śmieje.

– Nie sądzę. Przecież znamy się od kilku miesięcy. Dla mnie to nie jest szybko.

Czy ja mu się podobam? To... takie niespodziewane.

Zaproponował bar przy Square Mile.

– O dwudziestej?

– Dobrze.

Nieco później, gdy zastanawiam się, co włożyć na „randkę”, uświadamiam sobie, że jest niedziela. A więc jutro George musi iść do pracy. Choć dla niego każdy dzień jest dniem roboczym. Wydaje mi się, że siedzi w siłowni siedem dni w tygodniu.

Resztę dnia spędziłam w mieście, robiąc zakupy spożywcze, dumna z tego, że ćwiczyłam, mimo że byłam w apogeum kaca. Jestem pewna, że później przyjdzie mi za to zapłacić. Odpowiadam na SMS-a Joan i dowiaduję się, że naprawdę spędziła noc z Geoffem. Moje serce wykonuje z tej okazji małego fikołka. Po południu, gdy mi odpisuje, nadal jest u Geoffa. Zamierzają iść wieczorem na tapas.

Podobno nie sypiamy z facetami na pierwszej randce – drażnię się z nią.

Ty może nie – tak brzmi jej krótka odpowiedź, a ja wybucham w supermarkecie głośnym śmiechem.

Zerkam na zegarek. Davey na pewno już nie śpi i działa na pełnych obrotach. U niego jest sześć godzin wcześniej. Patrzę na aplikację pogodową i sprawdzam temperaturę – są dwa stopnie. Dwa stopnie, to śmieszne. W Teksasie siedemnaście. Natychmiast wyobrażam sobie faceta, którego nigdy nie widziałam, w okularach przeciwsłonecznych, choć na WhatsAppie ma tylko szarą ikonkę. Co za człowiek tak robi? Chyba jednak poproszę go o zdjęcie.

Jestem w alejce z pieczywem i próbując być bardziej święta niż rano, szukam chleba pełnoziarnistego posypanego pestkami. Przystaję i wreszcie odpisuję Daveyowi.

Cześć, przyjacielu na odległość – wystukuję, słowa „przyjaciel” używając po dłuższym namyśle.

Davey nie jest online. Komórka wydaje dźwięk, dopiero kiedy ruszam do stoiska z winami.

Cześć! Miły weekend?

Bardzo. Kolacja i DUŻO drinków z przyjaciółmi. Dlatego wczoraj nie odpisałam. Przepraszam. Dziś siłownia. A... – zanim dokończę zdanie, robię pauzę, ale przecież nie muszę niczego przed nim ukrywać, więc wyznaję: – wieczorem idę na randkę, co jest właściwie trochę niespodziewane.

Dlaczego?

Bo nie zdawałam sobie sprawy, że mu się podobam. A jak Twój weekend?

Dobrze. Głównie papierkowa robota. Przygotowania do wyjazdu do UK.

Uśmiecham się. Wyobrażam sobie, jak robi plany podróży.

Kiedy przyjeżdżasz? – pytam.

10 stycznia.

Spotkamy się, gdy już się rozgościsz? – ośmielam się zadać pytanie, mając nadzieję, że platoniczna natura tej wiadomości jest oczywista.

No pewnie – odpowiada i dodaje uśmiechniętą buźkę, która spełnia swoje zadanie, bo skłania mnie do uśmiechu. – Chciałbym Cię spytać, jaka część Londynu jest najlepsza do mieszkania i gdzie się załatwia takie rzeczy. Nie masz nic przeciwko temu?

Oczywiście, że nie.

To super. Teraz muszę zająć się mnóstwem spraw, mogę później zadzwonić?

Podchodzę do półki z winem, które zwykle kupuję. Zatrzymuję się i gapię na telefon. Prawdziwa rozmowa telefoniczna? Nie. Kto tak robi? Tylko wiadomości tekstowe. Czy nie tak się teraz komunikujemy? Ale przecież nie mogę mu odmówić, prawda?

Oczywiście – wystukuję. Spotkanie z George'em potrwa najwyżej trzy godziny, a jeśli pójdzie źle, nawet krócej. – O 23.00 mojego czasu? – proponuję i dodaję: – U Ciebie będzie... – on jednak odpowiada, zanim nacisnę guzik wysyłania:

17.00. Brzmi dobrze.

Super. To jesteśmy umówieni.



George i ja siedzimy w barze niepokojąco blisko siebie. Nie jest w stroju do ćwiczeń, oczywiście, że nie. Nie wiem dlaczego spodziewałam się, że będzie w dresie – trochę jak wtedy, gdy spotykałam się z pilotem z British Airways i on naprawdę pojawił się w mundurze pierwszego oficera. Powiedział, że to dlatego, iż właśnie przyleciał, ale miałam poważne wątpliwości. I tak, był jednym z tych, z którymi przespałam się już na pierwszej randce. To było nieuniknione.

Mam na sobie różową sukienkę w leopardzie cętki i balerinki, włosy upięłam w luźny kok. Uznałam, że szminka to może za dużo, więc z niej zrezygnowałam. Wciąż nie jestem do końca pewna, co tu robię. Nie jestem też pewna, czy coś z tego będzie. Ale przecież od czasu do czasu trzeba zaryzykować, prawda? No więc siedzę i czuję się mile polectana.

George jest w spodniach od garnituru i koszuli rozpiętej pod szyją i muszę przyznać, że wygląda doskonale. Wszyscy się odwracają, by na niego spojrzeć. Nawet mężczyźni.

– Wiesz, że wszyscy ci faceci patrzą na ciebie? – mówi ku mojemu zaskoczeniu.

Odwracam głowę, żeby to sprawdzić, bo jestem pewna, że patrzą na niego, i coś strzela mi w szyi, co wyraźnie słychać.

– Potrzebujesz masażu – stwierdza ze śmiechem. – Potem ci zrobię, jeśli będziesz chciała.

– Jesteś masażystą i trenerem osobistym? – pytam.

– Tak, masażystą sportowym. – Kiwa głową i zamawia dla nas koktajle. – Jestem człowiekiem o wielu talentach.

Wziął dla mnie i dla siebie takie same drinki. Nie spytał, na co mam ochotę, a mnie podoba się ta jego asertywna pewność siebie. Choć właściwie zamiast negroni wołałabym piñacoladę. Wiem, że to strasznie mało wyrafinowane, ale myślę o wakacjach, a wiadomo, że kokosowe koktajle wywołują wakacyjne wibracje.

Rozmawiamy o wakacjach i proponuję Tajlandię. Siedzimy i sprawdzamy ceny w jego telefonie. Właściwie negroni smakuje nieźle. Wygląda na to, że George jest zainteresowany wyjazdem, i myślę sobie, że jeśli zostaniemy tylko przyjaciółmi i nie zrobimy czegoś tak głupiego, jak spanie ze sobą... to właściwie moglibyśmy razem wyjechać. Znamy się już od paru miesięcy, jest miły i fajnie spędza się z nim czas. Wszyscy moi znajomi ze studiów już zaplanowali urlopowe wypady we dwoje albo oszczędzają na zakup mieszkania

i nie stać ich na wakacje.

Ale czy to nie dziwne proponować coś takiego? Pewnie tak, ale spodobał mi się ten pomysł. Pytam więc George'a, co sądzi o wspólnym wyjeździe, jako przyjaciele – zaznaczam na wszelki wypadek – a on kiwa głową.

– Tak, dlaczego nie? Nie pracuję na etacie i mogę sobie pozwolić na porządny odpoczynek.

– To super – mówię ze szczerym entuzjazmem.

Chociaż nie znam George'a zbyt długo, czuję się tak, jakbym w jednym tygodniu zyskała dwóch nowych przyjaciół, facetów, a to wszystko jest czysto platoniczne i proste. Ktoś powiedział, że seks przeszkadza mężczyznom i kobietom się przyjaźnić.

Zgadzamy się, że wspólny wyjazd to niezły pomysł. I nie jest to tak lekkomyślne, jak się wydaje. Kiedyś, gdy byłam na konferencji, wybrałam się na wycieczkę z plecakiem w towarzystwie kolegi, którego znałam zaledwie od dwóch tygodni. Chcielibyśmy wyjechać w lutym. George podchodzi do pracy w siłowni na luzie i teraz, na randce, która nie jest randką, mam nadzieję, że bez problemu zrobi sobie dłuższą przerwę.

Jest uпрzejmy i – hurra! – chce się czegoś o mnie dowiedzieć. Wierzcie mi, randkowałam ze zbyt wieloma facetami, którzy w ogóle się mną nie interesowali. No, ale to przecież nie jest prawdziwa randka. W każdym razie tak mi się wydaje. To randka przyjacielska. Rozmawiamy szczerze o życiu i o jedzeniu. Zamawiamy więcej koktajli i małe przekąski. George wybiera domowe jajka po szkocku, kaszankę i frytki, a więc raczej nie jest weganinem.

– Czy po tym wszystkim będziesz się musiał samobiczować? – pytam, wskazując przekąski.

– Tak! – Uśmiecha się szeroko. – Jak sądzisz, dlaczego cały dzień spędzam w siłowni? – To pytanie retoryczne, lecz on przysuwa się nieco bliżej i ciągnie: – Zdradzę ci mały sekret. Kiedyś byłem gruby. Jak... no, naprawdę gruby.

Wpatruję się w tego doskonale zbudowanego mężczyznę, z którym zamierzam się tylko przyjaźnić, i mu nie wierzę. Widziałam, jak obcisłe koszulki nosi na siłowni.

– Naprawdę?

– Mówię szczerze. Kocham jedzenie. Ale jedzenie nie kocha mnie.

– To ciekawe – odpowiadam, wkładając do ust kawałek kaszanki.

Uśmiecha się i też bierze kęs. Naprawdę go lubię. To może być początek pięknej przyjaźni.



Jest dwudziesta trzecia i idę od przystanku do domu. Gdy się zegnaliśmy, George nie zaproponował, że mnie odprowadzi. Uznałam to za dobry znak. Mężczyźni często odprowadzali mnie tylko po to, żebym ich do siebie zaprosiła. I jeśli nie będą pilotami British Airways w pełnym umundurowaniu, to się nie zdarzy. Już nie.

To, że George nie liczył na zaproszenie, sprawia, że jestem zadowolona i bardziej zaangażowana w naszą przyjaźń. Na pożegnanie pocałowaliśmy się w policzek, i to wystarczyło. Mimo że jest zimno, promienieję, ponieważ spędziłam cudowny wieczór. Otulam się płaszczem, ciaśniej zawiązuję szalik i patrzę w okna salonów w mieszkaniach, w których nie zaciągnięto zasłon. Widzę przeróżne choinki rozświetlone lampkami, niektóre już wyłączone na noc. Oddycham głęboko i moje płuca wypełnia zimne powietrze. Ta pora roku jest wspaniała.

Brzęczy moja komórka – to Davey dzwoni na WhatsAppie. Wciąż nie zapisałam sobie jego numeru. Może to za wcześnie, lecz teraz dochodzę do wniosku, że powinnam. To wszystko jest takie dziwne, ale dziwne w fajny sposób.

– Cześć – mówię.

Gdy tak idę przez noc, z moich ust unosi się wirująca ciepła para.

– Cześć – odpowiada Davey. – To możemy pogadać?

Ma ciepły kojący głos.

– Oczywiście. Właśnie wracam z randki.

– Jesteś w jego towarzystwie? Może porozmawiamy kiedy indziej?

– Nie, jestem sama.

Chwila milczenia i:

– Jak było?

– Dość fajnie. Znam go od jakiegoś czasu. Jest trenerem osobistym. Piliśmy koktajle i planowaliśmy wspólny wyjazd na wakacje. – Wypowiedziane na głos brzmi to jak najbardziej szalony plan na świecie. – Właściwie to była przyjacielska randka – wyjaśniam. – I nic się nie zmieni, po prostu oboje mamy ochotę pojechać do Tajlandii. Gdy teraz o tym myślę, to wyszło to trochę przypadkiem – dodaję ze śmiechem.

Davey też się śmieje.

– Na to wygląda. Ale to dobrze mieć plany.

– O tak – zgadzam się. – Jak sobie poradziłeś z papierkową robotą i przygotowaniem do przeprowadzki?

Grzebię w torebce w poszukiwaniu kluczy. Już dochodzę do domu. U Joan obok pali się światło. Marzę o tym, żeby się z nią zobaczyć, wypytać, jak jej poszła randka. Pragnę poznać wszystkie nieprzyzwoite szczegóły. Przez chwilę pożyć jej życiem.

– O Boże, wprawiłem sprawy w ruch. Lot zabukowany.

– Wiza załatwiona?

– Mam brytyjski paszport.

– Naprawdę? Jak to możliwe?

– Rodzice opuścili Anglię, gdy miałem pięć miesięcy. Nigdy nie poznałem innych miejsc poza Teksasem, ale moja rodzina pochodzi z Kornwalii, więc łatwiej mi się przenieść.

– Jesteś Brytyjczykiem – stwierdzam zaskoczona.

Otwieram drzwi, wchodzę do domu. Zapalam lampę w korytarzu. Ogrzewanie jest włączone i gdy rzucam klucze na stolik, gdzie leżą śmiecie i paragony wyjęte z kieszeni płaszczy, natychmiast robi mi się ciepło.

– Żeby mój tata tego nie usłyszał. Bardzo cierpiał, gdy musiał mi powiedzieć najpierw, że jestem Kornwalijczykiem, a potem, że Brytyjczykiem.

Miło się słucha głosu Daveya.

– Dlaczego twoi rodzice przenieśli się z Kornwalii do Teksasu?

Kopnięciem zrzucam balerinki, zdejmuję płaszcz. Torbę chowam pod stolikiem w korytarzu, reszta rzeczy ląduje, gdzie popadnie. Pozbieram później.

– Tata pracował dla kompanii naftowej i dostał pracę w ramach transferu, więc on i mama osiedlili się tutaj, i tyle. Wielki amerykański sen... Idealne życie dla Kornwalijczyka.

– To kuszące. Bardzo lubiłam nasze rodzinne wakacje w Stanach. Wszystko tam jest lepsze, większe i tańsze.

– A ja w głębi duszy zawsze byłem anglofilem – wyznaje Davey, śmiejąc się. – Czekałem, aż będę mógł wrócić do korzeni.

Włączam lampki choinkowe, które zamontowałam w zeszłe święta i których postanowiłam nie zdejmować. Siadam na kanapie, spowita ich mrugającym światłem, i podwijam nogi.

– A tak przy okazji, podoba mi się twój styl. Dzwonisz do dziewczyny, zamiast wysyłać wiadomości.

– Nie lubisz rozmawiać przez telefon?

– To w dzisiejszych czasach dość rzadkie. Właściwie to byłam trochę zaskoczona, kiedy po raz pierwszy do mnie zadzwoniłeś. Odebrałam tylko z ciekawości.

– Ale przecież większość ludzi odbiera. – Davey znów się śmieje.

– Chyba tak. Ale nikt już nie rozmawia. I nikt nie dzwoni.

– Mój nowy szef chciał, żebym do niego zadzwonił. Chyba nie zdawał sobie sprawy, ile taka rozmowa mnie kosztuje. Wydaje się, że nie należy do osób, które używają Skype'a czy WhatsAppa.

– Stara szkoła.

– Tak, chociaż ja to lubię. A ty?

Poprawiam się na kanapie.

– Ja też. Jak na ironię, to takie odświeżające.

– A ja wolę dzwonić niż wysyłać wiadomości. Rozmawialiśmy w piątek i o ile pamiętam, szło nam całkiem nieźle. A poza tym to jest coś, co określi nas na tle pokolenia, które przyjdzie po nas: wciąż potrafiliśmy rozmawiać przez telefon.

– To prawda – przyznaję i między nami, rozdzielonymi ponad ośmioma tysiącami kilometrów, zapada przyjemne milczenie. – Davey? – odzywam się w końcu.

– Hannah? – odpowiada, udając poważny ton.

– Jak wyglądasz? – Teraz, kiedy o to zapytałam, czuję się jak idiotka. Chyba zawładnęły mną negroni. Davey milczy przez chwilę.

– Jak mam szczerze odpowiedzieć, nie twierdząc, że nie wyglądam ani jak jeden z braci Hemsworthów, ani jak Gollum? – Parskam śmiechem, wstaję i idę do kuchni, żeby nalać sobie szklankę wody. – Szczerze to jedno – ciągnie Davey – ale mam niskie poczucie własnej wartości, co może prowadzić do wyobrażania sobie różnych rzeczy na temat mojego wyglądu. A ty jak wyglądasz? – chce wiedzieć, gdy oboje przestajemy się śmiać.

Odkręcając kran, patrzę na swoje odbicie w kuchennym oknie.

– Wystroiłam się na randkę, więc wyglądam lepiej niż w tygodniu – odpowiadam, uświadamiając sobie, że na dobrą sprawę żadne z nas nie udzieliło odpowiedzi na pytanie.

– Pokażę ci, jak wyglądam, nie rozłączaj się. – Davey milknie, słyszę tylko głuchy odgłos, gdy uderza palcem w klawiaturę telefonu. Rozlega się sygnał WhatsAppa, a Davey mówi: – Śmiało, zaczekam, aż spojrzysz.

Jestem tak zaintrygowana, że gdy otwieram wiadomość od Daveya, o mało nie upuszczam komórki. Rozdziwiam usta. To selfie. Mężczyzna jest bez koszuli. Opaloną skórę na piersi pokrywają kropelki wody, jakby właśnie wyszedł z basenu czy spod prysznica. Jego krótko ostrzyżone włosy są wilgotne, ukazuje w uśmiechu białe, lecz nie oślepiająco białe zęby. Za nim na ścianie wisi flaga uczelnianej drużyny futbolowej. Ten facet jest piękny i bardzo... amerykański. Szybko porównuję go z niezwykle angielsko wyglądającym George'em, który ma jasną skórę i wysokie kości policzkowe. To nie jest sprawiedliwe porównanie. Klikam na „zapisz zdjęcie”. Zamierzam popatrzeć na nie później.

Wracam do rozmowy.

– Mam je – rzucam nieco zbyt obojętnie. – Jedno pytanie: spytałam, jak wyglądasz... Wyglądasz podobnie czy to ty?

– To ja – zapewnia, jakbym była skończoną idiotką.

Klikam na zdjęcie i znów na nie patrzę. Jezu, on naprawdę wygląda jak jeden z braci Hemsworthów.

– Zdecydowanie nie wyglądasz jak Gollum – stwierdzam, przełykając ślinę i zastanawiając się, jak to możliwe, że mężczyzna na drugim końcu linii jest taki atrakcyjny. – Właśnie je zrobiłeś? Jesteś bez koszuli?

Davey znów się śmieje.

– Nie miałem czasu szukać jakiegoś starego zdjęcia, a przed chwilą wyszedłem spod prysznica i pstryknąłem to. Teraz twoja kolej.

Nigdy nie robię selfie. Tak naprawdę to ich nienawidzę. Nigdy tego nie ogarniałam. Tych zdjęć z dzióbkami. Dlaczego ludzie stroją takie miny, gdy cykają sobie selfie? Przestałam śledzić znajomych zamieszczających zdjęcia, na których robią dzióbki. Brutalne, ale prawdziwe. Ale co mi tam.

– Chwileczkę – mówię.

Uświadamiam sobie, że też nie mam czasu, by przewinąć zdjęcia w komórce i jakieś znaleźć, więc włączam aparat, robię zdjęcie i mu się przyglądam. Nie, jest okropne. Szybko próbuję drugi raz. Lepiej, ale to ciągle nie to. Za trzecim razem mi się udaje: patrzę na moje włosy i uśmiech, na rzęsy przedłużone nową masarą i dochodzę do wniosku, że lepiej nie będzie. Dziękuję Bogu, że na dzisiejszy wieczór się wystroiłam. Wysyłam zdjęcie Daveyowi.

– Poszło – oznajmiam i zagryzam wargi. Proszę, bądź dla mnie łaskawy, myślę.

Milczenie się przedłuża, po czym:

– No to cześć. – Zbyt łatwo mnie rozśmiesza. – Nie wyglądasz tak, jak sobie wyobrażałem. W dobrym tego słowa znaczeniu.

– I nawzajem – odpowiadam.

Staram się zachowywać swobodnie, ale nie wiem, czy mi się to udaje, czy nie. Nie wiem, czy to moja wyobraźnia, mam jednak wrażenie, że przesłanie sobie zdjęć zmieniło nieco ton naszej rozmowy.

– Mieliliśmy porozmawiać o miejscach do mieszkania. – Davey podejmuje nowy temat. – Polecasz jakies?

– To zależy od twojego budżetu – zaczynam tonem agentki nieruchomości. I nie podoba mi się, że przeszliśmy do tak praktycznej kwestii. – Mówiłeś, że jesteś architektem, więc pewnie masz ogromne wymagania. – Davey chichocze. – Co oznacza, że powinieneś wynająć coś w miejscu o nazwie zaczynającej

się na literę B.

– B? – powtarza ze śmiechem.

– Nazwy najlepszych dzielnic zaczynają się na B: Battersea, Belgravia, Blackheath jest urocze, bardzo wiejskie, Bermondsey dość fajne, Brixton też.

– Zapamiętam. A gdzie mam szukać czegoś, co zaczyna się na B? Jest jakaś strona w internecie?

– Ja korzystam z Rightmove, ale jest też kilka innych. Chcesz mieć współlokatora?

Davey się zastanawia.

– Nie, raczej nie. Chyba stać mnie na wynajęcie czegoś małego tylko dla siebie.

– Jeden pokój czy dwa? – Nagle ogarnia mnie przerażenie. Dlaczego nie zapytałam go o najbardziej oczywistą rzecz? – Przeprowadzasz się sam czy może z... dziewczyną?

– Sam – odpowiada i słyszę w jego głosie dziwne rozbawienie.

Nie zamierzam tego komentować, lecz jestem wewnętrznie podbudowana. Zerkam na zegarek. Jest pierwsza. Rozmawiamy już prawie dwie godziny i zaraz rozładuje mi się telefon.

– Poczekaj, muszę znaleźć ładowarkę.

– Ja też. I jakieś ciuchy. Od dwóch godzin chodzę w ręczniku.

Oj, chyba głośno przełknęłam ślinę. Szybko podłączam telefon do ładowarki. Poza tym muszę się wysikać, ale nie wiem, jak poruszyć ten temat.

Podejmuję próbę:

– Możesz poczekać kilka sekund, bo muszę... hm...

– Pewnie – przerywa mi. – Czekam.

Odkładam telefon na łóżko, pędzę do łazienki, sikam tak szybko, że niemal słyszę moją mamę, która osiemdziesiąt kilometrów dalej mamrocze: „Jak koń wyścigowy”. Myję ręce, wycieram o sukienkę, wracam do sypialni, opadam na łóżko i opieram się o poduszki.

– U ciebie jest naprawdę późno – zauważa Davey, kiedy oznajmiam, że już jestem. – Która już? Północ?

Pomylił się o godzinę, ale mu tego nie mówię.

– Może skończymy? – proponuję. Nic nie mówi. – Davey?

– Przepraszam, po prostu pokręciłem głową, jakbyś mnie widziała. Co za idiota ze mnie.

– Ha! – Sadowię się wygodnie.

– Musisz rano wstać do pracy?

Kiwam głową, a gdy uświadamiam sobie, co zrobiłam, potwierdzam na głos.

– Czym się zajmujesz? – pyta.

Słyszę szelest materiału, więc przypuszczam, że gdy rozmawiamy, wkłada koszulę.

– Marketingiem.

– Lubisz to?

– Taaak – odpowiadam powoli.

– Nie brzmi przekonująco.

– Taaak – odpowiadam w taki sam sposób i zaczynam się śmiać. – To agencja, obsługuje rozmaitych klientów, spodziewałam się więc, że praca będzie interesująca. I taka jest – zapewniam szybko. – Ale pracuję tam już kilka lat i jakaś część mnie uważa, że to niewystarczający powód, by odejść...

– A inna część...

Wzruszam ramionami.

– Jest trochę nudno. No, ale mam pieniądze na to, czego potrzebuję...

– I to chyba wszystko, na co możemy mieć nadzieję w dzisiejszych czasach.

– Mądre słowa.

– Jakiego rodzaju to jest marketing?

Opowiadam mu o broszurach, za których tworzenie odpowiedzialna jest agencja, o stronach internetowych, które prowadzę dla inwestorów, i o informacjach dotyczących obsługi klienta. Bardzo się staram, żeby brzmiało to odłotowo i olśniewająco, ale chyba nie za bardzo mi wychodzi. Gadamy o jego pracy, o budowlach, które projektował. Przeważnie były to przedszkola i teraz jest gotowy na coś większego, coś, w co będzie mógł się w pełni zaangażować, jak to ujął.

– Jonathan White to naprawdę dobra firma. Wiesz, drapacze chmur, duże biurowce w Londynie i na

całym świecie.

Uwielbiam określenie „drapacze chmur”. W Anglii nie za często go używamy.

– Przedłużenie członków korporacyjnych bogów – mówię, śmiejąc się, i natychmiast tego żałuję.

Davey nie odpowiada, bo też się śmieje.

– Zgadza się – mówi wreszcie. – Właśnie takich słów powinniśmy używać w naszym marketingu.

Przedstawiam mój projekt i mówię: „Oto wspaniałe przedłużenie twojego członka. Jeśli dasz mi to zlecenie, będziesz pieprzył bez końca”. I już widzimy, jak zabiegają o nasze usługi.

Bardzo lubię się z nim śmiać, jednak gdy oboje milkniemy, ziewam i uświadamiam sobie, że właśnie ogłosiłam koniec rozmowy.

– Musisz się przespać – stwierdza Davey, po czym milknie i chyba się nad czymś zastanawia. – Mogę znowu zadzwonić? – pyta wreszcie.

– Tak – odpowiadam zbyt pośpiesznie.

– Super. W tygodniu?

– Bardzo bym chciała.

– Ja też. Dobranoc, Hannah. Śpij dobrze.

– Dobranoc, Davey.

Wciąż jest na linii, więc powtarzam te słowa, lecz ciszej niż poprzednio. I on też. Po czym się rozłączamy.

ROZDZIAŁ 3

Hannah

Jest czwartkowy wieczór, siedzę w pubie niedaleko pracy. Jeszcze jeden dzień i będzie weekend. Dziś zebrała się kilkuosobowa drużyna, by wziąć udział w pubowym quizie charytatywnym. Jestem kiepska w pubowych quizach. Przegrywamy każdą rundę. Podchwytyję spojrzenie, które rzuca mi Clare z działu kadr, mówiące: „Jesteśmy do dupy”.

Kiwam głową. Bo naprawdę jesteśmy.

Podczas quizu dzwięczy mój telefon. Clare wskazuje go wzrokiem. Kręcę głową, bo słucham kolejnego pytania. Na nie też nie znam odpowiedzi. Boże, to żenujące. Na pewno zajmiemy ostatnie miejsce. Jeśli przyłapią mnie na używaniu telefonu, cała drużyna zostanie zdyskwalifikowana.

– Zrób to – syczy Clare. – Ocal nas wszystkich.

Postanawiam ocalić sama siebie, wstając, żeby kupić kolegom drinki. Nie jestem pewna, czy teraz moja kolej, ale nieważne, potrzebuję przerwy bez sprawiania wrażenia, że coś kombinuję.

Zastanawiam się, kto do mnie napisał. Davey zapowiedział, że zadzwoni w tym tygodniu, lecz, jak dotąd, się nie odezwał. Staram się za wiele nie oczekiwać, jesteśmy po prostu znajomymi. Na bardzo dużą odległość. Którzy nigdy się nie spotkali. Clare dołącza do mnie przy barze, bezceremonialnie porzucając naszych towarzyszy podczas kolejnej rundy.

– To okropne – jęczy. – Dlaczego się na to zgadzamy?

Uśmiecham się i płacę za drinki, a ona proponuje, że pomoże mi je zanieść do stolika.

Gdy ogłaszają wyniki, nikt z nas nie jest zaskoczony, że zajęliśmy ostatnie miejsce. Zanim się rozejdziemy, przez chwilę gadamy.

– Czy Kevin ci powiedział, że twoje podanie o urlop zostało zatwierdzone? – pyta Clare, upijając łyk wina z fusami na dnie.

– Naprawdę? Dzięki.

– To ja ci dziękuję, że nie zamierzasz wybrać się na urlop w czasie ferii, bo każdy dupek składa podanie o ten termin. Dokąd się wybierasz?

Mówię jej o George’u i Tajlandii.

Jej oczy aż szklą się z tęsknoty.

– Chryste, przydałoby się, żeby wybył na wielkim łożu w Tajlandii trener osobisty. Kiedy wrócisz, będę chciała znać wszystkie szczegóły!

– Clare, czy jako profesjonalna pracownica działu kadr masz prawo czynić na mój temat aluzje dotyczące seksu? I to głośno? – Clare blednie. Nie mogę już dłużej powstrzymać śmiechu i wybawiam ją z kłopotu.

– Do kurwy nędzy! – mówi z westchnieniem ulgi. – Nie strasz mnie tak! Ostatnie, czego potrzebuje ta firma, to kolejny proces!

Całuję ją w policzek i macham wszystkim na pożegnanie. Nie chce mi się wyjaśniać, że George i ja jesteśmy tylko przyjaciółmi, więc to dobry moment, żeby wyjść, zakończyć rozmowę, zamiast wywoływać erupcję pytań. Poza tym jestem zmęczona.

Wychodzę, otulam się płaszczem i patrzę, jak na ulicę wytaczają się uczestnicy firmowych imprez świątecznych. Pod latarnią całuje się jakaś para. Zgaduję, że to pracownicy biurowi, i wymyślam im historię: o miłości, której sobie nie wyznali aż do tej pracowej imprezy bożonarodzeniowej. I teraz do końca swoich dni będą musieli ukrywać się przed kolegami z biura.

Dzwoni moja komórka i wybucham głośnym śmiechem.

To Davey na WhatsAppie, a ja uświadamiam sobie, jak bardzo pragnęłam, żeby znów się ze mną skontaktował.

– Cześć – mówię.

– Cześć. Miły miałaś wieczór?

– Tak. Quiz w pubie.

– Które miejsce...

– Ostatnie – wyznaję niemal z dumą.

– Nie można wygrać ze wszystkimi. Ale i tak uważam, że jesteś wspaniała.

Widzę zielonego ludzika na przejściu dla pieszych przed sobą, więc szybko idę w tamtą stronę.

– Nie przesadziłem? – pyta Davey. – Powiedziałem, że jesteś wspaniała. Tak, to chyba za wiele, przepraszam.

– Nie przepraszaj. Właśnie gonię zielonego ludzika.

– Zielonego ludzika?

– Światła na przejściu dla pieszych.

– Ach tak. Nie chciałbym cię wystraszyć.

– Nie wystraszyłeś mnie – zapewniam, znów przypominając sobie jego zdjęcie bez koszuli, z kropelkami wody na torsie. – Cieszę się, że zadzwoniłeś, nawet jeśli to wszystko jest takie niezwykle.

– Ja też się cieszę. No i kto by chciał normalności?

Rozmawiamy, gdy idę do stacji metra Liverpool Street. Davey ma późną przerwę na lunch, mówi, że siedzi na ławce w parku, w prażącym słońcu, i je „bułę”.

– A co to takiego?

– Tak mój tata nazywa wielką zawijaną kanapkę.

– Czy to jest dobre? – pytam, by podtrzymać rozmowę.

– Mhm... – Słyszę, jak przeżuwa.

Oświetla mnie blask światła padającego z pubów i biur. W Londynie nigdy nie jest ciemno. To takie podnoszące na duchu. Lobby biurowców ozdabiają wielkie choinki.

– Czy tam, gdzie siedzisz, jest bardzo bożonarodzeniowo? – pytam.

– Żebyś wiedziała. To znaczy w parku nie. Ale w kawiarni, do której chodzę, gdzie spojrzeć, są czerwone kubki i podają kawę o takich smakach, jakiej w innej porze roku nie uświadczysz.

Opowiadam mu o Joan i naszym wyzwaniu, by wypróbować wszystkie smaki nespreso.

– Już prawie jesteśmy u celu, ale oni wciąż wprowadzają jakieś limitowane edycje i Joan daje się uwieść tej paradzie smaków.

– A jaki jest twój ulubiony?

Słyszę, jak Davey odgryza kawałek kanapki. Gdyby to był ktoś inny, może trochę by mnie to brzydziło, ale czuję się mile polectana, gdy uświadamiam sobie, że znajduje czas podczas przerwy na lunch, by porozmawiać z jakąś przypadkową dziewczyną, do której zadzwonił przez pomyłkę ponad tydzień temu, choć mógłby robić, co chce.

– Najbardziej chyba lubię zwyczajną starą blue lungo. Jestem dziewczyną o prostych upodobaniach.

– Wzruszam ramionami, choć Davey mnie nie widzi.

– Ja jestem typem chłopaka, który lubi podwójne espresso – mówi tak, jakby to był wielki sekret.

– Poważnie.

Gawędzimy o życiu w Austin. Jak został członkiem lokalnej drużyny piłki nożnej.

– To przez mojego tatę. Nigdy bym się nie dostał do drużyny futbolowej – przypuszczam, że chodzi mu o futbol amerykański – a tata kocha piłkę nożną. – Zakładam, że teraz chodzi mu o piłkę nożną, taką jak w Anglii, lecz o to nie pytam. – W liceum dołączyłem więc do drużyny piłkarskiej i tak naprawdę nigdy nie przestałem grać. Gram dwa razy w tygodniu. I gdy przeniosę się do Anglii, nadal chciałbym to robić. Biegam i gram w piłkę, bo nie lubię siłowni – wyznaje.

– Och, a ja tak – odpowiadam, ciesząc się spacerem i patrząc z zachwytem na Londyn, aż dojdę do następnego skrzyżowania. – Kocham siłownię.

– To dlatego że randkujesz ze swoim trenerem osobistym? Czy z jakiegoś innego powodu?

– Nie randkuję z George’em – prostuję po chwili.

– George – powtarza Davey. – Dlaczego z nim nie randkujesz? – To pytanie wynika z ciekawości, nie jest złośliwy.

– Po prostu uważam, że będzie lepszym przyjacielem – odpowiadam dyplomatycznie.

Prawdę mówiąc, nie wiem, dlaczego nie jestem zainteresowana George’em. Jest zdecydowanie atrakcyjny, dowcipny, lecz w głębi duszy podejrzewam, że może być bawidamkiem. Pewnie to nie fair z mojej strony. W każdym razie jedziemy do Tajlandii po prostu jako przyjaciele i nie zamierzam tego zmieniać.

– A kiedy ostatni raz się z kimś umawiałaś? – pyta Davey, pijąc coś przez słomkę.

– Tak na poważnie?

– Aha.

Zastanawiam się.

– Kilka lat temu. Z gościem o imieniu Phil. Było miło, ale, po prostu... no wiesz...

– Niewystarczająco miło? – podsuwa Davey.

– Tak, może to to. Tak, właściwie o to chodziło. A ty?

– Z kobietą o imieniu Charlotte. Też było miło, ale niewystarczająco.

– Biedna Charlotte – mówię.

– Biedny Phil. – Davey chichocze.

– A co będziesz robił od dziś do wyjazdu? – zmieniam temat.

– Za kilka tygodni kończę to, co tutaj robię, tata i mama już planują pożegnalne przyjęcie dla przyjaciół i rodziny.

– Smutno ci, że ich zostawiasz? – Mijam właśnie ozdobnie gotycki budynek Bank of England.

– Nie bardzo. Mój najlepszy przyjaciel Grant właśnie zabukował sobie bilety na marzec. Też jest Anglikiem, wyjechał, gdy był dzieckiem, i już nie może się doczekać tej wizyty. Moi rodzice zasugerowali, że przylecą w kwietniu, więc przez jakiś czas będę miał towarzystwo.

– To takie urocze.

– Gdzie mieszkasz? To znaczy, w której części miasta?

– We wschodnim Londynie, w Wanstead, blisko parku. Ładnie tu. Powinieneś to zobaczyć. Przejrzałeś już jakieś mieszkania?

– Tak. Później spojrzę na Wanstead, ale z listy, którą mi dałaś, jestem prawie zdecydowany na Brixton. Z tego, co widać na zdjęciach w Google, wygląda spoko. Spróbuję pomieszkać tam pół roku, a potem się zastanowię.

– Nie kusi cię oszałamiająca i wyniosła Belgravia?

– Zerknąłem na nią, ale gdy zobaczyłem cenę wynajmu kawalerki, moje konto zwinęło się i umarło.

– Tam jest drogo i trochę pretensjonalnie.

– Pretensjonalnie? – Davey się śmieje.

– No wiesz – mówię, chichocząc.

– No wiem. Muszę wracać do pracy. Co będziesz robiła później?

– Nie za wiele. – Skręcam za róg w stronę stacji Liverpool Street. – Położę się.

– No to dobrej nocy.

– A co ty będziesz robił później? – Nie chcę, żeby ta rozmowa się skończyła, chociaż zbliżam się do stacji i kiedy zejdę do metra, zasięg zniknie.

– Netflix. Rzadko mam wieczór dla siebie. Gdy powiedziałem, że wyjeżdżam, nagle stałem się Panem Popularnym i większość wieczorów w dającej się przewidzieć przyszłości mam zarezerwowanych na wyjście na drinka.

– A co oglądasz na Netfliksie? – Przystaję koło ruchomych schodów, próbując coś usłyszeć przez hałas, jaki robi tłum zmęczonych ludzi dojeżdżających do pracy.

– Głównie dokumenty. Coś zaskakującego. Coś interesującego. Takie i takie.

Oddycham głęboko, wciągając zimne nocne powietrze.

– Miłego oglądania dokumentów.

– Dzięki. Miłego spania – odpowiada Davey.

– Będzie miłe.

ROZDZIAŁ 4

Hannah

Kiedy pokazuję Mirandzie zdjęcie Daveya, opada jej szczęka. Jest sobotni wieczór, siedzimy w pubie przy tym samym stoliku co zawsze i czekamy, aż przyniosą nam jedzenie.

– O mój Boże – mówi już po raz drugi. – To naprawdę on?

Paul popija piwo i ma już dość cierpliwego czekania. Wyciąga szyję, żeby coś zobaczyć, po czym wrywa mi telefon ze słowami:

– Do kurwy nędzy! – Spogląda na zdjęcie i unosi brwi. – Wygląda tak, że powinien grać superbohaterów w filmach. Nawet ja bym go przeleciał. – Śmieje się ze swojego dowcipu i próbuje oddać mi komórkę, lecz Miranda mu ją zabiera i wpatruje się uważnie w zdjęcie.

– Skąd masz pewność, że to naprawdę on?

Wybucham śmiechem.

– Oczywiście, że nie mam, ale...

– Jak ma na nazwisko? Wygooglujmy go.

– Ja... ja nie spytałam go o nazwisko.

Miranda z hukiem odstawia butelkę z piwem na podkładkę.

– Jeszcze nie? Jeszcze nie spytałaś go o nazwisko? Miałaś zrobić tylko tę jedną rzecz!

Miałam dwa zadania. Pierwsze to zdobycie zdjęcia, co mi się udało. Ale nie dla niej, tylko dla siebie. Poza tym lubię spędzać czas z Daveyem, nawet jeśli odbywa się to tylko przez telefon.

– Ale, tak czy inaczej, uważasz go za potencjalnego partnera życiowego? – pyta, a ja po kilku sekundach orientuję się, że mówi śmiertelnie poważnie.

– Co? Nie!

Wskazuje zdjęcie.

– A niby dlaczego?

– Jest miły. Gadamy. Ale mieszka tysiące kilometrów stąd.

– Już niedługo. Szybko w to wchodzi! Teraz, zaraz! Zanim tu przyjedzie i zgarnie go jakaś inna! Będą do niego leciały jak pszczoły do garnka miodu.

Paul ściąga brwi.

– Przecież to pszczoły robią miód. Dlaczego miałyby do niego lecieć? Chyba chodziło ci o doniczkę z kwiatami?

Parskam śmiechem, a Miranda go ignoruje.

– Nie pozwól mu uciec. Mówię poważnie. Jeśli jest taki fajny, jak mówisz...

– Jest. – Czuję się przytłoczona tą rozmową.

– I dzwoni do ciebie, kiedy mówi, że zadzwoni? – dąży.

Kiwam głową i patrzę na Paula, szukając wsparcia, on jednak spokojnie pije piwo, najwyraźniej wciąż rozważając miodowo-kwiatową kwestię.

Wreszcie z opresji wybawia mnie kelnerka, przynosząc przystawki. Maczam kawałek kurczaka w sosie satay i staram się nie przebić sobie ust końcem patyczka, na który jest nadziany.

– Nada się – stwierdza Miranda. – Jest fajny. Przeprowadza się tu. Jak najszybciej powiedz mu, że jesteś w nim śmiertelnie zakochana, i go łap!

Uznaję, że zwariowała albo za dużo wypila. Mimo że jest taka narwana, kocham ją. Oczywiście nie zamierzam zrobić nic z tego, co sugeruje. Ledwie znam Daveya, chociaż odkąd godzinami gadamy przez telefon, to już chyba nie jest prawdą.

Spoglądam na Paula, który pochyła się do przodu, jakby zamierzał powiedzieć coś bardzo mądrego. Otwiera usta i patrzy wprost na mnie.

– Jestem pewny, że chodziło jej o doniczkę z kwiatkami.



Nie mogę uwierzyć, że kazałaś mi czekać cały tydzień, zanim powiesz, co zaszło między Tobą

a Geoffem – piszę do Joan, wkładając w niedzielę szlafrok. Wciążam sfatygowane botki, które w zeszłym tygodniu pochopnie rzuciłam w kąt za tylnymi drzwiami, wciskam w nie nogawki piżamy i wyglądam teraz jak w spodniach z haremu. Efekt nie przypomina Kate Moss w Glastonbury, raczej MC Hammera. Jestem gotowa! – dopisuję, wybieram herbatniki na ten tydzień i idę do ogrodu.

– Dzień dobry – słyszę zza ogrodzenia męski głos. Przystaję i wpatruję się w mężczyznę w ogrodzie Joan. Jest dobrze po sześćdziesiątce, może bliżej siedemdziesiątki, i ciepło się do mnie uśmiecha. – Jestem Geoff – mówi i do mnie macha.

Rozdziawiam usta. Jak na starszego gościa jest bardzo seksowny i najwyraźniej spędził u Joan noc, co ja i ona nazywamy czasem nocowaniem dla dorosłych.

– Cześć... Geoff. – Podchodzę bliżej i proponuję mu herbatnika. – Jestem Hannah.

– Miło mi cię wreszcie poznać. Słyszałem o tobie dużo wspaniałych rzeczy.

– I nawzajem – odpowiadam, choć tak naprawdę mogłam się postarać, by usłyszeć więcej.

– Joan prosiła, żebym ci powiedział, że dziś będzie esperanza de Colombia. Jeśli coś ci to mówi.

Śmieję się.

– Jeszcze nie. Ale na pewno będzie do tego ulotka.

Geoff też się śmieje.

– Tak. Joan właśnie próbuje ją znaleźć.

Od razu go polubiłam. Próbuję powstrzymać szeroki uśmiech. Cieszę się ze względu na Joan. Po tylu latach wreszcie romans. To jednak oznacza, że nie będziemy mogły o Geoffie poplotkować, bo właśnie tu stoi.

Nadchodzi Joan z filiżankami na tacy, gawędzimy o tym, że jest zimno, a będzie jeszcze zimniej.

– Chyba spadnie śnieg – mówi Geoff.

Cieszę się, bo Boże Narodzenie już za dwa tygodnie. Potem przechodzimy do rozmowy o kawie i dajemy jej jedną gwiazdkę na pięć. Geoff jest bardziej łaskawy, pyta jednak, dlaczego nie stosujemy skali dziesięciopunktowej. Joan i ja patrzymy na siebie, jakbyśmy nie rozumiały tej sugestii, a Geoff przeprosza nas i odchodzi, żeby przygotować się do wyjścia.

Zerkam na Joan, a ona wybucha śmiechem.

– Joan, ty świntucho!

– Nie tylko młodzi ludzie mogą się dobrze bawić – mówi, patrząc na talerz z herbatnikami, który postawiłam u swoich stóp.

Podnoszę go, Joan wybiera herbatnika, a ja oddaję jej pustą filiżankę.

– Ja się w ogóle dobrze nie bawię – wyznaję z westchnieniem.

Pyta o moje ostatnie eskapady. Opowiadam jej o nierandkowej randce z George'em. A potem o Daveyu i jej oczy rozbłyskują. Niemal eksploduje pytaniami. Wydaje się, że tak reaguje każdy, komu o nim mówię. Joan zmusza mnie, żebym pokazała jego zdjęcie, patrzy na nie i głośno nabiera powietrza.

– Nie wykopałabyś go w poniedziałek z łóżka, prawda?

Nie bardzo rozumiem to zdanie, ale po chwili łapię sens.

– Chyba nie.

– Cudownie, że do ciebie dzwoni. Kiedy znów z nim porozmawiasz?

– Nie wiem, to wszystko jest takie proste i zarazem nieprzewidywalne. – Nie martwię się o to, kiedy zadzwoni następnym razem, bo wiem, że to zrobi. – Za parę dni.

– Ty szczęściarolo!

– Myślę, że jesteśmy tylko przyjaciółmi. Naprawdę.

– A kiedy nie rozmawiasz z nim przez kilka dni, nie tęsknisz? – chce wiedzieć Joan.

– I tak, i nie – odpowiadam, zastanawiając się nad tym. – W jakiś sposób przez chwilę żyję tymi rozmowami... Czy to ma sens? A kiedy ta studnia robi się pusta, on znowu dzwoni albo pisze i to...

– Cię uszczęśliwia? – podsuwa Joan.

Kiwam z uśmiechem głową.

– Tak, ładnie to ujęłaś.

– A więc przyjeżdża... Kiedy?

– Mniej więcej za cztery tygodnie.

– To takie romantyczne. – Joan wzdycha.

– Och, nie jestem pewna. Nic takiego się nie dzieje. Jest po prostu... miło.

– I tak powinno być. – Joan opiera ręce o ogrodzenie. – Tak zaczynają się wszystkie romanse: od czegoś miłego, od czegoś nieskomplikowanego, co łączy dwoje ludzi.

Czuję się zawstydzona i przestępuję z nogi na nogę.

– Cóż, zobaczmy...

Staram się nie przywiązywać zbyt dużej wagi do tego komentarza.

Straciłam kontakt z wieloma facetami – zaczynaliśmy jako przyjaciele, a kończyło się na tym, że wykasowywałam ich z moich mediów społecznościowych. Nie chcę, by tak stało się z Daveyem. Wiem, że nasza przyjaźń – to, co nas łączy – miała dziwny początek, ale jest cudownie. Coś, co zaczyna się tak dobrze, nie może skończyć się na tym, że zablokujemy siebie nawzajem na wszystkich czatach.

– No dobrze, siłownia wzywa. Muszę spalić te herbatniki – oznajmiam, kończąc rozmowę.

– Zobaczymy się w przyszłym tygodniu? – pyta Joan.

– Jeśli tu będziesz i nie urządzisz sobie z Geoffem nocowania dla dorosłych, to oczywiście. – Macham jej i idę do drzwi. – A tak przy okazji, on bardzo mi się podoba.

– Davey?

Rzucam jej znaczące spojrzenie.

– Geoff.

– Mnie też.



A w siłowni tłok. W lokalnej prasie zamieścili informację o ofercie specjalnej, co jest irytujące, ponieważ w siłowni przez dwa tygodnie panuje ścisk, po czym ludzie tracą motywację i ich nowe członkostwo wygasa. Stoję grzecznie w kolejce do orbitreka i wybieram playlistę. Równie dobrze mogę zacząć słuchać jej teraz, lecz kiedy wkładam do uszu słuchawki, przez salę zamaszystym krokiem idzie George i do mnie macha.

– Cześć, piękna! – woła i każda kobieta odwraca się, by na niego spojrzeć, mając nadzieję, że to do niej.

– Dostałam urlop – oznajmiam, a on posyła mi bardzo szeroki uśmiech.

– Fantastycznie! – Wydaje okrzyk radości, podnosi mnie i obraca się ze mną wokół własnej osi. Jest tak pewny siebie, że nie dba o to, że ludzie na nas patrzą.

– Tajlandio, przybывamy! Kiedy tu skończymy, spotkajmy się w kawiarni na dole i sprawdzmy rozkład lotów. – Zerka na zegarek. – Chcesz sesję treningową za free? Mam czas.

– Och, tak! Proszę! – wybucha entuzjazmem.

Nigdy nie miałam indywidualnej sesji. Czas na platformie wibracyjnej się nie liczy. Po półgodzinie już wiem dlaczego. Jest brutalnie. George zachowuje się jak tyran i rzuca zdania typu: „Daj spokój, Hannah, stać cię na więcej!”.

– Już nie uważam, że jesteś pociągający – oznajmiam, gdy siedzimy w kafejce. Pałam mnie uda. Kupuję dla nas kawę – tylko tyle mogę zrobić w zamian za tortury, jakie właśnie zafundował mi za darmo.

Spogląda na mnie niebieskimi oczami.

– Uważałaś, że jestem pociągający? – pyta znacząco.

O nie, co ja zrobiłam!

– Trochę. Ale nie dziś. Dziś zdecydowanie cię nie lubię – żartuję.

– Ja też uważam, że jesteś atrakcyjna – mówi takim tonem, jakby to była wielka tajemnica. I chyba faktycznie tak jest.

– Daj spokój. Nie pojedę z tobą na wakacje, skoro sądzisz, że w programie będzie bzykanko.

– Bzykanko? – powtarza George ze śmiechem. – Kto jeszcze tak mówi?

To słowo pożyczylam od Joan, więc mu o niej opowiadam.

– Chociaż poczyniła postępy, bo teraz nazywa to nocowaniem dla dorosłych.

– Wydaje się zabawna. Chciałbym ją poznać. I obiecuję, że w Tajlandii nie będę próbował zainicjować „nocowania dla dorosłych”. Po prostu się przyjaźnimy.

– Porządny z ciebie chłopak.

Wyjmuję z torebki telefon. George’owi wszystko jedno, dokąd pojedziemy. Jest rozemocjonowany tym, że w ogóle ruszamy w podróż. Postanawiamy, że spędzimy tam dziesięć dni, pięć w Bangkoku i pięć na wyspie Phuket. Żadne z nas nie ma ochoty na wędrowki z plecakiem, chcemy po prostu łyknąć trochę kultury,

a potem plażować w jakimś obciachowym all-inclusive. Znajdujemy hotel butikowy w Bangkoku, a czterogwiazdkowe miejsce all-inclusive na Phuket wygląda fantastycznie.

– Wspaniały program fitness – cieszy się George, a ja mam opory, by dodać: „I wspaniałe bary”.

– Dwa pokoje, tak? – upewnia się.

– Oczywiście.

– To dobrze, bo pewnie będę przyprowadzał dziewczyny i nie chcę, żebyś się wkurzała.

– George, na miłość boską! Użyłeś liczby mnogiej?!

– Nie naraz. – Chichocze i po namyśle dodaje: – A może jednak? Kto wie? Wakacje, dziecino!

Śmieję się, choć przewracam oczami.

– Rezerwujemy teraz? – pyta George, wyjmując portfel.

– Tak! – niemal piszczy. – Jestem taka podekscytowana!

– Ja też. Już chciałbym tam być. – Dokonuje rezerwacji, płaci kartą kredytową, a ja przelewam mu pieniądze.

Gdy jest skupiony na płaceniu, patrzę w okno i zastanawiam się, co robi teraz Davey.

Na parking zaczyna padać śnieg.



Kupuję ciuchy na wakacje. Jest połowa grudnia, i to cholernie trudne, uznaję jednak, że pora jest dobra jak każda inna, bo przy okazji mogę kupić prezenty dla przyjaciół i rodziny.

Bardzo się cieszę, że w święta zobaczę mamę i tatę. Mimo że mieszkają w Kent, a więc niedaleko, rzadko bywam w domu. Rozmawiamy jednak przez telefon i często do siebie piszemy, a ponieważ oboje rodzice pracują, wszyscy jesteśmy tak samo zajęci. Tata jest lekarzem rodzinnym, a mama recepcjonistką w hotelu. Ma zniżki dla personelu w SPA i dużo czasu spędza na testowaniu nowych zabiegów.

Idę do Waterstones, by kupić im cały stos książek. Są książkowymi maniakami i stało się naszą tradycją, że na Gwiazdkę kupujemy sobie całe świąteczne zestawy.

Kończę w dziale podróżniczym i znajduję książkę o Londynie. Wkładam ją do koszyka i postanawiam zapakować świątecznie, by podarować Daveyowi, gdy przyleci. Nie ma sensu mu jej wysłać, bo i tak będzie musiał ją ze sobą zabrać.

Wreszcie wszyscy z mojej listy są już odhaczeni. Teraz idę poszukać czegoś na wakacje. Pada gęsty śnieg i moje uggi zaczynają przemakać. Ostatecznie łapię autobus i jadę, ściskając torby z zakupami i patrząc, jak centrum zamienia się we Wschodni Londyn.

Wysiadam koło parku. W domu sadowię się na kanapie z książką i kubkiem herbaty. Już rozwiesiłam w całym mieszkaniu świąteczne lampki – właściwie to wiszą przez cały rok – ale choinkę zawsze zostawiam sobie na koniec, bo to duży wydatek. Dekoracje od Johna Lewisa – misternie zdobione bombki, które kosztowały fortunę, ale wyglądają pięknie – migoczą delikatnie, gdy włączam nowe światełka, kupione, by wiły się wokół choinki.

Odzywa się komórka. Davey? Nie, to nie on. To powiadomienie od Rightmove dotyczące dwupokojowego mieszkania z ogródkiem w Wanstead. Miesięczny czynsz jest przerażający. Ponad trzysta funtów więcej, niż płacę obecnie. Kocham Joan za to, że nie podnosi mi czynszu.

Klikam na mieszkania w Brixton i przeglądam te, które Davey mógłby wynająć. Są nieruchomości podobne do mojej, urocze wiktoriańskie szeregowce z wysokimi sufitami, i różniące się od nich zdecydowanie nowe budynki z mieszkaniami o otwartym planie, z małymi kuchniami. Zastanawiam się, na co mógłby się zdecydować, i piszę do niego wiadomość. Kto powiedział, że muszę czekać, aż to on się ze mną skontaktuje?

Odpisuje prawie natychmiast. To w nim uwielbiam.

Znalazłem mieszkanie – oznajmia. – Właśnie wpłacam depozyt.

Ale przecież go nie widziałeś. Zamierzasz wynająć mieszkanie, nie obejrzawszy go?

Uch, no tak. Ale jak niby miałbym to zrobić? – odpisuje, dodając uśmiechniętą buźkę.

Wyślij mnie – proponuję. – Obejrzę je za Ciebie. Wybierz trzy najlepsze i po pracy albo w weekend tam pojedę.

Mogę zadzwonić? – pyta, a ja odpowiadam uniesionym kciukiem.

– Cześć – rzuca, kiedy się łączymy.

– Cześć – odpowiadam, ogrzana jego ciepłym głosem.

– Jesteś pewna, że nie masz nic przeciwko temu, żeby je obejrzeć? To daleko od ciebie? Nie chcę sprawiać ci kłopotu.

– Nie sprawiasz. Uwielbiam oglądać cudze mieszkania. Jestem wścibska.

– Dobrze wiedzieć.

Ustalamy, kiedy będę mogła się tym zająć, a Davey opowiada mi o mieszkaniu, które bardzo mu się podoba.

– Spędziłem godziny, klikając i przeciągając myszką po StreetView, by się dowiedzieć, jaka dzielnica mi się podoba. Brixton wygląda sympatycznie. Dzięki za podpowiedź.

Davey oglądał mieszkania jednopokojowe i wysłał mi linki do dwóch, które najbardziej mu się spodobały. Z zapałem je studiuje i rozmawiamy o wysokich sufitach i gzymсах. W wolnym czasie często oglądam programy o nieruchomościach na Channel 4, a Davey jest zachwycony programem Kirstie Allsopp i Phila Spencera *Location, Location, Location*.

– Tego jest trzydzieści pięć sezonów! – wykrzykuje podekscytowany. – Rany, uwielbiam to. Netflix niech się schowa.

– Gdzie jesteś? – pytam, chcąc go sobie wyobrazić.

– Leżę na łóżku. A ty?

– Na kanapie.

– Wyślij mi zdjęcie – prosi, co sprawia, że gwałtownie siadam.

– Och... zdjęcie kanapy?

– No nie, twoje.

– Już jedno widziałeś. Poza tym jestem w wersji weekendowej – zastrzegam, chcąc odwieść go od tego pomysłu.

– A co to oznacza?

– No wiesz, podarte džinsy, trochę niechlujny podkoszulek i włosy, które być może potrzebują mycia.

– Wyślij mi zdjęcie – powtarza.

– Fuj... nie! Jeśli będziesz się upierał, będę musiała pójść do łazienki i nałożyć grubego makijażu.

– Jestem pewny, że go nie potrzebujesz.

Potrzebuję. Naprawdę. Umalowanie się tak, żeby nie wyglądać na umalowaną, zajmuje strasznie dużo czasu.

– Najpierw ty przyslij mi zdjęcie. Skąd mam wiedzieć, że na tym pierwszym, które dostałam, naprawdę jesteś ty?

Davey milczy.

– A niby dlaczego nie miałbym to być ja? – pyta wreszcie.

Ponieważ jesteś tak cholernie przystojny, że musiałeś je ukraść z internetu.

– No bo tak – mówię zamiast tego.

– Jak udowodnię, że na tym następnym też jestem ja? – Ma rację. – Zaczekaj, już wiem jak – mówi.

Robi selfie i mi wysła. Trzyma na nim iPada i wpatruje się tęsknie w zdjęcie Kirstie i Paula.

Trzęsę się ze śmiechu.

– Sprytne. I zabawne.

Czuję ogromną ulgę. To naprawdę on. Jest tak przystojny jak na pierwszym zdjęciu. I podoba mi się jego poczucie humoru.

– Teraz twoja kolej.

– Hm... ale sprawiedliwość musi być – mówię niechętnie. Odwracam telefon i robię sobie zdjęcie. Jak dobrze, że włączone są tylko boczne lampki, a za mną migoczą delikatnie choinkowe światełka. Wysyłam. Nie jest idealne. Ale ja też nie jestem.

Przykładam telefon do ucha i czekam.

– Ładnie wyglądasz – stwierdza Davey. – Lubię cię w wersji weekendowej.

– A weekendowa ja lubi ciebie w wersji weekendowej. – Jestem pewna, że Davey się uśmiecha.

– Davey?

– Hm?

– Jak masz na nazwisko?

- Carew. A ty?
- Gallagher. Carew to nie jest raczej amerykańskie nazwisko.
- Jest kornwalijskie – przypomina mi.
- Zapomniałam. Uwielbiam Kornwalię. Błękitne niebo i klify, biały piasek i łodzie rybackie.

Znów marzę o wakacjach.

– Byłem w Kornwalii parę razy. Gdy miałem kilka lat, mama i tata zabrali mnie tam, żebym poznał dziadków. Ale potem tata rzadko mógł wyrwać się z pracy, wpadali do nich tylko z krótkimi wizytami. Ja byłem już tylko na ich pogrzebach.

– Przykro mi.

– Ach, nie musi ci być przykro. Ostatnie z nich odeszło, gdy miałem osiemnaście lat, więc jakiś czas temu.

– Więc odkąd skończyłeś osiemnaście lat, nie byłeś w Anglii?

– Nie. Ale gdy chodziłem do college’u, przyjechałem do Europy w ramach wymiany zagranicznej. To nie to samo, ale wiesz.

W tle słyszę syk otwieranej puszki napoju gazowanego, po czym Davey upija łyk. Te dźwięki jego codzienności poprawiają mi humor.

– Gdzie w Europie byłeś?

Rozprostowuję nogi, idę do kuchni i nastawiam wodę na herbatę. Śnieg sypie jeszcze bardziej i robi się zupełnie ciemno. Świat za oknem mojej kuchni spowija całun z białej gazy.

– W Paryżu i Rzymie.

– Brzmi bosko. Nigdy nie byłam w Rzymie.

– Och, żałuj. Na szczycie listy rzeczy, które chciałbym w życiu zrobić, jest nauka robienia pizzy i pasty w Rzymie. Właściwie umiem przygotować i to, i to, ale chcę, żeby wszystko pokazał mi prawdziwy Włoch w jakiejś małej szkole kulinarnej. W ramach przygotowań do podróży, na które jeszcze nie kupiłem sobie biletu, zacząłem nawet uczyć się włoskiego.

– Wykorzystasz Londyn jako miękki narkotyk, żeby potem odurzyć się Włochami?

– Tak. Herbata i ciasteczka, zanim sięgnę po twardszy towar.

Podoba mi się to. On mi się podoba. Patrzę na ogrodzenie na tyłach domu Joan i przeklinam ją i Mirandę za to, co nakładły mi do głowy.

– Która jest u ciebie godzina? – chce wiedzieć Davey.

Odsuwam telefon od ucha i patrzę na ekran.

– Osiemnasta. I pada śnieg, tak przy okazji.

– Naprawdę? Tu nie mamy zbyt dużo śniegu. „Zbyt dużo” oznacza, że tak naprawdę nie mamy go nigdy.

– Kiedy tu przyjedziesz, przygotuj się na milion rodzajów pogody każdego dnia. Zawsze mam ze sobą rozpinany sweter i parasolkę. Nawet w środku sierpnia.

– Nie mogę się doczekać. Rozpinanego swetra nie wezmę, ale jakiś pulower tak. Kiedy skończymy rozmawiać, powinnaś wyjść na dwór i zrobić anioła w śniegu. Jestem zazdrosny, gdy o tym myślę.

– Anioł w śniegu? A ile ja mam lat? Pięć?

– Zrób to. Spodoba ci się.

– Dobrze. Wyślij mi szczegóły dotyczące tych mieszkań, a ja się umówię i w tym tygodniu po pracy pójde je obejrzeć.

– Dzięki, Hannah. Tak się cieszę, że cię znalazłem.

– Miłego popołudnia – mówię.

– Miłego wieczoru – odpowiada Davey.

Kończę rozmowę i popijając herbatę, idę do salonu pakować prezenty. Potem otwieram tylne drzwi, kładę się na śniegu i robię anioła.

ROZDZIAŁ 5

Hannah

W czwartkowy wieczór wychodzę z pracy o siedemnastej. Zazwyczaj jestem bardzo sumienna i nigdy nie kończę o czasie, ponieważ muszę się upewnić, że odpowiedziałam na wszystkie mejle i zrobiłam to, co miałam na liście. To był długi tydzień, czas minął mi na lunchach z przyjaciółmi i znajomymi i na niekoniecznie potrzebnych świątecznych zakupach. Spakowałam nawet walizkę na wyjazd do Tajlandii i sprawdziłam, ile ważą ciuchy i buty, które zamierzam zabrać, więc wiem, jak dużo butelek olejku do opalania mogę zapakować. Dlaczego wszystko tyle waży? Jestem gotowa na wakacje, chociaż wybieram się na nie dopiero za ponad miesiąc.

Wieczorem jadę do Brixton. Mam obejrzeć dwa mieszkania dla Daveya, jedno po drugim, oddalone od siebie o kilka przecznic. Na szczęście oba są niezamieszkane. Nie ma nic gorszego niż oglądanie mieszkań z lokatorami, którzy wciąż są *in situ*. To takie niezręczne. Chociaż ominie mnie zlustrowanie tego, co trzymają na półkach z książkami i jakie mają bambetle.

Pierwsze mieszkanie, które wytypował Davey, mieści się w zupełnie nowym budynku. Jest odjazdowe, blisko wszelkich udogodnień. Drugie znajduje się w jednym z wiktoriańskich szeregowców, jakich wiele w Brixton, i jest bardzo podobne do mojego. Na parterze, ale bez ogródka, choć jest w nim cudowne światło i pomieszczenia są wielkie. Davey nie powiedział, które woli, ale podejrzewam, że właśnie to. A przynajmniej taką mam nadzieję.

Cykam zdjęcia obu mieszkań i mu je wysyłam, żeby agent nieruchomości go nie oszukał takimi robionymi rybim okiem.

Mam pewne przemyślenia – piszę do Daveya. – Zanotuję je, gdy wrócę do domu.

Kiedy wracam – od stacji metra brnęłam w śniegu i mam mokre nogi – znajduję w telefonie wiadomość: Nie trać czasu, zapisując to. Zadzwonisz?

Nigdy przedtem do niego nie dzwoniłam. Przygotowuję sobie kolację i patrzę na świeżo spadły śnieg w ogrodzie. Śnieżnego anioła z poprzedniego wieczoru przykryła warstwa puchu. Makaron delikatnie bulgocze na płycie, a ja biorę telefon i dzwonię do Daveya. Odbiera natychmiast.

– Cześć – rzuca, a ja się uśmiecham, jak zawsze, gdy słyszę jego głos.

Pyta, jak mi minął dzień, ja pytam go o to samo. Cieszył się ostatnimi tygodniami w Austin, dziś ostatni raz przed wyjazdem był w ogrodach botanicznych.

– Uświadomiłem sobie, że w moim rodzinnym mieście byłem okropnym turystą, więc teraz szukam przygód – mówi.

Jest tyle miejsc, w które chciałabym go zabrać – oczywiście jeśli będzie chciał – więc rozmawiamy o Narodowej Galerii Portretu – lubię ją najbardziej spośród londyńskich muzeów. Jest też wiele miejsc, które on zamierza odwiedzić. Zgadza się, że oboje będziemy turystami. To ekscytujące, że miasto, które uważam za swój dom, zobaczę jego oczami. Tęsknię za wycieczką dużym czerwonym autobusem, chciałabym skoczyć do Tower i cyknąć sobie wspólne zdjęcie z tamtejszym strażnikiem. Jako dziecko nigdy tego nie robiłam.

– Wspólne zdjęcie – powtarza jak echo. – Już się na to cieszę. To będzie takie dziwne zobaczyć cię w realu po tej całej korespondencji i rozmowach przez telefon.

Mieszam makaron i wyłączam gaz, kiwając głową.

– Nie mogę się doczekać – wyznaję.

– Naprawdę? Bo ja też.

Milczymy zamyśleni, wreszcie Davey mówi z udawaną powagą:

– Hannah, uważam, że powinniśmy przejść do kolejnego etapu naszej przyjaźni.

Chociaż mówi półzartem, jest tak, jakby wystrzelił z pistoletu startowego.

– Co masz na myśli? – pytam, mrugając.

– Musimy przejść od zwykłych rozmów do czatów wideo.

– Teraz? – Zerkam na swoje odbicie w kuchennym oknie. Cały dzień byłam w pracy, potem oglądałam mieszkania. Jestem wykończona.

– Tak. Czemu nie? Jeśli nie masz nic przeciwko temu.

Ściska mnie w żołądku, ale nie jest to niemiłe uczucie. Kiwam głową, lecz uświadamiam sobie, że przecież Davey mnie nie widzi.

– Okej – mówię, a on się rozłącza. Rozmowa skończona. – Och...

Po sekundzie odzywa się sygnał połączenia wideo, więc się przygotowuję i odbieram. Trzymam komórkę, wyciągając rękę na długość ramienia, i widzę, jak mruży oczy i się uśmiecha.

– O mój Boże. – Niechby to ściskanie w żołądku już ustąpiło. – To takie dziwne.

– To wspaniałe. Za długo z tym zwlekaliśmy.

Davey wygląda obłądnie. Ja jestem na małym kwadraciku w rogu ekranu mojego telefonu i bardzo się staram tam nie patrzeć, nie oceniać siebie i tego, że nie mam makijażu, bo już dawno spłynął.

– Na żywo jesteś jeszcze ładniejsza niż na zdjęciach.

O ile wiem, nie mam w zwyczaju się czerwienić, lecz w rogu ekranu widzę moją uśmiechniętą twarz. Jestem szczęśliwa i zmieszana i muszę odwrócić wzrok.

– Dziękuję – szepczę. Nie zamierzam mu mówić, jaki jest przystojny. Na Boga, nie ma mowy, żeby o tym nie wiedział. Widzę, jak opada na oparcie szarej kanapy. – Mieszkasz sam? – chcę wiedzieć.

– Tak.

– Odniosłam wrażenie, że z rodzicami. – Natychmiast zdaję sobie sprawę, że mogło to zabrzmieć obraźliwe, chociaż wielu dwudziestodziewięciolatków wciąż mieszka z rodzicami.

Wygląda na zdezorientowanego.

– Dlaczego tak sądzisz?

– Flaga uczelnianej drużyny futbolowej w twojej sypialni. Na zdjęciu, które mi wysłałeś.

– Och, nie. Mama i tata w mojej starej sypialni urządzili gabinet i wysłali mi wszystkie rzeczy. Chyba powiesiłem tę flagę na pamiątkę. Kiedy przeniosę się do Anglii, te graty i tak do nich wrócą, chociaż oni jeszcze tego nie wiedzą – dodaje ponuro.

– Muszę wyznać, że jeśli chodzi o czyjeś mieszkania, jestem tak ciekawska, że to aż śmieszne, więc zabierz mnie na wycieczkę po swoim – domagam się.

Davey spełnia moją prośbę i wstaje. Nagle czuję zawrót głowy, gdy wraz z nim unoszę się w powietrze. Zadaję mu pytanie, na które dotąd nie wpadłam:

– Davey? Ile masz wzrostu?

– Metr dziewięćdziesiąt.

– Metr dziewięćdziesiąt? O Jezuniu. Ja mam metr sześćdziesiąt pięć. Górujesz nade mną.

Nie widzę ani nie słyszę jego reakcji, ponieważ powoli przesuwa kamerą po mieszkaniu. Pokazuje prosty, głównie szary salon: ściany zapełniają czarno-białe artystyczne zdjęcia charakterystycznych starych budynków. Powoli oprowadza mnie po każdym pomieszczeniu i opowiada o rysunkach technicznych rozłożonych na biurku – o projektach, nad którymi pracuje, i tych, którymi zajmie się w nowej firmie. Są tak różnorodne, że aż kręci mi się w głowie: szkoły i żłobki, wielkie biura, hotele i centra handlowe.

– Które są twoje ulubione?

– Uwielbiam patrzeć na moc i piękno drapaczy chmur, gdy są wznoszone na podstawie projektów, przy których pomagałem. Ale jest też coś pociesającego i ciepłego w obserwowaniu, jak powstają nowe szkoły, jeśli wiesz, że przez następne sto, a może dwieście lat przez te drzwi przejdzie mnóstwo dzieciaków.

Mogłabym go słuchać godzinami. Gdy kończymy wycieczkę po mieszkaniu, opieram komórkę o toster i przyrządzam sałatę. Biorę widelec, po czym zabieram Daveya do małego, dwuosobowego, kuchennego stolika, przy którym prawie nigdy nie jadam. Przesuwam piętrzące się na nim papiery i ustawiam komórkę.

– Jem teraz kolację, nie przeszkadza ci to?

– Nie przeszkadza.

Chodzi po kuchni i widzę jego twarz oświetloną żarówką z lodówki, gdy ją otwiera. Bierze jakąś puszkę i wraca na kanapę. Ja jem, on pije i rozmawiamy o obejrzanych przeze mnie mieszkaniach.

– Mogę zgadnąć, które wolisz? – pytam.

Uśmiecha się.

– Pewnie.

– No cóż... – mówię między kęsami makaronu i sałaty – jesteś architektem, lubisz czyste linie i nowe rzeczy, więc powinieneś zdecydować się na to w nowym budownictwie. Sądzę jednak, że wybrałeś wiktoriański szeregowiec.

Znów się uśmiecha.

– Trafiony zatopiony. Skąd wiedziałaś?

– Mieszkanie jest jasne, pełne światła. Wysokie sufity. Piękne detale. Spora kuchnia. Też bym je wolała.

– Naprawdę? No cóż, pewnego wieczoru zamierzam ugotować coś dla ciebie w tej sporej kuchni. Jeśli nie znalazłaś w tym mieszkaniu czegoś, co cię zaniepokoiło, wpłacę depozyt. Żadnych szcurków na korytarzach? Żadnych zwłok w wannie?

– Nic z tych rzeczy. Jest idealne.

– Jak daleko od niego mieszkasz?

– Około godziny drogi.

– Okej – mówi, a ja właściwie nie wiem, co o tym sądzi.

Oprowadzam go po moim mieszkaniu, kończąc na salonie. Podłączam telefon do ładowarki i gadamy o Bożym Narodzeniu. Opowiadam mu o moim rodzinnym Whitstable, dokąd wybieram się za tydzień czy coś koło tego. On mówi o rodzinnej kolacji, którą zje z rodzicami. Tego dnia przychodzi do nich rano, pomaga gotować i już od samego początku piją szampana i sok pomarańczowy. Potem ja opowiadam, jak moja mama miota się po kuchni zdeterminowana, by przejąć dowodzenie, i o tacie przybywającym niczym kawaleria i pomagającym gotować tylko te dania, które przyrządza w ciągu roku, i zbierającym wszystkie pochwały. Mama się tym nie przejmuje. To rodzaj tradycji. Gadamy o spacerach brzegiem morza, żeby rozprostować nogi po całym dniu spędzonym głównie na jedzeniu, czytaniu, graniu w głupie planszówki, po które przez resztę roku w ogóle nie sięgamy.

– Brzmi bosko.

– I takie jest. Za kilka dni kończę pracę. Zaoszczędziłam tyle dni z tegorocznego urlopu, że mogę jechać do domu i wrócić dopiero po Nowym Roku.

– Ja muszę pracować. Ale nie mam nic przeciwko temu. Dziś po południu pracuję w domu i chyba powinienem zabrać się do roboty. Ale... czy mogę zadzwonić w weekend?

– Tak, proszę.

Byłabym rozczarowana, gdyby nie miał ochoty ze mną rozmawiać. Cokolwiek dzieje się między nami, jest takie kruche, aż się boję, że przedobrzymy. Nigdy z nikim coś takiego mi się nie przydarzyło: całkowita otwartość, przyjaciel, który być może stanie się kimś więcej, to, że się nie spieszymy, bo i tak dzieląca nas odległość wyklucza jakikolwiek kontakt fizyczny. Mam wrażenie, że to może być coś większego, coś niezwyklego. Coś, co staje się realne i rozwija tak niewiarygodnie powoli, że nawet nie zauważyłam, kiedy się zaczęło.

ROZDZIAŁ 6

Hannah

– Nie zapamiętałaś, jak ma na nazwisko? – pyta Miranda podczas naszego tajskiego wieczoru, a Paul próbuje przywołać kelnerkę. Jest nowa i nas ignoruje. Paul oznajmia, że na koniec da jej ogromny napiwek.

Mirandzie i mnie ten pomysł się nie podoba.

– Dzięki temu nas zapamięta. – Paul wzrusza ramionami. – I w przyszłym tygodniu będziemy mieli idealną obsługę. To myślenie długofalowe – wyjaśnia, posyłając kelnerce zwycięski uśmiech, który ona też ignoruje.

Miranda i ja patrzymy na siebie, zostawiając Paula z jego wyzwaniem.

Próbuję sobie przypomnieć nazwisko Daveya.

– Przepraszam – mówię. – Callow albo Carrow, jakoś tak. Naprawdę zapomniałam. Kiedy o nie pytałam, nie wydawało mi się to ważne. A potem, gdy dzięki drugiemu zdjęciu upewniłam się, że on to on... byłam taka szczęśliwa.

– Chryste, czy ja cię niczego nie nauczyłam? – Miranda trzyma komórkę i namierza konta Daveya w mediach społecznościowych. I nie może niczego znaleźć. Poległa na jego nazwisku.

– Było kornwalijskie – podpowiadam, a ona zaczyna przeglądać kornwalijskie nazwiska.

Nagle obok nas pojawia się kelnerka i jak szaleni zaczynamy zamawiać wszystko za jednym zamachem: przystawki, dania główne, przekąski i więcej picia, niż potrzebujemy. Zupełnie jakbyśmy się bali, że już nigdy jej nie zobaczymy. Wygląda na zdenerwowaną, a my wiemy, że zbombardowaliśmy tę biedną kobietę. Wiemy też, że połowa tego, co wyjdzie z kuchni, okaże się nie tym, co zamówiliśmy. Ale i tak to zjemy.

Wkurzona Miranda odkłada telefon i mamrocze:

– Do niczego się nie nadajesz.

To nasze ostatnie wieczorne wyjście, bo za kilka dni jadę do domu na święta, więc wymieniamy się prezentami ze ścisłą instrukcją, by nie otwierać ich przed Gwiazdką. Ja prezenty od nich zabiorę do Whitstable.

Podarunki dla Paula i Mirandy włożyłam do wielkiego pudła, które Paul trzyma teraz nad głową, potrząsa nim energicznie i pyta:

– Co to jest?

– Szczeniaczek – odpowiadam z szelmowskim uśmiechem, a on gwałtownie przestaje potrząsać pudłem i się we mnie wpatruje.

– Kiedy znów będziesz rozmawiała z Daveyem? – chce wiedzieć Miranda.

– Nie wiem. Może jutro wieczorem?

– Jak możesz być taka wyluzowana? – dziwi się.

– To proste. Wiem, że zadzwoni i będziemy sobie gadać – mówię zgodnie z prawdą. Nie chcę powiedzieć, że to cudowne, więc nie mówię. Choć takie jest.

Podchodzi do nas kelnerka z tacą z dzbankami z wodą, różnymi przekąskami, żebyśmy mogli dotrzeć do głównego dania, i trzema karafkami czerwonego wina.

Oczy Paula się rozświetlają.

– I to mi się podoba!



Późny wieczór, jestem już w domu i postanawiam zadzwonić o Daveya. Nie jestem aż taka odważna, by ryzykować wideoczat. Łączenie się z kimś na FaceTimie czy WhatsAppie bez uprzedzenia jest trochę niegrzeczne. Nie daje czasu na przygotowanie się. A jeśli ktoś siedzi na kibelku? Jestem zmęczona i gotowa do spania, jednak przed położeniem się do łóżka chcę pogadać z Daveyem. To pokazuje, jak bardzo go lubię. Czy to uczucie wkradło się teraz, czy pojawiło już na początku?

Dzwonię, a on natychmiast odbiera. Wiedziałam, że tak będzie.

– Hej, uprzedziłaś mnie – oznajmia.

– Byłam pewna, że teraz moja kolej, żeby zadzwonić, ale się spóźniłam.

– Tak, ale nie chciałem cię naciskać.

Pyta, jak mi minął wieczór, a ja pytam, jak mu minął dzień. Oboje byliśmy zajęci zyciowymi drobiazgami i naszymi wspaniałymi przyjaciółmi. Davey pyta, czy możemy się połączyć na wideoczacie. Tym razem jestem przygotowana, bardziej umalowana niż zwykle. Tak na wszelki wypadek.

Znów się łączymy, trzymam telefon przed sobą, mając nadzieję, że widać mnie pod korzystnym kątem. Prawdopodobnie nie. Nigdy tego nie załapię.

Słyszę sygnał przychodzącej wiadomości i zanim ją usuwam, widzę, że na ekranie wyświetla się imię George'a.

Patrzę, jak Davey mości się na łóżku i opiera o poduszki, tak jak ja.

– Przepraszam, to tylko George – wyjaśniam. Davey uśmiecha się i nie zadaje pytań, czuję jednak, że powinnam powiedzieć coś więcej. – To ten przyjaciel, z którym jadę na wakacje.

Przez jego twarz przemyka wyraz zrozumienia.

– Ty i on jesteście przyjaciółmi, tak jak my?

Wracam na kanapę.

– Nie. – Może to z powodu trzech karafek wina, które wypiałam z przyjaciółmi, a potem kilku piw w pubie, choć przecież nie lubię piwa, stałam się taka bojowa. – A ty i ja jesteśmy tylko przyjaciółmi?

– Nie – odpowiada, a kąciki jego ust unoszą się w półuśmiechu, co uważam za urocze. – Nie, nie sądzę. – Wszystko we mnie napina się z wyczekiwania, a on ciągnie: – Nie wiem, co to jest, Hannah. Ale jest fajne, nieskomplikowane i... miłe. I naprawdę bardzo mi się podoba.

– Mnie też – mówię i dociera do mnie, że to, co zaczęło się platonicznie, bardzo powoli zmierza w kierunku czegoś innego. Choć jeszcze tym nie jest. Czy pozwalałabym sobie tak myśleć, gdyby Davey się nie przeprowadzał? Nie mam pojęcia.

Moje usta wybierają najgorszy moment, by ziewnąć.

Davey spogląda na zegarek i najwyraźniej dokonuje prostych obliczeń.

– U ciebie jest naprawdę późno. – Przytakuję. – Chcesz już iść spać?

Kręcę głową. Naprawdę jeszcze nie chcę, żeby sobie poszedł.

– Może wskoczę w piżamę i położę się do łóżka? Czy to nie dziwne?

Teraz Davey kręci głową.

– Nie. Jeśli chcesz się przebrać, możesz mnie odwrócić twarzą do ściany albo tak zostawić... czy coś...

– Zabiorę cię ze sobą – postanawiam, ale nie mam zamiaru pozwolić mu patrzeć, jak się rozbieram. Cokolwiek jest między nami, to jeszcze nie ten etap.

Wyłączam światło i sprawdzam, czy frontowe drzwi są zamknięte, po czym przeproszam go i kładę „twarzą” do łóżka. Kiedy mam już na sobie piżamę, odwracam komórkę, naciągam kołdrę i moszczę się na boku, opierając telefon o poduszkę obok, żebyśmy się widzieli. Davey leży na łóżku, przez okno wpada jasne teksańskie słońce. Rozmawiamy, a moja noc niezauważalnie zmienia się w następny dzień, a jego późne popołudnie powoli zmierza ku wczesnemu wieczorowi.

Ziewam. Istnieje poważne niebezpieczeństwo, że zapadnę w sen. Ziewanie jest zaraźliwe, bo Davey na drugim końcu świata tłumi ziewnięcie. Zapada miła cisza. Z nikim, z kim randkowałam, tak nie było. Chociaż to właściwie nie randka. Tych kilka tygodni, które przypadkiem nam się trafiły, gdy się nawzajem poznawaliśmy z odległości kilku tysięcy kilometrów... to już się nigdy nie powtórzy. Davey wkrótce tu będzie. Powinnam się cieszyć tą magią, póki trwa.

Przyciemniam ekran, więc już mnie nie oślepia, i blask, jaki z niego pada, jest jedynym światłem w sypialni. Davey czuje się swobodnie, po prostu leży na łóżku. A leżenie na łóżku podczas rozmowy wideo z kimś, kogo nigdy nie spotkałam, jest chyba czymś najdziwniejszym, co kiedykolwiek mi się przytrafiło. Czuję, że zamykają mi się oczy, i mrugam szybko, gdy Davey zaczyna coś mówić.

By nie zasnąć, próbuję skoncentrować się na jego ustach. Jak by to było go pocałować? Czy dobrze całuje? W czym jeszcze jest dobry? Boże, założę się, że we wszystkim. Staram się odpędzić niegodne damy myśli o Daveyu w łóżku. Zamykam oczy. Jestem taka zmęczona. Za oknem wstaje dzień, oczy mnie szczypią z niewyspania. Gdy czuję, że odpływam, szybko je otwieram. Davey też wygląda na zmęczonego. Chyba naprawdę go lubię.

Nic na to nie poradzę, ale powoli, nie zdając sobie z tego sprawy, zapadam w sen.

ROZDZIAŁ 7

Hannah

W Whitstable podczas Bożego Narodzenia jest jak w niebie. Główną ulicę oświetlają girlandy świątecznych lampek. Kilka ostatnich dni spędziłam na odwiedzaniu małych butików i kupowaniu rzeczy, których nie potrzebuję, ale uwielbiam, na nadrabianiu zaległości w spotkaniach ze starymi szkolnymi przyjaciółmi, przesiadywaniu z nimi w Whitstable Coffe Company albo w Old Neptune, pubie jak z Dickensa, o ścianach z desek, stojącym samotnie na końcu żwirowej plaży przy ujściu Tamizy, gdzie szeroka rzeka wpada do Morza Północnego. Nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo tęskniłam za tym miejscem, dopóki znów nie przyjechałam do domu.

Jestem tu dopiero od kilku dni, a w tym krótkim czasie wypijałam z mamą i tatą więcej baileysa niż w całym swoim życiu. Wchodzi jak nektar. Mama i ja tańczymy po kuchni, a tata pyta, czy powinniśmy przejść na baileysa miętowego. Jednogłośnie odpowiedź brzmi „tak!”.

Bardzo kocham rodziców i za obojgiem tęsknię tak samo mocno. Tata, jako lekarz rodzinny, jest zajęty przez cały rok i rzadko jeździ do miasta, mama trochę częściej, choć nie tak często, jak bym chciała. Mogłabym wpadać do domu kilka razy w roku, lecz z jakiegoś powodu tego nie robię. Tyle się dzieje.

Nasz dom jest szeregowcem zbudowanym po wojnie, stoi kilka przecznic od głównej ulicy i poza tym, że parkowanie to koszmar, powrót tutaj działa na mnie kojąco. W tym miejscu dorastałam. Mama i tata nigdy nie mieli ochoty się przeprowadzać. Osiedlili się tu razem, a ja, w cichości ducha – a nawet nie w cichości – myślę, że to jest to, czego chcę. Nigdy nie miałam dużej rodziny. Rodzice mamy i taty od dawna nie żyją, nie mam rodzeństwa. Podobno rodzice starali się o mnie przez blisko dziesięć lat, a kiedy się pojawiłam, mama uznała, że jestem bardzo absorbującym dzieckiem i w zupełności wystarczę. Potem starała się to naprawić, twierdząc, że jednak byłam mało kłopotliwa. Raczej w to wątpię.

Siostra mamy, Karen, przyjeżdża z nowym mężem dwudziestego szóstego grudnia, więc Boże Narodzenie spędzimy sami, gotując, grając w różne gry, jeszcze więcej jedząc i wypijając taką ilość alkoholu, jakiej tata swoim pacjentom nigdy by nie zalecił.

Wczesnym wieczorem z przejedzenia i przepicia zapadamy w śpiączkę, mama skacze po kanałach, szukając specjalnego świątecznego odcinka *Doktora Who*, ale to zupełnie nie moja bajka, więc się zmywam na włączkę z psem po plaży.

Ubieram się ciepło i idę wąskimi uliczkami na nabrzeże, na którym panuje spokój, ponieważ wszyscy siedzą w domach i ucinają sobie drzemkę po świątecznym lunchu. Zasłony w oknach są rozsunięte i widzę za oświetlonymi oknami, jak dzieci biegają po salonach, bawiąc się wielkimi pudłami, w których dostały prezenty. Za plecami śpiących przed telewizorami dorosłych z determinacją migoczą choinkowe lampki.

Dokonuję szybkich obliczeń. Davey przyjeżdża do Londynu za szesnaście dni, więc choć od morza nadlatuje zimny wiatr, owiewając mnie i ulice, jest mi ciepło od środka.

Obok mnie biegnie truchtem pies, zatrzymując się co chwila, by coś powąchać. Wabi się Andrex. Jest pięknym jasnym labradorem i to ja nadałam mu imię, gdy kupiliśmy go dziesięć lat temu. Wydawało mi się, że Andrex jest zabawne, bo wyglądał jak pies z reklamy papieru toaletowego o tej właśnie nazwie. Kiedy jednak zabierałam go do parku, a on się oddalał i musiałam go zawołać... byłam trochę zażenowana.

Siadam na kamieniach na plaży i rzucam Andrexowi piłkę. Światła za ujściem rzeki migoczą dla nas świątecznie. Skoro tyle zjadłam, powinnam się więcej ruszać, ale świeże powietrze wystarczająco mnie ożywia, a szczęśliwy pies biega za nas dwoje, więc siedzę.

Piszę do Daveya: Wesołych świąt, a on do mnie dzwoni.

Czuję się winna, że to on zawsze telefonuje, jednak wciąż mam opory przed dzwonieniem tak zniechęca. Zawsze wydaje mi się, że najpierw powinnam do niego napisać, by go uprzedzić, i po to właśnie jest ta wiadomość, ale on okazuje się szybszy.

Zasięg tu słaby i gdy Davey pyta, gdzie jestem, opowiadam mu, co widzę. Robi się coraz ciemniej, włączają się światła nad Essex i migoczą delikatnie wiele kilometrów za wodą. W dali widać farmę wiatrową i rdzawoczerwone forty nad morzem. To widok, który dobrze znam i kocham.

– Bardzo chciałbym to zobaczyć – mówi Davey. – I chyba nigdy nie byłem na takiej kamienistej plaży.

Jak tam święta?

Opowiadam mu, jak spędziłam dzień i jak cudownie być w domu.

– A co u ciebie?

– Wspaniale. Właśnie siadamy do stołu. Jestem naprawdę szczęśliwy. Kocham moich staruszków. Będę bardzo za nimi tęsknił. Ale jestem też podekscytowany, że wkrótce znajdę się w Anglii. Nowa praca. Nowe życie... Nie żeby dotąd żyło mi się źle, ale jestem gotowy do wyjazdu i bardzo tym wszystkim przejęty. No i tym, że ujrzę cię w prawdziwym życiu.

Z przyjemnością wdycham zimne powietrze.

– Nie mogę się doczekać, kiedy cię zobaczę – odpowiadam.

Przez ostatni tydzień wymienialiśmy błahe wiadomości i teksty typu „Jak ci minął dzień?“, ale wiedziałam, że tamta noc, kiedy zasnęłam w jego obecności, wszystko zmieniła. To było takie osobiste. Wpuściłam go do siebie. Pozwoliłam, żeby patrzył, jak śpię. Rozłączył się, żeby mi nie przeszkadzać. Po przebudzeniu przeczytałam wiadomość, że gdy spałam, byłam urocza, że bardzo mu się podobam, jak nikt dotąd, choć może to brzmieć dziwnie, bo przecież nigdy się nie spotkaliśmy.

– A co z sylwestrem? – pyta, a ja natychmiast czuję się przytłoczona, ponieważ nigdy tak do końca nie rozumiałam, o co w tym chodzi. Całe to wydarzenie przyćmiewa presja, żeby się dobrze bawić. Dla mnie sylwester to nogi do góry, w rękę pilot i kieliszek szampana, może spacer po plaży, żeby podziwiać fajerwerki po drugiej stronie ujścia Tamizy.

– Brzmi idealnie. – Davey wzdycha. – Normalnie bym w to wszedł, ale w tym roku sylwester będzie czymś w rodzaju mojego przyjęcia pożegnania.

Mówi, że wybierze się na Sixth Street posłuchać na żywo bluesa, a potem całą grupą pójdą do klubu na dachu zwanym Summit, żeby przetańczyć całą noc nad panoramą miasta.

Jest grudzień, siedzę na zimnej plaży w Kent i słucham mężczyzny opowiadającego mi o swoim życiu w jednym z najgorętszych miast świata. Jak to się stało?



W ostatni dzień roku zamierzam siedzieć z rodzicami przed telewizorem, oglądając Joolsa Hollanda i korowód gości jego programu, a o północy pójść na plażę. Andrex zostanie w domu, nastawimy mu głośno muzykę klasyczną, żeby nie słyszał fajerwerków.

Robię przegląd mijającego roku i nie mogłabym czuć się szczęśliwsza. Naprawdę. Ale czyż nie wszyscy w tym czasie są gotowi, by pożegnać stary rok? Postanowienia poczynione, czekają, żeby ich nie dotrzymać. Coś mi się majaczy, że w zeszłym roku obiecałam sobie przeczytać wszystkie powieści Karola Dickensa, lecz zamiast tego wchłonęłam wszystkie zaległe numery „Grazii”, po czym zabrałam się do nowych.

Nadchodzący rok będzie inny. W lutym wybieram się na odlotowe wakacje, choć powoli zaczynam żałować, że jadę z George'em. Jest cudowny, ale przez cały czas będzie próbował zaliczyć jakąś laskę. Mam nadzieję, że nie mnie.

No i przede wszystkim jest Davey. Nie należę raczej do dziewczyn, które wiążą wielkie nadzieje z facetem. Właściwie zdecydowanie nie. Czuję jednak, że styczeń będzie inny niż zwykle. Lubię Daveya i mam nadzieję, że on lubi mnie. Nigdy nie określiliśmy tego, co się między nami dzieje. Bo tego nie da się skategoryzować. Myślę jednak, że tak jest dobrze. Davey przylatuje za tydzień z kawałkiem. Nie mogę w to uwierzyć. Jak to będzie przed nim stanąć? Jak to będzie go pocałować?

Północ witamy na plaży. Nad wodą migoczą fajerwerki, musujące światła. Wiele kilometrów stąd, w innym hrabstwie oddzielonym nurtem Tamizy, opadają w ciszy różnokolorowe kropki prochu. Za nami Whitstable rozświetlone niezliczonymi odcieniami pirotechniki odpalanej przy domach i na imprezach na plażach.

Mama obejmuje mnie ramieniem, tata z drugiej strony robi to samo, i stoję ściśnięta między nimi dwojgiem, bezpieczna jak zawsze, choć nie zawsze byliśmy razem. A teraz, ponieważ jest północ, pochylają się nade mną i wymieniają pocałunek. Uśmiecham się i czuję, że oboje dają mi szybkiego całusa – każde w jeden policzek. Mówimy „na zdrowie”, stukając się kieliszkami szampana, które przynieśliśmy na plażę, i „szczęśliwego Nowego Roku”. Plaża nie jest pusta, inni mieli podobny pomysł. Stoimy jednak daleko od pozostałych biesiadników, więc jest tak, jakbyśmy byli sami.

Kiedy kilka minut po północy ruszamy do domu, dzwoni moja komórka. To Davey. Mówię rodzicom,

żeby szli i że za chwilę ich dogonię. Tata się zgadza, bo musi iść do Andrex, a ja sadowię się na jednym z drewnianych falochronów, które w różnych miejscach przedzielają plażę, i wciskam klawisz połączenia. Jest odpływ i mam ochotę odejść daleko, odwrócić się i popatrzeć na moje miasto z odległości.

– Szczęśliwego Nowego Roku, Hannah – mówi Davey.

– Szczęśliwego Nowego Roku, Davey – odpowiadam i uświadamiam sobie, że u niego jest przecież o wiele wcześniej. Zadał sobie trud, żeby zadzwonić do mnie o północy, chociaż to nie „jego” północ. – Kiedy wychodzisz na swoją pożegnalną imprezę i odlotowego sylwestra w jednym?

Wyobrażam sobie, jak patrzy na zegarek.

– Niedługo – mówi trochę niewyraźnie.

– Dobrze się czujesz?

– Cały dzień piłem.

Wybucham śmiechem.

– Nie spodziewałam się Pijanego Daveya.

– Trzeźwy Davey też nie. A Pijany Davey po prostu się pojawił.

– Magia sylwestra. – Upijam łyk szampana z wąskiego kieliszka.

– Może to dlatego że jestem nawalony... – mówi, a ja znów się śmieję. Słowa, których czasem używa, przypominają mi, że jest Amerykaninem. – Ale chcę ci powiedzieć, Hannah, że naprawdę, ale no naprawdę cię lubię.

Uśmiecham się. Zanoszę się na zabawną rozmowę, będę się natrzęsała z niego tygodniami. Miesiącami. Choć martwię się, jak przetrwa godziny, które zostały do północy, skoro już teraz jest aż tak pijany. Mówię mu to.

– Ech, nic mi nie będzie. Zdradzę ci mały sekret... – Wyobrażam sobie, jak się chwieje, gdy to mówi.

– Za jakieś dziesięć minut zamierzam zwymiotować i stracić przytomność. A potem już będzie dobrze.

– O Boże! – wykrzykuję. – A gdzie teraz jesteś?

– W domu mojego przyjaciela Granta.

– Cześć, Hannah! – słyszę w tle.

– To Grant – mówi Davey, a ja się uśmiecham, mimo że trochę się martwię o Pijanego Daveya.

– Cześć, Grant – odpowiadam, a Davey przekazuje moje pozdrowienia kolejnemu mężczyźnie, którego nie znam.

– Okej, a teraz wychodzimy – mówi niemal jak robot. – Ja teraz wychodzę... my wychodzimy... – Nie mogę przestać się śmiać.

– A dacie radę? – pytam.

– Damy.

– Davey? – Naprawdę się o niego martwię, choć wciąż się śmieję.

– Ha... Hannah?

Tak bym chciała się uspokoić.

– Możesz wysłać mi wiadomość, kiedy już dotrzesz do domu? Albo zanim dotrzesz?

– Tak. Lubisz mnie?

– Słucham? – pytam, wpatrując się w morze.

– No, czy mnie lubisz? – powtarza pytanie bez dodatkowych wyjaśnień.

– Tak, Pijany Davey. A ty mnie?

– No pewnie! – wykrzykuje facet, który wygląda tak, że mógłby być filmowym superbohaterem. – No dobra... idę zwymiotować, a potem wychodzę!

– Szczęśliwego Nowego Roku, Davey – mówię, wciąż ze śmiechem.

– Szczęśliwego Nowego Roku, Hannah.

ROZDZIAŁ 8

Hannah, styczeń

Nowy Rok spędzam ze starymi znajomymi ze szkoły i czuję się tak, jakby nawiedziły mnie duchy nadchodzącego czasu. Chodzimy do małej restauracji o nazwie Samphire i każdego roku dowiaduję się, że któraś koleżanka ma nowego chłopaka lub następne dziecko.

Nigdy się nie zastanawiałam, kiedy nadejdzie moja kolej. Tego rodzaju kwestie są po prostu organiczne. Pewnego dnia takie będzie moje życie, myślę, gdy spoglądam na przyjaciółki użerające się z karmieniem piersią i odliczające dni do końca urlopu macierzyńskiego. Nie jestem jeszcze na to gotowa.

Dostałam zdjęcie od George'a. Chociaż w Nowy Rok jest zimno i ponuro, założył ciemne okulary. Na pewno ma kaca. Wysłałam mu fotkę mojego brunchu ze szklanką koktajlu Buck's Fizz.

Odpowiada rzygającą buźką.

Rozmowa schodzi na mnie i moje „życie miłosne”. Czuję się jak Bridget Jones na przyjęciu. Wszędzie szczęśliwe małżeństwa. Nie mówię im o Daveyu. Jak miałabym to wyjaśnić i nie wyjść na obłąkaną? Nie pokażę im zdjęć, które mi przysłał, bo pospadaliby z krzesel. Pozostaję tajemnicza. No, prawie.

Śnieg nawet nie musnął Whitstable, a w Londynie podczas mojej nieobecności szalała zadymka. Gdy wrócę do Wanstead, będzie biało.

Z Nowym Rokiem nowym krokiem. Davey napisał wcześniej rano, załączając zdjęcie, na którym się uśmiecha, choć wygląda na strasznie zmarnowanego. Obok niego stoi mężczyzna, jak przypuszczam jego przyjaciel Grant. Byłabym zaskoczona, gdyby Davey dziś jeszcze się do mnie odezwał – mam nadzieję, że doskonale się bawił. Piszę mu o tym i sugeruję, żeby trochę odpoczął.

Do jego przyjazdu zostało dziesięć dni.

Davey nie odzywał się przez dwa dni, co nie było takie znowu niezwykle, mimo to zaczęłam się martwić. Wysłałam mu kilka SMS-ów. Posprzątałam mieszkanie, zanim zaczniesz się codzienna bieganina, po części w ramach przygotowań do wakacji, a po części na przyjazd Daveya. Święta nie obeszły się ze mną łaskawie. George poinformował mnie, że choć jest dopiero trzeci stycznia, siłownia pęka w szwach.

– Tak wiele osób domaga się osobistego trenera. Mam mnóstwo nowych klientów.

Cieszę się ze względu na niego i jego finanse, choć to oznacza, że nie będę miała szansy nawet zbliżyć się do mojego ukochanego orbitreka.

Świąteczna przerwa spędzona w domu sprawiła, że się zresetowałam. Jestem pełna energii i bardzo ciekawa, co przyniesie nowy rok. Może będzie zupełnie inny? Nawet nie śmiem sobie wyobrazić, co może się wydarzyć między Daveyem i mną. Łączy nas coś prawdziwego. Miranda wciąż o tym gadała, a ja myślę, że celowo ściemniałam, nie chcąc nadawać zbyt dużego znaczenia naszym rozmowom. Zaczęłam jednak coś czuć – patrzę na telefon, chcę, żeby zadzwonił, albo czekam niecierpliwie na wibrujący dźwięk przychodzącej wiadomości. Czy to dlatego że nigdy się nie spotkaliśmy? To powab znanego i nieznanego jednocześnie.

Davey dzwoni wieczorem, a mnie z radości zapiera dech. Pyta, jak się miewam i jak minęła reszta świątecznej przerwy. Ma urocze maniery. Znosi mnie na niebezpieczne wody, bo zastanawiam się, czy mama i tata go polubią. Oni go pokochają! Nawet nie mam sposobności spytać, jak jego impreza, ponieważ wrzuca graficzny opis tego, jak okropnie się czuł i jak bardzo zaszokował sam siebie swoim zachowaniem. Opowiadam mu o naszej rozmowie, gdy ja byłam na plaży, a on w połowie drogi między rynsztokiem a gwiazdami.

– O cholera, nawet nie pamiętam, że do ciebie dzwoniłem! – wyznaje ze śmiechem. – Powiedziałem coś głupiego?

– Na przykład co? – drażnię się z nim.

– Rany, teraz naprawdę się martwię.

Wybucham śmiechem.

– Nie musisz. Byłeś czarujący jak zawsze, tylko w bardzo wesołej wersji.

– Uff! Powiedziałaś mi, żebym przestał pić?

– Nie!

– A powinnaś.

– A posłuchałbyś mnie?

– Zawsze cię słucham. Grant praktycznie zaniósł mnie do domu. W życiu nie miałem takiego kaca. Przespałem cały Nowy Rok i wczorajszy dzień. Dzięki Bogu, że to był weekend. Jutro wracam do pracy. O ludzie, będzie ciężko. To dziwne, ale wciąż czuję się taki zmęczony.

– Najwyraźniej potrzebujesz dłuższego odpoczynku. Może jesteś przepracowany, bo chciałeś za dużo zrobić przed wyjazdem?

– Może. Słuchaj, muszę kończyć. Zadzwoiłem tylko po to, żeby powiedzieć ci szybkie „cześć”.

– Pogadamy jutro na wideoczacie? – pytam, a on wydaje głupie dźwięki jak dziecko, które dostało balonik. – Ty chcesz pogadać ze mną na wideo? Czyżbym cię nawrócił?

– Może. A może stęskniłam się za widokiem twojej twarzy?

– A może ja za widokiem twojej też?

To miłe, ten luz. Mam nadzieję, że gdy przyjedzie, też tak będzie. Mam nadzieję, że nie będziemy musieli być daleko od siebie, żeby to działało.

Następnego dnia wracam do pracy i jest lepiej, niż się spodziewałam. Zapomniałam, jacy wszyscy są weseli przez kilka pierwszych dni po świąteczno-noworocznej przerwie.

Rozmowa z Daveyem powinna się odbyć o tej godzinie co zwykle – o dwudziestej trzeciej u mnie i o siedemnastej u niego. Gdy byłam w Whitstable, z myślą o naszych rozmowach zainwestowałam w ładną nową bieliznę nocną i już nie będę się wstydziła, że jestem w piżamie. Piżamy mają zwężające się nogawki, więc nie podjeżdżają do góry, kiedy śpię. To całkowicie zmienia reguły gry.

Gadamy godzinami twarzą w twarz. Tak bardzo się do tego przyzwyczałam, że kiedy idę siku, muszę pamiętać, żeby odłożyć telefon. Przechodzimy płynnie od jednego tematu do drugiego, więc istnieje niebezpieczeństwo, że zabiorę go wszędzie.

Wracamy do naszych list rzeczy do zrobienia. Davey, tak jak ja, już planuje wakacje i bardzo podoba mu się to, że każdy kraj, który pragnie odwiedzić, ma teraz na wyciągnięcie ręki. A raczej będzie miał. Mówi mi, że marzy o tym, by w przyszłości wziąć urlop naukowy, wynająć kampera w jakimś odległym zakątku Europy i odwiedzić tak wiele krajów, ile zdoła.

Wyznaję mu szczerze, że zawsze nienawidziłam biwakowania, sądzę jednak, że mogłabym spędzić jakiś czas w kamperze.

– Powinnaś pojechać ze mną – sugeruje.

Przytakuję, myśląc, jak mogłoby być cudownie. Lecz czy naprawdę tak będzie? Snucie nierealnych marzeń i wielkich planów z mężczyzną, którego nigdy nie spotkałam, jest pewnie trochę głupie, ale w ogóle mi to nie przeszkadza.

– Niestety przez dobrych kilka lat to się nie wydarzy – mówi Davey, jakby wyczuł, o czym myślę.

– Jeśli zaczniesz pracę w nowej firmie, nie dają ci urlopu naukowego.

– Jakie kraje chciałbyś odwiedzić?

– Wszystkie. Będę szybko jeździł.

Wstaje, żeby zrobić sobie coś do picia, a ja dostrzegam stojące w rzędzie spakowane walizki i pudła. Jest gotowy do wyjazdu, a mnie znów ściska w żołądku. To się dzieje naprawdę! Davey wkrótce tu będzie.

– A skończymy na weekendzie w Rzymie – ciągnie – i zafundujemy sobie kilka nocy w hotelu z widokiem na Bazylikę Świętego Piotra.

– Brzmi niebiańsko – zgadzam się i pytam, czy zahaczymy też o Toskanię. Opowiadam mu o moim ulubionym filmie *Pokój z widokiem* Ivory’ego i o tym, jak młoda Helena Bonham Carter porusza się zwiernie w edwardiańskich sukniach, jest uwodzona przez nieśmiałego młodego Anglika, który wyskakuje nie wiadomo skąd, na łąkę i funduje jej najlepsze całowanie w życiu. – Chyba dlatego zawsze chciałam zobaczyć Toskanię, ale nigdy tam nie byłam. Bałam się, że pojadę i nie będzie tak, jak sobie wyobrażałam.

– Pojedziemy tam razem naszym kamperem, włożysz zwierną sukienkę, a potem staniemy na łące, żeby podziwiać widoki.

– Będzie cudownie. – W wyobraźni już jadę do Toskanii i muszę odsuwać od siebie wszelkie myśli o sobie i Davey’u na skąpanej w słońcu łące.

– Davey’u? – mówię, a on patrzy na mnie z uśmiechem. – Czy prowadzisz takie rozmowy jak nasza z kimś jeszcze?

Kręci głową.

– Nie, tylko z tobą.

Dzięki Bogu. Wzdycham z ulgą.

Ale to Davey podejmuje temat:

– Bardzo cię lubię, Hannah.

Mój brzuch znów się napina, ale to nawet przyjemne. Będę miała kaloryfer bez trenowania. Powiedzenie czegoś takiego po pijanemu to jedno, lecz teraz jest trzeźwy.

– Ja ciebie też. Nie mogę się doczekać, kiedy cię zobaczę.

– To tak jak ja. Często sobie ciebie wyobrażam, wiesz? Zastanawiam się, co robisz, kiedy ja dopiero się budzę, a ty już zaczęłaś dzień. Myślę o tobie długo po tym, gdy zasypiasz. Czy to nie wariactwo?

Wydają długie i przepełnione szczęściem westchnienie.

– Nie.

Krząta się, a jego twarz oświetla poblask padający z lodówki, kamera przez moment pokazuje jej skromną zawartość. Kończy swoje życie tam kawałek po kawałku, przygotowując się do rozpoczęcia go tutaj.

– Spędziliśmy już ze sobą trochę czasu i mam wrażenie, że dość dobrze się znamy... – zaczynam.

– Myślę, że znamy się naprawdę dobrze – przerywa mi.

– O tak. Ale jestem ciekawa tak wielu rzeczy.

– Na przykład jakich?

– Jak wyglądasz na żywo.

Trzyma telefon na długość ramienia i mówi:

– O tak.

– No wiem, ale chodzi mi o różne drobiazgi. – Opieram głowę na rękę. – Ja na przykład mam małą bliznę koło brwi, bo przewróciłam się na marmurowym schodku. Mogło się skończyć znacznie gorzej. Ta blizna zawsze będzie mi przypominała, co może się stać, jeśli mając pięć lat, za szybko biegasz po hotelowych schodach, trzymając w ramionach zbyt wiele lalek Barbie i nie łapiąc się poręczy.

Robię zbliżenie, a on kiwa głową.

– Nie mogę się doczekać, kiedy dowiem się o tobie takich rzeczy. – I dodaje: – Moja prawa ręka: kość nadgarstka wystaje trochę bardziej, niż powinna. Zrobiło się tak dziwnie, kiedy w wieku jedenastu lat ją złamałem.

To właśnie te małe rzeczy, o których chcę wiedzieć.

– Czekam niecierpliwie na resztę, na to wszystko, co sprawia, że ty to ty. Chcę wiedzieć, jak to jest iść obok ciebie. Chcę wiedzieć, jak dużo kroków będę musiała zrobić, żeby za tobą nadażyć, bo ty stawiasz wielkie.

– Stawiam wielkie kroki? – Jego metr dziewięćdziesiąt trzęsie się ze śmiechu. – Obiecuję, że będę chodził wolno albo trzymał cię za rękę i za sobą ciągnął.

Nie mówię mu, że chcę się przekonać, jak to jest go całować: czy będę musiała stawać na palcach, czy on się pochyli. Może i to, i to? Spoglądam na jego usta i chcę pocałować je natychmiast. Czy kiedy się spotkamy, będziemy się całowali?

Davey myśli chyba o tym samym, ponieważ pyta:

– Przyjedziesz po mnie na lotnisko?

– Tak – odpowiadam natychmiast. – A chcesz?

– Jasne.

Obiecuję, że wyśle mi numer lotu, żebym wiedziała, kiedy wyląduję. Jest już koło trzeciej, a ja muszę za cztery godziny wstać do pracy. Żegnamy się jak zwykle prostym, lecz pełnym emocji „dobranoc”, które dla nas obojga zawiera tak wiele: mnóstwo nadziei, mnóstwo wszystkiego.

ROZDZIAŁ 9

Hannah

W ciągu kolejnych dni Davey i ja prawie nie rozmawialiśmy, wysyłaliśmy tylko serie wiadomości o niewłaściwych porach, na które żadne z nas nie było w stanie odpowiedzieć. W tym tygodniu mam dwa wyjścia na urodzinowe drinki, w pracy panuje takie szaleństwo, że z trudem udaje mi się wymknąć o normalnej porze. Nieważne. Wszystko to sprawia, że czas płynie szybciej i przyspiesza odliczanie do jego przyjazdu.

Davey przeprosza, że ciągle odkłada komórkę i odczytuje moje wiadomości dopiero po wielu godzinach. Jest w szale kończenia pracy, pakowania pudeł, by zwieźć je do garażu rodziców, walczy z ostatnimi rzeczami, które chce ze sobą zabrać, i tymi do oddania na cele charytatywne. Mówi, że weźmie tylko dwa plecaki ubrań i że wysyłanie mebli jest zbyt drogie, dlatego wszystkie zostawia i nie może się doczekać, kiedy kupi sprzęty kuchenne i meble. Zwracam mu uwagę na radości i ból, z jakimi wiązą się zakupy w Ikei, a on mówi, że mają ją w Teksasie. Nie wiedziałam.

Wcześniej rano, gdy u Daveya jest środek nocy, dostaję wiadomość.

Masz ochotę na nocną randkę? – pyta, a ja powoli nabieram powietrza i jeszcze wolniej je wypuszczam, bo widzę tylko słowo „randka”. Wygląda na to, że Davey nieśmiało nadaje nazwę temu, co robimy. A ja równie nieśmiało się zgadzam.

Pyta, co robię wieczorem, i choć Miranda zaproponowała, żebyśmy spotkały się na drinku – tylko ona i ja, tak dla odmiany – splewiam ją i się za to nienawidzę. Jeśli jednak wysportowany miły mężczyzna zaprasza na wideorandkę (wiem, że ani trochę nie jest prawdziwa), to po prostu trzeba w to wejść. Poza tym wcale jej nie okłamałam. Wyznałam, co zamierzam robić, a Miranda powiedziała, żebym „uderzała”, a na drinka pójdziemy innym razem. Jestem jej bardzo wdzięczna. Davey zapowiedział, że zadzwoni wcześniej niż zwykle. Zaproponował, żebyśmy obejrzeli razem film, a ja nie mam pojęcia, jak to się odbędzie. Orzekł, że „panie wybierają”, wybrałam więc mój ulubiony, a potem martwiłam się, czy to dobry pomysł. Przez. Cały. Długi. Dzień.

Wystroiłam się, ponieważ to randka, a ja zawsze, gdy rozmawialiśmy, występowałam albo w piżamie, albo w rozciągniętym „weekendowym” dresie, albo nawet w ciuchach biurowych. Pędzę z pracy do domu, maluję usta błyszczkiem i wkładam granatowy kombinezon w prążki. Nie zawracam sobie głowy butami, ponieważ jestem w domu, zawracam sobie jednak głowę perfumami, choć Davey i tak niczego nie poczuje.

Dzwoni o umówionej godzinie. Spokojnie gadamy o tym, jak nam minął dzień i co robiliśmy. Davey mówi, że jeśli chodzi o sprawę domu, jest na „ostatniej prostej” – psychicznie już w Londynie, choć fizycznie nadal w Stanach. Niepostrzeżenie schodzimy na temat naszej przyszłości: gdzie kiedyś zamieszkamy. Nie wiem, kto pierwszy zadał to pytanie. Sądzę, że on, ponieważ czeka, aż odpowiem.

– Kent – mówię. – To nie musi być Whitstable, ale gdzieś w pobliżu. Łatwo dojeżdżać stamtąd do Londynu do pracy. Ale to zależy też od tego, z kim będę i gdzie ten ktoś będzie chciał mieszkać.

– Przeniosłabyś się ze względu na faceta? – pyta i wygląda na zaskoczonego.

– Tak. Sądzę, że tak. Tak długo, jak długo ja też będę szczęśliwa. Nie chcę, żeby to zabrzmiało banalnie, ale dom jest tam, gdzie twoje serce. Dom jest tam, gdzie jesteś szczęśliwy. To nie musi być konkretne miejsce. Chodzi o kogoś bliskiego.

Davey przytakuje.

– Taaak – zaczyna powoli – nigdy nie myślałem o tym w ten sposób. Projektowałem domy dla ludzi, więc myślałem o domu... jak o domu. Podoba mi się twoje podejście. – Uśmiecham się. – Chciałbym dowiedzieć się o tobie jeszcze więcej, Hannah.

– Na przykład? – Siadam na kanapie i upijam łyk wina, które kupiłam na naszą randkę.

On też pije wino i patrzy jakoś dziwnie.

Czekam.

– Chciałbym wiedzieć, co kryje się pod tymi piżamami, które zawsze masz na sobie.

Jest taki poważny, niemal uwodzicielski, lecz nagle wybucha śmiechem, bo widzi moje oczy otwarte szeroko jak u zaskoczonego królika.

– O rany, okej... – bąkam.

– A ty nie jesteś ciekawa, jak ja wyglądam pod... – Wskazuje swoje ciuchy. Dziś ma na sobie ciemnoniebieskie dżinsy i koszulę.

Natychmiast zaczynam się denerwować, bo co, do cholery, mam odpowiedzieć? Więc po prostu kiwam głową.

Znów jest poważny, a ja zostaję sama w próżni mojego zakłopotania, zupełnie jakby z pokoju coś wyszło zimne stycziowe powietrze ogrzane przez kaloryfer.

– To nie wystarczy – mówi. Znów kiwam głową. Wiem, o co mu chodzi, ale nie potrafię tego wyartykułować. – Widujemy się tylko podczas tych rozmów. To za mało. Moim zdaniem właśnie dlatego związki na odległość się nie udają. Każdy, kogo znam, w końcu poczuł się zmęczony... Wszystkie takie związki się skończyły. A czy według ciebie mają szansę?

– Nie. – Patrzę na niego, podziwiając jego spokojną energię i otwartość.

– Rozmawialiśmy i korespondowaliśmy przez miesiąc. To było ekscytujące i zabawne. Gdyby nie to, że za kilka dni będę w Londynie, już teraz siedziałbym w samolocie, żeby do ciebie przylecieć.

Aż otwieram usta.

– Naprawdę?

– Oczywiście. Jedyne, co mnie powstrzymuje, to odliczanie dni do chwili, kiedy tam będę.

– Och... – mówię tylko, a moje serce galopuje.

Siedzimy w milczącej kontemplacji, patrząc sobie w oczy, i uśmiechamy się tak szeroko, że chyba wyglądamy na nieco niezrównoważonych.

– Hannah?

– Słucham?

– Chcesz obejrzeć ten film?

Chcę, ale nie mogę myśleć teraz o filmie. Mogę myśleć tylko o tym, jak to będzie go zobaczyć, spotkać mężczyznę, co do którego mam dziewięćdziesiąt dziewięć procent pewności, że się w nim zakochałam. Jak to się stało? I to w tak krótkim czasie? Aż trudno w to uwierzyć. Ale się dzieje.

Włączamy film w tym samym momencie. Davey mówi, że musiał przeszukać najdalsze zakątki wszystkich serwisów streamingowych pod słońcem, a ja jestem pełna obaw. A jeżeli mój ulubiony film mu się nie spodoba? To trochę jak wpuszczenie kogoś do własnej duszy.

Umieszcza telefon na stole przed sobą, więc mogę obserwować jego reakcje na każdą część *Pokoju z widokiem*. Umówiliśmy się, że będzie popcorn, więc jemy i oglądamy. Oddzielnie, a jednak razem. To jak prawdziwa randka, choć nie do końca. Robimy to, co ludzie robią na randce. Davey długo się nie odzywa, aż wreszcie oznajmia:

– Muszę zrobić przerwę.

Ja też wciskam pauzę na telewizorze i patrzę w telefon na jego reakcję. Davey wygląda na zamyślonego, więc ponagliam go nerwowo:

– Podoba ci się?

– Tak – odpowiada zdecydowanie, bierze telefon i prowadzi mnie do lodówki, by napełnić kieliszek winem. – Jest inny. I teraz naprawdę chcę pojechać do Toskanii. – Nie oczekuję, że powie coś jeszcze, ale on wraca na sofę, umieszcza telefon na stoliku, żebym mogła go widzieć, i ciągnie: – Podoba mi się ten bohater, jest wrażliwy. Może nawet za bardzo, no wiesz, ale ta dziewczyna – wskazuje ekran – Lucy, najwyraźniej się w nim zakochuje. Ujmuje ją właśnie jego troskliwość i ciepło.

Przyznaję mu rację.

– No dobra, wciskam „play”.

Ja też.

Po chwili znów informuje, że wciska pauzę, więc robię to samo. Spogląda na mnie znacząco, lecz ekrany naszych komórek milczą.

– Czy to ta scena pocałunku na łące? – pyta wreszcie.

– Może.

– On jest sam, ona nadchodzi. Wiem, do czego to zmierza. Czy z właśnie tego mam czerpać wskazówki, jak uwieść dziewczynę na łące? Czy poczyni jakieś postępy?

– Tak i tak – odpowiadam, chichocząc.

– Dobrze, wciskam „play” – mówi. Po jakimś czasie, nawet nie zatrzymując filmu, krzyczy: – Nie!

Ona nie może jechać do domu i wyjść za innego kolesia! Tamten to fiut!

Zaśmiewam się, szczęśliwa, że to załapał. Zrozumiał mój ukochany film.

– Następnym razem obejrzymy film, który ty najbardziej lubisz – proponuję, sięgając głęboko do kubelka z popcornem w poszukiwaniu ostatnich chrupiących ziarenek.

– Następnym razem zrobimy to naprawdę. Będziemy siedzieli obok siebie na twojej kanapie albo na mojej, jeśli już jakąś kupimy, ja i ty... w realu.

To niepojęte, jak wspaniale jest myśleć o sobie i Daveyu w prawdziwym życiu.



Dzień przed jego przylotem zrobiłam coś strasznie głupiego: wyciągnęłam z biurowej drukarki arkusz papieru wielkości afisza. Nie było łatwo się z nim wymknąć, ale teraz jestem w domu rozciągnięta na podłodze, oglądam na Netfliksie dokument Louisa Theroux, który polecił mi Davey, i bazgrołę flamastrami *Witaj w Londynie, Daveyu*. Wpatruję się w napis. Czy pomyśli, że to urocze, czy że dziwne? A czy ja myślę, że to urocze, czy że dziwne? Zachowuję się jak kretynka. Jutro naprawdę się z nim spotkam!

Piszę do Daveya, jaka jestem przejęta, a on wysyła uniesiony kciuk i po raz pierwszy wielkie serce. Choć staram się za dużo sobie po tym nie obiecywać, czuję się tak, jakbyśmy przekroczyli kolejną dzielącą nas linię i jestem taka szczęśliwa, że o mało nie pęknę. Píše też, że skończył pracę, wypił już ze wszystkimi przyjaciółmi pożegnalne drinki i ten ostatni dzień – czyli dzisiejszy – zamierza spędzić z rodzicami. Na lotnisko zawiezie go jego przyjaciel Grant, a potem ani się obejrzy, a będzie w powietrzu w drodze tutaj.

Obiecał, że gdy wsiądzie do samolotu, wyśle mi wiadomość, lecz żadnej nie dostaję. Pewnie jest bardzo zajęty. Gdybym ja musiała się spakować, przeflancować całe życie z jednego kontynentu na drugi, w chwili, gdy wsiadałabym na pokład samolotu, byłabym prawdopodobnie w takiej rozsypce, że też zapomniałabym napisać. Spojrzałam na stronę linii lotniczych: jego samolot już jest w powietrzu. Wystartował godzinę temu. O Boże, wzdycham, to się dzieje naprawdę!

Za około dziewięć godzin Davey tu będzie.



Serce bije mi tak szybko, że przez dźwięk dudniący w uszach ledwie słyszę własne myśli. Siedzę w sieciowej kawiarni na lotnisku i czytam SMS-a od Mirandy:

Jest już?

Nie. Jeszcze godzina – odpowiadam, patrząc na tablicę przylotów.

Píše do mnie przez cały ranek, jakie to wszystko romantyczne, że jest zazdrosna, bo to historia, którą będziemy opowiadać naszym dzieciom. Przy kolejnych słowach szeroko otwieram oczy:

Kto jeszcze ma taką historię? Kto jeszcze spotkał Tego Jedynego, ponieważ ten wybrał zły numer?

Nagle czuję taką presję, że kładę telefon na stoliku ekranem do dołu. Jestem jak w gorączce. Zastanawiam się, czy kupić dla Daveya podwójne espresso. Na tablicy ukazuje się napis oznajmiający, że powinien odebrać swój bagaż. Nie, żadnej kawy. Jak mam trzymać napis i jednocześnie kubek z kawą... A może pozbyć się plakatu i kupić kawę? Może po prawie dziesięciu godzinach lotu ten gest doceni bardziej? Ale jeśli będę trzymała kubek z kawą, to jak go obejmę, by po raz pierwszy w życiu przytulić?

Spoglądam na swoje dłonie, które zaciskam na kubku z drugą już kawą, by je ogrzać – drżą. Denerwuję się. Pod stolikiem poruszam nogą w górę i w dół. Widzę wielkie automatyczne drzwi oddzielające tych, którzy właśnie przyjechali, od tych, którzy przeszli przez nie z nienaruszonym bagażem, oraz uradowanych członków obsługi. Ludzie przechodzą przez te drzwi z nadmuchiwanymi poduszkami na szyjach. Wyglądają na zmęczonych lub odprężonych.

Wstaję. Nareszcie. Podchodzę do barierki i rozwijam plakat. Pieprzyć. To urocze. Naprawdę. Mam nadzieję, że Davey też tak pomyśli. Nawet jeśli nie uzna tego za urocze, nie jest od tego, żeby oceniać mnie i moją nowo odkrytą głupotę. To niewiarygodne, co się z nami dzieje, gdy naprawdę kogoś lubimy. Właśnie tego doświadczam. Kiedy go zobaczę, po prostu upewnię się, czy jestem w nim zakochana, tak trochę.

Czy się pocałujemy? Chyba tak. A może poczekamy z tym, aż wsiądziemy do taksówki? Po tak długim locie nie będę go ciągnęła z bagażami do metra. To byłoby okrutne. Ustaliliśmy, że na kilka pierwszych dni, dopóki nie dotrą jego rzeczy, zatrzyma się u mnie, ale nie zostało powiedziane, czy będziemy dzielili sypialnię. Zakładam, że tak, nawet jeśli Davey jako dżentelmen zaproponuje inne rozwiązanie. Poza tym naprawdę tego

pragnę. Jeśli mnie nie pocałuje, jeśli po przejściu przez frontowe drzwi nie ruszymy w stronę łóżka, chyba eksploduję. Nie potrzebuję już drugiej kawy, którą wciąż trzymam w ręce. Teraz potrzebuję zimnego prysznic.

Strumień pasażerów jest coraz mniejszy. Czy to w ogóle był jego lot? Zerkam na tablicę przylotów i trudno o lepsze potwierdzenie: mniej więcej w tym samym czasie wylądowały dwa samoloty, ich pasażerowie przeszli już przez strefę bagażową, a Daveya nie ma. Pewnie się odświeża. Drzę ze zdenerwowania. Na tablicy widać, że wylądowało więcej samolotów, wyjeżdżają bagaże, a ich liczba stopniowo maleje. Wyjmuję z kieszeni telefon. Jest wiadomość, lecz od Mirandy, z GIF-em przedstawiającym parę całującą się na lotnisku. Uśmiecham się niewyraźnie. Cała radość na moment znika. Kasuję wiadomość i dzwonię do Daveya. Nie ma nawet sygnału. Włącza się poczta głosowa. Przerwywam połączenie i piszę: Jesteś już?

Czekam. Nic. Gdzie on jest? Zagubił się? Wyszedł i teraz szuka mnie na zewnątrz? Zaczynam chodzić po hali przylotów, wypatrując wysokiego blondyna niosącego dwa plecaki, po jednym w każdej ręce. Jest mnóstwo ludzi od tyłu wyglądających tak jak on, jednak z przodu... żaden z nich nie jest Daveyem.

Minęła już godzina, znów siadam w kawiarni. Nie mogę wypić kolejnej kawy, więc kupuję dwie wody mineralne. Jedną dla siebie, drugą dla Daveya – po locie pewnie będzie chciało mu się pić. I czekam. Upłynęły już dwie godziny, a od niego ani słowa. Wychodzę z kawiarni. Napędzana nerwową energią znów spaceruję po hali. Po prostu żeby się upewnić. Dzwoni komórka i aż podskakuję. To George, a ja za szybko przesunęłam palec, żeby odebrać, choć w tej chwili nie chcę rozmawiać z nikim, kto nie jest Daveyem. Nie rozumiem, co się stało. Natychmiast się rozłączam. To niegrzeczne, ale teraz nie mogę zajmować się George'em z całą tą jego zabawną gadką i dobrymi intencjami. Oddzwonię do niego jutro, kiedy Davey już się zadomowi.

Znów do niego piszę:

Gdzie jesteś? Czy pomyliłam terminal? Czy pomyliłam lotnisko?

Nie jestem aż taka głupia. Jezu, mam nadzieję, że nie jest na Heathrow, zachodząc w głowę, gdzie ja, na miłość boską, się podziałam. Numer jego lotu się zgadzał. Powinien być tutaj.

Nie mam pojęcia, co robić. Davey jest poza zasięgiem. Nie odpowiada. Orientuję się, że zostawiłam plakat w kawiarni, i się za nim rozglądam. Kelnerka sprząta po mnie, choć sama powinnam to zrobić, lecz mój umysł błądzi gdzie indziej. Zmięta plakat i wepchnęła głęboko do czarnego worka na śmieci. Na ten widok robi mi się jeszcze bardziej smutno.

Daveyu, jestem tu już prawie trzy godziny. Nie chcę sobie pójść, ale chyba Cię tu nie ma, więc ruszam do domu. Będę sprawdzała telefon. Zadzwoń, a wrócę. Czy spóźniłeś się na samolot?

Najwyraźniej się spóźnił. Moja nadzieja tonie w poczuciu, jakie to wszystko dziwne. Nie wiem, co o tym myśleć. Idę w stronę stacji kolei, przygotowując się na styczniowy chłód, i skołowana niechętnie wracam do domu.



Dotarcie na miejsce zajmuje mi półtorej godziny. Co i raz słyszę dźwięk komórki, gdy wpadam w zasięg i z niego wypadam.

Miranda nie przestaje domagać się informacji. Zainteresowanie najlepszych przyjaciół jest miłe i zwykle podnosi na duchu, teraz jednak marzę, żeby przestała i już nie przysyłała mi GIF-ów z całującymi się parami.

Jego lot został odwołany. Jutro zadzwonię z nowinami.

Mam nadzieję, że to prawda. Mam nadzieję, że kiedy jutro do niej napiszę, będę wiedziała coś o Daveyu. Przyjechał, jest ze mną, śpi albo leży pokonany przez jet lag na mojej małej dwuosobowej kanapie, trzymając długie nogi na oparciu.

Reszta dnia mija mi jak we mgle. Moje mieszkanie jest nieskazitelnie czyste, więc żeby się czymś zająć, siedzę z filiżanką herbaty i niechętnie odpisuję na wiadomości, w ogóle wszystko robię niechętnie. Nawet nie włączyłam telewizora, by zobaczyć jakieś przerażające wiadomości o katastrofie lotniczej. Jego samolot się nie rozbił. Wylądował. Tylko że Daveya w nim nie było.

Znów do niego piszę. Jestem pewna na dziewięćdziesiąt dziewięć i dziewięć dziesiątych procent, że miał bardzo ważny powód, dla którego nie wsiadł do samolotu. Po prostu muszę wiedzieć, co to takiego. Nie mam powodu ukrywać mojej desperacji, więc piszę:

Proszę, powiedz mi, co się dzieje. Proszę, powiedz, gdzie jesteś.

Nigdy nie aktualizuje swoich mediów społecznościowych, ja jednak i tak przeglądam jego na wpół uśpione konta na różnych platformach, żeby sprawdzić, czy cokolwiek zamieścił. Nie zamieścił. Został jednak otagowany na kilku zdjęciach z pożegnalnych sylwestrowych drinków. I to wszystko. Na tych niewielu zdjęciach wygląda na szczęśliwego, uśmiecha się, na jednym trzyma drinka, na pozostałych nie. Obejmuje kogoś ramieniem, jak sądzę Granta, choć Grant nie został otagowany. Kończę przeglądanie. Tu nie znajdę odpowiedzi.

Położyłam się do łóżka i o dwudziestej trzeciej próbuję połączyć się z nim na wideoczacie. To ostatnia deska ratunku. Nie odbiera. Przez kilka godzin leżę bezsennie oszołomiona, a gdy za oknami ptaki rozpoczynają swój beztroski śpiew, zasypiam.



Budzik wciąż jest nastawiony tak, jakbym miała wstać do pracy. Zapomniałam go wyłączyć. Spałam około trzech godzin, moje oczy są zaczerwienione i pieką. Zawsze mam włączony telefon, żeby, gdy w nocy coś się stanie, rodzice mogli się ze mną skontaktować. Gdyby zadzwonił, obudziłabym się, dlatego wiem... po prostu wiem, że po drugiej stronie niczego nie ma. Wzięłam wolny dzień, więc mogłabym spędzić go z Daveyem. Zastanawiam się, czy może jednak się ubrać, pójść do pracy, odzyskać wolny dzień, który miał być tak cenny. Clare z kadr zmieni coś w moich aktach i będę go mogła wykorzystać kiedy indziej. Nie mam nic do roboty, więc oddaję się rutynie wkładania biurowych ciuchów, mycia zębów, robię sobie makijaż, automatycznie nakładając każdy jego element. W drodze na stację nie kupuję kawy. Nie mam siły przerabiać każdego momentu dnia, tak jak to zwykle robię, ale kiedy już siedzę w pociągu, gorzko tego żałuję. Jestem wyczerpana, wyjąłowiona, targają mną różne emocje, a jednocześnie nie czuję nic.

Gdy wychodzę ze stacji, czuję, że nie mogę dłużej czekać. Jeśli Davey nadal jest w Teksasie, jak zakładam, u niego będzie środek nocy. Wczoraj nie odebrał, więc dlaczego miałby to zrobić teraz? W mojej głowie pojawia się myśl: jeśli mnie wystawił, to w bardzo paskudny sposób. A jeśli zauważył mnie na lotnisku, ale nie podszedł, bo uznał, że nie jestem taka, jaką mnie widział podczas bezpiecznych rozmów wideo, i siedzi sobie w swoim mieszkaniu w Brixton?

Żeby pohamować gniew, piszę:

Teraz jestem jednocześnie wkurzona i się o Ciebie martwię. Proszę, nie każ mi dłużej cierpieć. Jeśli nie zamierzasz przyjechać, to po prostu powiedz.

Nie mam już nic do dodania, więc wciskam guzik „wyślij”.

W pracy przez większą część dnia gapię się w ekran i odpowiadam na pytania, dlaczego jestem, skoro wzięłam wolne. Tu nikt nie wie o Daveyu. I na pewno nikomu o nim nie powiem.

Clare widzi, że coś jest nie tak, szuka spojrzeniem moich przekrwionych oczu, czeka na słowa, których nie wypowiadam. W biurze ludzie potrafią podsłuchać każdą rozmowę, więc Clare przyjmuje do wiadomości, że jestem, pracuję – a przynajmniej próbuję – i choć wie, że stało się coś niezwykłego, nie próbuje na mnie naciskać. Nie zważa na dziwne reguły działu kadr, które mówią, że po przetworzeniu formularza nie można mieszać w datach urlopu. Tylko Clare się tym zajmuje i zapewne ze względu na mój stan postanowiła odpuścić.

Siedzę przy biurku, gdy rozlega się sygnał przychodzącej wiadomości. Rzucam się na komórkę. To Clare. Wybucham śmiechem, dziwnym i głuchym, jakbym była w szoku.

Co się stało? – domaga się odpowiedzi. – Wyglądasz okropnie. Mówisz okropnie. Jesteś pewna, że nie powinnaś jednak być w domu? Po prostu się wymknij, nikomu nie powiem. O ile usuniesz tę wiadomość.

Dziękuję, ale nie. Zostaję. Nie mogę siedzieć w domu i gapić się na ściany. On nie przyjedzie. Teraz to wiem. Ale nie wiem dlaczego.



W domu pod koniec dnia wreszcie coś jem. Nie zdawałam sobie sprawy, jaka jestem głodna. Smaruję masłem dwie kromki chleba i pożeram je łączywie, stojąc w kuchni.

A potem dzwoni komórka, spoglądam na nią, spodziewając się, że to znów Miranda albo ktoś ze znajomych, lecz nie ten, kogo chcę usłyszeć. To jest jednak ten, kogo chcę usłyszeć. Davey. Talerz, który trzymam, odstawiam na blat z głośnym stuknięciem i odbieram.

– Daveyu, gdzie ty jesteś?

Po drugiej stronie panuje cisza, więc czekam, a nasze oddechy łączą się w jeden dźwięk.

– Jak dobrze słyszeć twój głos – mówi cicho, a mnie skręca w żołądku, czuję, jak obraca się w nim chleb, który właśnie zjadłam.

– Daveyu, gdzie jesteś? – powtarzam. – Gdzie byłeś?

Wzdycha smutno i krótko.

– Hannah...

– Tak? Słucham, o co chodzi?

– Jestem w szpitalu.

– Co? Dlaczego?

– Nie wiem, jak ci to powiedzieć...

Odsuwam kuchenne krzesło. Jest mi słabo. Muszę usiąść.

– Mów – nalegam.

I Davey mówi. Opowiada, jak okropnie się czuł, gdy się obudził, w życiu nie czuł się tak źle. Sądził, że ma jakiś rodzaj wirusa, ledwie chodził.

– A przecież nic nie piłem – próbuje żartować. – Mama zawiozła mnie do szpitala i wciąż tu jestem. Zrobili mi badania krwi, prześwietlenie, nie chcieli mnie puścić. Teraz czekam na rozmowę z lekarzem. Nie wiem, co mi dolega, Hannah.

Wygląda na to, że jest w szoku.

– Lekarze będą wiedzieli. Powiedzą ci i wszystko będzie dobrze.

– Tak, tak sądzę. Przepraszam, że nie zadzwoniłem. Nie byłem w stanie i...

– W porządku. – Nienawidzę siebie za to, że tak się wkurzałam. – Cieszę się, że telefonujesz teraz. Tak bardzo się o ciebie martwiłam.

– Dzięki. W całym tym gównie przegapiłem lot. Muszę przebukować bilet.

Kiwam głową, mimo że Davey mnie nie widzi.

– Na razie dowiedz się, co jest nie tak.

– Hannah, muszę kończyć, lekarz idzie.

Mówię „do widzenia”, lecz on już się rozłączył.

Wpatruję się w telefon, po czym odkładam go na kuchenny stół. Zamykam i otwieram usta, gapiąc się niewidzącym wzrokiem w ścianę. Wszystko będzie dobrze. Wszystko będzie w porządku. Wypuszczą go z paczką pigułek, zalecą, żeby trochę odpoczął, a potem, za kilka dni, będzie w samolocie. Wiem jednak – po prostu wiem, przeczuwam – że w najbliższym czasie to się nie stanie.

ROZDZIAŁ 10

Hannah

Nie chcę mu przeszkadzać, więc nie przeszkadzam. Po prostu czekam. Czekam i czekam, a on nie dzwoni. Ze zdenerwowania czuję ból w piersi. Nie mogę myśleć, spać ani jeść. Dopiero kurier, który późnym wieczorem dzwoni do drzwi, wyrwa mnie z otępienia, w którym trwałam, siedząc w ciemnym pokoju. Ruszam przez mieszkanie, włączając światła, i odbieram przesyłkę. Nawet nie pamiętam, co zamówiłam, nie wiem, co to może być. Nie otwieram paczki, wsuwam ją pod stolik w przedpokoju i obiecuję sobie, że zajrzę do niej później. Wyłączam światła, które zapaliłam minutę temu, i jak automat rozpoczynam proces kładzenia się do łóżka. Moje ciało prowadzi mnie w stronę snu, lecz umysł za nim nie podąża. Patrzę na telefon, gotowa odebrać. Tylko że on nie dzwoni.



W pracy przez cały dzień wpatruję się w komórkę i ilekroć ktoś czegoś ode mnie chce, wściekła staram się załatwić sprawę jak najszybciej, gotowa zakończyć połączenie, gdy tylko zadzwoni moja komórka. Dopiero w domu odbieram SMS-a od Daveya, który przyszedł, gdy byłam w drodze.

Mogę zadzwonić? – pyta.

Uprzedzam go, łącząc się z nim na WhatsAppie tak szybko, że telefon wypada mi z ręki.

– No mów – rzucam pospiesznie.

– O Boże, Hannah... – zaczyna. – Rak jąder. Wciąż jestem... w szoku.

– Kurwa – tylko tyle potrafię powiedzieć, bo widzę, że wali mu się świat. – Kurwa.

– Tak. Kurwa – zgadza się ze mną.

– Ale co to oznacza? Co... – Nie wiem, o co mam zapytać. – Co to oznacza? – powtarzam. – Jak to się stało?

– Takie rzeczy się zdarzają. Po prostu.

– Do kurwy nędzy.

Mój oddech przyspiesza, to prawie hiperwentylacja, odsuwam telefon od ust, więc Davey nie wie, co się ze mną dzieje. Nie chcę, żeby mnie pocieszał. Bo nie o mnie tu chodzi.

Opowiada, że gdy się obudził, czuł się fatalnie, bolało go w pachwinie, pomyślał, że to dziwne, lecz specjalnie się tym nie przejął, dopóki nie zaczął się pocić i mieć dreszcze. Jego mama stwierdziła, że to wygląda na świnkę – choć był pewny, że został zaszczepiony – i pogoniła go do szpitala.

– U mężczyzn świnka czasem powoduje niepłodność – wyjaśnia. – W ogóle nie przeszło mi przez myśl, że to może być coś gorszego.

– Mój Boże, Daveyu, tak mi przykro. Czy ty... czy będzie dobrze? – odważam się zapytać.

– Chyba tak. Tak sądzę. Choć właściwie to nie wiem. Wyjaśnili mi wszystko, ale byłem w takim stanie, że... o rany...

Hiperwentylacja zamienia się w panikę i zaczynam płakać, choć ukrywam to przez minutę czy dwie. Davey wyjaśnia, że guz jest zbyt duży, by zastosować naświetlania. Musi zostać usunięty.

– Trzeba usunąć całe jądro. Operacja odbędzie się za trzy dni.

– Tak szybko?

– Muszą to zrobić, zanim zacznę chemioterapię.

W gardle rośnie mi kula, więc biegnę do łazienki i wymiotuję do sedesu. On to słyszy i próbuje mnie uspokoić.

– Hannah, dobrze się czujesz?

– Nie – odpowiadam. Chyba zwariował. – Oczywiście, że nie.

– Przepraszam, nie powinienem cię tym obciążać.

– Ale ja chcę wiedzieć. Chcę... pomóc – mówię głupio, osuwając się na podłogę w łazience.

– Dziękuję.

Na moment zapada cisza. Zanurzam palce we włosach, pociągam za nie i puszczam.

– Trzy dni – odzywam się. – A potem zaczną... – Nie mogę nawet wypowiedzieć tego słowa.

– Chemię – podsuwa Davey. – Kilka tygodni później. Muszę wydobrzeć po operacji, no i zdeponować spermę w banku.

Ściągam brwi i mrugam kilka razy.

– Bank spermy? – pytam jakimś obcym głosem.

Davey zaczyna się śmiać.

– Tak, wiem, ale to środek ostrożności, bo... może kiedyś będę jej potrzebował, gdybym chciał mieć... no wiesz... dzieci.

– Szlag by to trafił – mówię znów. Nie potrafię powstrzymać się od przeklinania. Jest mi niedobrze i próbuję nie płakać. Spodziewałam się, że ten mężczyzna będzie tutaj, w moim salonie, a on nadal jest w Teksasie, w szpitalu, chory. Nabieram powietrza. Muszę podejść do tej sprawy pragmatycznie. – Chciałam cię zapytać, co mogę dla ciebie zrobić, ale będąc tutaj, nie mogę zrobić nic.

– Możesz po prostu być sobą. Po prostu bądź sobą.

– To mogę.

– Przepraszam – mówi cicho.

Po mojej twarzy płyną łzy.

– Za co?

– Za to. Za to, że tyle się mogło między nami zacząć... a się nie zaczęło.

– Davey... – Wzdycham i mam oczy pełne łez.

– Muszę kończyć. Jeśli zadzwonię później...

– Odbiorę.

– Dziękuję. Na razie, Hannah.

– Na razie, Davey.

Kiedy się rozłącza, oddycham gwałtownie i głęboko i dochodzę do wniosku, że niewiedza o tym, co się z nim działo, była o wiele lepsza niż to, co wiem teraz.



Przez całą noc siedziałam w internecie. Najpierw korzystałam z telefonu, jednak na małym podłużnym ekranie strony nie przełączały się wystarczająco szybko, więc przeszłam do laptopa i otworzyłam stronę Macmillan Cancer Support[2], Cancer Research UK[3], stronę publicznej służby zdrowia i fora, na których mężczyźni wymieniają się informacjami o swojej chorobie. Czytałam opowieści podobne do historii Daveya o młodych wysportowanych facetach, których nagle dopadł rak. O wielu kwestiach pisali lekceważąco, ale wyglądało mi to na kozakowanie. Gdy się czytało między wierszami, widać było, że są przerażeni. I Davey musi być przerażony. Powiedział, że jest w szoku, ja jednak podejrzewam, że się boi.

Czuję się taka bezużyteczna. Nic nie mogę zrobić. Nie mogę być dla niego kimś więcej, niż jestem. Moim zadaniem jest czekać, dodawać mu odwagi, rozmawiać z nim, kiedy będzie tego chciał. Napisałam mu o tym, a on odpisał, żebym się nie martwiła, bo jest pewny, że wszystko będzie dobrze.

Czytam o stadiach raka i się uspokajam. W jego przypadku, gdy wcześniej usuną guz, rokowania są dobre. Wierzę w to głęboko. Jednak następnego dnia Davey dzwoni i nokautuje mnie wiadomością, że cierpi na coś, co się nazywa nasieniak – zapisuję to sobie, żeby później sprawdzić – po czym dodaje:

– To się rozprzestrzeniło. Jest w węzłach chłonnych.

Rozpadam się w środku. Mimo to staram się być rzeczowa.

– No dobrze, ale co to oznacza?

– Mam to w klatce piersiowej, ale nie w narządach. A więc to trzecie stadium.

Znów czuję gulę w gardle.

– Okej...

– Więc... to nie stadium czwarte – stwierdza optymistycznie.

– A na czym polega stadium czwarte? – pytam, choć wołałabym nie wiedzieć.

– Gdy jest w narządach górnej części ciała. Ale jeszcze go tam nie ma. Dlatego muszę jak najszybciej zacząć chemię, żeby nie doszło do przerzutów.

– A stadium piąte?

Davey milczy przez chwilę, po czym odpowiada:

– Nie ma stadium piątego.

- O Boże, Daveyu... – Znów zaczynam płakać.
- Miałem zaledwie kilka dni, żeby to ogarnąć. Jeszcze nie wyszedłem z szoku, a powiedzieli mi, że przez długi czas będę co i raz wracał do szpitala. Na bardzo agresywną chemioterapię. Najprawdopodobniej.
- Okej... – powtarzam, ale nic nie jest okej, mimo to nie mogę przestać tego mówić. Czekam, aż Davey powie coś więcej, lecz on milczy.



Zrezygnowałam ze wszystkich planów na weekend. Napisałam do Joan, że wyjeżdżam do rodziców, więc nie wpadnę na kawę. Nie jestem w stanie myśleć o spotkaniu się z kimkolwiek. Nie jestem w stanie myśleć o niczym. Kiedy siedzę w pociągu do Kent, dzwoni Miranda – a nigdy tego nie robi – i pyta prosto z mostu, co się dzieje. Mówię jej, ale przez cały czas płaczę, więc prosi, żebym powtórzyła szczegóły. Pasażerowie przestali czytać czasopisma, widzę, jak jeden z nich wyjmuje z uszu słuchawki. A ja wypowiadam słowa, których wolałabym nawet nie znać, w dodatku dotyczą człowieka, którego nigdy nie spotkałam.

Miranda milczy. Boi się o mnie. Boi się o Daveya. Boi się, że coś takiego przydarzy się Paulowi. Aż wreszcie pyta, jak ktoś tak młody mógł zachorować na raka.

- Jak to się stało? Doznał jakiegoś urazu podczas uprawiania sportu? Od tego to się zaczęło?
- Nie wiem, ale to chyba tak nie działa.

Właściwie nie mam pojęcia jak. Mimo że przez całą noc, dopóki na zimowym niebie nie pojawiło się słońce, przeszukiwałam internet, nie wiem.

Prosi, żebym ją informowała, mówi, że mnie kocha, a ja, idąc przez miasto z podręczną torbą, mówię jej to samo.

Rodzice są w szoku, że mnie widzą, zdaję sobie z tego sprawę, jednak w pośpiechu, chcąc uciec z czterech ścian mojego mieszkania, nie powiadomiłam ich, że przyjeżdżam na weekend. Patrzą na mnie jak na ducha, po czym uśmiechają się, jakby nic się nie stało, i wtedy się załamuję i zaczynają wypływać ze mnie słowa. Nigdy nie mówiłam im o Daveyu, a teraz próbuję wyjaśnić, co się między nami wydarzyło. Patrzą na mnie przerażeni, ponieważ wpadłam do domu, będąc na skraju łez. Słuchają historii o uczuciu rozwijającym się między mną a mężczyzną, który jest gdzieś daleko, i o tym, że ta historia nie skończy się dobrze.

Godzinę później tata robi mi więcej niż jednego mocnego drinka i siadamy przy stole w jadalni. Włącza laptop i przeglądamy różne strony, ponieważ chce mnie upewnić, opierając się na oficjalnych źródłach, że jeśli Davey jest w dobrej kondycji i zdrowy, jak twierdzi, jeśli odpowiednio wcześniej wytną guz i jeśli terapia zadziała – wyzdrowieje.

- Kiedyś.
- Jeśli, jeśli, jeśli... myślę. I powtarzam:
- Kiedyś?

Widzę, że stara się zachowywać jak ojciec, nie jak lekarz. Wpatruję się w jego oczy, gdy zastanawia się, jak to ująć. Patrzę uważnie, próbując dostrzec oznaki, że kłamie, by ukryć przede mną całe okropieństwo sytuacji.

- Musi myśleć pozytywnie – mówi.
 - Dlaczego?
 - Tak po prostu, kochanie. Chemia zrobi swoje, reszta zależy od Daveya.
 - Tato, to nie brzmi jak gadka lekarza – pryham. – Raczej kogoś, kto wierzy w cuda.
- Tata się uśmiecha i bierze mnie za rękę.



W tygodniu chodzę do pracy, piszę wiadomości do Daveya, piszę do Joan, której jeszcze o nim nie powiedziałam. Zdradza mi pikantne szczegóły o sobie i Geoffie i sprawia, że się uśmiecham. Sądziłam, że ja i Davey działamy szybko, ale nie dorastamy im do pięt. Geoff zabiera ją na miesięczny rejs. Jakaś część mnie chce już być na emeryturze, żebym też mogła wypłynąć w taki rejs. Inna część nawet nie wie, jak przetrwam ten tydzień. Powaga całej tej sytuacji mną wstrząsnęła i trwam w milczącym oszołomieniu.

Nadchodzi dzień operacji. Davey dzwoni chwilę przed tym i żartuje:

- Na wszelki wypadek, gdyby to była nasza ostatnia rozmowa.
- Nie mów tak. Wszystko będzie dobrze.

– Wiem. Mój chirurg robi pięćdziesiąt takich zabiegów w tygodniu...

– To dobrze. Jest profesjonalistą.

Trzy godziny później dostaję SMS-a z nieznanego numeru w Stanach Zjednoczonych:

Cześć, Hannah, tu Grant, przyjaciel Daveya. Melduję, że Davey jest już po operacji, doszedł do siebie, ale jest trochę oszołomiony. Chirurg powiedział, że wycięli to, co chcieli, i są zadowoleni, bo wszystko poszło dobrze. To Davey prosił, żebym do Ciebie napisał. Jeśli chcesz, możesz pisać do mnie. Myślę, że Davey później spróbuje do Ciebie zadzwonić. Grant x.

Odpisując mu, zauważam, jak krótkie mam paznokcie. Przez to wszystko nabrałam nawyku ich obgryzania. Bardzo dziękuję Grantowi za informacje, piszę, że czuję ogromną ulgę. I nic więcej. Boję się, że mogę powiedzieć za dużo.

Davey nie daje znaku życia, czekam, aż będzie odpowiednia pora następnego dnia, i do niego dzwonię. Nie odbiera, więc uznaję, że wciąż odpoczywa, śpi. Dzwonię później, a kiedy się odzywa, słyszę, że jest załamany. A kto by nie był, biorąc pod uwagę, przez co przechodzi. Wiem, że wieczny optymizm zastąpi nieuchronna depresja. Czuję to. Chciałabym wziąć to, co pozostało z raka w jego węzłach chłonnych, i uczynić moim, żeby już nigdy nie musiał przez to przechodzić.

– Nigdy więcej nie mów takich rzeczy – protestuje ostro. – Nie chcesz tego. Wierz mi.

– Tak mi przykro. Tak mi przykro z powodu tego wszystkiego.

– To nie twoja wina. – To odruchowa odpowiedź. Nie mówi nic więcej.

– Chciałbyś, żebym do ciebie przyjechała? – pytam bez zastanowienia.

Milczy przez chwilę, po czym:

– Nie. Dziękuję. Ale nie.

– Jesteś pewny?

– Nie chcę, żebyś widziała mnie w takim stanie.

– Naprawdę? W jakim? Nie mogę...

– Po tym wszystkim będę wyglądał zupełnie inaczej, nie będę taki, jakim mnie poznałaś – mówi po prostu, a ja naciskam, bo nie wiem, o co mu chodzi. Davey nabiera powietrza. – Widziałem tu facetów w moim wieku. Wiem, co mnie czeka. Będę brał mnóstwo sterydów. Stracę włosy, więc Grant przyjdzie jutro ogolić mi głowę. Muszę się przyzwycząić. To jedyne, na co mam wpływ. Pozbędę się włosów, zanim zacznę chemię.

Kiwam głową i próbuję mówić beztrósco i seksownie, udawać, że wszystko jest okej, ale mimo starań wcale mi się to nie udaje.

– Podobają mi się niegrzeczni chłopcy. Przyślij mi zdjęcie.

– Nie – odpowiada poważnie. – Żadnych zdjęć. Żadnych wideoczatów.

Jego reakcja jest tak ostra, że zamykam oczy.

– Rozumiem – mówię cicho.

– Dziękuję ci, ale pewnie tego nie zrozumiesz, i to nie twoja wina. Posłuchaj, Hannah, muszę się przespać. Jutro wielki dzień.

– Co będziesz...

– Bank spermy. Jutro będę oglądał pornosy i spuszczał się do słoika – wyjaśnia, śmiejąc się trochę głupawo. Zakrywam ręką usta na ten nieoczekiwany zwrot w rozmowie.

– Wiesz, gdzie mnie szukać, jeśli będziesz... – Urywam, bo nie wiem, co powiedzieć, żeby nie zabrzmiało nieprzyzwoicie.

– ...potrzebował ręki? – podsuwa ponuro, a ja zaczynam się śmiać, cicho, żeby go nie zdenerwować.

Po drugiej stronie linii słyszę jednak jego chichot i teraz śmiejemy się razem. To miłe. Jest jak dawniej. Po czym przypominam sobie, że nie jest. Mówimy sobie „do widzenia” i że wkrótce znów pogadamy, jednak ziemia już zaczyna usuwać nam się spod nóg.



Pod koniec miesiąca rozpoczyna się chemioterapia, rozmawiamy wieczorem, przed pójściem Daveya do szpitala. Przez kolejne trzy dni będzie pacjentem stacjonarnym, a potem przeniesie się do rodziców. Umowa najmu jego mieszkania wygasła i teraz ma jedynie dwa duże plecaki, które spakował na wyjazd do Londynu, tylko że nadal jest w Teksasie. Trudno nam znaleźć chwilę sam na sam, ponieważ jego mama wciąż się koło niego kręci.

Jutro pojedzie z nim tata.

– Jest zrobiony z twardszego materiału – mówi Davey po prostu. – I szczerze mówiąc, nie zniosę więcej płaczu mamy.

Notuję w pamięci, żeby podczas naszych rozmów już więcej nie płakać. Będę pogodna i pełna optymizmu i mam nadzieję, że nie za bardzo irytująca. Kiedy jednak mówi, że cykle chemioterapii zajmą kilka miesięcy, jestem zdołowana i kraje mi się serce. Czuję się tak idiotycznie beużyteczna i oddalona od niego bardziej niż dotąd. Powinnam przestać mówić „okej”. Muszę znaleźć inne słowa, lecz mi się to nie udaje.

„Wszystko będzie dobrze”, to teraz moje ulubione zdanie. Wiem jednak, że działa mu na nerwy. Za każdym razem, gdy to mówię, milknie.

Podczas jego pierwszego, długiego i paskudnego cyklu chemioterapii prawie nie rozmawiamy. Wysyłam mu słowa mające dodać odwagi, a ponieważ chcę, by wiedział, że po zakończeniu tego wszystkiego czeka na niego normalność, wysyłam mu zdjęcia pierwszych przebieśnięgów, które zakwitły w parku, i od czasu do czasu moje, na których się uśmiecham. Wydaje mi się, że na wiadomości od niego czekam wieczność, lecz wciąż jestem radosna, pełna nadziei, choć w głębi duszy przerażona.

Kiedy Davey jest już w domu po pierwszym trzydniowym pobycie w szpitalu, wreszcie rozmawiamy. Mówi okropnie, jest otumaniony, w jego głosie brzmi zmęczenie. Wypełniam więc ciszę, gadając o tym, jak mi minął dzień, że znów zaczęłam chodzić na siłownię, że Miranda, po raz pierwszy od wieków, mi towarzyszy. On słucha i nagle zaczyna płakać. Przestaję paplać.

– Davey?

– Przepraszam.

– Za co?

Milczy. Nie mówi, co czuje. Nie chcę naciskać, ale nie chcę też, by czuł się zagubiony i samotny.

– Powiedz mi – proszę.

– Nie mogę. To takie popieprzone. Ja jestem popieprzony.

– Nie jesteś. To straszne. To wszystko jest straszne i dzieje się tak szybko.

– Po prostu leżę, a chemia próbuje przegonić raka.

– Wiem. Ale pewnego dnia to się skończy... Czytałam statystyki. Masz osiemdziesiąt procent szans na pełne wyzdrowienie. To bardzo dużo. Musisz tylko wytrwać, tylko... wytrwać.

– Tak – zgadza się ze mną. – Ale jest też dwadzieścia procent, że umrę. Nie taką szansę bym wybrał. Wiesz, w jakimś sensie uważałem, że jestem niezwyciężony. Że tak naprawdę nic mnie nie złamie. A jednak.

– Nie, nie myśl w ten sposób. Nie mów takich rzeczy.

– To są drobiazgi, ale też wielkie sprawy. Pielęgniarka dała mi tabletki przeciw wymiotom. Nie sądziłem, że będę ich potrzebował. Wierzyłem, że nie poczuje się źle, więc ich nie wziąłem. Ale oczywiście zacząłem się źle czuć. Bo mam pierdolonego raka. Rzygałem przez całą noc. Mama nie wiedziała, co się dzieje. Nie mogłem przestać nawet na moment, żeby jej powiedzieć, że nie wziąłem tabletki. Nie rozumiała biedna, dlaczego torsje są tak gwałtowne. Nie mogłem nawet odetchnąć.

Zamykam oczy, łzy płyną, ale nie mogę mu powiedzieć, co się ze mną dzieje. Bo to, co dzieje się z nim, jest o wiele gorsze i niewyobrażalne.

– Hannah – mów Davey cicho – między nami nie powinno tak być.

Opadam na łóżko i przytulam się do poduszki.

– Wiem.

– Nie tak powinniśmy zacząć. Dużo o tym myślałem. Miałem na to mnóstwo czasu, kiedy leżałem i nic nie robiłem. To nie w porządku. Nic z tego wszystkiego nie jest w porządku. To, że rak się pojawia, gdy mam dwadzieścia dziewięć lat, nie jest w porządku. Operacja, chemia, wymioty, sterydy – nic z tego nie jest w porządku. I że inni muszą przechodzić przez to razem ze mną. Nic nie mogę na to poradzić. Mama i tata. Grant. Ty.

Mówię mu, że jestem szczęśliwa, że mogę być w tym razem z nim. No, może nie szczęśliwa, ale obecna przez całą tę jego straszną podróż.

– A ja nie jestem – odpowiada Davey. – Bo to też nie jest w porządku i żadne z nas się na to nie pisało... Kończę to. – Czuję zimno na całym ciele, mam wrażenie, że po obu stronach mojej twarzy przesuwają się lodowate palce. – Kończę to – powtarza, gdy nie odpowiadam. – Już dłużej nie będziesz... na tym gównianym rollercoasterze. Ja jadę dalej. Ty wysiadasz.

O mój Boże. Łzy cisną mi się do oczu, nie mogę mówić.

– Jesteś tam? – pyta.

Kiwam w milczeniu głową, po czym orientuję się, że muszę odpowiedzieć.

– Tak. – Wypuszczam powietrze i stwierdzam, że przez kilka sekund nie oddychałam. On nie mówi poważnie.

– Dobrze się czujesz? – pyta ze szczerą troską, a przynajmniej tak mi się wydaje.

– Nie, oczywiście, że nie. Nie chcę się z tobą rozstawać. A ty naprawdę tego chcesz?

– Tak – oznajmia Davey i nie mogło to zabrzmieć bardziej poważnie.

– Nie. Nie rób tego. Ledwie zaczęliśmy i tak ma się to zakończyć? – Davey zaczyna coś mówić, lecz mu przerywam: – To minie. Chemia się skończy. Wyzdrowiejesz, przyjedziesz tutaj i...

– Nie. Nie wierzę, że tak będzie.

Zaszokowana wpatruję się w lustro, mam oczy jak spodki.

– Nie przyjedziesz tutaj? Po tym...

– Nie sądzę. Teraz nie mogę tego powiedzieć. Nie wiem, co będzie potem.

– Och... – Myślę szybko. Lubię go. Nie jestem gotowa na to, by zrezygnować z tej znajomości tak łatwo jak on. – Wobec tego... ja przyjadę do ciebie.

– Nie, dziękuję – mówi chyba bardziej uprzejmie, niż by chciał. – Nie chcę tego. Nie chcę cię widzieć.

To jak cios w żołądek.

– O Boże, rozumiem...

– To nie tak... – próbuje wyjaśnić.

– A potem... kiedy to wszystko się skończy?

– Nie – mówi znów, a do jego głosu wraca surowość. – Jeśli powiem „tak”, jeśli powiem „bądź ze mną”, to nie będzie uczciwe. Twoje życie zatrzyma się z powodu faceta podłączonego do monitorów i kroplówek. Hannah?

– Słucham.

– Wcisnęłaś w swoim życiu pauzę. Dziś to się skończy.

Staram się zwalczyć lęk, że on naprawdę tak myśli. Obiecuję sobie, że dam mu czas, by się nad tym zastanowił.

– Nie układam sobie życia z myślą o tobie – zapewniam.

Czy on ma rację? Czy tak właśnie było? Nie wtedy, kiedy wszystko było normalne albo na tyle normalne, jak mogło być między nami. Jednak tych ostatnich kilka tygodni, odkąd został zdiagnozowany, odkąd miał przejść przez automatyczne drzwi na lotnisku i nie przeszedł... tak, od tamtego czasu tak właśnie było. A niby co innego miałam zrobić?

– Naprawdę cię lubię – wyznaję. – Proszę, nie rób tego. Przemyśl to.

– Ja też bardzo cię lubię i nie robiłem niczego innego, tylko o tym rozmyślałem. To właściwa decyzja. Najlepsza decyzja dla nas obojga. Związek na odległość nie zadziała. To nie w porządku wobec mnie. Jestem zbyt chory, żeby sobie z tym poradzić. I nie w porządku wobec ciebie, ponieważ mogłabyś być z kimś innym.

– Ale ja nie chcę – protestuję, jednak Davey milczy. – Poczekam. – Mam nadzieję, że może jednak go przekonam. – Zrobmy sobie przerwę, a za sześć miesięcy, kiedy skończysz chemię...

– Nie – odpowiada z westchnieniem. – Nie, Hannah. W pewnym sensie jestem więźniem i nie wiem, czym sobie na to zasłużyłem. Nie możesz być częścią mojego życia ani teraz, ani potem. Już podjąłem decyzję.

– Wiem, ale... ale czuję, że to najpoważniejszy związek, w jakim kiedykolwiek byłam i...

– ...ale nie jest prawdziwy, Hannah. – Jeśli to, co mówił poprzednio, mnie zraniło, to te słowa rozwalają mnie do reszty. Walczyłam z czymś, z czym żadne z nas nie mogłoby sobie poradzić, gdybyśmy nie byli razem. A teraz, kiedy wiadomo, że się nie spotkamy, on nie zamierza tego ciągnąć. Jak mam go przekonać?

– Teraz pozwolę ci odejść – mówi, a ja nie wiem, czy ma na myśli rozmowę i mogę pójść spać – czego oczywiście nie zrobię – czy pozwala mi odejść, zniknąć w świecie, który zamieszkiwałam, zanim go poznałam. Nie chcę ani tego, ani tego.

– Czy mogę... czy mogę do ciebie zadzwonić?

– Hannah – mówi błagalnym tonem.

– Za tydzień lub... Czy nie może zostać tak, jak jest teraz? Zaczęliśmy jako przyjaciele, czy nie możemy nadal nimi być?

– Tak naprawdę to nie zaczęliśmy jako przyjaciele. Zawsze było coś więcej. Też musiałaś to poczuć. Nie pomaga mi, i mu to mówię, co jest gwoździem do trumny tej rozmowy. Wątle ogniwa naszego związku się rozpadają i nie mam siły na nowo ich połączyć.

– Muszę kończyć. Hannah. Nie chcę, żeby to zabrzmiało niegrzecznie, ale więcej do mnie nie dzwoń.

Nabieram tak dużo powietrza, że aż boję się, że się zakrztuszę. Co mam zrobić, żeby to trwało, jak sprawić, by Davey nie zakończył tej rozmowy?

– Do widzenia, Hannah.

– Davey?

– Ty też musisz powiedzieć „do widzenia” – instruuje mnie. – Nie mogę tak po prostu się rozłączyć. Musimy powiedzieć sobie „do widzenia”.

Liczę do trzech, ociągając się, bo to naprawdę nie może się tak skończyć.

Ponieważ jednak nie mam już nic do powiedzenia ani siły, by walczyć, na „trzy” szepczę:

– Do widzenia.

A on się rozłącza.

ROZDZIAŁ 11

Hannah, luty

Patrzę, jak płynie życie. Ludzie śmieją się i uśmiechają, żartują z przyjaciółmi, przebiegają obok mnie, gdy w ostrą mroźną zimę siedzę w parku Wanstead Flat koło łąki. Szczęśliwi spacerowicze cieszący się weekendem gwizdzą i nuca pod nosem, a ja mam ochotę krzyknąć: „Jak możecie to robić!? Nie wiecie, co się dzieje z mężczyzną, którego... Nie wiecie?! Ja też nie”. Patrzę, jak ojcowie pchają wózki, na migające w oddali czerwone światło Canary Wharf... rozbłyskuje, gaśnie, rozbłyskuje, gaśnie... wciąż i wciąż na zimowym niebie. Jestem wykończona. Psychicznie. To dziwny rodzaj żalu, choć przecież nikt nie umarł. Przez ostatnich kilka dni, odkąd Davey zakończył to, co było między nami, oznajmiając, że nigdy się nie spotkamy, wpadłam w kanał: użalam się nad sobą i wpatruję w telefon, pragnąc, by zadzwonił.

Davey jednak dotrzymuje słowa i nie dzwoni. Ale to nie może się tak skończyć. Po wszystkich tych tygodniach – gdy prowadziliśmy pełne aluzji rozmowy, robiliśmy plany – po wszystkich tych chwilach, które dzieliliśmy, nie może tak być. Obawiam się jednak, że tak właśnie jest.

A najtrudniejsze jest to, że wiem, iż Davey przechodzi teraz przez najtrudniejszy czas w życiu i nie chce, bym w jakikolwiek sposób była tego częścią. Nie chce do mnie dzwonić. Nie chce, żebym ja do niego dzwoniła, by go wspierać. Kiedy moje koleżanki były porzucane, nasłuchiwałam się opowieści o rozpaczach i złamanym sercach i zawsze się zastanawiałam – nie rozumiejąc tego – jak kobieta może być tak bardzo zakochana w mężczyźnie, że gdy ten znika z jej życia, zamienia się w rozmarudzony wrak człowieka. Teraz to wiem i przepraszam w myślach wszystkie moje przyjaciółki, które pocieszałam, gdy zanosily się płaczem, a z ich piersi wyrwał się szloch. Bo już wiem, jak to jest. Nigdy nie zostałam porzucona przez mężczyznę. Davey mnie porzucił i w dodatku spotkało go coś strasznego, a ja nie mogę nic zrobić. Muszę to prostu zaakceptować. Dla niego. Ale to takie kurewsko trudne.



Stoję z Joan w ogrodzie, a w chmurach nad naszymi głowami wzbiera lutowy śnieg z deszczem. Moja komórka przypomniła mi, że dziś są walentynki. Ze wstydem przyznaję, że pokazałam im środkowy palec. Od kilku tygodni widziałam w sklepach całe to czerwone gówno i miałam nadzieję, że już zniknęło.

Obie spoglądamy w górę. Naciągamy kaptury zimowych kurtek, jako drugą warstwę mamy szlafroki. Powinnyśmy przenieść się z naszą pogawędką do domu, lecz przez ostatnich kilka lat się zahartowałyśmy i ani razu nie weszłyśmy środka. Pewnie pominiemy kilka tygodni, jak to ostatnio bywało, a ja przepraszam Joan, że przegapiłam tyle spraw z jej życia. Ze swojego też.

Opowiada mi o Geoffie. I o ich zbliżającym się rejsie. Oceniamy kawę na pięć, a ja wpatruję się w ulotkę na jej temat, którą dała mi Joan. Niby jest jak zawsze, ale kiedy relacjonuje mi, jak poznała rodzinę Geoffa, zdobywam się jedynie na wymuszony uśmiech. Mówi też o tym, jak planują wspólne niedzielne lunche. Joan jest rozsądną kobietą. Nawet nie rozważa wprowadzenia się do Geoffa, za wcześniej na to. Wiem jednak, że w końcu to się stanie, i wreszcie uśmiecham się szczerze, choć Joan mówi już o czymś innym.

To ona wspomina o Daveyu, pyta, jak się czuje, pyta, jak czuję się ja. Od ostatniej rozmowy z Joan sytuacja się zmieniła i muszę jej wyznać, że nie jesteśmy już razem. Nigdy nie byliśmy. A teraz naprawdę już nic nas nie łączy.

– Rak to sukinsyn – stwierdza Joan, a ja uśmiecham się ironicznie.

– O tak.

– Więc... Davey tu nie przyjedzie? Po tym wszystkim?

Kręcę głową.

– Ani ty nie pojedziesz do niego? – sonduje.

Znów kręcę głową.

– Nie wolno mi. Chciałabym być dziewczyną, która wsiada do samolotu i po prostu się pojawia, jestem jednak przekonana, że popełniłabym błąd. Davey byłby przerażony.

Joan wciąga przez zęby zimne powietrze i kręci powoli głową.

– Może to wymaga czasu. Może on potrzebuje czasu.

Wydaję nieokreślony dźwięk.

– Nie wiem. Choć przykro mi to mówić, ale sądzę, że to koniec. Davey uważa, że nasz związek wymagałby od niego zbyt dużego wysiłku. Więc jeśli nie przyjedzie do Anglii, nawet gdy wyzdrowieje... jeżeli wyzdrowieje... – Urywam, walcząc ze łzami i próbując się opanować. – To będzie koniec. Ale co mogę zrobić? Nic.

Joan sięga ponad ogrodzeniem i nakrywa dłonią moją dłoń spoczywającą na słupku.

– Joan... – zagajam, gdy zamierzamy zakończyć nasz poranek. To, co łączyło mnie i Daveya, było tak ulotne, że nie da się porównać ze wspólnym życiem, małżeństwem, mimo to zadaję pytanie: – Czy myślisz czasem o swoim mężu?

– Tak, bez przerwy.

– A nie czujesz się dziwnie, gdy będąc z innym mężczyzną, wracasz do niego myślami?

– Miałam dużo czasu, żeby pogodzić się z odejściem Richarda, a trzeba cieszyć się życiem. Nie ma sensu żyć przeszłością. To, co było między nami, było wyjątkowe i nie zniknęło. Zawsze będzie. Dopiero teraz, po tych wszystkich latach, mam w sercu miejsce dla kogoś innego.

Staram się wyciągnąć z tych słów to, co dla mnie istotne. Kiedyś odpuszczę. Ostatecznie. Ale jeszcze nie teraz. I to jest okej.



Przez ostatnich kilka tygodni unikałam George'a, nie czułam się na siłach ćwiczyć. Raz szybka odpowiedź na SMS-a, innym razem emotka z uniesionym kciukiem.

Pozwoliłam sobie być gównianą przyjaciółką, jednak w połowie przerwy na lunch, kiedy stałam w Pret w kolejce po zupę i sałatkę, to pozwolenie zostało anulowane, ponieważ wreszcie do mnie zadzwonił. Mimo że Davey stanowczo oznajmił, że nie będzie się do mnie odzywał, jestem rozczarowana, gdy telefonuje ktoś inny, kogo mam w kontaktach.

Na wypadek gdyby to była pomyłka, pozwalam, by wybrzmiało kilka sygnałów.

– Halo? – rzucam wreszcie, przyciskając telefon do ucha i jednocześnie płacąc kartą za jedzenie.

– O rany, a jednak żyjesz! Fajnie, super, no to kończę. Pa. – George milknie, choć oczywiście się nie rozłącza.

– Cześć – odpowiadam z poczuciem winy. Wychodząc na zimną ulicę, natychmiast przepraszam za to, że jestem taką okropną przyjaciółką.

– Wakacje! – krzyczy do słuchawki, zamiast normalnie odpowiedzieć. – Muszę pogadać z tobą o Tajlandii. – Jestem w szoku, bo uświadamiam sobie, że to już za parę dni. – Pojedziemy na lotnisko razem czy spotkamy się na miejscu?

– Hm... – Nie wiem, co odpowiedzieć. „Ja nie jadę” – to jest odpowiedź, która cisnie mi się na usta, jednak milczę.

– To nie jest podchwytliwe pytanie. Mogę podjechać i cię zabrać. A jeśli ma być z klasą, to może weźmy Ubera? Nie będziemy się męczyli targaniem walizek do metra, prawda?

– Tak.

– „Tak” co? Tak dla Ubera czy tak dla metra?

– Wszystko jedno.

– No to Uber. Zamówię.

Nie jadę. Chyba za sekundę mu to powiem, George jednak wciąż gada, a ja nie mam siły powstrzymać tego młodzieńczego, pełnego ekscytacji potoku słów. Wymienia całą listę miejsc, które chce zobaczyć w Bangkoku. Kupił przewodnik i prawie każda strona ma ośle uszy. Kiwam w milczeniu głową. Nie mam siły na żadne zwiedzanie. Jestem w stanie tylko wstać, iść do pracy i wrócić do domu. Jadę na autopilocie i nie potrafię skupić się na podróży samolotem i wakacjach, podczas których George wcielił się w przewodnika. Jestem wykończona. Potrzebuję wytchnienia. Muszę odpocząć i choć przez kilka minut nie myśleć o Daveyu. Przecież mogę odpoczywać w domu, oglądając telewizję i czytając książkę. I nie spędzać czasu z George'em. To okropne, że jestem taka okrutna. Postanawiam posłuchać, co ma do powiedzenia, lecz on milczy, więc to najwyraźniej moja kolej, żeby się odezwać.

– Coś się stało? – pyta. – Co się dzieje?

Jego intuicja mnie zadziwia.

– Co masz na myśli?

– W czym problem? Dlaczego wszyscy jesteście tacy dziwni?

– Ja nie jestem dziwna. Czy jestem?

– Jesteś. Twój entuzjazm wygląda na... zerowy.

– Przepraszam... – I z nieznanym mi powodów oznajmiam mu najprościej, jak tylko się da: – Zostałam porzucona.

– Przez kogo? – pyta natychmiast.

A ja, stojąc w cieniu otaczających mnie gotyckich i nowoczesnych przeszklonych budynków City, o wszystkim mu opowiadam. Słucha uważnie. Nie obnażam duszy – nie przed George'em. Relacjonuję mu całą historię od początku do końca. Kiedy skończę i oznajmię, że nie mam nastroju na wakacje, że pokryję koszty i mam nadzieję, że miło spędzi czas, bo ja w tej chwili jestem najgorszą towarzyszką podróży na świecie... on na pewno zrozumie i będzie wdzięczny Bogu, że z nim nie jadę.

George jednak mówi:

– Och, Hannah. To okropne. Biedny facet.

– Wiesz już, dlaczego nie mogę jechać? Dlaczego nie mogę się zmusić, żeby się dobrze bawić? Naprawdę będzie ci lepiej beze mnie. A ja pojedę na trochę do rodziców. Do Tajlandii nie dam rady.

Milczy, a ja czekam na jakąś refleksyjną odpowiedź, lecz on rzuca tylko:

– Nie bądź cipą.

Zaszokowana otwieram szeroko oczy.

– Nie jestem cipą.

– Ależ jesteś. Zostałaś porzucona. Każdemu się zdarza. Tyle że gdyby każdy robił sobie przerwę od życia, tylko dlatego że ma trudny okres, to samoloty na całym świecie byłyby zajęte zaledwie w połowie. – Próbuję się wtrącić, lecz on kontynuuje: – Wykop paszport, zdmuchnij kurz z ciemnych okularów, a pojutrze widzę cię w Uberze.

Jak to możliwe, że czas płynie tak szybko, że to już pojutrze? Nawet nie powiedział „do widzenia”, po prostu się rozłączył. Uświadamiam sobie, że George zawsze musi mieć ostatnie słowo.

Jedną ręką jem przy biurku zupę, a drugą wystukuję wiadomość:

George, nie jadę.

I wciskam „wyślij”.

Widzę, że jest online, po czym znika. Nawet nie odpowiada. Jestem cipą. Wiem, że tak. Stracę przez to przyjaciela, ale mówię poważnie: nie mogę jechać. Może gdybym nie wybierała się z George'em, byłoby łatwiej. Może byłabym szczęśliwa – słowa „szczęśliwa” używam bardzo ostrożnie – gdybym wakacje spędziła sama. Bo nie zniosę George'a, który ma podejście do życia jak króliczek Duracella. Nie teraz. I nie pojutrze. I nie przez dziesięć dni w Tajlandii z jego przewodnikiem z oślimi uszami. Choć przecież większość wieczorów spędzę sama, bo on zamierza uganiać się za dziewczynami na jednorazowy numer, więc będę mogła się nad sobą uzalać.

Mam ochotę wysłać wiadomość do Daveya. Napisać mu coś okrutnego i łamiącego serce, na przykład: „Pamiętasz tego trenera osobistego, z którym się umawiałam, kiedy ty i ja dopiero się poznawaliśmy? Pamiętasz, że miałam jechać z nim na wakacje? No to jadę. Miłej samotności”.

Piszę jednak co innego.

Powiedział, że bym się z nim nie kontaktowała. To jest takie okrutne, takie świeże – dziwny związek, którego nie było i jego koniec – mimo to piszę:

Tęsknię za Tobą. Chciałabym, byś tego nie kończył. Jak się czujesz? Radzisz sobie? Zadzwoń. Jestem przy tobie.

Nie wiem, co jeszcze napisać, więc wpatruję się w kursor migający na końcu zdania, po czym naciskam „backspace” i trzymam klawisz, dopóki cała wiadomość nie zniknie. Spoglądam na górę ekranu: jest offline. „Davey, widziano dzisiaj o 12.01”. Zaledwie godzinę temu. Do kogo pisał o tej porze? Co teraz robi? Czy to jeden z dni jego chemioterapii? Nie mam pojęcia. Brakuje mi naszych rozmów, naszego śmiechu, bycia razem, mimo że jesteśmy tak daleko od siebie. Tęsknię za wszystkim. Idę do toalety, zamykam się w kabinie i płacę najciszej, jak potrafię, żeby nikt mnie nie usłyszał.



Dzwonek do drzwi rozbrzmiewa w środku nocy. Zrywam się gwałtownie. Miałam sen. Rozmawiałam z Daveyem. Nie wiem, o czym, ale się śmiałam. Obudziłam się z uśmiechem, bo to było coś cudownego, nawet nie wspomnienie, tylko marzenie o tym, co mogłoby się jeszcze wydarzyć. Znów słyszę dzwonek, mrugam zaszkokowana i gramolę się z łóżka. Uchylam drzwi, nie zdejmując łańcucha, i patrzę w twarz George'a.

– No i co tam? – odzywa się, mierząc mnie wzrokiem od stóp do głów. Widzi piżamę i potargane „łóżkowe” włosy. – Potrzebujesz kilku minut? – pyta.

– Na co? Co ty tu robisz?

– Kochana, czas na taksówkę. Zaspałaś? Ja nawet się nie kładłem. Nie było sensu.

Wpatruję się w niego bezmyślnie.

– Nie jadę – informuję go.

– Co to ma, kurwa, znaczyć?

Zamykam drzwi, zdejmuję łańcuch i otwieram je na całą szerokość. Na jego twarzy maluje się dezorientacja. Znów mierzy mnie wzrokiem i dociera do niego, dlaczego nie jestem ubrana.

– Nie sądziłem, że mówisz poważnie! – krzyczy. – Hannah, musisz jechać...

– Nie chcę.

– Nie obchodzi mnie to. Ubieraj się i jedziemy.

– George... – jęczę błagalnie.

– Nie – warczy, wpychając się do mieszkania. – Masz dwie możliwości: ubierasz się, bierzesz bagaż i zanosisz do taksówki, w której będę czekał. Maksymalnie dziesięć minut. Albo ubierasz się, dajesz mi bagaż, a ja zanoszę go do auta, po czym siedzę tu, żeby cię przypilnować.

– George!

– Ubieraj się, Hannah, do jasnej cholery! Raz, dwa! – Popycha mnie w stronę prysznicza. – Nie mamy właściwie czasu na twoje kąpiele, ale to cholernie długi lot. Więc się pospiesz. Gdzie twoje rzeczy?

Udaje mu się wypatrzeć w kącie sypialni walizkę.

– To ta? Spakowana? Kobieto, lepiej, żeby, do cholery, tak było, bo...

– Ja... jestem... nie, nie jestem...

– Jeśli jeszcze raz powiesz, że nie jedziesz, przysięgam na Boga, że wpadnę w szal. Prysznic, ale już! Paszport?

– Na komodzie – odpowiadam. Nie mam wyjścia. On nie odpuści.

Bierze mój paszport i wkłada wraz ze swoim do kieszeni dzinsów.

Dziesięć minut później kończę myć zęby, wciągam legginsy, luźny podkoszulek i sweter – z myślą o locie samolotem, choć nie wierzę, że do niego wsiądę. George lustruje mnie z góry do dołu.

– Na miłość boską, znów wbiłaś się w piżamę?!

– Nie! – jęczę, zakładając tenisówki. – Jestem ubrana.

– Wyglądasz dokładnie tak samo jak dziesięć minut temu – stwierdza z niedowierzaniem. – No dobra, idziemy.

– Chwileczkę. – Biegam w kółko i w ostatniej chwili łapię niezbędne rzeczy: ładowarkę do telefonu, portfel i potwierdzenie rezerwacji lotu. Jeśli czegoś zapomniałam, kupię na lotnisku. Jak przez kilka ostatnich tygodni, działam jak na autopilocie.



To dziwne znów być na lotnisku. Z całych sił staram się, by mnie to nie przytłoczyło. Zaledwie miesiąc temu tkwiłam tu, czekając na mężczyznę, który się nie pojawił. George prowadzi mnie jak zagubione dziecko, oddaje do odprawy nasze bagaże, ma wydrukowaną moją kartę pokładową, jakby wiedział, że będzie z tym problem.

Siadamy twarzami do pasa startowego i obserwujemy, jak koła lądujących samolotów dotykają asfaltu, a maszyny lekko podskakują. Właśnie wschodzi słońce. Samoloty startują pod niemal niemożliwymi kątami, koła składają się i chowają, gdy wzlatają w niebo. Też bym tak chciała. Schować się i stać niewidzialna.

Zamykam oczy i próbuję zasnąć. Jakbym była dzieckiem. George powie mi, kiedy trzeba się obudzić i ruszać. I to robi. Przedtem, mniej więcej po godzinie, poszedł do sklepu i kupił nam po gąbkowej poduszce. Patrzę na niego z wdzięcznością, bo ja nie dałabym rady. Kładzie mi rękę na plecach i prowadzi do samolotu.

Szuka naszych miejsc, sprawdzając numery na kartach pokładowych, po czym kieruje mnie na fotel przy oknie, pozwala na niego opaść, wtulić się w kąć z głową na nowej poduszce i przespać pierwsze godziny lotu.

Przed lądowaniem George śpi, a ja już nie. Patrzę na niego, wygląda bardzo spokojnie, jest taki zrelaksowany. Też się tak kiedyś czułam, i to nawet nie tak dawno temu.

Wita nas cudowne słońce. Wychodzimy na pałacowy wilgotny upał, a telefon informuje, że jest dwadzieścia dziewięć stopni.

Nasz hotel znajduje się przy Khao San Road. Nic nie mogę na to poradzić, ale rozprasza mnie gwar, zamieszanie, jakie robią turyści z plecakami i bez, upał i słodko-ostre zapachy. Nadchodzi wieczór i się meldujemy. Niczego tak nie pragnę, jak wziąć prysznic i przespać całą noc, jednak George wyciąga mnie na uliczne jedzenie. Spacerujemy, jedząc, po pachnących piżmem ulicach, George przez cały czas jest obok mnie, kierując mną w tłumie i ulicznym ruchu. Tuk-tuki mijają nas ze świstem, a George pyta, czy jutro taki wynajmiemy. Uznaję, że powinnam zacząć okazywać entuzjazm. Tylko George powstrzymuje mnie przed ucieczką od życia w jakąś ponurą boczną drogę, na której końcu czeka mrok, więc kiwam głową, zgadzam się, uśmiecham i w głębi duszy jestem podekscytowana tym, że pojedziemy tuk-tukiem. I choć jesteśmy tu dopiero od kilku godzin, wiem, że gdyby nie było przy mnie George'a, najprawdopodobniej siedziałabym w pokoju i zapuszczała się najwyżej na basen na dachu, i to by było tyle.

Entuzjazm George'a, to, że zachowuje się jak przewodnik, mogłoby doprowadzać mnie do szaleństwa, ale tak naprawdę potrzebuję tego, potrzebuję jego i cieszę się, że tu jest, że ja tu jestem. Kończymy jeść, wyrzucamy resztki do kosza, a ja kupuję nam dwie butelki strasznie słodkiego piwa, żebyśmy mogli je wypić w drodze do hotelu. Strzepnęliśmy z siebie kurz drogi. George promienieje, ponieważ po raz pierwszy, odkąd zadzwonił do moich drzwi poprzedniego dnia, okazałam zadowolenie. Biedaczek. Co go opętało, żeby tu ze mną przyjechać, choć wiedział, w jak marnym jestem stanie? Uśmiecham się do niego, a on odwzajemnia uśmiech, prezentując cały swój urok. Co zaskakujące, chociaż mamy dopiero luty, jest opalony. Czyżby nałożył samoopalacz? Gdy wkraczamy w zgiełk Khao San Road, otacza mnie ramieniem, a ja obejmuję go w pasie i tak ruszamy w stronę hotelu.

ROZDZIAŁ 12

Hannah

Ku mojemu zaskoczeniu kolejne dni to szła radości i upału, piwa i dobrego jedzenia – czasem zdrowego, czasem nie. Od mojego przyjaciela, trenera osobistego, nie usłyszałam ani słowa na temat liczby kalorii, które w siebie pakujemy. W dzień zwiedzamy, oglądamy kolejną imponującą, zdobioną złotem świątynię. Mój zapal jednak słabnie i nie ma to nic wspólnego z myślami o Daveyu, które wciąż powracają. Kiedy George przewraca stronę w przewodniku i czyta: *W świątyni Wat Saket...*, łapię go za kołnierz.

– Nie! – protestuję i mocno nim potrząsam. Jego głowa komicznie podskakuje, a on się śmieje.
– Koniec ze świątyniami, George. Teraz muzeum. Galeria. Cokolwiek. Byle nie świątynie.

– Dobra. To co chcesz zrobić?

Zastanawiam się.

– Mimo że do leniuchowania na wyspie Phuket mamy tylko tydzień, czy moglibyśmy pójść dziś na basen na dachu? Jak sądzisz? Koktajle, słodki jak ulepek sok z mango, kanapki klubowe, czytanie książek... i takie tam.

George zamyka przewodnik i na mnie patrzy.

– Dobra, chodźmy.

Zatrzymujemy tuk-tuka, który jest naszym ulubionym środkiem transportu, i wracamy do hotelu. Drzemimy w słońcu, pijemy więcej, niż powinniśmy, i znów drzemimy obok siebie na leżakach.



Po spędzeniu niemal tygodnia w Bangkoku pora ruszyć dalej. Okazało się, że George mnie nie porzucił, by szukać kobitek na jednorazowe numerki. Spędziliśmy naprawdę fajny czas. Lepiej się poznaliśmy, nasze dziwactwa i to, czym się różnimy. On jest zupełnie bezproblemowym towarzyszem podróży.

Nie chciało mi się oglądać próżnujących turystów z plecakami i przepychać się przez wirujący i falujący tłum, więc zrezygnowaliśmy z chodzenia po klubach i w ten ostatni wieczór postanowiliśmy pójść na drogą kolację. George zrobił mi niespodziankę i zarezerwował stół w restauracji o nazwie Sirocco. Nie powiedział mi o tym, zaznaczył tylko, żebym „ubrała się elegancko i włożyła najbardziej seksowną sukienkę, jaką mam”.

Tak też zrobiłam. George obiecał, że nie będziemy chodzili – tylko taksówki i tuk-tuki – więc założyłam pantofle na niewielkim obcasie. Gdy wysiadłam z hotelowej windy i spotkałam go w lobby, zagwizdał:

– Fiu, fiu!

– Co ty, ptaszek jesteś? – spytałam ze śmiechem, a on też się zaśmiał, lecz tylko przez sekundę. Obrzucił mnie spojrzeniem od stóp do głów.

– Gallagher, ależ się wystroiłaś!

– Ty też.

Opiera się o zimną marmurową ścianę lobby, ma na sobie ciemnoniebieski garnitur, choć marynarkę przerzucił przez ramię, bo noc jest gorąca. Czuję, że w ogóle jej nie włoży, wziął ją dla efektu. Przyjął taką pozę, jakby czekał, aż ktoś cyknie mu zdjęcie. Mówię, żeby zaczekał, wyławiam z torebki komórkę i go fotografuję. Myślę o mężczyźnie, który wciąż jest w moim telefonie, o dwóch zdjęciach przesłanych przez Daveya, na które nie patrzyłam, odkąd przestaliśmy ze sobą rozmawiać. Zauważyłam, że mój gniew na niego zmalał. Ludzie mówią, że czas leczy rany. Odkąd postanowił do mnie nie dzwonić, minęło już kilka tygodni, ja jednak wciąż za nim tęsknię. Brakuje mi naszych wspólnych dni, nieśmiałych planów, jakie robiliśmy. Żałuję, że nie naciskałam na niego, byśmy zostali przyjaciółmi. O tym właśnie rozmyślam, gdy jedziemy do Sirocco. George jest w szoku, że nie słyszałam o tej restauracji, i recytuje – jestem pewna, że słowo w słowo – to, co napisano o niej w przewodniku, który na szczęście zostawił w hotelu.

Restauracja znajduje się na sześćdziesiątym trzecim piętrze State Tower i gdy jedziemy windą, George nagle chwytą mnie za rękę i mocno ścisną.

– Czuję się doskonale – zapewniam pospiesznie.

– A ja nie – mamrocze. – Nie znoszę wysokości.

– Och, no to dlaczego tu jesteś?

– Ponieważ ma być wspañiale. Uznałem, że zasłużyliśmy na superwieczór.

Trzymam go za rękę, co i raz lekko ją ściskając, a winda niczym rakieta wiezie nas do nieba.

Wysiadamy z klimatyzowanej kabiny na ciepłą bryzę.

– O mój Boże! – wzdycham. Bar na dachu jest stworzony ze złota i szkła. Patrząc za siebie na złotą kopułę, z której się wyłoniliśmy, i szepczę: – O rany.

W oddali i na dole migają światła Bangkoku, zwiastując kolejną noc pełną możliwości. A gdy zaczyna grać zespół jazzowy, jestem do głębi poruszona i spoglądam na George'a, ciekawa jego reakcji. Wciąż ściska moją rękę, ma rozchylone usta, jakby chciał coś powiedzieć, lecz nie mógł znaleźć słów. I nagle podoba mi się to, że trzyma moją dłoń w swojej, teraz już nie dlatego, że chce mnie pocieszyć... Sama nie wiem dlaczego, lecz on mnie nie puszcza, a ja nie zabieram ręki. Ze wszystkich miejsc, w których byłam, to i tę chwilę zapamiętam na zawsze.

Obsługa prowadzi nas w dół po wielkich oświetlonych schodach i dobrze, że George trzyma mnie za rękę – ja i obcasy nie jesteśmy najlepszymi przyjaciółmi, zwłaszcza na schodach. Docieramy do stolika. Otacza nas noc, tylko świece delikatnie migoczą.

Siadamy w przepelnionym szczęściem milczeniu, oboje wpatrujemy się w horyzont i budynki poniżej nas, słuchamy jazzu. Kelner napelnia nasze szklanki wodą, opowiada o restauracji, podaje menu i zostawia nas samych, byśmy zdecydowali, jakie drinki zamówić.

– Zamierzam zjeść wszystko – oznajmia George, a ja się śmieję, widząc jego oczy lśniące wesoło w blasku świec.

Pokazujemy sobie dania, które nam się podobają, i komentujemy, jakbyśmy nagle wiedzieli, o czym mówimy. Koniec końców decydujemy się na menu degustacyjne, porzucamy ostrożność i pozwalamy, by nasz posiłek zaplanował szef kuchni, a sommelier dobrał wina do poszczególnych dań. Pięć dań, pięć kieliszków wina, nie wspominając o koktajlach, które George dodatkowo zamówił, przywołując kelnera. Jest entuzjastycznie nastawiony do wszystkiego i jego zapał do życia wydaje się zaraźliwy. Z nim czuję się o wiele lepiej, uwodzi mnie jego chłopięcy wdzięk. Uwielbiam taką swobodną rozmowę, przeskakiwanie z tematu na temat.

– Najgorsza randka? – rzuca George, gdy przybywa kolejne danie, delikatny krab z ogórkiem. Sommelier nadszedł z dwoma kieliszkami pysznego białego wina, wolno spływającego po szkle w wieczornym upale. Jem, piję i niemal natychmiast robi mi się wesoło. Jakaś część mnie pragnie, by ten wieczór nigdy się nie skończył. Jest idealnie.

– Najgorsza randka... – zastanawiam się. – Och, już wiem. – Próbując stłumić śmiech, opowiadam, jak pewien chłopak zabrał mnie do kina na musical *La, La, Land* i tak się wkręcił w film, że śpiewał każdą piosenkę. Myślał chyba, że to jest uroczce. O mało nie umarłam z zażenowania. To oczywiste, że nie byłam pierwszą dziewczyną, którą zabrał na ten właśnie film. Tyle osób mówiło mu, żeby się zamknął.

– Żenada! – prycha George, wzdragając się adekwatnie do sytuacji. Teraz ja pytam go o najgorszą randkę.

– Och, to chyba była moja wina – wyznaje.

Przesuwam się do przodu na krześle i obejmuję palcami nóżkę kieliszka z winem. To już trzeci, ponieważ kończymy trzecie danie. Jestem coraz bardziej wstawiona, najedzona, ale i zadowolona z dobrego towarzystwa.

– Dawaj! – domagam się głośno.

– Zabrałem dziewczynę na piknik. Znalazłem piękne miejsce. Wziąłem olbrzymi kosz pełen wykwintnego jedzenia, no wiesz, truskawki i szampan, wszystkie te wymyślne przekąski, które ludzie tak uwielbiają, pyszne paszteciki z wieprzowiną... nie wiem... już nie pamiętam. Sądziłem, że jesteśmy sami, i zanim zjedliśmy, zaczęliśmy się całować.

– Bajerant z ciebie! – komentuję.

– Staram się – odpowiada z szerokim uśmiechem. – No i nie zauważyliśmy, że podszedł wielki pies.

– Nie gadaj! Wszystko zjadł!

– Chciałbym. Zrobił wielką kupę na nasz koc. – Zaskoczona opluwam się winem, a on ciągnie: – Próbuję dostrzec zabawną stronę tej „przygody”, ale ona się nie śmieje. Wyrzucamy koc, zbieramy jedzenie,

pakujemy je i przenosimy się wyżej na wzgórze. Widok jest lepszy. Wyjmuję jedzenie, otwieram szampana, a ona zagląda do kosza i pyta, czy mam coś bez mięsa. Wskazuję truskawki, a ona pyta o sałatkę i takie tam. Tłumaczę, że faceci nie robią sałatek. No cóż, wtedy nie robiłem. A ona mówi mi naburmuszona, że jest wegetarianką i że powinienem o tym wiedzieć. Muszę przyznać, że poza tym popołudnie było nawet udane.

– O kurczę! No faktycznie najgorsza randka. – Przybyło kolejne danie. – A najlepsza?

George się rozgląda.

– Ta jest naprawdę niezła.

To luźny komentarz czy odpowiedź na moje pytanie?

– A to jest randka? – pytam żartobliwie.

– Jeśli tak, to na mojej liście na... pierwszym miejscu.

Uśmiecham się, a on puszcza do mnie oko, nie zwracając uwagi na niezręczność sytuacji, która mogłaby nas pogryźć. Ja jednak nie czuję się niezręcznie. George unosi kieliszek i mówimy jednocześnie:

– Zdrówko!

– No to powiedz mi teraz, dlaczego wysportowany trener osobisty George, który zabiera dziewczynę na fantastyczną randkę do restauracji na dachu, wciąż jest singlem? – pytam po chwili.

Teraz jego kolej, by się zastanowić. Po kilku sekundach odpowiada bez cienia uśmiechu:

– To raczej nie wina dziewczyn, to ja mam problem z dopasowaniem się. Tak, to zdecydowanie chodzi o mnie. – Czekam na więcej. – Chyba jestem dobry w bzykaniu – dodaje.

Unoszę brwi.

– Czy właśnie mi mówisz, że jesteś dobry w łóżku?

– Nie. – Jego uśmiech powraca. – Właśnie ci mówię, że w łóżku jestem epicki! Nadzwyczajny!

Wybucham śmiechem, lecz w środku czuję dreszcz.

Wzdycha.

– Ale związki... Wydaje mi się, że tę część knocę.

– Załapałam. – Opróżniam kieliszek.

Pojawia się kelner z następnym daniem – dzięki Bogu, że talerze są małe – a sommelier depcze mu po piętach, niosąc kolejne kieliszki.

– Jestem wstawiona – oznajmiam, ale nie zamierzam przestać pić. Gdy jedzenie i wino zostają z rozmachem zaprezentowane, dodaje: – No cóż, masz gadane, a randki są na poziomie. To urocze. Piknik na wzgórzu z szampanem i mięsne produkty brzmią cholernie zachęcająco. Z wyjątkiem psiej kupy. – George się śmieje, ja też. – No więc nie wiem, w którym miejscu popełniasz błąd.

– Jestem gościem, z którym miło spędza się czas. Wyglądam świetnie u boku dziewczyny, jestem idealny jako osoba towarzysząca na ślubie, ale związki... Och, dziewczyny chcą więcej, niż mogę im zaoferować. Właściwie nie mam kasy, pracuję w dziwnych godzinach, czasem prowadzę treningi z klientami do dwudziestej trzeciej, a kobitki chcą faceta, który będzie spędzał z nimi dużo czasu. Gdybym był kardiochirurgiem, jakoś poradziłyby sobie z moim harmonogramem, a tak szybko mają dość i uciekają.

– W ramiona kardiochirurga?

– Właśnie! Do jakiegoś ratującego życie sukinsyna. Teraz twoja kolej. Najlepsza randka.

Pamiętam randkę z Daveyem, nocne oglądanie filmu, kiedy tak doskonale zrozumiał moją dziwną fascynację *Pokojem z widokiem*. To jednak jest takie osobiste, to coś, czym nie chcę się dzielić. Poza tym trudno wyjaśnić, że randka na wideoczacie to najlepsza randka, na jakiej byłam. No i był Davey, nie miało znaczenia, co robiliśmy. Rozglądałam się i cytuję słowa George'a:

– Ta jest całkiem niezła.

Uśmiecha się i unosi kieliszek.

– Za kolacje wolne od psych kup – mówię, a George zaczyna się śmiać i powtarza głośno:

– Za kolacje wolne od psych kup!



Napchana dobrym jedzeniem, po wypiciu większej ilości wina niż przez całe życie, przespałam głęboko całą noc, ale jakimś cudem następnego ranka w samolocie wiozącym nas na wyspę Phuket znów zasypiam. Kiedy koła maszyny dotykają pasa, mam wrażenie, że zamknęłam oczy przed pięcioma minutami. George śpi obok mnie, albo raczej przytulony do mnie, bo podłokietnik między nami jest podniesiony. To powinno być

kępujące, a jednak nie jest. Szturcham go lekko i patrzę, jak przelyka przez sen, oddycha głęboko i powoli otwiera oczy. Jest nieogolony i kilkudniowy zarost nadaje mu nieco szorstki wygląd. Nigdy go takim nie widziałam.

Gdy jedziemy taksówką do hotelu przy plaży, zerkam na George'a, który w skupieniu studiuje przewodnik. Patrzę, jak przebiega wzrokiem strony, i czekam na: „Gdy się zameldujemy, czy będziesz miała ochotę na...”.

– Nie – ucinam, unosząc ciemne okulary. – Nie będę.

– Ale nie wiesz, co chciałem powiedzieć.

– Wiem. I nie, nie będziemy dziś zwiedzali. Dziś będą leżaki i koktajle wliczone w cenę – zarządzam. Śmieje się i zamyka książkę.

– Co tylko chcesz, Gallagher.

Meldujemy się, a ja doceniam to, że ręczniki leżące na moim łóżku złożone są w kształt słonia. Robię im zdjęcie i wysyłam Mirandzie. Potem schodzę na dół w nowym neonoworóżowym bikini i plażowym kimonie. Poprzedniego wieczoru zjadłam za dużo, żeby bikini zrobiło wrażenie, mimo to idę na plażę, gdzie czeka już George z leżakami, ręcznikami i drinkami.

– Piñacolada? – pytam i opadam na leżak, a obok kładę książkę, przygotowując się do spędzenia tu całego dnia. – Ale jest dopiero jedenasta.

– Przestrzegam twoich zasad wakacji all-inclusive i podaję ci ulubionego drinka – wyjaśnia i próbuje łyk. – Jezu, ale to słodkie. Jak możesz to pić?

– Ależ mogę. – Wypiłam już niemal połowę, i to jednym haustem, co nie robi wrażenia na moim lekkim kacu.

George upija kolejny łyk.

– Jakby lepsze. Dam radę.

– Odważny z ciebie facet – żartuję.

– I spędzimy tak cały dzień? Leżąc tutaj? I się opalając? Jedząc? Pijąc? Pływając?

– Straszna kara, nie? – Tłumię okrzyk, gdy George rzuca mi na brzuch kostkę lodu ze swojego drinka, a na mojej skórze zostaje lepki sok ananasowy.

Też rzucam w niego kostką, zamykam oczy i zamierzam znowu się przespać. Gdy po chwili otwieram oczy i zerkam na George'a, stwierdzam, że wciąż na mnie patrzy.

– Dobrze wyglądasz w tym bikini, tak przy okazji – mówi od niechcenia.

– Dzięki. – Mierzę go spojrzeniem od stóp do głów. Pasują mu te mięśnie. Niektórzy faceci wyglądają na zbyt żyłastych albo jakby zostali napompowani i rozciągnięci, a George ma wszystko na swoim miejscu. Co się ze mną dzieje? Odwracam wzrok. – Ty też prezentujesz się niczego sobie.

– Posmarowałaś się emulsją do opalania? – pyta, gdy znów zamykam oczy.

– Nie, tatuśku, jeszcze nie.

Dosięga mnie kolejny kawałek lodu, nie otwieram jednak oczu, tylko się uśmiecham, naprawdę szczęśliwa, gdy słońce równomiernie mnie ogrzewa.

Czuję, że ląduje na mnie coś delikatnego, coś dziwnego i ciepłego. Budzę się powoli i widzę, że George pochyla się nade mną i psika na mnie olejkiem do opalania. Mrugam leniwie i się w niego wpatruję.

– Zaczynałaś się przypalać, a nie chciałem cię budzić – wyjaśnia.

Kiwam głową, trochę zdezorientowana i senna. George wciąż klęczy obok mojego leżaka.

– Okej – mówię powoli.

– Teraz jednak uznałem, że pewnie powinienem cię obudzić, bo ten olejek tylko osiada na twojej skórze i wymaga rozsmarowania... – płacze się, a ja wciąż na niego patrzę. – Jeśli zrobiłbym to, gdy spałaś, to byłoby... – Mrużę oczy za okularami. George patrzy na mnie, a na jego twarzy maluje się troska, gdy kończy cicho zdanie: – ...molestowanie?

To, co powiedział, jest tak nieoczekiwane, że nie wytrzymuję i wybucham śmiechem. On nadal klęczy.

– Chcesz, żebym cię nasmarował? – pyta ostrożnie.

Bardzo chcę powiedzieć „tak”, lecz martwi mnie to, co się stanie, gdy to zrobi. Nie odpowiadam od razu, tylko siadam i sięgam po butelkę, którą wciąż trzyma.

– Nie, ja to załatwię.

– Oczywiście – mówi George i wraca na swój leżak.

Wciąż czuję się oszołomiona po drzemce i pewnie dlatego jestem taka zmieszana. Od czasu do czasu zerkam ukradkiem na George'a. Za ciemnymi okularami ma otwarte oczy. Właściwie nie patrzy na nic konkretnego, po prostu gapi się w niebo. O czym myśli? Jest jak otwarta książka, więc jeśli go spytam, to mi powie. Ale nie zamierzam pytać, bo wyczuwam, że to mogłoby być niebezpieczne.

Spryskuję olejkami dłonie i podejmuję się mało eleganckiego zadania, próbując rozsmarować go na plecach. Dlaczego ludzie wciąż nie wymyślili jakiegoś magicznego sposobu smarowania sobie pleców?

George odwraca głowę i wskazuje butelkę.

– Pomóc ci?

Wolałabym nie. Ale muszę się zgodzić. Chyba że przez cały dzień nie będę się odwracała i po prostu opalę sobie tylko przód. To dopiero będzie dziwnie wyglądało.

– No dobrze – zgadzam się niechętnie i podaję George'owi butelkę.

Przesuwam się na leżaku, odwracając tak, by mógł uklęknąć. Miło jest czuć jego dłonie sunące wolno po moich plecach dalej, niż powinny. Jest dokładny, robi to niespiesznie, a we mnie budzi się głód seksu, choć aż do tej chwili nie zdawałam sobie z tego sprawy. To najbardziej zmysłowy sposób, w jaki ktoś kiedykolwiek smarował mnie olejkami do opalania. Niech to się już skończy. Jego dłonie wciąż jednak przesuwają się po moich plecach i ramionach, a ja sztywnieję. To nie jest niewinne, prawda? Przed nami jakaś para naciera się nawzajem kremem, lecz robi to energicznie i bez podtekstów. Tak właśnie powinien robić to George. Ale nie robi. Dobra, muszę go powstrzymać. On na szczęście przestaje, lecz nie zabiera dłoni.

– Hannah... – zaczyna, klęcząc za mną, a ja patrzę przed siebie.

– Tak? – odpowiadam rwącym się głosem.

Nie mówi nic więcej, więc odwracam się i spoglądam na niego, co jest wielkim błędem. Jest tak blisko, ma niebieskie oczy i opaloną skórę. Rozpoznaję to spojrzenie, zapewne ja też tak na niego patrzę. Wiem, co się za chwilę stanie, wiem też, że to będzie pomyłka, ale nie dbam o to, bo właśnie się dzieje.

Jestem zbyt tchórzliwa, by wykonać pierwszy ruch, mimo że tego pragnę. Patrzę na usta George'a, a on patrzy na moje, lecz tylko przez sekundę, bo nagle zaczyna mnie całować tak gwałtownie, że przez moment jestem ogłuszona tym, co robi on i co robię ja. Pozwalam jednak na to, oddaję pocałunki i całkiem się w nich zatracam. Nasze ciała napierają na siebie. Po chwili George się odsuwa, a wyraz jego twarzy mówi wszystko.

– Jezu Chryste, nie możemy robić tego tutaj – mówi ochryplym głosem. Oddycha tak samo szybko jak ja.

Natychmiast biorę książkę i butelkę z olejkami, wkładam sandały i kimono i szybko zawiązuję pasek. George wstaje, patrzy na swoje kąpielówki i mówi ze śmiechem:

– Potrzebuję minuty. – Uśmiecha się do mnie i zmienia zdanie: – Pieprzyć to, chodźmy.

George prowadzi mnie przed sobą. Stajemy przed jego pokojem, a on, zanim wyjmie kartę, przypiera mnie do drzwi. Dotyka ustami moich ust, co i raz wkładając w nie język. Gdy całuje mnie w szyję, wzdycham głęboko. Nie mogę się skoncentrować, moje dłonie odnajdują jego włosy, jego twarz znów jest przy mojej twarzy. Jakoś udaje mu się otworzyć drzwi i jednocześnie mnie całować, po czym oboje wpadamy do pokoju. Zamyka kopnięciem drzwi i natychmiast zdieramy z siebie nawzajem skąpe ciuchy. Sięgam ręką do gumki jego kąpielówek i pieszczę miejsce, gdzie się kończą, a on ciągnie za troczki mojego bikini i zręcznie je rozwiązuje. Podnosi mnie i niesie na łóżko. Zauważam przelotnie, że on też ma artystycznie złożone ręczniki. Odkopuje ręcznik-łabędzia i kładzie mnie na łóżku. Gdy nie mam już na sobie bikini, a George kąpielówek, kładzie się na mnie i rozsuwa mi nogi. Boże, jestem taka gotowa, a on na moment nade mną zastyga. Zerkam w dół. On też jest gotowy, lecz mówi:

– A co z antykoncepcją?

Jestem złym człowiekiem. W całym tym pośpiechu antykoncepcja wyleciała mi z głowy. Tak dawno nie uprawiałam seksu ani nie byłam w związku. Pigułki odstawiłam lata temu.

– Kondomy – mówię.

Ale to sprawa George'a. Na pewno zabrał ich z milion.

– Dobra.

Kiwa głową i idzie po portfel. Zakłada kondom, a ja jestem zachwycona, bo to podnieca mnie jeszcze bardziej, po czym zbliża się do mnie, znów rozsuwa mi nogi i wchodzi we mnie z jękiem. Cała ta gadka o tym, jaki to jest wspaniały w łóżku, zdecydowanie nie była tylko częścią przechwałki. On naprawdę bardzo dobrze wie, co robi. Poruszamy się rytmicznie tak bardzo zgrani, że w kilka minut doprowadza mnie do orgazmu, a po

sekundzie podążyła za mną aż do samej krawędzi. Leżymy zrani potem, bo żadne z nas nie pomyślało o włączeniu klimatyzacji. Odwracam się do George'a i przesuwam czubkami palców po mięśniach jego brzucha.

– To było... – zaczynam, bo czuję, że muszę coś powiedzieć, ale nie wiem, co.

„Było wspaniale” to na pewno jeden z największych banałów, jaki można powiedzieć komuś po tym, gdy uprawiało się z nim seks.

– To było... Długo to trwało, Gallagher.

Śmieję się.

– Naprawdę?

– Nie myślisz tak? Zwykle jestem lepszy. A tu dobrych kilka miesięcy gry wstępnej i jakieś pięć minut prawdziwego seksu.

– Dobrego seksu – zaznaczam, otwierając nieco szerzej oczy. – Wspaniałego seksu. Naprawdę szkoda, że to jednorazowe wydarzenie.

George się wzdraga i odwraca w moją stronę. Jego skóra lśni od potu, a pierś powoli unosi się i opada.

– Jednorazowe? – pyta.

Kiwam niepewnie głową.

– A nie?

– A dlaczego miałyby być jednorazowe?

– A dlaczego nie? – odparowuję.

George ściąga brwi.

– Nie chcesz więcej takiego seksu? Ze mną? – Jest szczerze zdziwiony.

– Ja... ja nie wiem. Po prostu pomyślałam: to zdecydowanie wakacyjna przygoda.

Opiera łokieć o łóżko, unosi głowę i wodzi palcem po wewnętrznej stronie mojego uda, a ja znów jestem podniecona.

– Może zobaczymy, jak nam pójdzie? Po prostu żyjmy chwilą.

Pochyliła się w moją stronę, jego palce, pieszcząc mnie, wędrują delikatnie w górę i w dół uda, coraz wyżej i znów niżej, aż jęczę w oczekiwaniu, aż dotrą tam, gdzie chcę.

– Dobrze – dyszę, choć zapomniałam, jakie było pytanie.

Znów mnie całuje, jego dłonie muskają moją skórę, gdy szepcze:

– Czy mam wziąć kolejną prezerwatywę?

– Tak...



Śpimy upojeni fantastycznym seksem, a potem, gdy umieramy już z pragnienia i głodu, idziemy razem pod prysznic. George był przewidujący i wziął kondom. Zdecydowanie jesteśmy w wakacyjnym nastroju, bo w prawdziwym życiu taki seks się nie zdarza. On mnie unosi, ja oplatom go nogami w pasie, oblewa nas ciepła woda i kochamy się, opierając o kafelki. Kiedy schodzimy na późny lunch, ledwie idę. Czekamy, aż wskażą nam miejsce. George trzyma mnie za rękę, pieszcząc ją kciukiem.

– Bierzesz pigułki? – pyta, zanim podejdzie kelner, by zaprowadzić nas do stolika. – Bo jeśli tak, to nie musimy używać kondomów. Nie sypiam z nikim innym. A ty?

– Co? Nie – szepczę speszona. Siadamy i mówią nam, że za dziesięć minut zamykają kuchnię. Zamawiamy kanapki klubowe i smoothie z mango. Kiedy kelner znika, odpowiadam: – Nie biorę pigułek. Nie.

George kiwa głową.

– A czy mogłabyś znów zacząć je brać?

– Mhm... – Rozglądam się ukradkiem, by sprawdzić, czy ktoś słucha, lecz w restauracji nie ma żywej duszy. – Nie trafiłam na takie, które nie powodują, że robię się żarłoczna i gruba, i które nie zabijają mojego libido. Ale gdy wrócimy do domu i to będzie nadal trwało, mogę spróbować jakieś znaleźć.

Uśmiecha się.

– Dlaczego sądzisz, że nie będzie trwało?

Wzruszam ramionami.

– Nie wiem. Wydaje mi się, że podchodzenie do tego na luzie jest bezpieczniejsze. – Daveya bardzo polubiłam i mnie porzucił. Coś takiego już więcej się nie wydarzy.

- Hannah, nie jestem tu, żeby cię skrzywdzić.
- Wiem – mówię, choć myślę, że to dość pochopna deklaracja.
- Tak czy inaczej, jeśli mamy dociągnąć do końca tygodnia, muszę kupić więcej kondomów. Wyglądam chyba jak królik złapany w światła reflektorów.

– George, nie mogę przez cały tydzień kochać się trzy razy dziennie, bo na koniec umrę.

Za moimi plecami pojawia się kelner, stawia przed nami smoothie z mango i zanim odchodzi, rzuca George'owi znaczące spojrzenie.

George wybucha śmiechem.

– Ale wstyd.

Resztę popołudnia spędzamy, drzemiąc błogo na słońcu. Czuję, jak na mojej skórze ląduje olejek do opalania i George zaczyna mnie nim smarować. Dobrze wiem, że jeśli otworzę oczy, usiądę i go pocałuję, wrócimy to tego, co robiliśmy wcześniej. Postanawiam to zignorować.

– Dzięki – mamroczę i staram się o tym nie myśleć, lecz szepczę jeszcze: – Molestowanie seksualne.

– Po czym znów udaję, że śpię, choć słyszę, jak George chichocze.

Rezygnujemy z kolacji, bo wciąż jesteśmy syci po klubowych kanapkach, ale siadamy w barze blisko brzegu morza, otoczeni podobnie myślącymi duszami, które uciekły z plaży, by znaleźć barowy stółek.

– Naprawdę się cieszę, że tu przyjechałam. I że wdarłeś się do mojego domu i wyciągnąłeś mnie do Tajlandii.

– Kopałaś i wrzeszczałaś – przypomina, gdy sączymy najslodszy koktajl, jaki był w menu. Wzdycha i dzielnie go wypija.

– Tak, miałam okropny czas – wyznaję. – Naprawdę gówniany.

George pochyla się, całuje mnie, drapiąc zarostem, nie ma w tym jednak niczego seksualnego. To coś innego. Odwraca wzrok i się uśmiecha.

– To był najwspanialszy dzień w moim życiu – mówi, a wielkie pomarańczowe słońce powoli chowa się za horyzontem.

– Bo trzy razy uprawiałeś seks?

Spogląda na mnie.

– Nie. Z twojego powodu. I seksu też. Ale głównie chodzi o ciebie. Bardzo lubię spędzać z tobą czas.

– Dziękuję. – Coś powstrzymuje mnie od powiedzenia czegoś więcej.



Po kolejnym dniu drzemania na słońcu i spania po lunchu proponuję, żebyśmy zajrzeli do przewodnika. Widzę, że George'a korci, by wyjść poza to, co nazywa kompleksem hotelowym. Bieremy taksówkę, a potem wchodzimy na Wzgórze Małe, kupując za kilka batów kiść bananów. Idziemy pod górę, trzymając się za ręce. Nie puszczamy się ani na chwilę, mimo że jest prawie trzydzieści stopni i mam ciepłe dłonie. George jest miły w dotyku i tak dobrze jest być pożądaną i dotykana. Jest też rycerski i uprzejmy. Mojej mamie by się spodobał. Zerkam na niego, jego ray-bany błyszczą w słońcu, koszule ma rozpiętą bardziej niż zwykle, tak że widać opalony tors. Nie jestem natomiast pewna, czy spodobałby się mojemu tacie.

– Jacy są twoi rodzice? – pytam.

Spogląda na mnie.

– W porządku.

– Jesteście blisko?

– Nie. A ty ze swoimi?

Kiwam głową.

– Tak. Pomyślałam, że spodobałbyś się mojej mamie.

George uśmiecha się promiennie.

– Mamy zawsze mnie kochają.

– A tatusiowie?

– Na początku nie. Ale potem zyskuję w ich oczach.

– Jak piñacolada?

– Tak, dokładnie jak piñacolada – odpowiada ze śmiechem. – Przy pierwszym łyku myśli się, co to, do cholery, jest, a potem... wszystkim smakuje.

Ściskam jego dłoń. Zanim docieramy do małp, które przemykają ulicą, jestem spocona i zmęczona, ale też podekscytowana.

– Te małpy są wszędzie! – krzyczę. – Co za wariactwo!

– Wiem. Trzymaj banany. – Podaje mi kiść, a małpa rzuca się na mnie, wrywa ją i ucieka. Prosta czynność zabrania bananów turystce zajęła jej sekundę. Patrzę, jak idzie w stronę drzew. Spoglądam na swoje puste ręce.

– I to by było na tyle.

George klęka, odrywa banany z kiści jeden za drugim, aż zbliżają się do niego z wahaniem mniejsze małpy, potem nabierają odwagi, a on popycha banany w ich stronę. Patrzę na niego, widzę, jaki naprawdę jest. Robię mu zdjęcie, jak klęcząc, karmi małpy. To takie surrealistyczne. I wspaniałe. I pomyśleć, że nie chciałam jechać na te wakacje.

Przenoszę wzrok na drzewa, na których małpy pożerają banany. Wokół nas turyści przychodzą i odchodzą i też je karmią. Kręcą się tu setki małp. Kończą nam się banany, więc schodzimy do czekającej na nas taksówki. George znów trzyma mnie za rękę, jednak ja poświęcam mu zaledwie pięćdziesiąt procent uwagi. Nie oddałam mu ani kawałka serca. Jeszcze nie. Zrobię tak, jak mówił George: będę cieszyła się chwilą i zobaczę, co będzie dalej. Może wrócimy do Anglii i po kilku dniach przestaniemy się sobą interesować? Może ja przestanę interesować się nim? Nie jestem pewna, czy byłaby z nas dobra para, ale zdecydowanie do siebie pasujemy. Przynajmniej tu. I teraz. I naprawdę go lubię.

Śpimy w moim pokoju. To pierwsza noc, którą spędzamy razem. Kiedy się budzę, George ma otwarte oczy i się do mnie uśmiecha. Rozmawiamy o tym, gdzie widzimy siebie za kilka lat – co za upojna rozmowa przed kawą. George parzy kawę w pokoju. Ja widzę siebie w tej samej firmie, wykonującą ten sam rodzaj pracy, choć trzymam kciuki, by w moim CV pojawił się jakiś awans. George jest zadowolony z tego, że pracuje jako trener osobisty, kocha to, nie wyobraża sobie, że mógłby robić coś innego. Jest taki... wyluzowany. A to wszystko takie proste. Davey był skomplikowany, choć to nie jego wina. George nie jest. Teraz to widzę.

Siadamy na balkonie, George w bokserkach, ja w szortach od piżamy i koszulce bez rękawów, z włosami niedbale związanymi na czubku głowy. Pochyla się, by założyć mi kosmyk za ucho. Czuję się w tej chwili naprawdę szczęśliwa. Mogę po prostu słuchać, jak w oddali fale uderzają o piasek. Słońce świeci jasno i wysoko. George idzie pod prysznic, lecz wcześniej ponownie włącza czajnik, parzy kolejną kawę i mi ją przynosi.

– Rany, czyżbyś był dżentelmenem? – mówię, a on trąca nosem moje ucho i idzie do łazienki.

– Ten dżentelmen potrzebuje więcej gumek – rzuca przez ramię.

– Jestem zaskoczona, że na te wakacje kupiłeś tylko kilka. Sądziłam, że głównym celem wycieczki będzie dla ciebie zaliczenie jak największej liczby bzyknień.

– Misja wykonana!

– George!

Śmieje się, odwraca i opiera o drzwi.

– Żartuję. Szczerze mówiąc, nie sądziłem, że to się wydarzy. Ale jestem zadowolony jak cholera. I tak samo zaszokowany jak ty.

Podejrzewam, że kłamie, niemniej to doceniam. Martwię się jednak, że to zrujnuje naszą przyjaźń. Choć mam też nadzieję, że nie. Mam także nadzieję, że nie zepsuliśmy sobie wakacji. George jest niewiarygodnie atrakcyjny, dobry w łóżku i zabawny. Odwraca się i wreszcie idzie do łazienki.

Sięgam po komórkę. Odkąd wyjechałam do Tajlandii, Miranda i ja wysyłamy sobie SMS-y, ale podniosłam poprzeczkę, wysyłając zdjęcia wszystkich artystycznie złożonych ręczników w pokoju moim i George'a, które znajduję każdego dnia. Wczoraj było to słoniątko z wielkimi uszami. Właśnie wysłałam je Mirandzie, a ona odpisała. Nie powiedziałam jej o mnie i o George'u. To, co jest między nami, wygląda na tak niezobowiązujące, że nie ma o czym mówić, ale chyba oszukuję sama siebie.

Powiększyłam zdjęcie – pisze Mirandai i mi je odsyła. Dwa przedmioty leżące na nocnym stoliku obwiedzione są na czerwono.

Robię się czerwona, choć nikt mnie nie widzi. Zakreśliła na czerwono pudełko z prezerwatywami, które kupił George, i jego ray-bany.

– O cholera – mówię na głos.

Mam Was! – napisała pod zdjęciem. – Chcę usłyszeć wszystkie plotki. Przypuszczam, że Ty i George

wróćcie jako ktoś więcej niż tylko przyjaciele.

To nie jest pytanie.

Odkładałam telefon i rozmyślałam, popijając kawę i podziwiając widok. Na plaży nie ma tłoku, lecz goście po śniadaniu już zacierają w stronę leżaków. George i ja też powinniśmy zaraz się ruszyć. Patrząc na morze błyskające za wysokimi drzewami kołyszącymi się lekko na wietrze.

Znów biorę komórkę. Mam niepohamowaną potrzebę napisania do Daveya. Nie wiem, skąd się wzięła. Nie wiem, co mnie opętało. To nie jest rozdrapywanie ran. Skądże. To coś innego sprawia, że chcę coś napisać. Żywię do niego same dobre uczucia. Zawsze tak było. Teraz jednak jestem psychicznie w zupełnie innym miejscu i mam nadzieję, że on także. Lecz jeśli zechce kiedyś porozmawiać, to może na mnie liczyć.

Teraz chyba zbliża się drugi cykl jego chemii. Właściwie to nie mam pojęcia. Straciłam poczucie czasu, przestałam się nad sobą użalać. Tego właśnie potrzebowałam. Uświadamiam sobie, że powinnam podziękować za to George'owi. Pewnie w końcu sama bym do tego doszła, lecz on przyspieszył ten proces niezależnie od tego, jak wielki czułam żal, gdy wszystko zakończył.

Uśmiecham się na myśl o tym SMS-ie. Mam dobre intencje. Łączę się z internetem, klikam na nasz uśpiony czat i widzę, że Davey też jest online. I w dodatku coś do mnie pisze. Prostuję się na krześle, wpatrując w ekran.

– O Boże – mamroczę i czekam.

To takie nieznośne. Już dawno straciłam nadzieję, że w jakiś magiczny sposób w mojej skrzynce pojawi się wiadomość od niego. Wiedziałam, że mówił poważnie, gdy zdecydował o zakończeniu naszej znajomości. Byłam pewna, że już nigdy się ze mną nie skontaktuje. On jednak coś wystukuje. I jest to długi tekst. Drapię się w szyję w nerwowym oczekiwaniu.

Za moimi plecami otwierają się drzwi łazienki. Odwracam się. Wychodzi George, mokry, nagi, i rzuca mi znaczące spojrzenie, a kiedy nie reaguję i wciąż wpatruję się w telefon, pyta:

– Wszystko w porządku?

– Tak – zapewniam. – Za sekundę wskoczę pod prysznic, a ty ubierz się i zajmij dla nas stół.

– Pewnie. Chcesz, żebym wziął ci coś z bufetu?

– Hm... Och. Tak. Zjem naleśniki – odpowiadam półgłosem.

– Wczoraj je jadłaś – przypomina mi, a ja znów zerkam za siebie.

– No to owoce.

– Hannah, możesz jeść, co chcesz – mówi ze śmiechem. – Nie skomentuję tego, że są posypane cukrem, a ty polewasz je dodatkowo syropem.

Patrząc na niego, w ogóle nie rozumiejąc, co mówi. Davey wciąż pisze. Za chwilę wciśnie „wyślij”, a ja nie wiem, jaki to będzie miało wpływ na moje życie. Myślę, że to bardzo okrutne. Jestem żałosna. Patrzcie, co robię: siedzę, gapię się na telefon i czekam, aż mężczyzna, którego nigdy nie spotkałam, cokolwiek do mnie napisze, jakby rzucał mi kość. No, ale to... Davey. Muszę wiedzieć, co ma mi do powiedzenia.

– Hannah? – odzywa się George.

– Tak?

– Nieważne. Widzimy się na dole.



Ma już na sobie szorty i podkoszulek, z potarganymi włosami wygląda słodko. Robi z nimi porządek, przeglądając się w lustrze przy drzwiach, i wychodzi.

Spoglądam na telefon. Davey jest offline. Cokolwiek pisał... nie wysłał tego. Czy jest w połowie zdania i się zastanawia? Czy zmienił zamiar? Ze złości mam ochotę rzucić telefonem. Jestem zła na siebie, nie na Daveya. Jakakolwiek niewinną wiadomość zamierzałam mu wysłać, czy mogę mu coś takiego zrobić? Nie. Z całą pewnością nie. Właśnie dlatego jestem wściekła. Gdyby Davey był gnojkiem, łatwiej bym to zniosła. Ale nie jest. O nie. Jest dobrym człowiekiem, który przechodzi przez coś niewyobraźnego.

Nie wysłał tej wiadomości. Rozłączył się. Jakby nigdy go nie było. A jednak był. Więc to ja będę tą odważniejszą. Piszę dokładnie to, co chciałam napisać:

Daveyu, wiem, że postanowiliśmy, że już nigdy więcej nie będziemy ze sobą rozmawiali. Właściwie to Ty tak postanowiłeś. A ja się zgodziłam. Pragnę jednak do tego wrócić. Tylko ten jeden raz. Ponieważ chcę, byś wiedział, że jeśli mnie potrzebujesz, wciąż możesz na mnie liczyć. Nie wiem, na jakim etapie leczenia

jesteś, lecz gdybyś chciał pogadać... to ja chętnie. Nie piszę do Ciebie, by wracać do przeszłości, ale żebyś wiedział, że za Tobą tęsknię. I że jestem szczęśliwa. Mam kogoś. Jest miły. Więc nie myśl, proszę, że jeśli do mnie napiszesz, to sprawy się skomplikują. Zaczynaliśmy jako przyjaciele. Jeżeli zechcesz, to znów możemy nimi być. Hannah. Xxx

Nawet się nie zawahałam. Po prostu wcisnęłam „wyślij”.

ROZDZIAŁ 13

Davey

Wpatruję się w komórkę – słowa Hannah ranią jak nóż. No, ale szczerze, czego ja się spodziewałem? Że wstąpi do klasztoru, bo powiedziałem, że z nami koniec? Gdy pisałem wiadomość, widziałem, że jest online. Muszę przyznać, że się przeraziłem. A niewiele rzeczy w życiu mnie przeraża. Okazuje się, że teraz przerażające jest to, że chemia nie działa i że Hannah była na linii w tym samym czasie co ja. Lubiłem myśleć, że potraktowała poważnie to, że mamy się nie kontaktować. Że ma swoje życie i nie czeka na gościa, którego nigdy nie spotkała. Myliłem się. Była online. Ja byłem online. Napisała do mnie. A ja stchórzyłem.

Często tak jest. Tchórzę. Tęsknię za Hannah. Wiem jednak, że zakończenie tego, co między nami było, to najlepsze, co mogłem zrobić. Jak zdołałbym przeżyć kolejne dni ze świadomością, że po drugiej stronie Atlantyku czeka na mnie dziewczyna? Mówi się: „Chcesz rozbawić Pana Boga, powiedz mu o swoich planach”. Teraz Bóg musi pękać ze śmiechu. Wszystkie moje plany wzięły w łeb. Co nie oznacza, że plany Hannah również. Myślę o tym, co powinno się teraz wydarzyć. Jest koniec lutego, gdzieś po drodze, pogrążony we własnym nieszczęściu, przegapiłem walentynki, siłą woli ciągnę od jednej wizyty u lekarza do drugiej. Cieszę się jednak, że zapomniałem o walentynkach, bo inaczej mogłoby mnie dopaść poczucie winy i zmusić do napisania do niej. Dobrze, że tego nie zrobiłem. Klikam na zdjęcie, które przysłała mi dawno temu. Dotykam jej twarzy, ale komórka wariuje, więc zabieram rękę.

Do pokoju wchodzi onkolog.

– Witam ponownie, panie Carew – mówi, przeglądając notatki.

Odkładam telefon na łóżko. Muszę przestać być takim idiotą i zmierzyć się z tym, co mnie czeka.

ROZDZIAŁ 14

Hannah

Jedenaście razy. Podczas pobytu na wyspie Phuket George i ja kochaliśmy się jedenaście razy. Okazuje się, że jeśli przekupię George'a seksem, nie nalega, żebyśmy obejrżeli więcej świątyń i Buddów. Uwielbiam świątynie, a jeszcze bardziej Buddów, zwłaszcza jeśli są złoci, ale więcej nie dam rady obejrzeć. Poza tym seks z George'em wciąż jest nadzwyczajny, tak jak zapowiadał na początku.

Teraz siedzimy w samolocie, wracamy do Anglii. On śpi, a ja, wtulona w jego ramię, patrzę w okno, oddycham w tym samym rytmie, w którym unosi się i opada jego pierś. Było tak dobrze. Jest dobrze. Wczoraj po kolacji George jasno dał mi do zrozumienia, że chciałby, by nasza relacja trwała, gdy wrócimy do domu. Zeszliśmy na plażę, zrzuciliśmy buty i trzymając je w rękach, wędrowaliśmy obok siebie.

– Jeśli zniesiesz moje dziwne godziny pracy... myślę, że będzie nam razem dobrze, Gallagher. Lubię cię. I ty mnie chyba też.

– Tak.

– No to zróbmy to i zobaczymy, jak nam pójdzie.

Pokiwałam głową, wytrzymując jego spojrzenie i się uśmiechając.

Wypiliśmy pożegnalną piñacoladę. George popatrzył na swojego drinka.

– Nawet to polubiłem. Kiedy wrócimy do domu i zamówię go w barze, będziesz ze mnie drwiła?

Wybuchnęłam śmiechem, stanęłam na palcach, pocałowałam go i nazwałam „moim bohaterem”. Upuściłam sandały, unosiły się na falach, a on wbiegł do wody, rozlewając drinka, i je odzyskał.



Łądujemy z hukiem. Koła uderzają o pas startowy, a samolot podskakuje, zanim ostatecznie znajdzie się na ziemi. George otwiera oczy i patrzy na mnie zdumiony.

– Wszystko w porządku? – upewniam się.

Mruga gwałtownie.

– Tak. Miałem fantastyczny sen.

– Z którą supermodelką uprawiałeś seks?

Pochyla i się i szepcze mi do ucha:

– Nie bądź cipą, Gallagher. – Po czym opada z uśmiechem na oparcie fotela.

– To co teraz będzie? – pytam, gdy przeszedłszy przez kontrolę paszportową, czekamy na bagaże.

Jest wczesny wieczór i nie chcę być tą, która zaproponuje, żebyśmy się później zobaczyli. Spędzaliśmy razem całe dni. George z pewnością potrzebuje przestrzeni. Ja też. Tylko nie jestem pewna, czy już teraz.

– Jedziemy do ciebie? – sugeruje. – Prawdę mówiąc, Gallagher, twoje mieszkanie jest ładniejsze niż moje. Zamawiamy jedzenie, a potem spanko?

– Brzmi cudownie.

Bierzemy prysznic, odświeżamy się, zamawiamy pizzę, żeby zrównoważyć wszystkie te cudowne tajskie curry, które jedliśmy przez ostatnie dziesięć dni. Zawijamy się w koc na sofie, jemy, oglądamy telewizję i kładziemy się za późno, po czym zasypiamy przytuleni.



George wstał, zanim mnie udało się obudzić. Ledwie minęła szósta, a on już jest gotowy do wyjścia. Przypuszczam, że wyjął z walizki strój do ćwiczeń, włożył go i wybiera się do pracy. Jego walizka wciąż tu stoi, i to jest miłe – częśćka George'a w moim domu, w moim życiu. Nie wiem, jak to będzie działało teraz, kiedy wróciliśmy do rzeczywistości i nie pławimy się już w blasku dobrego seksu, słońca i krainy wakacji. Zachowam otwarty umysł.

Zwlekam z łóżka swoje ciało opanowane przez jet lag i szykuję się do pracy. Powinnam być zdołowana, jednak w powrocie do biura po fajnych wakacjach jest coś ożywczego. Zupełnie jakby ktoś wcisnął przycisk „resetuj” i jakbym ożyła. Jestem opalona, a moje włosy pojaśniały od słońca. Czuję się całkiem niezłe.

Przed południem idę z Clare do pobliskiej włoskiej kawiarni na mocną kawę i chociaż wiem, że

podczas urlopu przytyłam, zamawiam tost z białego pieczywa z marmite'em, płacę i czekam, aż go przygotowują.

Clare opowiada mi o swoim nowym facecie, z którym była dwa razy na randce, i o tym, że przyniósł jej kwiaty i zaplanował wyjście z jego przyjaciółmi. Spoglądam na nią.

– Spotkanie z przyjaciółmi? – powtarzam.

– To następny krok, prawda? Poznanie jego przyjaciół. To będzie czwarta randka, na razie mamy przed sobą trzecią.

– Trzecia randka? A co to takiego? – Dostaję tost w papierowej torebce i natychmiast do niej zaglądam, machając właścicielowi na pożegnanie.

– Zrobił rezerwację w Sushi Samba – dodaje Clare.

– Zawsze chciałam tam pójść – wyznaję. – Ale nigdy nie mieli oferty dla Groupona, więc niestety...

– Zgłoszę im to. A co z twoimi wakacjami z facetem, który, jak twierdzisz, jest tylko przyjacielem?

Odwracam wzrok z poczuciem winy.

– Wiedziałam! Jesteście ze sobą?

– Tak.

– To było nieuniknione – orzeka Clare, jakby znała się na takich sprawach.

– Hm... no nie wiem. Ale stało się. I jest dobrze.

– To super – mówi, upijając łyk kawy. – No popatrz, obie złapałyśmy nowych facetów w tym samym miesiącu. To dokąd idziecie na randkę?

– Teraz to mam ochotę na Sushi Sambę – żartuję. – Muzeum albo jakaś galeria byłyby fajne. Nie mam pojęcia, co George'a interesuje.

– Ale miło jest się tego dowiedzieć – stwierdza Clare, gdy wchodzimy do biura.

Piszę do George'a:

Hej, przystojniaku. Masz ochotę na randkę?

Patrzę na ekran komórki, lecz George pewnie jest z klientem i nie ma przy sobie telefonu. „Widziano ostatnio o 2.51”. To dziwna pora na bycie online. Sądziłam, że spaliśmy, ale może on też odczuwał skutki jet lagu. Dociera do mnie, że nie mam pojęcia, z kim George się przyjaźni. Mimo że podczas wakacji dużo rozmawialiśmy o miłości i o życiu, mam niewiele wskazówek na temat tego, co się dzieje w życiu George'a poza jego królestwem – siłownią. Ale jest troskliwy, podobnie myślimy, i to mi wystarczy.

Czy masz przyjaciela? – piszę nagle, bo jestem tego ciekawa.

Przewijam wiadomości od Mirandy, która wciąż przesyła mi emotki przedstawiające bakłażany, a obok nich znaki zapytania, domagając się, żebym opowiedziała jej o George'u. Odmawiam. Cokolwiek jej teraz powiem, podczas spotkania w pubie zostanie rozłożone na czynniki pierwsze. Więc mogę z tym poczekać.

Spoglądam na WhatsAppa, na moją wiadomość do Daveya i widzę, że ją przeczytał. Wysłałam ją kilka dni temu i wciąż nie dostałam odpowiedzi. Mogłabym ją skasować, ale pewnie jest już za późno, bo i tak ją widział. Stało się. Zostawię wiadomość, niech mnie złości. I nagle dostrzegam, że status Daveya zmienia się z „ostatnio widziany” na... „online”. Po czym bardzo szybko się rozłącza. I wraca, a ja zaszokowana otwieram usta, gdy widzę, że znów coś pisze.

Może wreszcie dostanę odpowiedź? Patrzę zaintrygowana. Co ma mi do powiedzenia? Co z jego chemioterapią? Choć to pewnie ostatnia rzecz, o której miałby ochotę rozmawiać. Tęsknię za jego twarzą, ale wiem, że on nie chce mnie widzieć. Mimo to jestem ciekawa wszystkiego. A najbardziej tego, jak się czuje psychicznie. Jeśli nie stracił optymizmu, da radę. Ma mamę i tatę, ma Granta. A jeśli czuje się samotny? Bardzo chciałabym to wiedzieć. Pragnę też rozpaczliwie przypomnieć mu, że ja również się o niego martwię. Ale tego nie zrobię. Już mu to powiedziałam. Moja wiadomość wciąż widnieje na ekranie, a on pisze.

Przestaje i dzieje się dokładnie to samo, co przedtem – rozłącza się. I nic. Żadnej wiadomości. Po prostu... nic. Davey zniknął, zabierając ze sobą swoje myśli, choć jego słowa wiszą gdzieś w powietrzu i czekają na wysłanie – tak samo jak poprzednia wiadomość, chyba że ją usunął. Co on wyprawia?



Jestem w domu, dochodzi dwudziesta druga, a ja wciąż czekam na odpowiedź George'a. Jego walizka nadal tu stoi, lecz jego nie ma. Nie oczekuję, że przekroczy próg, drąc się: „Kochanie, już jestem!”, miałam jednak nadzieję na jakieś „cześć”, zwłaszcza po naszych fantastycznych wakacjach. To się jednak raczej nie wydarzy.

To dla mnie znak, że moje życie nie może kręcić się wokół mężczyzny. Zawsze byłam dobra w stawianiu oporu, ale czuję, że po tych dziesięciu dniach bardzo łatwo bym się poddała. To, że George nie odpowiada, jasno mi to uświadomiło. Zadowolona postanawiam zaparzyć sobie herbatę, położyć się do łóżka i nadrobić zaległości w czytaniu. Powinnam pójść na siłownię, ale jest już za późno.

Nie śpię i czytam książkę do samego końca. Bardzo chciałam skończyć ją w Tajlandii. Biorę telefon. Od George'a nadal nic. Wyłączam lampkę przy łóżku, zwijam się pod kołdrą – co za błogosławiona ulga, mimo że to pierwsze dni pachnące wiosną – i zasypiam.

Budzi mnie uporczywe pukanie do drzwi. Czy ktoś mnie okrada? Nie, złodzieje przecież nie pukają, więc idę do przedpokoju, krzycząc:

– Kto tam?!

Odzywa się George. Zaskoczona otwieram drzwi.

– Co ty tu robisz? – pytam, mrugając zaczerwienionymi oczami, już całkiem rozbudzona.

– To znaczy?

Nie mam na rękę ręce zegarka, zdjęłam go na noc.

– Która godzina? – pytam.

– Prawie północ.

Kiwam głową.

– Mam nadzieję, że nie masz ochoty na seks? Albo na kolację?

– Na żadną z tych rzeczy, Gallagher. – Pochyla się, całuje mnie, po czym się prostuje. – Ale pomyślałem, że się u ciebie prześpię. Mogę?

– Hm, tak, pewnie. – Odsuwam się na bok, a on zajmuje całą przestrzeń korytarza, po czym, idąc do kuchni, włącza wszystkie światła, wyjmuje z kredensu szklankę i napełnia ją wodą. Tak jak się spodziewałam, ma na sobie strój do ćwiczeń i jest spocony.

– W porządku? – pyta, odwracając się do mnie.

– Tak. Ale już spałam. Czy przegapiłam wiadomość, w której informujesz mnie, że przyjdiesz?

Kończy pić wodę.

– Nie.

– Nie spodziewałam się ciebie.

– Czy... to problem?

– Nie. – Kręcę głową. – Po prostu nie miałam pojęcia, że wpadniesz. – Widzę, że się nie dogadamy, więc mówię tylko: – Idę spać. Przyjdiesz?

– Najpierw prysznic, a potem do łóżka z najwspanialszą kobietą na tej planecie.

Przysuwam się i całuję go w usta.

– Obawiam się, że nie ma tu takiej. Będziesz musiał zadowolić się mną.

Gdy idzie pod prysznic, ja już śpię, lecz kiedy kładzie się do łóżka, szturcha mnie i budzi, po czym bierze w ramiona, trąca nosem i senność zastępuje coś zupełnie innego.



Rano George przeszukuje kuchenne szafki w poszukiwaniu kawy i patrzy w telefon.

– Masz tylko neskę? – pyta.

– Tak – odpowiadam, malując się. – Prawdziwą kupuję w kawiarni w pobliżu stacji albo piję z Joan w soboty i niektóre niedziele.

Pociąga nosem.

– Niech ci będzie. – Wraca do telefonu, ściąga brwi i przenosi wzrok na mnie. – Nazywa się Dex, ale mówimy na niego Dog. I szczerze, z ręką na sercu, nie pamiętam dlaczego.

Nakładając maskarę i przeglądając się w małym lusterku, zerkam na niego zdziwiona.

– Co?

Macha telefonem.

– Pytałaś mnie, czy mam przyjaciela.

Mrugam zdezorientowana.

– Tak, owszem, pytałam. Dopiero teraz przeczytałaś tego SMS-a?

Kiwa głową.

– Miałem dużo do nadrobienia.

– Pan Popularny.

– Coś w tym rodzaju.

Pewnie czyta inne wiadomości, bo się śmieje i na kilka odpowiada. Wreszcie chowa komórkę do kieszeni sportowej kurtki i zasuwa zamek.

– Powiedziałaś kawa na stacji?

– Mhm...

– No to chodźmy. – Zaczyna biec w miejscu. – A tak przy okazji, to kiedy wracasz na siłownię?

Patrzę, jak podskakuje na strasznie zniszczonym linoleum.

– Myślę o rowerku stacjonarnym w piątce... – zaczynam, lecz George mi przerywa.

– Przychodź do mnie, będę cię trenował za darmo. Jeśli chcesz.

– Pewnie. – Patrzę na swój brzuch.

– Ale tak w ogóle wcale nie uważam, że jesteś gruba. Na wypadek gdyby ci na tym punkcie odbiło.

Uśmiecham się. Jestem gruba. Naleśniki w hotelu i to wszystko...

– Muszą być jakieś korzyści z bzykania się z trenerem osobistym – żartuję.

– Więc mnie wykorzystaj.

– Dzięki. – I dodaję: – George, czy masz ochotę na randkę?

Wygląda na zdezorientowanego. Zupełnie jakbym mówiła w obcym języku. Najwyraźniej nie przeczytał mojego SMS-a.

– Byliśmy na randce. Pamiętasz Sirocco?

– Tak. – Myślę o niezapomnianym „dachowym” wspomnieniu z Bangkoku. – Było cudownie – zapewniam. – Ale może spróbowałibyśmy jeszcze raz? Może kolacje na dachu to byłoby coś naszego? Jest wspaniała restauracja w City... – Milknę, bo George ściąga brwi.

– Ta dla pedałów? – pyta, jakby nie słyszał, co powiedziałam.

– Sądziłam, że lubimy takie miejsca. Sądziłam, że robimy sobie z nich jaja, ale w głębi duszy nam się podobają.

– Hannah, nie mam zbyt dużo pieniędzy.

– No cóż, ja właściwie też nie jestem milionerką, ale zapłacę...

– Hola, hola! – George przestaje biec. – Czy ty siebie słyszysz?

– O co ci chodzi? Co jest złego w rewanzowaniu się? W Tajlandii byłeś dla mnie taki dobry.

Wzrusza ramionami i podejmuje bieg w miejscu.

– Możesz się pospieszyć? – Nagle zmienia zdanie. – Posłuchaj, jestem spóźniony. Nie przejmuj się. Do zobaczenia później.

– Oczywiście – mówię, gdy składa pocałunek na moim policzku. – Eee... George?

– Słucham?

– Ale nie masz zamiaru znów pojawić się o północy? Uwielbiam spać – dodaję lekko.

George przestaje biec.

– Nie chcesz mnie tutaj? Bzykanko ci nie pasuje?

– Chcę – odpowiadam szczerze. – Ale nie o północy.

Patrzy na mnie.

– Dobra, zabiorę walizkę. Będę spał u siebie. Zobaczymy się w... sobotę? Sobota jest dla mnie okej.

– Wieczorem czy w ciągu dnia? – pytam.

– Oczywiście, że wieczorem.

– Jest mały problem. W sobotnie wieczory zwykle spotykam się z Mirandą i Paulem.

– W każdą sobotę?

– Prawie, chyba że któreś z nas idzie na przyjęcie czy ślub albo jedzie na weekend do domu. – Uświadamiam sobie, jak głupio to brzmi. – Ale nie ma sprawy. Jeśli to jedyny czas, kiedy możemy się zobaczyć, odwołam spotkanie.

– Nie odwołuj. Przecież ja też mogę pójść.

– Naprawdę? Chcesz wyjść wieczorem ze mną z moi- mi przyjaciółmi?

– Tak.

– A kiedy ja mogę spotkać się z twoimi?

- Kiedy tylko zechcesz.
- A dokąd zwykle chodzicie wy, faceci?
- Tam, dokąd pozwolą nam nasze dziewczyny.
- Wybucham śmiechem.
- Niech będzie. A więc sobota?
- Sobota – potwierdza George, bierze walizkę i rusza do drzwi. – Prześlij mi szczegóły.
- Prześlę.

Wraca, całuje mnie na pożegnanie i już go nie ma. Wychodzę kilka minut po nim i widzę, jak macha na taksówkę. Mam poczucie winy. Zmusiłam go, żeby wziął taksówkę, tylko dlatego że targa walizkę. Chociaż nie kazałam mu tego robić. Ale jednak.



W sobotni poranek esemesuję do Joan, oznajmiam, że jestem gotowa, po czym wykładam na talerz herbatniki i idę do ogrodu. Rolety u niej są podniesione i widzę, jak się krząta, wyjmując z kredensu filiżanki i umieszcza kapsułki w ekspresie. Szczelniej otulam się szlafrokiem. Marzec jest łagodny, pogoda przechodzi z zimowej w wiosenną i idąc do ogródka, nie muszę już wkładać płaszcza. Jak zwykle, mam na nogach uggi, by chronić stopy przez zimnym betonem po mojej stronie ogrodzenia. Nie jestem samobójczynią.

- Vanilla éclair – oznajmia Joan.
- Dla pani także vanilla éclair – odpowiadam, śmiejąc się z własnej riposty.

Joan czyta kawową ulotkę:

– Jeśli odważycie się na nutę dekadencji, powinniście spróbować zaparzyć tę kawę jako cappuccino i w aksamitnym kremie odnaleźć słodką migdałową nutę.

- A więc odważmy się na dekadencję – mówię, upijając łyk.

Krzywię się. Joan też.

- Czyżby nasze kubki smakowe się zużyły? – zastanawiam się.

– Nigdy w życiu! – wykrzykuje Joan. – Kiedy znów będę w domu po naszej wyprawie, wrócimy do normalnych smaków.

- Dobra. – Upijam jeszcze łyk. Za drugim razem nie jest taka zła.

Rozmawiamy o Geoffie i wycieczce. Są już spakowani i gotowi na miesięczny rejs. Joan pokazuje mi folder i zachwyca się każdym przystankiem na trasie, a także zdjęcie statku, który wprawia mnie w osłupienie. Są na nim zjeżdżalnie wodne i lodowiska. Zatkąło mnie, więc Joan mówi za mnie, kiwając głową:

– Tak, nie mówimy młodym ludziom, jaki to ekscytujący rejs, bo też zaczniecie pływać i ceny pójdą w górę. Już i tak jest wystarczająco drogo. Chociaż Geoff stawia. Podejrzewam, że jest milionerem, tylko to ukrywa – dodaje zamyślona.

Śmieję się, a Joan pyta o moje wakacje.

- Ładna opalenizna, młoda damo. Wyglądasz na zdrową i pełną energii.

– Dzięki. Tak się właśnie czuję.

- Czy spędzałaś noce z tym młodym mężczyzną?

– Jedenaście razy – chwalebę się z uśmiechem.

- A nie mówiłam?! – Joan chichocze. – Uczcijmy to herbatnikiem.

Bierzemy po jednym i zaczynamy pogryzać.

- Rozumiem, że wobec tego historia z Daveyem się zakończyła?

Kiwam głową, myśląc o tym, że do mnie pisał, lecz nie zdołał tego wysłać. Nikomu nie powiedziałam, co Davey zrobił. Dwa razy. I nie chcę przywiązywać do tego wagi. Zamiast mówić „Tak, wszystko skończone”, patrzę Joan w oczy.

- Napisał do mnie wiadomości, lecz ich nie wysłał.

Joan się we mnie wpatruje. Nie łapie, więc wyjaśniam:

- Widziałam, że do mnie pisze, ale nie wcisnął „wyslij”. Zrobił tak dwa razy. Byłam tego świadkiem.

Dociera do mnie, że może robił to wiele razy. Ściągam brwi. To mógł być zbieg okoliczności, że te dwa razy byłam akurat online i natrafiłam na te jedyne dwa razy, gdy napisał do mnie wiadomość i jej nie wysłał.

Joan coś mówi, a ja wracam do rzeczywistości.

– Myślałaś o tym, żeby do niego zadzwonić? Jak długo to trwa?
– Prawie dwa miesiące. I nie. Jestem tchórzem. Wysłałam mu wiadomość. Ale nie odpowiedział. Nie zamierzam do niego dzwonić. Wykonałam pierwszy ruch, proponowałam, żebyśmy zostali przyjaciółmi. Teraz jego kolej.

– Mimo że jest chory?

Potwierdzam skinieniem głowy.

– Właśnie dlatego piłka jest na jego połowie. Prosił, żebym się z nim nie kontaktowała. Nie zastosowałam się do jego prośby. Ale już dłużej nie mogę. Nie mogę go nękać. Naprawdę teraz to on powinien wykonać jakiś ruch.

– Rozumiem. – Joan szuka wzrokiem talerza z herbatnikami po mojej stronie płotu. Unoszę go, Joan bierze ciasteczko, po czym odstawiam talerz.

– Ty nie jesz? – pyta.

Kręcę głową.

– Wydaje mi się, że George myśli, że podczas wakacji utylam.

Joan wygląda na zbulwersowaną.

– George od wspólnego nocowania?

– Tak.

– Hannah... – mówi Joan ostrzegawczo.

– Nie, nie, to nie tak. Po prostu zależy mu na zdrowym trybie życia i sprawności fizycznej i chce, żebym ja też tak żyła. Bardzo się starał nie dawać mi do zrozumienia, że przytyłam, ale obawiam się, że tak właśnie uważa. On naprawdę uwielbia jeść pięć razy dziennie, jak zalecają. A ja lubię naleśniki na śniadanie, szczególnie gdy z ich robieniem męczy się ktoś inny.

– O tak. Boję się, że jeśli na statku będą codziennie podawali naleśniki, przytyję kilka kilogramów.

– Raz się żyje, no nie?

– Ale potem dostaje się zawału serca – podsumowuje Joan ostrzegawczo.



Paul, Miranda i ja cierpliwie czekamy w pubie na George'a. Pijemy drugą kolejkę drinków i Miranda bezlitośnie zasypuje mnie pytaniami. Paul krzywi się, gdy wyciąga szczegóły dotyczące wakacji i George'a, natomiast ja i Miranda się tym rozkoszujemy.

– Jaki duży? – pyta, wskazując szklanekę z piwem Paula. – Taki? – Trzyma rękę blisko jej krawędzi. Kręcę głową i unoszę jej rękę wyżej.

– Ty szczęściar! – piszczy Miranda i przybijamy piątkę.

Paul patrzy zniesmaczony na swoją szklanekę.

– Na miłość boską – mamrocze i ją odsuwa. – Nie możesz jej pytać o takie rzeczy – karci Mirandę.
– A ty, odpowiadając, łamiesz wszelkie zasady – jęczy, patrząc na mnie.

– No co? – Miranda odwraca się w jego stronę. – Muszę pytać o takie rzeczy, bo teraz jest lojalna i zakochana, a za miesiąc nie wydobędę z niej żadnych szczegółów. – Znów się do mnie odwraca. – Chcę wiedzieć wszystkim.

– Przestań, proszę. – Paul spogląda przez okno na ciemny biurowiec w pobliżu.

– Jedenaście razy – odzywa się Miranda po chwili. – Jedenaście. Razy. Jak to się stało, że nie dostałaś jakiegóż infekcji?

– Nie wiem – odpowiadam, śmiejąc się. – Miałam szczęście.

– Ja i Paul daliśmy radę najwyżej pięć razy w tygodniu. Byliśmy w Scarborough, pamiętasz?

Paul wygląda na przerażonego.

– Mirando!

Chichoczę i zerkam na zegarek. Gdzie on jest?

– A poza epickim seksem, bla, bla, bla... gość jest miły? Lubisz go?

– Tak – odpowiadam z namysłem. Ciężko pracujący, zmęczony George jest trochę inny niż ten zrelaksowany na wakacjach w Tajlandii, lecz nie mówię tego na głos.

– Nie mogę się doczekać, kiedy go poznam – mówi Miranda. – Zamierzam od razu go oczarować i zachowywać się zalotnie i głupawo, za co już teraz przepraszam.

– Ale które z nas? – chce wiedzieć Paul, krzyżując ręce na piersi.
– Was oboje, oczywiście. – Puszczą do mnie oko.
– Dobra. Tylko sprawdzam – rzuca Paul, po czym mamrocze coś pod nosem, a ja i Miranda patrzymy na siebie, tłumiąc chichot.

– Napisałaś mu, gdzie i o której się spotykamy? – upewnia się Miranda.

– Tak. To on powiedział, że chce was poznać, więc mu zależy. Po prostu się spóźnia.

– Umieram z głodu – oznajmia Paul i macha na kelnerkę, żeby zamówić jakieś przekąski.

Pół godziny później George staje w drzwiach, rozgląda się, szukając nas, a kiedy mnie dostrzega, uśmiecha się szeroko i rusza w naszą stronę. Mimo że się spóźnił, jego uśmiech rozładowuje napięcie, jakie sztucznie budowała Miranda, i to prawdziwe, któremu na powierzchnię pozwolił wypłynąć Paul. Gdy wstaję, George mnie całuje i szepcze „przepraszam”, wtedy Paul również wstaje, odwzajemnia uśmiech i wyciąga rękę. Ci dwaj mężczyźni ściskający sobie ręce emanują energią. George to przerywa, całuje Mirandę w policzek i przeprasza za spóźnienie. Zauważam, że się nie tłumaczy, choć wygląda na to, że wszyscy na to czekamy.

– Co pijecie? Przynieść wam coś? – mówi po prostu.

– Nie, tu jest obsługa – wyjaśnia Paul. – Ale dzięki.

– To super – kwituje George i wślizguje się na puste krzesło.

Jest jasne, że wziął do siebie mantrę „Nigdy nie wyjaśniaj, nigdy nie narzekaj”, bo nie poznajemy przyczyny jego spóźnienia.

– Wszystko w porządku? – sonduję.

– Pewnie. A u ciebie? – Przysuwa się ukradkiem, by szybko mnie pocałować.

– Teraz tak.

Podchodzi kelnerka, żeby przyjąć zamówienie, mimo że George nie miał szansy zajrzeć do menu.

– Luzik. Ostatnio miałem wiele doświadczeń z tajskim jedzeniem, więc wezmę... – Wylicza kilka prostych dań, kelnerka kiwa głową i coś bazgrze, po czym zwraca się do nas.

George jest w formie. Miranda ma napady chichotu. Paul co jakiś czas rzuca mi spojrzenie, którego znaczenia nie potrafię przeniknąć. George jest dowcipny, przyjacielski, zadaje pytania Paulowi, ciekawi go, co on robi, gdy nie pracuje. Nie pyta moich przyjaciół, jak zarabiają na życie – przeczytałam w jakimś czasopiśmie dla kobiet, że to najnudniejsze pytanie, jakie można zadać na przyjęciu. Rozmawiamy o wakacjach, życiu i programach ćwiczeń, a ja jestem pod wrażeniem, ponieważ podejmujemy ten temat całkiem naturalnie, choć George w ogóle o tym nie wspomina. Ściskam jego nogę pod stołem, a on posyła mi zadowolone spojrzenie, po czym pochyła się i szybko mnie całuje, zanim odpowie na pytanie Mirandy, od jak dawna mu się podobam.

– Och, od wieków... to znaczy... tylko na nią popatrz – żartuje George.

– Jesteście tacy słodcy!



Nieco później, gdy George i ja leżymy przytuleni w łóżku, a ja odpływam w sen, Miranda przysłała mi SMS-a:

Paul i ja go uwielbiamy – entuzjazmuje się. – Jest wspaniały. Uśmiecham się. I dostaję kolejną wiadomość: Doskonała odskocznia, by zapomnieć o Daveyu.

Ta wiadomość powoduje u mnie nagłe uderzenie mdłości. Ściągam brwi. Dlaczego to napisała? Dlaczego nagle wywołała ten temat? Odpisuję jej, zadając pytanie w najmniej pasywno-agresywny sposób, jak to możliwe.

Och, nie o to mi chodziło! – odpisuje błyskawicznie. – Żartowałam. Przepraszam. Nie wiem, dlaczego coś takiego napisałam. Wydaje się idealny i... Cholera, mogę zadzwonić? Przepraszam!

Nie. Leżę w łóżku. Nie przejmuj się. Nic się nie stało.

Odkładałam komórkę. George obok mnie już zasnął, oddycha głęboko, jego pierś unosi się i opada w powolnym rytmie. Wypuszczam głośno powietrze. Teraz nie zasnę. Wstaję ostrożnie, nie chcąc obudzić George'a i wdawać się w dyskusję, dlaczego nie mogę spać. Co miałabym mu powiedzieć? Nie wspominałam o Daveyu, odkąd oznajmiłam George'owi, że nie jadę na wakacje, bo zostałam porzucona.

Biorę telefon z nocnego stolika, idę do salonu i przewijam wiadomości, pomijając te od Mirandy, od

mamy i taty, George'a, Clare, Joan oraz aktualny wątek korespondencji z przyjaciółmi ze studiów, i wyświetlam ostatnią wymianę wiadomości z Daveyem. Nadal nie odpowiedział na to, co napisałam do niego z Tajlandii.

Włączam lampkę w korytarzu i moją małą kuchnię zalewa blade światło. Podnoszę roletę i patrzę na ogródek. Nigdy nie zrobiłam nic z tym kwadratem betonu, postanawiam więc, że gdy będzie trochę cieplej, kupię jakieś ławki, poduszki i doniczki. Nie lubię zmian dla samych zmian, ale mieszkam tu już kilka lat i w najbliższym czasie nie zamierzam się wyprowadzić. Powinnam sprawić, by to miejsce było ładniejsze, trochę się zaangażować w urządzenie ogródka. Lato za pasem. Rany, jak szybko przeleciał czas od Bożego Narodzenia i od początku grudnia, kiedy Davey zadzwonił do mnie przez pomyłkę.

Nagle czuję gwałtowną potrzebę obejrzenia *Pokoju z widokiem* – tak na pocieszenie. Może przy nim odpłynę? A może nie. A jeśli to, że oglądałam film z Daveyem, wszystko zepsuło? Muszę się przekonać. W jednej ręce trzymam kubek z herbatą, drugą włączam telewizor, szybko ściszam dźwięk, żeby nie obudzić George'a, i znajduję film, pozwalając, by leciał w tle. Jestem podenerwowana, więc odblokowuję telefon, zamierzając przejrzeć wiadomości, ale otwiera się na tym, na co patrzyłam ostatnio. Między innymi na wiadomości, którą wysłałam do Daveya, tej, że kogoś mam, że jestem szczęśliwa i mam nadzieję, że on też, i że jeżeli chciałby się ze mną przyjaźnić, to jestem gotowa. Zamierzam ją skasować i otworzyć jakiś portal informacyjny, lecz zauważam, że Davey jest online i znów coś do mnie pisze. Działam pod wpływem impulsu. Nie ma czasu na zastanawianie się. Wystukuję energicznie:

Cokolwiek piszesz, proszę, tym razem to wyślij.

ROZDZIAŁ 15

Davey

Odrzucam komórkę, jakby płonęła. Cholera! Widziała, że piszę. Jak długo? Znow odczytuję wiadomość: Cokolwiek piszesz, proszę, tym razem to wyślij. Widziała, jak robiłem to przedtem. Ile razy? Zawsze? Więcej niż raz, to pewne. O Boże, co za upokorzenie. Nie mogę ryzykować i nadal pisać. Nie mogę też ryzykować i skasować wszystkiego, co do tej pory napisałem. Czy słowo „pisze” wyskakuje nawet wtedy, gdy wszystko się kasuje? Jestem pewny jak cholera, że nie wyślę jej tego potoku zwierzeń. Komórka wciąż świeci, wpatrując się we mnie z kanapy. Za sekundę się zablokuje i pokaże, że jestem offline. I wyjdę na tchórza jak wtedy, gdy zobaczyłem wiadomość od niej, zabrakło mi odwagi i nie odpisałem. Jak przewidziałem, komórka się blokuje. I po problemie. Zaloguję się później i usunę ten chaotyczny strumień świadomości.

Odkąd Hannah przysłała mi tę wiadomość, nie mogę przestać o tym myśleć. Układam odpowiedź za odpowiedzią, i tak w kółko. Opowiadam jej o tym, co się ze mną dzieje, ponieważ chcę, żeby wszystko wiedziała, powiedziałem jednak, że pozwalam jej odejść, więc nie wciskam „wyślij”. Ale czuję się dobrze. Bo dobrze jest wszystko z siebie wyrzucić. Im więcej piszę, tym więcej z siebie wyrzucam. Choć na pewno jej tego nie wyślę.

Codziennie rozmawiam z Grantem. No i są rodzice. Tata zaciska szczęki i wygląda tak, jakby chciał się rozplakać, ale nie mógł. Mama płacze. Często. No i jest jeszcze Hannah... tak daleko, i za każdym razem, gdy o niej myślę, mam wrażenie, że coraz dalej. Takie pisanie jest jedynym sposobem, by powiedzieć jej, jak bardzo cierpię, jak okropnie wyglądam, że skóra na mojej głowie jest bardziej delikatna niż skóra na tyłku, że brwi prawie zniknęły i nie wygląda na to, żeby znow się pojawiły. A ponieważ piszę jak totalny świr, wszystko kasuję... za każdym razem.

Hannah i ja rozstaliśmy się jako przyjaciele, więc powinienem być w stanie opowiedzieć jej o tym wszystkim. Ale jest gorzej, niż było. Ja czuję się gorzej. I jestem wściekły. Wściekły, że widziała, jak piszę, i że się do mnie odezwała. A to było wszystko, co miałem. Pisanie do niej, niewysyłanie tego, logowanie się, żeby wypisywać jeszcze więcej bzdur. Teraz już nie mogę tego robić. Teraz muszę przestać. Dzięki, Hannah. Biorę telefon, rzucam nim i patrzę, jak się roztrzaskuje. Czuję ulgę i satysfakcję, bo widzę, jak coś mocnego rozpada się na kawałki, staje się niczym – jak ja.

Nazywają to rakiem jąder, rakiem przez małe „r”, ponieważ prawdopodobieństwo przeżycia jest dość wysokie i ponieważ piętnaście lat temu udało się dobrać odpowiednie dawki leków. Chemioterapia jest jednak przez wielkie „C”. Bo to nie rak sprawia, że czuję się tak, jak się czuję, a właśnie chemia. To dlatego nie mogę wysłać tych wiadomości. Bo we wszystkich jest mowa o zdrowym silnym człowieku, który załamuje się dzień po dniu, a to nie jest ta wersja mnie, jaką chciałbym, żeby zobaczyła Hannah.

Nie fatyguję się nawet, by wstać i pozbierać kawałki mojego drogiego telefonu. Nie mam siły. Wpatruję się w okno w salonie. Za sekundę przyjdzie mama i wpadnie w panikę na widok tego, co właśnie zrobiłem, i dlaczego to zrobiłem. Zmuszam się więc, by wstać, co wysysa ze mnie całą energię. Na rękach i kolanach zaczynam zbierać resztki tego, co kiedyś było telefonem. Nie wygląda na to, by dało się go naprawić. Jestem tak wyczerpany, że nie mogę się podnieść, więc czołgam się do kuchni, wyrzucam szczątki komórki do śmieci, zachowując tylko kartę SIM. A potem pełzną do salonu, wdrapuję się na kanapę, starając się odzyskać oddech, biorę laptop i zamawiam nowy telefon.

ROZDZIAŁ 16

Hannah, marzec

Jest niedzielny poranek, George i ja wyszliśmy do ogródka. Pora przedstawić go Joan. Trochę się denerwuję, zupełnie jakbym miała go zaprezentować mamie i tacie, i uświadamiam sobie, że Joan to taka moja londyńska mama. Zapomniałam ją uprzedzić, żeby nie wspominała o Daveyu. Nie wiem dlaczego, ale czuję, że tego tematu nie powinniśmy poruszać. Wczoraj nie przypominałam o tym Mirandzie, nie powiedziałam jej też, że widziałam, co Davey robi, ani o tym, że się do niego odezwałam.

Niezależnie od tego, jakie niepisane zasady panują między przyjaciółkami, nigdy nie należy wspominać o mężczyznach, którzy kiedyś pojawili się w naszym życiu. Chyba że okazali się łajdakami. Davey nie. Ale czy Joan wie takie rzeczy? A może przesadzam? Wyjmuję telefon z kieszeni szlafroka, szybko piszę do niej krótką wiadomość: Nie wspominaj o Daveyu i chowam telefon do kieszeni.

Przechyłam się nieco przez ogrodzenie i widzę ją w kuchni, dostrzegam, że zerka na komórkę, która rozświetliła się na blacie. Dobra, zobaczyła SMS-a. Lekko kręci głową, jakby była zmieszana, a ja czuję się trochę jak idiotka. Oczywiście, że nie zamierzała wspominać o Daveyu. Bo niby dlaczego miałyby to robić?

Za moimi plecami George zerka na zegarek.

– Wszystko dobrze? – pytam.

– Tak – odpowiada, cmokając mnie w policzek. – Wciąż nie wiem, dlaczego musisz być w szlafroku.

– To po prostu... taki nasz zwyczaj. Ja i Joan zawsze jesteśmy tak ubrane.

George nie chciał pożyczyć mojego zapasowego szlafroka i niemal błagał, żebym poczekała, zanim powiadomię Joan, że jesteśmy gotowi. Wskoczył pod prysznic, umył zęby, włożył dżinsy i sweter i oznajmił, że możemy iść.

Zajął mu to tyle czasu, że mam straszną ochotę na kawę, no ale wygląda dobrze. Swetry otulają jego bicepsy, tak że ma się ochotę go głaskać, jakby był kotem. Ja rano zawsze wyglądam paskudnie, ale mam to gdzieś. Przecież oglądają mnie tylko on, Joan, no i kiedyś Davey.

Nadal nie mam pojęcia, co myśleć o zniknięciu Daveya poprzedniego dnia. Zatrzymałam *Pokój z widokiem*, gapiałam się na telefon, czekając, aż znów będzie online, aż wreszcie poszłam spać, nie zdając sobie sprawy, że film wciąż jest włączony. George zobaczył to rano, spytał, co to ma być, i gdy się dowiedział, że to mój ulubiony film, zapytał, czy kiedyś moglibyśmy obejrzeć go razem. Zesztywniałam. Nie powinnam mieć oporów przed podzieleniem się z nim moim ukochanym filmem. Nie można tak kogoś traktować. Jeśli chcę, żeby nam się udało, muszę być otwarta. Stałam więc nieruchomo, w milczeniu przeżywając kryzys egzystencjalny i zastanawiając się, czy jeżeli nie będę gotowa obejrzeć *Pokoju z widokiem* z George'em, przyznam sama przed sobą, że nasza relacja zmierza donikąd. A to najgorszy sposób rozpoczęcia znajomości, która być może zamieni się we wspólny związek. Zgadzam się więc, uśmiecham, zamierzam później kupić popcorn i zrobić z seansu wydarzenie – tym samym dopuszczając George'a jeszcze bliżej.

Przybywa Joan z tacą w rękach, rzuca okiem na George'a i uśmiecha się promiennie do niego i do mnie. George wygląda na zdenerwowanego, ale, dzięki Bogu, odwzajemnia uśmiech.

– Jest naprawdę tak przystojny, jak go opisałaś – żartuje Joan. – Jedenaście wspólnych nocowań... tak, widzę to – mówi, chichocząc.

Wyczuwam, że George w myślach wypina pierś, podczas gdy ja w środku umieram. Przedstawia się i widzę, że poziom jego uroku wzrasta.

Rozmawiamy o rejsie Joan, bo tylko o tym może teraz myśleć. Wyznam, że gdy jutro wyjedzie, będzie mi jej brakowało. Od dawna jest spakowana, co, muszę przyznać, jest naszą wspólną cechą, a ona mówi:

– O tak, podróże. Ale ty masz złamane serce, więc pewnie na razie nie masz ochoty nigdzie wyjeżdżać. Do jasnej cholery, Joan, prosiłam cię tylko o jedno...

– To znaczy... – zaczynam – nie mam złamanego serca, po prostu...

Joan wygląda na zmieszaną, posyła mi przepaszający uśmiech i by zabłysnąć, oznajmia:

– India robusta monsoon, intensywność jedenaście.

– Że co? – pyta George.

– Kawa – mamrocze, wpatrując się w swoją filiżankę, przerażona tym, że ten poranek nagle okazał się

niewypałem, bo Joan za długo rozwodzi się na temat drzewnego posmaku kawy i opowiada o tym, jak pora monsunowa wpłynęła na to, co mamy w filiżankach. George patrzy na nią zdezorientowany, jakby miała dostać udaru. Mówiłam mu, że pijemy w ogródku kawę i wystawiamy oceny, lecz on najwyraźniej o tym zapomniał.

– Będę wspaniałomyślna – oznajmia Joan. – Pięć na pięć.

Zauważyłam, że nie wypięła nawet łyka, więc ja wypijam trochę i kiwam głową na znak, że się z nią zgadzam.

– George? – pytam nieśmiało.

Upija łyk kawy.

– Hm, no nie wiem... Może cztery?

– Doskonale. – Załatwione, marzę, żeby jak najszybciej się ulotnić.

– A co dzisiaj robicie, szalone dzieciaki? – chce wiedzieć Joan.

Rozmawialiśmy już o tym. Patrzę na George'a. Chyba spędzamy ten dzień razem?

– Wieczorem oglądamy *Pokój z widokiem* – odpowiadam bez entuzjazmu.

Joan kiwa głową.

– A w ciągu dnia?

Nie wiem, co moglibyśmy jeszcze robić.

– Będziemy siedzieli, tracąc czas i marnując jeden z naszych cennych wspólnych dni.

– Czas, który marnujesz z radością, nie jest stracony – szczebiocze Joan. – John Lennon – dodaje, wymieniając swojego idola. Cytuje mi go dość regularnie.

George wygląda na zaskoczonego. Wypuszcza powietrze i pyta:

– Chcesz iść na miasto?

– Pewnie. Na zakupy albo...

– Nie, zakupy możesz zrobić przez internet. Dlaczego nie mielibyśmy być dziś turystami?

– Do... dobrze.

– Nie chcesz?

Widzę, jak Joan zerka to na jedno z nas, to na drugie, jakby oglądała słowny mecz tenisowy.

– No to co chcesz robić? – pytam.

– Zróbmy sobie wycieczkę autobusem po Londynie. Wiesz, taką okropną, czerwonym autobusem, podczas której w kilka godzin zwiedzasz wszystko, a ktoś wykrzykuje informacje.

Przełykam kawę.

– Nie, dzięki, nie mam ochoty.

Zamierzałam zrobić to z Daveyem i jestem na siebie zła, że bronię się przed wyprawą z kimś innym. Choć na wycieczkę z Daveyem nigdy się przecież nie wybiorę. Na myśl o tym aż się wzdragam. Powinna zmienić zdanie i powiedzieć George'owi „tak”.

– Dobrze – mówi George. – Dokąd się stąd najłatwiej dostać? Do Tower?

Spoglądam na niego. Właśnie wymienił miejsce, które miałam zwiedzić z Daveyem, i jeśli zaproponuje jeszcze Galerię Portretu, to przysięgam, że zaraz zacznę krzyczeć.

– A jest coś nowego? Może jakaś wystawa?

– Tak. James Bond...

– Brzmi świetnie. To chodźmy.

– Nawet nie wiesz, co chciałem powiedzieć. – Śmieje się. – Chodzi o samochody. Pasują ci samochody?

– Tak – zapewniam, choć nienawidzę samochodów. – Na pewno będą fascynujące.

To jednak lepsze niż każdy z absurdalnych planów, który zamierzałam realizować z Daveyem. Z George'em nie mogę snuć absurdalnych planów. Jeszcze nie. Mówię sobie, że potrzebuję tylko kilku miesięcy i będzie dobrze. Co oznacza, że teraz tak nie jest. Ale mi się poprawi. To najważniejsze.

Żegnamy się z Joan. Przez cały następny miesiąc, gdy będzie przemierzała morza, jadła naleśniki, jeździła na łyżwach i odkrywała nowe rzeczy z Geoffem, będę za nią tęskniła.

Na tym właśnie, między innymi, polegają związki: na dowiadrywaniu się o sobie nawzajem nowych rzeczy, na odkrywaniu świata... razem.

George, śmiejąc się, zamyka za nami kuchenne drzwi.

– To było zabawne – stwierdza. – Ona jest jedyna w swoim rodzaju.

– Co? – pytam zdumiona.
– Stuknięta. Zupełnie zwariowana – precyzuje.
– Tak, wiem, o co ci chodzi, ale nie jest – odpowiadam z narastającą wściekłością.
– Oczywiście, że jest. Te bzdury o pięć na pięć. Robi ci to co tydzień? To śmieszne. I wmawianie, że masz złamane serce. – Milczę. – Pamiętam, że nie chciałaś jechać do Tajlandii, ale przecież nie miałaś złamanego serca, prawda?

To trochę dziwne: George wiedział, że jestem smutna z powodu Daveya, wiedział, że właśnie dlatego nie chciałam jechać na wakacje, a mimo to zapukał do moich drzwi i przekonywał, żebym pojechała. A teraz twierdzi, że nie miałam złamanego serca. Przez cały pobyt w Tajlandii nie rozmawialiśmy o Daveyu, po prostu byliśmy na wakacjach, dobrze się dogadywaliśmy i... stało się. Nasze rozmowy nigdy nie dotyczyły Daveya i byłam z tego zadowolona. Nie chciałam poruszać tego tematu z wielu powodów.

Ale teraz to pewnie nieuniknione.

– Mielicie tylko wideorandki czy co to tam było, tak?

To właśnie dlatego tak trudno o tym rozmawiać.

– Aha – odpowiadam, kiwając głową. – I nie. Nie mam złamanego serca. I tak, to były tylko randki wideo.

– Uff... Bo jeśli oczekiwałabyś ode mnie, że będę jak ten facet, który złamał ci serce i którego, kurwa, tak naprawdę nigdy nie spotkałaś, to... jestem w tarapatkach.

– Nie jesteś – zapewniam i podchodzę do niego zdeterminowana. – Nie jesteś w tarapatkach. Jesteś wspaniała.



Wystawa samochodów Jamesa Bonda strasznie mnie nudzi, lecz staram się tego nie okazywać. Przeczytałam informacje o wieku niektórych samochodów, ile razy próbowano je wysadzić w powietrze i w którym filmie. Myślę o sklepie z pamiątkami i mam nadzieję, że nie będzie tam wyłącznie gadżetów związanych z Jamesem Bondem.

Wędruję myślami do pracy, co jest tragiczne, bo mamy przecież weekend i powinnam się cieszyć, że spędzam czas z George'em. Nic jednak na to nie poradzę, że im bardziej znosi mnie w stronę firmy, tym mniej jestem szczęśliwa, za to coraz bardziej obojętna. Ostatnio tak bardzo byłam pochłonięta Daveyem, że dopiero teraz zdaję sobie sprawę, że dryfuję bez celu. Moja praca łączy się obecnie z większą odpowiedzialnością i coś tak czuję, że to przez mojego szefa Craiga, który nie zamierza się przepracowywać, zwała wszystko na moje biurko i wolałby, żebym się nie rozwijała. Ale ja chcę się rozwijać, i to bardzo. Oglądam kolejny samochód. Mam nadzieję, że Craig znajdzie sobie bardziej atrakcyjną pracę, i wtedy awansuję. Choć właściwie nie wiem po co.

George jest w swoim żywiole, czyta każdy opis, studiuje każdy detal w każdym aucie, a po chwili puszcza moją rękę i idzie obejrzeć prototyp helikoptera użytego w *Golden Eye*. Udaję zainteresowanie, bo tak robią ludzie w związkach, prawda? Wspierają swoją drugą połowę w jej pasjach, chodzą na wystawy, które ich nie interesują, tylko po to, by móc powiedzieć, że spędzają razem czas. Tak postępują normalne kobiety. Więc ja też będę tak postępowała.

– Och, Hannah, eurocopter... – mówi George, a jego dłoń znów odnajduje moją.

Kiwam głową, uśmiecham się, pytam o wielkość silnika, otrzymuję odpowiedź, której nie rozumiem, i przechodzimy do kolejnego wehikułu. George jest szczęśliwy, co z kolei uszczęśliwia mnie, chociaż nie mogę się doczekać, kiedy skończymy i będę mogła pobuszować w sklepie z pamiątkami.

Kątem oka dostrzegam obok siebie jakiś ruch, odwracam się i widzę wysokiego blondyna poprawiającego plecak. Gapię się na niego przez kilka chwil, na sekundę staje mi serce, bo mam wrażenie, że to Davey. Wzdycham trochę za głośno, mężczyzna się odwraca, patrzy na mnie, dostrzega, że się w niego wpatruję, posyła mi uśmiech i odchodzi.

– O Boże – mamroczę.

Co się ze mną dzieje? Przecież to niemożliwe, by Davey tu był. Pewnie leży na szpitalnym łóżku w Teksasie oszołomiony lekami. Co jednak nie przeszkadza mi myśleć, że go widzę. W kolejce w Tesco zdarzyło się to samo, gdy zobaczyłam wysokiego blondyna układającego towar na półkach. Wyobrażając sobie, że Davey jest tutaj, krzywdzę sama siebie. Chyba tracę rozum.

Miałam jednak rację co do sklepu z pamiątkami. Są tam same bondowskie gadżety. I książki. O Jamesie Bondzie.

– A czego się spodziewałaś? – pyta George ze śmiechem.

– Rzeczy do domu, mydeł, tego, co zawsze jest w takich sklepach.

– Potem zabiorę cię na zakupy. Jeśli chcesz, kupimy ci coś dziewczynskiego. Ja stawiam.

Podchodzę bliżej i go całuję. George wypatrzył książkę w twardej oprawie – sygnowane, limitowane wydanie kosztujące około stu funtów – a mnie oczy o mało nie wychodzą z orbit.

– Nie możesz wydać stu funtów na książkę – zauważam przerażona.

– Dlaczego nie? To moje pieniądze – ucina, gdy kończy ją przeglądać i staje w kolejce do kasy.

– To sto funtów – powtarzam, jakby źle odczytał cenę.

– Wiem. Ale jest sygnowana. Limitowana edycja. I chcę ją mieć.

– Dobrze – ustępuję, nie mając pewności, dokąd mnie zaprowadzi wałkowanie tego tematu.

– Przeczytasz ją więcej niż raz?

– Tak, ma doskonałe ilustracje, popatrz.

– Dobrze – powtarzam.

Dlaczego się z nim o to kłóć? To jego kasa.

Wychodzimy ze sklepu i idziemy na późny lunch. Nie zarezerwowaliśmy nigdzie stolika, ale uwielbiam takie włóczenie się i szukanie miejsca, które spełni nasze oczekiwania. Zgadamy się, że uwielbiamy stylowe knajpki, gdzie nie ma turystów i nie jest za drogo. Trudno znaleźć takie trzy w jednym, więc łapiemy autobus i jedziemy na South Bank, gdzie skrawek ziemi między Royal Festival Hall i Tate Modern zastawiają stragany z jedzeniem. Ruszamy wzdłuż stoisk, omawiając gamę kuchni i kultur, jakie oferują.

Idziemy powoli, trzymając się za ręce.

– George? – zagaduję.

– Mhm...? – Wyciąga szyję, żeby spojrzeć ponad głowami turystów i londyńczyków i zobaczyć, jakie są ceny. Ściąga brwi, a ja myślę: zafunduję mu lunch. Właśnie wydał kupę kasy na książkę.

– Skąd pochodzisz?

– Z Dagenham – odpowiada po chwili. – Dlaczego pytasz?

Wzruszam ramionami.

– Spędziliśmy razem dziesięć niebiańskich dni w Tajlandii, a ja właściwie nic o tobie nie wiem. Masz braci i siostry?

– Siostrę. A ty?

– Nie. – Kręcę głową. – Jak ma na imię?

– Amanda.

Rozmowa się nie klei, więc kontynuuję wypytywanie:

– Ile ma lat?

– Co to jest, Gallagher, teleturniej?

Śmieję się.

– Nie, po prostu podtrzymuję rozmowę. – Zostawiam ten temat, bo coś do mnie dociera. – George, gdzie ty właściwie mieszkasz?

Teraz on się śmieje.

– Co?

– Gdzie mieszkasz? – powtarzam.

– Niedaleko od ciebie. Jakieś dziesięć minut.

– Gdzie?

– Chcesz wpaść do mnie na noc? Na, jak nazwała to Joan, nocowanie dla dorosłych? – drażni się ze mną.

Chichoczę.

– Pewnie – mówię, dając mu kuksańca w żebra.

Przystajemy przy stoisku z naleśnikami i postanawiam wziąć wytrawne.

– No i proszę, Gallagher, to, co lubisz najbardziej. Postawię ci.

– Nie, ja stawiam. Zadałeś sobie trud, żeby wymyślić, co będziemy dziś robili, poza tym nie mogę

pogodzić się z tym, że wydałaś taką kasę na książkę.

George się uśmiecha, lecz jakoś niewyraźnie, a ja się zastanawiam, co mnie, na Boga, opętało, by znów o tym gadać. Myślałam, że się roześmieje, ale chyba źle to odczytałam. Nagle George zastyga i patrzy na swoje ręce.

– Książka. Gdzie jest książka? – pyta, jakby to ja mu ją zabrała.

Ja też spoglądam na jego ręce. Nie trzyma w nich torby ze sklepu z pamiątkami.

– Gdzie... Zostawiłaś ją w autobusie?

Nie wiem, czy zaraz wybuchnie złością, czy się rozplacze. Zaciska szczęki i tylko kręci głową.

– Kurwa – przeklina cicho.

Nie wiem, co powiedzieć. Zbliżamy się do początku kolejki. Zamawiam naleśniki, delikatnie głaszcząc go po ramieniu, a on odruchowo napina biceps pod kurtką, ale tak, jakby nie chciał, żebym go dotykała, a nie po to, żeby mi pokazać, jak dobrze jest zbudowany. Łapię, o co chodzi, i zabieram rękę.

Składa zamówienie tak cicho, że sprzedawca musi go prosić, by powtórzył, i George to robi, cedząc przez zęby. Potem idziemy wzdłuż rzeki, tam, gdzie wyraźnie zakręca. Nic nie mówię. Czekam, aż George coś powie, zmieni temat. O jednak rozmyśla o zgubionej książce, a ja nie mam odwagi się odezwać. Jemy, idąc, a po chwili, kiedy wyrzucamy nasze śmiecie do kosza, jego ręka znów wślizguje się w moją.

Uśmiecha się do mnie.

– Przepraszam – mówi po chwili.

– W porządku. Kupię ci drugą. – Sama jestem zaskoczona swoimi słowami.

– Naprawdę? Och, Hannach, nie musisz.

– Wiem, ale widzę, że jesteś zdenerwowany. Bardzo chciałeś mieć tę książkę.

– Obiecałem, że coś ci kupię – żartuje George, odzyskując rezon. – Więc to zrobimy. Chodź.

Idziemy nad rzeką, trzymając się za ręce, po drugiej stronie widzimy Tower, mijają nas samochody i autobusy. Przez minutę myślę, że zmierzamy do autobusu, by pojechać do domu, lecz kiedy przechodzimy przez most Tower, George namierza wielki sklep z pamiątkami sprzedający królewską tandetę tym, którzy nie wydali wystarczająco dużo pieniędzy w samym zamku.

– Chodź, wejdziemy – proponuje.

– Tutaj? Do sklepu z pamiątkami przy Tower?

– No tak, kupię ci prezent.

– Tutaj? – pytam znów.

– No chodź – George ciągnie mnie do sklepu. – Chcesz długopis z koroną? – pyta, wskazując głową obrotowy stojak.

– Niech ci będzie. – Chcę stąd wyjść. Przypuszczam, że to miało być urocze, jednak aż się wzdragam.

– A może... podkładkę?

– Podkładkę? – powtarzam jak echo. – Nie, długopis jest ładny.

– Tak? Nie widzę entuzjazmu.

W jego głosie pojawia się zrzędliva nuta, więc uśmiecham się szeroko.

– Jestem w stu procentach pewna, że chcę długopis z koroną.

– Gallagher, do cholery, to szesnaście funtów.

Patrę na niego, po czym mówię cicho:

– Odłóż to, George. Naprawdę niczego nie chcę.

– Ale ja chcę, żebyś go miała. – Patrzy na mnie szczerze przejęty tym, że zamierzam stracić taką okazję.

– No to go kupię – decyduję.

On wzdycha, podaje mi długopis, a ja staję w kolejce, żeby za niego zapłacić.



Kiedy dotarliśmy do domu, ostatnią rzeczą, na którą miałam ochotę, było przygotowanie się do wieczoru filmowego. Przeprosiłam, że nie mamy popcornu i że jestem zmęczona całym tym chodzeniem. Stwierdziliśmy, że wystarczy atrakcji na dziś, a ja uznałam nasze wyjście za najgorszą randkę w moim życiu – George znokautował gościa śpiewającego podczas *La, La, Land*. Stojąc w drzwiach, Davey przeproszał, że okazał się takim idiotą, powiedział, że bardzo mnie lubi i wie, że wszystko zepsuł.

– Nie wiem, co się dzisiaj stało, Gallagher. To znaczy nie mam pojęcia, jak przeszedłem od bohatera

do zera. Kutas ze mnie. Bardzo cię przepraszam.

Uśmiecham się.

– Nic się nie stało. – Ani nie potwierdzam, ani nie zaprzeczam, że zachował się jak kutas. – Wiem, że w sklepie z pamiątkami byłam trochę niemiła i niewdzięczna – dodaję, chociaż nie okazałam wdzięczności za to, że chciał kupić mi długopis, który mi się nie podobał i którego on właściwie nie chciał mi kupić. Teraz jednak nie pora, by to analizować.

– To przez tę książkę. Byłem zły, że zostawiłem ją w autobusie. Zły na siebie. Co obróciło się przeciwko tobie. Nadal jestem wkurzony. Ale nie powinienem zachowywać się jak palant.

– Wszystko porządku, naprawdę. Też byłabym wkurzona, gdybym straciła sto funtów.

– No dobrze, nie mówmy już o tym. – George podchodzi do mnie z uśmiechem.

– Właśnie.

Pochyla się i głaszcze mnie po karku.

– Czy mogę to jakoś naprawić?

– Tak.

Gdy przesuwa ustami po mojej szyi ustępuję, jakbym była ladacznicą. Wpadamy do mieszkania, a George robi coś, od czego miękną mi nogi: zamyka kopnięciem drzwi, ściąga mi kurtkę i rzuca ją na podłogę, po czym bierze mnie na ręce i niesie do sypialni.



Po wszystkim w samych bokserkach idzie do kuchni. Lubię patrzeć, jak krząta się półnagi, jak wyjmuje z mojej lodówki rozmaite nudne produkty i zamienia je w coś wspaniałego. Siedzę w jego podkoszulku i figach – zostało mi jeszcze trochę wstydu – przygotowana do roli pomocnicy kucharza, lecz on mnie nie potrzebuje.

– Masz malakser? – pyta, rozglądając się za nieznanym mi urządzeniem.

Otwiera kolejne szafki.

– Niestety nie mam.

– No proszę. – Wyjmuje malakser, którego na oczy nie widziałam.

– Chyba Miranda go zostawiła, kiedy się wyprowadzała – stwierdzam, podchodząc do szafki. – Co jeszcze tam jest? O, garnek do gotowania na parze.

– Nie dbasz o zdrowe odżywianie, co, Gallagher?

– Umiarkowanie – droczę się z nim i wyjmuję z lodówki butelkę wina. – Chcesz kieliszek?

– Nie. Po kolacji pójde pobiegać. Przyłączysz się?

– Może. – Otwieram wino.

George ściąga brwi, kręci głową i wraca do pracy.

– Co gotujesz?

– Szpinakowe pesto.

Nie wiedziałam, że można zrobić pesto ze szpinaku. Znalazł w lodówce kurczaka, powąchał i uznał, że się nadaje, wyjął drugą patelnię i teraz kurczak skwierczy na niej delikatnie.

– Wygląda na to, że jesteś nieoceniony.

– Lepiej w to uwierz, kochanie. – Podnosi mnie, sadza na kuchennym blacie, całuje, po czym się odsuwa, wrzuca zielone składniki do malaksera i energicznie miksuje.

Siedząc na blacie i popijając wino, obserwuję, jak George dodaje orzeszki pinii. Jest miło. To właśnie to, czego chciałam. W tej chwili jestem szczęśliwa. W ogóle nie powinniśmy dziś wychodzić, tylko zostać w domu, dużo się kochać i gotować. Za chwilę pójde z nim pobiegać. Choć oczywiście najpierw mam zamiar wypić kieliszek wina.

ROZDZIAŁ 17

Davey, kwiecień

Znów czekam na wizytę u onkologa. Dziś idę do jego gabinetu sam. Mama jest w szpitalnej stołówce, błagała mnie, żebym jej powiedział, jak poszła druga seria chemii, jakie mam wyniki badań. Jestem po dwóch seriach. Przede mną jeszcze jedna. Dużo o tym myślę. To ostatnia.

Najstraszniejsze jest to, że moje ciało przypomina spaloną ziemię. Niesamowite, jak szybko opuszczają nas przyjaciele, gdy jesteśmy ciężko chorzy. Ci, którzy mnie odwiedzali, nie mogli spojrzeć mi w oczy, nie mogli oderwać wzroku od miejsca, gdzie kiedyś miałem brwi, widzieli, jak bardzo przybrałem na wadze (dzięki, sterydy!) i zauważali ewidentny brak moich blond włosów. Wszyscy czuli się niezręcznie.

Za dużo o tym myślę. W ogóle za dużo myślę. Mój umysł opanowują ponure przewidywania, jak to wszystko się skończy, jeśli chemia nie zadziała. Pytałem już o to mojego onkologa, doktora Khadera. Wyglądał poważnie. Pewnie przez cały dzień tak wygląda. Kto, do diabła, chce taką pracę?

– Dobre wieści – oznajmia doktor Khader, gdy wchodzę do jego gabinetu. – Markery nowotworowe są... – Wymienia jakąś liczbę po przecinku, która nic dla mnie nie znaczy. Mówię mu to. Stałem się opryskliwy. Teraz jestem taki przez cały czas. Doktor Khader uśmiecha się uprzejmie. Najwidoczniej przywykł do udzielania pacjentom informacji, których nie rozumieją, i bycia za to wyzywany. Jest gotowy wdać się w szczegóły, więc słyszę, że teraz poziom moich markerów jest niski – to dobrze, chemia działa, wszystko idzie zgodnie z planem. Pyta, co słysząc. Zwykle o to pytał najpierw, co mnie wkurzało, bo nikt podczas wizyty u onkologa nie ma ochoty na gadkę szmatkę o życiu, miłości i takich tam, chce tylko wiedzieć, czy leczenie działa, czy nie. Zagłębia się więc w szczegóły, z podkładką z wynikami badań w ręku mówi, że poziom markerów spadł, wyjaśnia, co to, do cholery, oznacza, a dopiero potem pozwalam mu na zwyczajową pogawędkę, choć jestem pewny, że moglibyśmy się bez niej obejść. Musi się jednak odbyć, by doktor wykazał się odpowiednim podejściem do pacjenta.

– Czuję się dobrze – mówię. To teraz moja zwyczajowa odpowiedź. Choć oczywiście kłamię. Jestem słaby, zmęczony i wszystko mnie boli. Przez cały czas źle się czuję, wściekam się, ale to brzmi jak zdarta płyta, więc kiedy lekarz patrzy na mnie, wiedząc, że kłamię, powtarzam: – Czuję się dobrze.

Kiwa głową.

– Pozwoli pan, że go zbadam.

Odbywa się długie badanie, co jest śmieszne, bo przecież usunęli mi jądro, z czym czuję się trochę dziwnie, więc nie wiem, czego on tam, na Boga, szuka. Musi jednak wypełnić rubryczki na podkładce, więc leżę na stole do badań z opuszczonymi gatkami, z rękami nad głową, podczas gdy na dole trwa akcja, a ja czuję dyskomfort i się wiercę.

– W porządku? – pyta. – Nadal boli? Tak długo po operacji?

– Nie, człowieku, po prostu ściskasz moje jądra. Jądro – poprawiam się, ściągając brwi. – A nawet nie zaprosiłeś mnie na kolację.

Doktor się śmieje, lecz nieszczerze, raczej z uprzejmości. Pewnie słyszał podobne odzywki milion razy

– Może się pan ubrać. Wszystko jest tak, jak oczekiwałem. Szwy ładnie się goją, nie dzieje się nic niepokojącego.

– Poza tym, że tam, na dole, brakuje połowy mnie.

Doktor Khader odchodzi od stołu, myje ręce i pyta:

– Ale jak się pan czuje? Tak naprawdę. Dziś jest pan sam? – Rozgląda się po gabinecie, jakbym ukrył mamę gdzieś za plastikowymi krzesłami. – Ma pan wystarczające wsparcie?

– Tak, mama i tata to moi najlepsi przyjaciele.

Spogląda na mnie z niedowierzaniem... Czeka, aż się otworzę.

– To dobrze – mówi wreszcie. – Coś jeszcze przychodzi panu do głowy? Jakies pytania dotyczące trzeciej serii chemii? – Nie powiedział „ostatniej serii”. Te drzwi trzyma szeroko otwarte. Tak na wszelki wypadek.

– Tak. – Pochylam się do przodu. – Właściwie mam pytanie. Co się stanie, jeśli tego nie zrobię?

Patrzy na mnie zaskoczony, a jego spojrzenie mówi „co to ma być, do cholery?” i „jestem pewny, że

się przesłyszałem”.

– Co się stanie, jeśli nie zrobi pan czego? – pyta.

– Jeśli przez to nie przejdę. Przez ostatni cykl. – Nazwałem go „ostatnim”. Bo mogę. Bo na to zasłużyłem.

Doktor Khader opada na oparcie fotela i krzyżuje ręce na piersi.

– Pyta mnie pan, co się stanie, jeśli nie podda się pan całemu procesowi leczenia? Jeśli przerwie je pan teraz, po drugim cyklu?

– Tak. – Mam ochotę mu pogratulować, że załapał, ale, choć nie mówię tego głośno, zdaję sobie sprawę, że jestem dupkiem.

Widzę, że zastanawia się, jak sformułować odpowiedź.

– To nie jest dobre rozwiązanie.

– Dlaczego nie? – pytam szczerze zaciekawiony. – Mam niski poziom markerów. Sam pan to powiedział. Rak prawie zniknął.

– Tak – przyznaje. – Prawie zniknął.

Teraz on czeka, aż załapię, lecz ja nie rozumiem.

– To naprawdę boli – wyznaję, czując, że w moich oczach wzbierają łzy. Mrugam, by je powstrzymać. – To naprawdę boli – powtarzam już spokojniej. – Nie dam rady znów przez to przejść.

Być może zadałem mu pytanie, jakiego nikt nigdy mu nie zadał, ponieważ patrzy na mnie, mruga powoli i z niedowierzaniem, i nic nie mówi.

– Konsultował się pan z psychoterapeutą? – pyta wreszcie i teraz to ja jestem zaskoczony.

– Nie.

– A chciałby pan?

– Nie. Ale proszę odpowiedzieć na moje pytanie. Jeśli pan może. – Wraca na chwilę dawny uprzejmy Davey.

Doktor pociera policzek, a ja zazdroszczę mu kilkudniowego zarostu. Właściwie brakuje mi codziennego golenia się, to jedyna pewna czynność w życiu.

– Bo inaczej leczenie nie zadziała. Dlatego są trzy serie.

– Uważa pan, że nie zadziała, czy pan to wie?

Doktor Khader prostuje się w fotelu, wyraźnie czując się nieswojo.

– Trzy serie. W przypadku tego nowotworu przepisujemy trzy serie chemii w odpowiednich odstępach czasu. To sprawdzona, przebadana dawka. Jeśli moglibyśmy skończyć na dwóch, tobyśmy to zrobili.

Kiwam głową.

– Okej. – Nie chcę chemii i nie ma sensu tego roztrząsać, więc wstaję, by wyjść.

– „Okej” na znak, że chce pan trzecią chemię, czy „okej”, bo chce pan po prostu opuścić gabinet i już ze mną nie rozmawiać? – pyta z uśmiechem, lecz widzę, że kryje się za nim cień troski.

Nie odpowiadam i też się uśmiecham. Muszę pomyśleć. Wyciągam rękę, a doktor Khader ją ściska.

– Ma pan numer do kliniki. Może pan do mnie dzwonić, kiedy pan chce. Jeśli będę przy pacjencie, oddzwonię, gdy będzie pan chciał porozmawiać.

– Nie sądzę, bym tego potrzebował – odpowiadam, choć nie jestem tego pewny.

Widzę, że nie chce, bym wyszedł w taki sposób, jednak znaleźliśmy się w impasie, więc puszcza moją dłoń. Czuję, że patrzy za mną, gdy idę korytarzem do recepcji, by się wypisać. Ledwie skręcam za róg, słyszę, jak wzywa do gabinetu kolejnego biedaka, żeby omówić z nim wyniki badań.



Wracamy samochodem do domu. Zdałem mamie relację z wizyty, a teraz milczę, starając się zapamiętać słowo w słowo to, co powiedział doktor Khader: rak prawie zniknął, a to dobrze rokuje. Muszę się zastanowić, co dalej.

Do tej pory trwałem w zawieszaniu. Nawet nie zauważyłem, jak nadszedł kwiecień. Co bym teraz robił, gdybym tu nie utknął, tak niemile zaskoczony przez życie? Byłbym w Londynie. Uśmiecham się. Robiłbym może coś śmiesznego i głupiego z Hannah. Wciąż nie odpowiedziałem na jej wiadomość. I nie zamierzam. Znowu jednak wyjmuję z kieszeni mój nowy telefon i przeglądam wiadomości, które do siebie wysyłał mi. Wspominam, jak pierwszy raz zadzwoniłem do niej przez pomyłkę i jaki byłem szczęśliwy podczas

następnych tygodni – wideorandki, długie rozmowy... Tak bardzo chciałem wysiąść z samolotu, zobaczyć ją i rozpocząć nowe życie. Stwierdzenie, że jestem rozgoryczony, byłoby niedopowiedzeniem.

Zatrzymujemy się przed domem i mama próbuje ze mną porozmawiać, ja jednak tylko się uśmiecham i kiwam głową. Nie mam pojęcia, co mówi, coś o tym, że zrobi nam kanapki. Wchodzę do domu. Miałem tylko tydzień spokoju, czy coś koło tego, po czym powinna zacząć się chemia. Moja torba jest spakowana na wizytę w szpitalu. Mama uprała starannie moje spodnie od dresu i podkoszulki, upewniła się, że nie zapomniałem pasty do zębów i torba stoi między cyklami i czeka, aż znów wraz ze mną zostanie zatargana do szpitala.



Owiewa mnie powietrze z klimatyzatora, patrzę w telewizor, choć tak naprawdę niczego nie oglądam. I nagle widzę znajomą twarz – do salonu wchodzi Grant. Mama wpuściła go, jak zwykle uściskała, spytała, co u jego mamy, a teraz mój przyjaciel stoi w salonie w czapce z daszkiem, której nigdy nie nosił.

Patrzę na niego, mrużąc oczy.

– Co słyhać? – rzucam.

– Nic – odpowiada.

Jego akcent to dziwna mieszanka brytyjskiego i teksańskiego. Nasi rodzice poznali się w Anglii, dokąd przyjechali, by pracować dla BP. My wróciliśmy do Stanów, kiedy byłem mały, a Grant w wieku trzynastu lat. Rodzice zabrali go ze szkoły z internatem i ściągnęli do kraju, ponieważ nie mogli znieść rozłąki. Kiedy przyszedł do naszej szkoły, ukrywał brytyjski akcent i udawał Amerykanina, bo uważał, że to fajne. Jednak gdy dorosiliśmy, a on się zorientował, że bycie Anglikiem w Ameryce ułatwi mu podryw, wrócił do poprzedniego akcentu – bez powodzenia – i teraz mówi trochę jak Ray Winstone w filmie o londyńskich gangach, a trochę jak Dick van Dyke w *Mary Poppins*, i wychodzi z tego coś w rodzaju australijskiego cockneya. Wciąż go pytają, czy pochodzi z Krainy Kangurów.

Grant zwala się na kanapę jak wtedy, gdy byliśmy nastolatkami, i rzuca mi znaczące spojrzenie. Mam wrażenie, że się zmienił, i nie chodzi tylko o czapkę, która od razu rzuciła mi się w oczy.

Odwracam się, by na niego spojrzeć.

– Co oglądamy? – pyta.

Zerkam na telewizor, teraz z wyłączonym dźwiękiem.

– Powtórka *Chirurgów*.

– Nie masz dość szpitala, że oglądasz go w telewizji, kiedy cię w nim nie ma?

– Nawet o tym nie pomyślałem – odpowiadam ze śmiechem. – Po prostu leci.

– Policz do trzech – prosi Grant nieoczekiwanie.

Robię to, a on na „trzy” zdejmuje czapkę.

Opada mi szczeka.

– Coś ty zrobił?! – krzyczę, prostując się.

– Ogoliłem głowę. Na znak solidarności z tobą.

Próbuje przybić mi żółwika, ale ja gapię się na jego głowę i nie mogę się ruszyć. Przysuwam powoli pięść, żeby tego żółwika przybić, lecz moje oczy wciąż zdradzają zaskoczenie.

Pewność siebie Granta słabnie. Dotyka szczeciny na czubku głowy.

– Nie podoba ci się? Uraziłem cię?

Kręcę powoli głową.

– Coś ty zrobił? – pytam znowu, co go rozśmiesza. – Dlaczego? To znaczy pasuje ci, wyglądasz jak Jason Statham, ale... dlaczego?

– Dla ciebie, stary. Solidarność. Nie wiem, dlaczego tak późno na to wpadłem. Powinienem zrobić to wtedy, kiedy ogoliłem głowę tobie.

– Ale ty miałeś gęste włosy.

– Dzięki, stary. – Wygląda na zadowolonego. – Ty również. Twoje odrosną, i moje też. Zamierzam je golić, dopóki nie skończysz z całym tym gównem.

Nie wiem, czy się śmiać, czy płakać. Przetykam, by nie czuć guli w gardle.

– Tylko mi się tu nie rozbecz, stary – ostrzega Grant z uśmiechem.

Przez ostatnich kilka miesięcy płakałem wiele razy, lecz nigdy przy kimś.

– Dobra, nie bój się. – Nabieram głęboko powietrza i je wypuszczam. – Dzięki. – Tylko tyle jestem

w stanie powiedzieć.

– Nie ma za co. Pamiętasz, kiedy zgoliliśmy ci włosy? I kiedy maszynka przejechała przez pierwszą warstwę a włosy wylądowały na podłodze, ty krzyczałeś „kurwa!”?

Potwierdzam skinieniem głowy.

– Kiedy goliłem sobie głowę, zrobiłem dokładnie to samo – opowiada. – Ale szok! – Ja mam teraz włosy delikatne i puszyste jak u dziecka. Grant, jakby czytał w moich myślach, dodaje: – Jeśli chcesz, zgolę ci włosy. Zrównamy się.

Znów kiwam głową, wydaję pomruk uznania i przez chwilę siedzimy w milczeniu.

– Dziękuję – odzywam się wreszcie. Za to, że zgolił mi włosy, i za to, że zgolił je sobie. – Nie musiałeś tego robić.

– Wiem. No więc ... – zaczyna – jak się czujesz? Ale tak naprawdę.

– Nie za dobrze – wyznaję, spoglądając na kuchnię, do której wycofała się mama. Mam nadzieję, że tego nie słyszy. – Chyba nie wezmę ostatniej chemii.

Grant zamiera. Po raz pierwszy brakuje mu słów, nie puszcza też wiązanki przekleństw. Wreszcie udaje mu się wydusić:

– Że co?

– Słyszałeś.

– Ale dlaczego?

– Bo to boli. Sprawia, że chcę umrzeć.

– Okej – mówi spokojnie. – Byłem z tobą na pierwszej wizycie u onkologa, kiedy powiedzieli ci, co się będzie działo na każdym etapie leczenia.

– Mam niski poziom markerów – oznajmiam, ignorując kierunek, jaki Grant chce nadać tej rozmowie.

– Gównu mnie to obchodzi. Musisz przejść przez chemioterapię.

– Nie muszę.

– Musisz.

– Grant, to boli. Piecze. Czuję się tak źle, jak nigdy w życiu.

– Cały ten wysiłek... i po co? Żeby za kilka miesięcy zabrał cię rak?

– Pieprz się!

– Nie, ty się pieprz, Davey. Nie po to wyruszyłem z tobą w tę podróż, żebyś ją w połowie zakończył, ty leniwy... fiucie.

Nie zamierzam ustąpić. Wyjaśniam spokojnie:

– Grant, nawet nie wiesz, jak to strasznie boli. Przez cały czas czuję posmak metalu. Dzwoni mi w uszach. Ale uda mi się pokonać raka. Pokonać go bez chemii.

– Samemu? Bez leków? A co ty jesteś, jakiś pierdolony hipis? Masz wziąć chemię, bo jak nie, to powiem twojej mamie.

Wybucham śmiechem, lecz jest to gorzki śmiech.

– Zamierzasz powiedzieć mojej mamie? Ile mamy lat, sześć? I tak jej powiem. Jakie jeszcze groźby masz dla mnie w zanadrzu?

Grant wstaje i patrzy na mnie z góry. Jest cały spięty. Nie może znaleźć słów, więc tylko mi się przygląda, zaciskając szczęki. Trudno powiedzieć, czy chce mnie walnąć, czy nie. Wygląda, jakby chciał.

– Posłuchaj – odzywam się – wiem, że to żaden plan, ale, Grant... nie dam rady znów przez to przejść. Po prostu nie mogę. To za trudne. Chcę odzyskać swoje życie. Chcę ruszyć do przodu i... żyć. Robić wszystko to, co odkładałem na później.

– Wiem, że jest ci ciężko – zapewnia.

Jestem wyczerpany, teraz to widzę. Fizycznie i psychicznie, nie mam nic do stracenia. Spoglądam na Granta.

– Skończyłem z tym – oznajmiam z westchnieniem.

I tak się czuję, skończony. Opuszczam ramiona. Nie zamierzam przechodzić przez ostatnią rundę chemii. Doktor powiedział, że rak prawie zniknął. Marzę tylko, żeby to wszystko zatrzymać.

– Ale musisz dokończyć leczenie – mówi zdesperowany Grant.

Kręcę głową.

– Nie, nie muszę.

ROZDZIAŁ 18

Davey

Nigdy nie widziałem Granta tak wściekłego, był zaszokowany i wzburzony. Im więcej o tym myślę, tym głębiej jestem przekonany, że podjąłem właściwą decyzję, by nie brać ostatniej dawki chemii. Skończyłem. Mogę zacząć snuć plany. Plany na życie.

Przed wyjściem zapytał, czy naprawdę zamierzam tak postąpić, czy to tylko wołanie o pomoc, a on źle odczytuje znaki. Podziwiam jego wytrwałość, trzymanie się ostatnich wątków naszej kłótni, to, że upewnia się, czy nie oszalałem. Ale ja nie oszalałem. I zapewniam go, że to nie jest wołanie o pomoc.

– Ale to samobójstwo. Naprawdę tego nie widzisz? To jakbyś... zabijał siebie... bardzo, kurwa, powoli.

– Wcale nie – protestuję.

Teraz, kiedy wiem, że nie wezmę już chemii, czuję się lżejszy, pogodny. Jak w tamten wieczór przed wylotem do Anglii – jakby w zasięgu ręki było mnóstwo nowych możliwości. Wystarczyło tylko po nie sięgnąć. I znów mogę zacząć planować. Nie mam pojęcia, jakie to będą plany. Ale wreszcie znów będę w grze, zacznę od nowa.

Kiedy Grant sobie pójdzie, wygoogluję loty do Rzymu i poszukam jakiejś szkoły gotowania. Może na rok zrobię sobie wolne, będę podróżował i zapomnę o ostatnich kilku miesiącach.

Grant nie wie, co powiedzieć i jak się zachować. Widzę to. Nie użalam się nad sobą – choć ostatnio robiłem to bardzo często – za to żał mi Granta. Czuję się tak samo bezradny, jak moi rodzice, a ja jestem im wdzięczny, że po prostu byli. Muszę dać im trochę luzu. Wycofałem się w szumiące fale ciszy, w sen, w brak apetytu, a kiedy nikt nie patrzył, płakałem w łóżku. Ale oto uciekam od tego wszystkiego.

Zaszokowany Grant nie może przestać się na mnie gapić. Przeciąga dłonią po miejscu, gdzie kiedyś miał włosy, i jest skonfundowany, gdy przypomina sobie, że je zgolił.

– Wszystko w porządku? – pytam.

Wreszcie dochodzi do siebie.

– Jesteś egoistycznym chujem – rzuca i już go nie ma.

Wzdycham głęboko. Wiedziałem, że tak będzie. Zastanawiam się, czy mógłbym zmienić zdanie, jednak na samą myśl, że znów miałbym pójść do szpitala, siedzieć na tamtym fotelu i pozwalać, by przez miesiąc do moich żył skapywała chemia, czuję w ustach posmak żółci. Zbieram całą energię, by wstać z kanapy, pobiec do łazienki i wymiotować.

Nie mogę wziąć chemii. Wiem, że nie. Dotarłem do kresu.



Świadomość, że to już koniec, że nie muszę wracać do szpitala, powoduje, że się uśmiecham. Każdego dnia.

– Dobrze się czujesz, kochanie? – pyta mama.

– Tak – odpowiadam, odwracając się do niej.

I naprawdę tak się czuję. Zdecydowanie.

Są momenty, gdy odzyskuję energię, i dziś wieczorem gotuję dla naszej trójki. Nie sędzę, bym był w stanie to zjeść, ale spróbuję. Przygotowuję moją ulubioną carbonarę. Sam robię makaron, więc jest trochę nierówny. Znów myślę o kursie gotowania w Rzymie i jestem zdeterminowany, by jakiś znaleźć. Jeszcze nie poinformowałem rodziców, że zrezygnowałem z ostatniej serii chemii, ponieważ uważam, że jej nie potrzebuję. Oczywiście Grant nie spełnił swojej groźby, że poinformuje o wszystkim moją rodzinę. Patrzę na mamę pogrążoną w błogosławionej niewiedzy i uznaję, że nie mogę im powiedzieć. To, czego nie wiedzą, nie może ich zranić. Nie sprawią, że zmienię decyzję, więc dlaczego denerwować ich tym, że są w tym wszystkim bezsilni? Podchodzę do mamy i całuję ją w policzek. Ubrudzone mąką i jajkami ręce trzymam w gorze, jakbym był chirurgiem. Wygląda starzej niż kiedykolwiek, pewnie przeze mnie. Patrzenie na to, przez co przechodzi jedyne dziecko, przyprószyło jej włosy siwizną.

– Kocham cię, mamó.

Uśmiecha się.

– Wiem. – Mówi, że też mnie kocha, i pyta, czy może w czymś pomóc.

– Zrobisz sałatkę? – sugeruję.

– Nie miałam na myśli kolacji.

Patrzę na nią z uśmiechem i kręcę głową.

– Mam wszystko pod kontrolą.

Chcę, żeby milczała. Pragnie otworzyć przede mną serce, a ja wiem, że kiedy to zrobi, załamie się, rozplaczę i powiem, że dłużej nie wytrzymam. Zamiast tego mówię:

– Może dodać trochę suszonych pomidorów?

Wyczuwam, że się ode mnie oddala, słyszę, jak otwiera szafki, w milczeniu przygotowujemy kolację, czekając, aż tata wróci z pracy.



Minęło kilka godzin, leżę w łóżku i wpatruję się w ekran komórki. Dostałem bardzo dziwną wiadomość od Charlotte, mojej eks. Prawdziwy powrót do przeszłości. Chociaż rozstaliśmy się około osiemnastu miesięcy temu, mam wrażenie, że to całkiem niedawno. To nie było złe rozstanie. Zerwaliśmy, gdy stało się jasne, że każde chce czegoś innego. Z mojej strony nie było gniewu, nienawiści czy niechęci, a z jej wiadomości wynika, że ona też niczego takiego nie czuje.

Napisała:

Daveyu, właśnie się dowiedziałam. Tak mi przykro. Czy mogę Cię odwiedzić?

Dodała, że nie miała o niczym pojęcia – najbliźszego – i jest zdruzgotana, ponieważ: 1. Mam raka i 2. Nic jej nie powiedziałem.

Przez jakiś czas wpatruję się w SMS-a od niej, zastanawiając, co odpowiedzieć. Nie chcę być nieuprzejmy, ale naprawdę nie muszę jej przekazywać takich nowin, bo teraz jedno nie jest częścią życia drugiego. Ale kiedyś byliśmy. Dobrze pamiętam, jaka była. A była jak tornado. Wszystko działo się tak szybko. I właściwie lubiłem to w niej. Kiedyś dobrze nam się współpracowało. Miała takie samo podejście jak ja: „Rób albo giń”. Może trochę bardziej niż ja. Żadnego wahania – decyzja i działanie. Sądzę, że nadal taki jestem. Dlatego zdecydowałem się na przeprowadzkę do Londynu.

Pod koniec czułem jednak, że podążamy różnymi ścieżkami, więc nie było tylko jednej rzeczy, która nas podzieliła.

Może byłoby miło zobaczyć Charlotte? Odpowiadam, że może przyjść jutro i przynieść lody. Lody to jedyne, co mogę jeść i nie czuć smaku metalu. Nawet carbonara, którą ugotowałem – moja ulubiona – równie dobrze mogłaby być kluskami pokrytymi farbą. Dopisuję Proszę i znów wciskam „wyślij”, bo nie chcę zamienić się w faceta, który ma zbyt dużo na głowie i zapomina o dobrych manierach. To nie w porządku oczekiwać, że ludzie będą mi wybaczać.



Kiedy Charlotte przychodzi następnego dnia, wygląda zupełnie inaczej niż wtedy, gdy się spotykaliśmy. Jestem nawet pod wrażeniem. Ja też wyglądam inaczej, tylko że jak gówno. Choć nie oczekuję, że oszołomię Charlotte tym, jak wspaniale się prezentuję, ukryłem włosy, a raczej ich brak, pod czapką bejsbolową, zostałem jednak w spodniach od dresu i podkoszulku. Są czyste, choć nie wyglądają najlepiej.

– Davey! – Otacza mnie ramionami i mocno przytula.

Żadnego wstępu. Zero niezręczności. Ładnie pachnie. Jak babeczki waniliowe.

– Cześć – rzucam w jej włosy, czekając, aż się odsunie.

Lecz ona tego nie robi. Odchyła się, wciąż mnie obejmując, i uważnie mi się przygląda. Trwa to trochę za długo, a ja czekam, unikając jej spojrzenia.

– Przykro mi. – Kręci głową, chichocząc dźwięcznie, jak to miała w zwyczaju. Uśmiecham się – zupełnie o tym zapomniałem. Przykro jej, bo za długo mnie obejmuje, czy dlatego że mam raka?

– Daveyu, minęło tyle czasu.

Kiwam głową.

– O tak. Jak się miewasz?

Wchodzi do domu, w ręku trzyma brązową papierową torebkę.

– Wpadłam do sklepu, żeby kupić lody. Jak sobie życzyłeś. Nadal lubisz pekanowe?

– Tak.

– Zapamiętałam – mówi zadowolona i pokazuje mi lody z dwiema plastikowymi łyżeczkami. Siadamy przy kuchennym stole, okno jest otwarte, owiewa nas ciepłe powietrze, Charlotte zdejmuje wieczko z pudełka lodów i kładzie obok.

– No to opowiedz mi wszystko – domaga się. – Jak się czujesz? Jak przebiega leczenie? Wszystko.

Zaciskam szczęki. Naprawdę nie wiem, czego się spodziewałem po spotkaniu z nią. Przypominam sobie o jej... żywiołowości.

– Nie chcę o tym rozmawiać.

– Okej, okej. A dlaczego?

Wybucham śmiechem. Ta sama stara Charlotte. Tylko ładniejsza. Właściwie to o wiele ładniejsza. Użyła jakiegoś eyelinera, który sprawia, że jej oczy wyglądają super. Nie mogę tego rozgryźć.

– Zrobiłaś coś w włosami?

– Mam grzywkę i je ufarbowałam.

– A tak – mówię powoli. – Są jakby rude. Podobają mi się.

– Dzięki. – Wzrusza ramionami i próbuje jeszcze raz: – Chemia jest aż tak zła? Bo widzę, że wolisz rozmawiać o moich włosach.

– Jest do bani. Okropna – odpowiadam, zanurzając łyżeczkę w kubku z lodami. A ponieważ raczej tego nie uniknę – Charlotte będzie cisnęła, dopóki się nie poddam, więc równie dobrze mogę mieć to z głowy – o wszystkim jej mówię. Słucha w milczeniu, kiwając głową w odpowiednich momentach, a kiedy oznajmiam niepewnie, że zamierzam zakończyć chemię, nawet nie mrugnie okiem. Czeka, aż przetrawi to wraz lodami, jednak ona patrzy na mnie i czeka na więcej. A kiedy się nie odzywam, mówi:

– Rób to, co musisz.

– Naprawdę? – pytam takim tonem, jakbym potrzebował pozwolenia mojej eksdziewczyny, ale chyba po prostu osłupiałem.

– Pewnie. Przecież znasz swoje ciało, nie?

– No tak.

– Więc tego nie rób. Jeśli to boli i tego nie cierpisz, jeśli czujesz, że więcej nie zniesiesz, że to koniec...

– Tak czuję – przerywam jej. – Mam dość. Już dłużej nie mogę...

– No to przestań. Zrób to, co dla ciebie dobre.

– Grant twierdzi, że powinienem kontynuować... – zaczynam.

– Zapomnij o Grancie. Ten gość to fiut.

Śmieję się.

– To mój najlepszy przyjaciel.

– Ale i tak fiut.

– Hm, okej – mówię niepewnie, kiedy kubek z lodami jest już opróżniony do połowy.

– Tęskniłam za tym – wyznaje Charlotte cicho. – Za mną i za tobą. Za czymś takim.

Tego się nie spodziewałem.

– Naprawdę?

Potwierdza.

– Z nikim się nie spotykasz? – pytam, bo jak mogłaby nikogo nie mieć. Z takim wyglądem?

– Nie. A ty?

Przez głowę natychmiast przelatuje mi myśl o Hannah.

– Nie. Właściwie nie... To znaczy nie. Spójrz na mnie, Charlotte. Mam nadwagę od sterydów. A może od lodów. Straciłem włosy, mam raka, nie mam pracy i mieszkam z mamą i tatą. Kto by mnie chciał?

– Ja – odpowiada Charlotte cicho, dotykając mojej ręki, gdy sięgam do kubka z lodami.

– Charlotte, nie mówisz poważnie.

– Mówię. Gdybyś ze mną nie zerwał, nadal bym z tobą była. Kochałam cię. Kocham – poprawia się. – Wciąż cię pragnę – dodaje, unikając mojego spojrzenia i zanurzając łyżeczkę w lodach. Prostuje się, umieszcza lody na języku i robi coś takiego, że natychmiast mi staje.

– Jezu – mamroczę, patrząc na nią. – Hm, okej – powtarzam nie pierwszy raz tego dnia.

– A ty mnie nie pragniesz? – pyta, a jej ton mówi, że ona mnie tak.

Nie jestem pewny, czy ma na myśli seks, czy żebyśmy do siebie wrócili. Nie jestem też pewny, jaka

w obu tych przypadkach powinna być moja odpowiedź. Czy to się dzieje naprawdę? Widziałem, jak wyglądam. Czy ona przez te półtora roku oślepla?

– Mama jest w domu – tylko tyle mogę wyjąkać, na wypadek gdyby mówiła o tym, o czym wydaje mi się, że mówi.

– To jedyny problem? – Słyszę w jej głosie uwodzicielski ton.

– Chyba tak – odpowiadam powoli, a w kąci moich ust zakrada się uśmiech. A może źle to odczytuję?

– I nawet nie zeszła na dół, żeby powiedzieć mi „cześć”? – pyta ze złośliwym uśmiechem. Mama nie ukrywała, że nie znosi Charlotte, więc gdy jej powie-

działem, że wpadnie, nie byłem zaskoczony, kiedy uciekła na górę, mamrocząc coś o praniu. – Ja nie mieszkam z mamą – zaznacza Charlotte i w jakiś sposób udaje jej się to niewinne zdanie wypowiedzieć... sugestywnie.

– Okej – mówię znów. Znam Charlotte od dawna i byliśmy w czymś w rodzaju związku. Seks był wspaniały, choć rozmowy... no cóż... W każdym razie pytam: – Żeby było jasne: chcesz się ze mną kochać?

Wybuchła śmiechem i odkłada łyżeczkę do kubelka.

– Oczywiście.

– Teraz?

Kiwa głową.

– Przed domem stoi mój samochód.

– To taki seks z litości, prawda?

Znów się śmieje, wstaje i wyjmuję kluczyki z kieszeni džinsów.

– Możesz to nazywać seksem z litości. Możesz to nazwać rozchodniaczkiem. Możesz to, do cholery, nazywać jak chcesz, Deweyu Carew, ale chodzi o to, czy chcesz, żebym cię zerżnęła, czy nie.

Zrywam się tak szybko, że przewracam krzesło.

ROZDZIAŁ 19

Davey

Kilka godzin później leżę w łóżku z Charlotte. Zapomniałem, jak bardzo różowe jest jej mieszkanie. Wygląda też na to, że zapomniałem również, jak „to” się robi, więc Charlotte przejęła kontrolę. Szczerze mówiąc, miałem na to nadzieję. Wszystko, co musiałem robić, to leżeć. I super, bo gdy tylko wysiadłem z jej samochodu, opuściła mnie energia i pozwoliłem Charlotte zaprowadzić się do mieszkania, a ona po prostu się na mnie położyła. Byłem tak oszołomiony, że godziłem się bez oporów, by mi „to” robiła. Było dobrze, choć nie tak dobrze, jak zapamiętałem. No, ale przynajmniej wiem, że kobiety chcą uprawiać ze mną seks z litości. Może kilka miesięcy temu powinienem zaktualizować mój status w mediach społecznościowych na: „Miłej niedzieli wszystkim, mam raka” i czekać, aż w moich drzwiach pojawią się kobiety. Choć była tylko jedna, o której pojawieniu się marzyłem, lecz ją odepchnąłem. Poza tym jest ponad osiem tysięcy kilometrów ode mnie i ma swoje życie.

Charlotte zapala papierosa, a ja się w nią wpatruję.

– Kiedy zaczęłaś palić? – pytam.

– Pięć minut po tym, gdy ze mną zerwałeś.

Nie wiem, jak zareagować.

– Chcesz?

Kręcę głową.

– Hm... mam raka, więc... nie, dziękuję.

Przekręca się na bok i na mnie patrzy, a ja zwlekam się z łóżka, otwieram okno i stoję przy nim, nie chcąc wdychać dymu.

– Przepraszam, nie pomyślałam o tym – mityguje się Charlotte, gasi papierosa w zabytkowej filiżance i siada na swojej stronie łóżka. Nie powiedziałbym, że to najfajniejsza popielniczka, jaką widziałem, a może to po prostu filiżanka z jakimiś resztkami. Spoglądam na nią przez ramię. – Dwa i pół roku, Davey – mówi.

Kiwam głową i odchodzę od okna.

– Co takiego?

– My, głuptasie. – Naprawdę? Sądziłem, że krócej. Szturcha mnie w żebra, a ja wracam do łóżka. – Po prostu nas wyrzuciłeś.

Ściągam brwi. To nie było dokładnie tak. A teraz, w tym mieszkaniu, wszystko sobie przypomniałem. Charlotte zrobiła się dziwna, wymagająca, natarczywa, lecz nie zwracałem na to uwagi, myślałem: takie są kobiety, prawda? Ale czy wszystkie? Moje doświadczenie ograniczało się do kilku przypadkowych bzykanek w college’u i jednego poważnego związku, który naturalnie się wypalił, więc kiedy pojawiła się Charlotte – lśniące włosy i libido dorównujące libidu Hugh Hefnera – było to niespodziewane. Niedawno zaczęła pracę jako asystentka w lokalnym kanale informacyjnym i oznajmiła, że za kilka lat będzie główną prezenterką. Nigdy nie wstydziła się brać tego, co chciała. Nie została jeszcze główną prezenterką, ale, jak ją znam, wkrótce nią będzie. Podobało jej się, że byłem architektem i że wynajmowałem mieszkanie w nowym budynku z siłownią. Lubiła się mną chwalić, przedstawiała nas jako ludzi sukcesu, choć wiedziałem, że nimi nie byliśmy. Przed tym wszystkim uważałem, że nie wyglądam najgorzej, w każdym razie taką miałem nadzieję, a Charlotte powiedziała, że wyglądam seksownie. Ona wyglądała seksownie. Teraz sobie przypominam, dlaczego z taką łatwością się rozstaliśmy, lecz Charlotte wciąż patrzy na mnie z wyrazem twarzy, jaki ma się po stosunku: nabrzmiałe usta i wielkie oczy.

– Charlotte, czego ty ode mnie chcesz? Nie mam ci nic do zaoferowania.

Kłęka nade mną na łóżku, naga, a ja jestem tylko człowiekiem, więc moje spojrzenie wędruje z jej twarzy coraz niżej.

– Niczego. – Bierze mnie pod brodę, więc muszę na nią spojrzeć. – Ciebie – oznajmia po namyśle. – Chcę ciebie. Ale jeśli ty nie chcesz mnie...

– Nigdy tego nie powiedziałem – zapewniam pospiesznie. Nie chcę obrazić tej dziewczyny, bo najwyraźniej spędziliśmy razem dwa i pół roku.

– Więc jeśli ty nie chcesz mnie – powtarza – możemy to po prostu robić od czasu do czasu.

– To?

– I być przyjaciółmi... z dodatkowymi korzyściami.

Unoszę niemal nieistniejące brwi. Musi być w tym jakaś sztuczka, bo to najlepsza oferta, jaką kiedykolwiek otrzymałem.

– Dobra – odpowiadam niepewnie.

Leżę i rozmyślam. Może Charlotte tym razem będzie inna? Wierzę, że chce do mnie wrócić. Choć właściwie trudno powiedzieć. Chyba nie nadażam. Nie chcę widzieć tego, co ona widzi, patrząc na mnie. A patrzy. I mnie pragnie, seksualnie, mimo że wyglądam jak wyglądam.

– No więc, kochanie? – pyta, a ja wzdrygam się odruchowo na słowo „kochanie”. Nie zauważyła tego. Dzięki Bogu. – Przedtem, u ciebie w kuchni – ciągnie – gdy mówiłeś o Grancie, niegrzecznie ci przerwałam, żeby cię tu przywieźć i robić z tobą różne rzeczy. – Śmieje się dźwięcznie.

– Nie pamiętam – przyznaję szczerze. – Chyba mówiłem o tym, że ja i Grant się pokłóciliśmy. Ponieważ nie wezmę ostatniej serii chemii.

– Nienawidzę Granta.

– Rany, to mocne.

– Powinieneś przestać, kochanie. Przestać, jeśli cię to boli. Życie nie musi być takie ciężkie – dodaje łagodnie.

Zamykam oczy, kiwam powoli głową i odpływam w sen. Charlotte mnie rozumie. Jestem wyczerpany.

– Skończę z chemią – oznajmiam zdecydowanie.

Gdy Charlotte się porusza i jej włosy muskają moje pachwiny, otwieram gwałtownie oczy.

– No to skończ, kochanie – mówi, po czym bierze mnie do ust. I wszystkie myśli o chemii znikają.

ROZDZIAŁ 20

Hannah, maj

Spotykam się z George'em dłużej, niż byłam – jakkolwiek to nazwać – z Daveyem. Podświadomie bardziej angażuję się w pracę nad tym związkim, zamiast trzymać się czegoś, co zaczynało się powoli, a skończyło szybko. Ja i George zaczęliśmy szybko i... nie, nie, pracuję nad tym.

Chylę przed nim czoło, ponieważ sprawił, że schudłam, choć twierdził, że nie taki był jego zamiar. Chciał po prostu, żebym była zdrowsza i miała więcej energii. Aplikowanie sobie niemal codziennie herbatników i białego pieczywa nie jest sposobem na zapobieganie chorobom serca w późniejszych latach. Najwyraźniej. Pewnego ranka podczas brunchu wymamrotałam, że kocham naleśniki, ale naleśniki nie kochają mnie, i od tamtej pory moje zdrowie i dobra kondycja stały się jedyną misją George'a. Nadal chodzimy na drinki, teraz jednak pijemy gin i dietetyczny tonik – które powoli uczę się kochać – a mniej piñacolady pełnej kokosowego rumu i śmietanki, która najprawdopodobniej jest wymysłem diabła.

Biegałam z George'em. Zdobywałam kondycję. Mniej jadłam. Mniej piłam. Podniosłam poprzeczkę w siłowni i żeby przygotować ciało do letniego bikini, dołączyłam do grupy treningowej, którą George zaczął prowadzić. Jestem kimś w rodzaju królika doświadczalnego i mam zachęcić więcej takich miłośniczek naleśników jak ja, by weszły na pokład, a on wciąż robi mi zdjęcia ze sprzętem do ćwiczeń i za pomocą centymetra skrupulatnie śledzi, jak chudnę.

– Chodzi o centymetry, Gallagher, a nie tony i kilogramy.

To była dla mnie nowość. Usunęłam z pola widzenia wagę elektroniczną i nie potrafię powiedzieć, czy to dobrze, czy źle.

Urodziny George'a są pod koniec miesiąca i zamierzam podarować mu książkę o Jamesie Bondzie, której tak bardzo pragnął kilka tygodni temu. Nadal kosztuje sto funtów i nadal jest sygnowana. Czekałam, aż jej cena spadnie, lecz George ostrzegł mnie, że cena takich rzeczy nigdy nie spada – a raczej rośnie – więc zacisnęłam zęby i mu ją kupiłam. To nie jest tak do końca niespodzianka, ale pamiętam jego smutną minę, kiedy zorientował się, że zostawił ją w autobusie. Właściwie to była raczej wściekła mina. Nieważne. Bardzo ją chciał. Kupiłam mu też podkładkę w internetowym sklepie z królewskimi pamiątkami. Uważam, że to zabawne. W miarę. Choć właściwie w ogóle. Może mu jej nie dam.

Chowam wszystko w moim „tajemniczym schowku na prezenty” w szafce pod schodami prowadzącymi do mieszkania na piętrze. Nagle coś wypada i ląduje w ciemności na mojej nodze. Podnoszę to coś i oglądam. To przewodnik po Londynie, który kupiłam dla Daveya. Odłożyłam go tam, gdy wszystko między nami się skończyło. Co z oczu, to z serca, i takie tam. Otwieram. Zapomniałam, że napisałam dedykację:

Daveyu,

nie mogę się doczekać, kiedy się tym z Tobą podzielę. Gdy Ci to dam, będzie już po świętach, jednak...

Wesołych świąt, z miłością Hannah xxx

Boże Narodzenie, cholercia, to było wieki temu. Tyle się wydarzyło od tamtego czasu i co zdumiewające, nie myślałam o Daveyu... och, od zeszłego weekendu. To dobrze. Zobaczyłam w telewizji coś, co mnie rozśmieszyło, a George'a nie, i pomyślałam: Davey na pewno uznałby to za zabawne. I historię o rollercoasterze też. Na miłość boską, co jest ze mną nie tak?

Odkładałam książkę na półkę. Myślę, że właściwie mogłabym ją przeczytać i trochę pozwiedzać. Może nawet pojechać bez bólu na wycieczkę dużym czerwonym autobusem, stanąć z George'em obok strażnika w wielkiej czapie, nie myśląc o tym, że zamierzałam zrobić to z Daveyem. Zamierzaliśmy zrobić tyle rzeczy. Zamykam książkę – trzeba ruszyć do przodu.

ROZDZIAŁ 21

Davey

Nabrałem śmiałości. Oto nowy ja. Teraz, kiedy ja i Charlotte do siebie wróciliśmy, mam o wiele więcej energii. Jest tak jak wtedy, gdy spotkaliśmy się pierwszy raz. Ona sprawuje kontrolę, a ja pozwalam się nieść na fali w stronę, którą ona wyznaczy. Nie muszę myśleć. Nie muszę reagować. Po prostu płynę z prądem. Boże, jakie to proste. Tego właśnie potrzebowałem. Nie chodzi tylko o seks, który oczywiście jest wspaniały. Charlotte mnie rozumie. Rozumie moje potrzeby. Nie widzi mnie takim, jakim jestem teraz. Widzi mnie takim, jakim byłem – znowu zamierzam taki być, i to raczej prędzej niż później. A to powodu decyzji, którą podjąłem, a którą Charlotte doskonale rozumie. Nie wezmę chemii i to będzie idealny początek. Teraz jesteśmy bardziej dorośli. Od zerwania dojrzeliliśmy. To dobrze spotkać się znów tak jak teraz. Zaistnieliśmy jako para, bo rozmawiamy i żyjemy, i tak powinno być już za pierwszym razem.

Kiedy się poznaliśmy, krążyliśmy wokół siebie w mroku baru upojeni życiem, alkoholem i możliwościami. Charlotte po prostu mi się przydarzyła.

Idziemy przez centrum handlowe, trzymając się za ręce i ciesząc swoim towarzystwem. Odkąd usłyszałem diagnozę, prawie nigdzie nie wychodziłem, ponieważ przebywanie blisko ludzi było zbyt ryzykowne dla moich białych ciałek: mogłem zarazić się chorobą, która dla innych jest niegroźna. Teraz wyszliśmy na lody, w żadnym wypadku na zakupy. Nie jestem w stanie patrzeć, jak Charlotte przymierza pięćdziesiąt ciuchów, z których każdy wygląda tak samo. Nie ośmieliłem się jej tego powiedzieć, ale zaznaczyłem jasno, że na zakupy nie mam siły. Zaproponowała, żebyśmy poszli do kina tuż obok. Tego też nie zrobię, ponieważ mógłbym zasnąć. Charlotte roześmiała się dźwięcznie i powiedziała, że wróci tu później, żeby obejrzeć film.

– Z kim? – pytam trochę za ostro.

– Z innymi widzami – drażni się ze mną.

Kolejna kwestia: nie zapraszam Charlotte do domu rodziców, spotykamy się głównie u niej. Jest miło. Lubię to. Czuję się tak, jakbym znowu stał się dorosły i nie był już pod opieką mamy i taty. Niektóre kobiety pragną matkować mężczyznom. Charlotte do nich nie należy. Jest szczęśliwa, pozwalając mi cały dzień jeść lody.

Gdy idziemy przez parking, dostrzegam Granta. Obejmuje ramieniem dziewczynę, której nie znam, i słyszę, jak się wygłupia, mówiąc coś z niezupełnie brytyjskim akcentem, by zrobić na niej wrażenie.

– No, jestem z Sydney. Jak na to wpadłaś? – słyszę, jak kłamie.

Skoro Grant nie zawraca sobie głowy wyjaśnianiem, że ma angielskie korzenie, to znak, że dziewczyna nie przeszła testu i jest laską tylko na jedną noc. Uśmiecham się. A jemu, gdy mnie zauważa, rzadnie mina.

Zerkam na Charlotte, która wygląda na zirytowaną jego widokiem. Przystaję, gotowy pogadać z Grantem, on jednak kiwa mi głową i mija nas, ignorując Charlotte. Odwracam się i obserwuję jego oddalającą się sylwetkę. On nie ogląda się za siebie.

Kiedy jest już poza zasięgiem słuchu, Charlotte mówi:

– Widziałeś? Grant nie jest miły.

Ściągam brwi i patrzę, jak wchodzi przez automatyczne drzwi do kina. Charlotte ciągnie mnie do samochodu, a ja wciąż czekam. Na wypadek gdyby Grant jednak się odwrócił i na mnie spojrział. Nie robi tego jednak. Drzwi za nim się zamykają.



Jestem zdeterminowany, by tego dokonać: zrzucić wagę po sterydach, jeść mniej lodów i więcej warzyw. Przejrzałem też kursy gotowania. Nie mogę się doczekać, kiedy poczuje się lepiej i będę mógł zabukować jakieś loty. Od czasu do czasu myślę o Hannah i teraz jest właśnie taki moment. Czuję się winny. Wcześniej brakowało mi odwagi, żeby do niej napisać, mimo że wiedziałem, że i tak tego nie wyślę. A jeśli znów byłaby online? A jeśli palnąłbym głupotą i wcisnął „wyślij”? Zmuszam się, by o niej zapomnieć, ale nie działa. A najgorsze jest to, że tak bardzo chcę z nią porozmawiać, lecz mam wyrzuty sumienia ze względu na Charlotte. Z Hannah wszystko było takie proste i obiecujące. Ale też skomplikowane z uwagi na dzielącą nad

odległość i mojego raka. Odległość nie maleje, rak znika.

Kiedy miałem piętnaście lat, podkochałem się w się niejakią Candice Williams. Często przejeżdżałem koło jej domu na rowerze. Najpierw jechałem jedną stroną ulicy, potem drugą, i tak w kółko.

Zorientowałem się, że to samo robię z wiadomościami. Łączę się, by sprawdzić, czy Hannah jest online. To transatlantyki odpowiednik jeżdżenia w tę i z powrotem przed czyimś domem z nadzieją, że pokaże się w drzwiach. Tylko teraz mam dwadzieścia kilka lat. Nawet jeśli dręczy mnie poczucie winy ze względu na Charlotte, to właśnie robię – łączę się z internetem, by sprawdzić, czy Hannah tam jest. Nie ma jej, co jest irytujące, lecz jeszcze bardziej irytujące jest to, że ma podobne podejście do mediów społecznościowych jak ja. Niczego nie zamieszcza. Nigdy. Albo jest krabem pustelnikiem, albo jej znajomi dzielą takie podejście, ponieważ ani ona, ani oni nigdzie się nawzajem nie oznaczają. Torturowałem się nawet nadzieją, że jej nowy chłopak, kimkolwiek jest, oznaczył ją na zdjęciu przedstawiającym ich oboje, na którym sprawiają wrażenie błogo szczęśliwych. Chciałbym wiedzieć, jak on wygląda. Chcę poczuć ten ból. Nie mam jednak czym go karmić, jestem jak ćpun, który nie może wziąć kolejnej działki.

Drzwi do mojego pokoju otwierają się gwałtownie, aż upuszczam telefon.

– Jezu! – krzyczę, kiedy Grant wpada jak huragan. – Grant, co jest, do cholery?! Mogłem przecież coś zrobić, nie? – Jestem zaskoczony jego przyjściem, mimo to się uśmiecham, bo tu jest.

– Charlotte?! – niemal krzyczy. – Charlotte?!

Rozglądam się.

– Stary, nie ma jej tu.

Zamyka oczy, jakbym był głupkiem, a on przygotowywał się na coś nieprzyjemnego.

– Widzę, że jej tu nie ma. Pytałem twojego tatę. Dlatego przyszedłem.

Prostuję się na łóżku i robię miejsce Grantowi. On jednak nie siada.

– Davey, co ty wyprawiasz? – pyta zatroskany, z jego głosu zniknął gniew. – Co ty, na miłość boską, wyprawiasz? Najpierw rezygnujesz z chemii, a teraz zaczynasz zadawać się z tą dziewczyną?

– „Tą dziewczyną”? Ona też cię nie znosi – oznajmiam.

– No i dobrze. To suka.

– Grant – rzucam ostrzegawczo. – Właściwie to jesteśmy parą.

– Nie. Nie jesteście. Zakończ to.

– Co? – udaje mi się wykrztusić.

– Czyżby Charlotte do ciebie wróciła? – wypluwa nagle z siebie.

– Bo... chce ze mną być – wyjaśniam, zdając sobie sprawę, jak głupio to brzmi. – Jest miła.

– Nie jest miła. To kurwa.

– To zabawne, bo ona o tobie mówi „kutas”.

– Davey, ona naprawdę jest suką. To, jak bezwstydnie ze wszystkimi flirtowała, gdy byliście razem... obrzydliwe.

– Co? Nie wiedziałem. Ze wszystkimi? Z kim?

– Z ludźmi. Ze mną.

– Z tobą?

– Kiedy się spotykaliście. I po tym, gdy przestaliście.

Mrużę oczy.

– Naprawdę?

– To nie jest dziewczyna dla ciebie. Ale jest zdeterminowana. Zaciekłą determinację widać w jej oczach nawet z drugiego końca parkingu. Dobrze razem wyglądaliście, dokładnie tak jak chciała. Jej chłopak architekt z fajnym mieszkaniem.

Niech mu będzie.

– Teraz nie mam pracy, tylko raka, i mieszkam z rodzicami. Nie jestem już zdobyczą, którą ona próbuje złowić. Jest szczerą.

– Wątpię. Ale, hej, przecież możesz puknąć ją kilka razy, zanim się znudzisz. No i pamiętaj, dlaczego kiedyś ją rzuciłeś.

– Grant, o co ci, kurwa, chodzi?

– Stary, ja naprawdę jej nie lubię – jęczy. – Jest toksyczna. Jeśli się z nią zwiążesz, to przynajmniej się

nie żeń. Jezu, tylko się z nią, kurwa, nie żeń. Nie przyjdę na takie wesele.

– Dzięki. – Miał czelność nazwać ją toksyczną?

– Dziś zamierzam zrobić dla ciebie dwie rzeczy – oznajmia Grant. – Jedna będzie bolesna jak cholera.

Druga... – Wzrusza ramionami.

– No to dawaj – mówię bez entuzjazmu. Jestem wykończony.

– Oto pierwsza. – Wzdycha głęboko, patrząc mi w oczy. A potem nagle spuszcza wzrok. – Charlotte i ja... my... – Urywa.

Siedzę nieruchomo.

– Co? Co zrobiliście?

– To się stało tuż po tym, gdy zerwaliście. Ona mi się nie podoba. Niech to będzie jasne. I nie podobała mi się wtedy, kiedy byliście parą.

– Co takiego się stało? – Chcę wiedzieć. I nie chcę.

– Byłem w klubie z kilkoma kolesiami z pracy – zaczyna. – Ty zerwałeś z nią jakiś miesiąc wcześniej. Przyczepiła się do mnie. Nawet nie piła, bo przyjechała samochodem. Powinienem się zorientować, że czuje się przez ciebie zraniona, byłem jednak zbyt nawalony, żeby wiedzieć, do czego to zmierza.

– Och... a więc o to chodzi. – To znaczy, że nie jest dobrze, ale...

Grant kręci głową.

– Nie. Całowaliśmy się. Dużo. W klubie. A potem jakimś sposobem na parkingu. I w samochodzie. Jasno dała do zrozumienia, że idziemy do samochodu... w określonym celu.

Wpatruję się niego. Nie wiem, co czuję. Szok. Jestem w szoku. Mój najlepszy przyjaciel. I moja dziewczyna. No, eks... ale jednak. To naruszenie wszystkich zasad, jakie kiedykolwiek istniały.

Grant nic nie mówi, więc się odzywam:

– I przespałeś się z nią?

– Nie. Trochę się zabawialiśmy.

Krzywię się. On odwraca wzrok.

– Jej ręce po prostu były... wszędzie, wiesz? – podejmuje. Wiem, ale nie zamierzam mówić tego głośno. – Byliśmy na tylnym siedzeniu jej samochodu, całowaliśmy się i... – znów odwraca wzrok – coś robiliśmy, a ja byłem zalany...

– Uroczo – kwituję. Mdli mnie. Zamykam oczy. – No i co się stało? – Dlaczego mnie to w ogóle interesuje?

– Mogliśmy... – Wzrusza ramionami. – Tylko się obciskiwaliśmy... ale... zwymiotowałem.

Tu mnie zaskoczył.

– Że co? Zwymiotowałeś? W jej aucie?

W kącikach jego ust pojawia się cień uśmiechu, przypomina sobie jednak, że jesteśmy w środku potężnej kłótni, i poważnieje.

– No tak, trochę. Właściwie to całkiem sporo. Kiedy teraz o tym myślę, to nie zasłużyła na użeranie się z czyszczeniem. Charlotte wykorzystwała mnie, żeby się zemścić, byłem jednak zbyt pijany, by to zauważyć. Ale następnego dnia od razu to zrozumiałem. Namierzyła mnie w tym klubie, najlepszego przyjaciela swojego byłego chłopaka. Byłem naprany, a ona trzeźwa jak świnia. Nie powinienem jej całować ani pozwolić, żeby ona całowała mnie. Nie powinienem pozwolić jej... leżąc z łapami, ale ta dziewczyna jest bardzo przekonująca. Sprowadza kłopoty. Sprowadzi kłopoty i na ciebie. Zdaję sobie sprawę, że już nigdy nie będziesz moim najlepszym przyjacielem, ale nie chcę, żebyś się koło niej kręcił. Była toksyczna już wtedy i jest toksyczna teraz. Jest jak odbezpieczony granat. Jest...

– Łapię. – Ta rozmowa mnie wykończyła. Czuję, że mógłbym przespać sto lat. – Zrozumiałem – dodaję obojętnie.

– Przykro mi. Jesteś zmęczony, stary, ale muszę to ciągnąć, zanim mnie wykopiesz i nasza przyjaźń się skończy, choć podejrzewam, że to już się stało, ale tak czy inaczej... Musisz wziąć tę chemię. Musisz to przemyśleć. I nie chodzi o ciebie.

– Nie? Wydawało mi się, że o mnie.

– Nie. Chodzi o twoich rodziców. I o mnie. Bo co ja bez ciebie zrobię? Nikt inny nie będzie moim najlepszym przyjacielem.

Nie mogę powstrzymać się od śmiechu.

– Nie umrę.
– Umrzesz. Poczytałem trochę. Potrzebujesz trzech serii chemii, bo to rozprzestrzenia się w twojej piersi. Wędruje przez twoje węzły chłonne. Następne przystanki: mózg, płuca, wątroba.
– Przestań.
– Myślisz, że zniknął po dwóch seriach? Nie. Znów się skrada. Musisz to zrobić. Musisz być superbohaterem.
– Nie jestem superbohaterem. Jestem wykończony. Idź już.
– To przez Charlotte.
Nie zdaję sobie sprawy, jak długo krzyczę. Drę się na mojego przyjaciela:
– Tu nie chodzi o Charlotte! Gównu mnie obchodzi, co zrobiliście! Nie mam siły się tym przejmować! Tu nie chodzi o ciebie! Ani o moich rodziców! Chodzi o to, że chcę znów żyć, mieć nad wszystkim kontrolę! Grant się we mnie wpatruje. Kiwa głową.
– No to nie mam wyboru – mówi tajemniczo i odwraca się do mnie tyłem. – Kocham cię, stary – rzuca przez ramię. – Później mi za to podziękujesz!
– Niby za co?! – wrzeszczę za nim.
– To druga rzecz, którą dla ciebie zrobię!
Znika, po czym słyszę jego kroki na schodach i trzaśnięcie frontowych drzwi, gdy wychodzi.

ROZDZIAŁ 22

Hannah

Wieczorem ma wpaść George. Dziś moja kolej, by gotować, co jest trochę irytujące z dwóch powodów: 1. Mam wielką prezentację i muszę nad nią popracować; 2. Okropnie gotuję.

George stara się upewnić, że gdy go nie ma, „dbam o to, by się zdrowo odżywiać”. Jeśli nie może mi doradzać w kwestii gotowania, przyrządzamy jakąś wymyślną sałatkę zawierającą jarmuż. Nie przeklinam zbyt często, jeśli chodzi o warzywa, ale, dobry Boże, jarmużu nienawidzę jak cholera. Nieważne, co się z nim z robi, zawsze smakuje jak jarmuż.

Kiedy George się pojawia, wymachując wszystkimi produktami, znów wchodzi w tryb króliczka Duracella, czego często byłem ostatnio świadkiem. Podbija stawkę, ponieważ przyniósł wszystkie zielone warzywa, jakie mógł kupić. Udzielił mi się mój entuzjazm, gdy straciłam trochę na wadze i lepiej się czuję. Jego dusza trenera osobistego nie chce, bym się poddawała, szczególnie że „wyrobienie we mnie nawyku zdrowego odżywiania się zajęło tak dużo czasu”.

Mimo to naprawdę nie mam ochoty jeść na kolację tego, co proponuje. Jakaś część mnie mogłaby zabić za Nutellę. Nawet bez niczego. Za chociaż łyżeczkę. Gdy o tym myślę, szklą mi się oczy, przypominam sobie jednak, że to ja mam gotować, a George wyjmuje torebkę jarmużu. Uśmiecham się blado.

– No więc co chcesz zrobić z tym jarmużem, Gallagher?

– Wyrzucę go prosto do kosza na śmieci? – sugeruję.

Przestaję się uśmiechać, gdy widzę, że George przewraca oczami, po czym ze ściągniętymi brwiami patrzy, co zrobię. No, ale stara się, i chwala mu za to, spędza ze mną czas, co wymaga od niego niemało energii.

– Najpierw go posolimy, nie za dużo, a potem...

Gdy George przynudza, moje myśli biegną w inną stronę. Sądziłam, że to ja mam gotować, lecz on właściwie robi wszystko za mnie.

Po kolacji, którą musiałam popić dużą ilością wody, postanawiamy pooglądać telewizję z zastrzeżeniem, że potem albo się bzyknjemy, żeby spalić trochę kalorii (z jarmużu? – zastanawiam się), albo pójdziemy pobiegać. Ja oczywiście jestem za seksem – okazało się, że nie znoszę biegania. W ramach planu „dopusć George’a bliżej” – aby jedno mogło być częścią życia drugiego i abym była trochę bardziej zaangażowana – mamy wreszcie obejrzeć razem *Pokój z widokiem*.

Streszczam mu fabułę, ostrzegam, że to stary film, a on mówi ugodowo:

– Skoro to twój ulubiony, to na pewno będzie dobry.

Oczywiście mam obawy. Miałam je, kiedy oglądałam *Pokój...* z Daveyem, ale jemu naprawdę się podobał. Chyba był zaskoczony – ponieważ wciskał pauzę i zadawał pytania – i zachwycony scenerią, postaciami, epoką i miejscem akcji, no, chyba że kłamał.

Zaczynamy oglądać, łapię się jednak na tym, że patrzę na George’a, a nie na ekran.

Mruży na chwilę oczy, a ja przypominam sobie, że to on zaproponował, żebyśmy obejrzeli film, nie ja. Odwraca głowę w moją stronę.

– Są śmiesznie ubrani.

Robi sobie jaja?

– To jest epoka edwardiańska.

Krzywi się, lecz po chwili grymas zamienia się w uśmiech.

– No jasne.

– Nie musimy tego oglądać...

– Nie, nie, ja chcę – zapewniam.

Oglądamy dalej, a ja coraz bardziej się wciągamy. Helena Bonham Carter wpada w ramiona bohatera na włoskiej piazzie, ponieważ właśnie była świadkiem morderstwa i zemdląca. To w jakiś dziwny sposób bardzo romantyczne, więc zerkam na George’a, on jednak jest pochłonięty przeglądaniem czegoś w telefonie.

– Nie podoba ci się?

Rzuca telefon na kolana.

– Jestem zachwycony.

Wiercę się na kanapie. Teraz chcę, żeby film się skończył, ale przed nami jeszcze całe wieki. Też biorę telefon, bo nie mogę się skupić. Muszę się czymś zająć.

Wciągają mnie media społecznościowe. Łapię się na tym, że sprawdzam, czy Davey ostatnio coś wrzucił. Ale nie. Nigdy tego nie robi. Czego ja się spodziewałam? Zdjęcia, jak się uśmiecha podłączony do kropłówki? Tak bardzo bym chciała aż tak dużo o nim nie myśleć. Tak bym chciała nie wysłać mu wiadomości, że widziałam, jak do mnie pisze. To tylko go zmroziło. Z tego, co widziałam, od tamtego czasu nie był online. I nigdy mi nie odpowiedział. Może właśnie wtedy zamierzał wcisnąć „wyślij”, a ja się rozłączyłam? Ależ jestem na siebie zła. Często się zastanawiam, co chciał mi powiedzieć. Już nigdy się tego nie dowiem.

Film się kończy, George przysnął, więc go szturcham, gdy lecą napisy końcowe.

– Podobał ci się? – pytam.

– Właściwie nie – wyznaje. – Ale cieszę się, że ty jesteś zadowolona. – To stwierdzenie nie ma sensu, ale niech mu będzie.

Nie mam ochoty ani na seks, ani na bieganie i podejrzewam, że George też nie, on jednak wstaje, przeciąga się i mruga kilka razy.

– To co, idziemy? – pyta. – Do Flats? – wymienia park blisko mojego domu.

– Na seks czy bieganie? – rzucam prowokacyjnie.

– Bieganie – odpowiada ze śmiechem.

– Pewnie.

Jestem trochę zaniepokojona, że woli biegać niż się kochać, ale wkładam strój do biegania, sznuruję buty, wsuwam do kieszeni telefon i próbuję stłumić żal, że odsłoniłam przed nim część mojej duszy. Mogłoby go to bardziej obejmąć.

George się rozciąga, włącza stoper w zegarku i rusza, gdy tylko wychodzimy z domu. Biegnę za nim, a noc zamienia się w lekką mżawkę. Robię dobrą minę do złej gry, bo nienawidzę biegać w deszczu. Mimo to biegnę. George jest kilka kroków przede mną, gdy muzykę w moich słuchawkach zakłóca sygnał przychodzącego połączenia. Zatrzymuję się, by odebrać, lecz gdy widzę przed numerem +1, powstrzymuję się. Zamiera mi serce. To nie Davey. Gdyby to był jego numer, widziałabym to, dzwoni jednak ktoś ze Stanów, więc natychmiast myślę o Daveyu. Nie odbieram. Podnoszę wzrok, by powiedzieć Georgowi, że na sekundę się zatrzymam, lecz on jest już daleko i się na mnie nie ogląda. Chyba nawet nie zauważył, że przystanęłam. Jeśli czegoś nie zrobię, ta osoba się nie rozłączy, więc niechętnie i z walącym sercem odbieram.

– Halo? – W głębi serca bardzo chcę, żeby to był Davey. Teraz to wiem. Ale też boję się, że to on. I boję się, że jednak nie.

– Cześć – mówi ktoś z lekkim australijskim akcentem. – Hannah?

– Tak. Kto mówi?

– Grant... przyjaciel Daveya. Pamiętasz mnie? Napisałem do ciebie, gdy Davey przeszedł operację, i wciąż mam twój numer – stwierdza oczywistą rzecz.

– Tak, pamiętam. – Rozglądam się w poszukiwaniu ławki. Muszę usiąść. Dlaczego Grant do mnie dzwoni? Ogarnia mnie strach. Stało się najgorsze, a ja nie chcę zadać tego pytania. Mimo to je zadaję: – Davey nie żyje, prawda?

– Co? Nie, skąd!

Zalewa mnie tak gwałtowna fala ulgi, że z gardła wydobywa mi się dziwny odgłos, a w oczach wzbierają łzy.

– O Boże! – krzyczę i teraz łzy płyną. – Przepraszam, naprawdę myślałam... że właśnie dlatego do mnie dzwonisz.

– Nie. – Jego głos brzmi łagodnie i miło. – Nie, on nie umarł. Ale, Hannah, boję się, że umrze, i nie wiem, co robić. Nie chce przyjąć ostatniej serii chemii. Krzyczałem, błagałem. Już nic mi nie zostało. Nie wiem, co robić – powtarza i słyszę w jego głosie rozpacz.

Milczę. Nie mam pojęcia, co powiedzieć. Nie mam też pojęcia, co zrobić.

– Jesteś tam? – pyta.

– Tak.

– Bez tej chemii to wszystko, przez co przeszedł, będzie na nic. Pomożesz mi?

– Ale jak?

– Czy mogłabyś... do niego zadzwonić?

Kręcę głową, choć przecież Grant mnie nie widzi.

– On sobie tego nie życzy. Powiedział jasno, żebym się z nim nie kontaktowała.

– On naprawdę cię lubi. – To wszystko, co Grant ma do powiedzenia na ten temat.

– Teraz już chyba nie – ripostuję. – Inaczej by mnie nie... odepchnął i nie zabronił się ze sobą kontaktować.

– Żartujesz sobie? Naprawdę byłaś dla niego ważna. Nie gadał o niczym innym, tylko o tobie. Ty i on powinniście teraz obściskać się gdzieś w Londynie i odmrażać sobie razem tyłki, gdyby nie...

– Rak – kończę za niego.

– Rak – powtarza. – Który go zabije, jeśli nie przejdzie ostatniej rundy leczenia. Nie dziś. Nie jutro. Ale za rok albo dwa. A ja muszę coś zrobić. I właśnie robię: błagam cię. Jesteś jedynym, co mi zostało. I już tylko ty możesz przekonać Daveya, mimo że jest przy nim ta pierdolona Charlotte, sącząca mu do uszu zatrute słowa, które on chce usłyszeć. Więc musisz mi pomóc.

Kim, do cholery, jest pierdolona Charlotte?

– Muszą być przecież ludzie bardziej kompetentni niż ja, by z nim porozmawiać. Lekarze? Rodzice?

– Hannah, proszę – mówi Grant błagalnie, wydaje mi się, że płacze. – Kiedy przeprowadziłem się z Anglii, był moim jedynym przyjacielem. Od zawsze byliśmy najlepszymi przyjaciółmi. Hannah, ja nie mogę go stracić.

Davey umrze. Mimo że nie jesteśmy razem, świat bez niego napawa mnie lękiem, znów chce mi się płakać.

– Nie wiem, co mogłabym zrobić.

– Spróbuj. Proszę, Hannah. Błagam cię. Dla Daveya.

Będę musiała schować do kieszeni te resztki dumy, jakie mi jeszcze zostały. I spróbować. Skręca mnie w żołądku i mam wrażenie, że zaraz zwrócę jarmużową kolację.

Najpierw jednak muszę zadzwonić do taty. Jest lekarzem rodzinnym, będzie wiedział, co mam powiedzieć. Patrę w niebo. Choć deszcz ustał, jestem przemoczona, ale prawie tego nie zauważam.

Dzwonię do taty na komórkę, odbiera, ale jest rozkojarzony. Słyszę, że ogląda wiadomości.

– Cześć – rzuca. – Co mogę dla ciebie zrobić?

– Tato, potrzebuję twojej pomocy. – Powtarzam, zacinając się, to, co przed chwilą powiedział mi Grant, a tata słucha w milczeniu. Mówię mu, że chyba Kocham Daveya – po raz pierwszy komuś się do tego przyznałam, samej sobie też. Ale go Kocham. Nawet jeśli nigdy nie będziemy razem, Kocham Daveya. Mężczyznę, którego nigdy nie spotkałam. Mężczyznę, który zabrał kawałek mojego serca, gdy oznajmił, że chce mnie oszczędzić i przejść przez to wszystko sam.

– Muszę wiedzieć, co robić – tłumaczę. – Muszę wiedzieć, co mam mu mówić. Statystyki... i takie tam rzeczy.

– Hannah – zaczyna tata, a ja słyszę w jego głosie łagodny, pełen miłości ton i wiem, że to, co powie, mi się nie spodoba. – Po pierwsze, nie jestem onkologiem. Jestem lekarzem rodzinnym.

– Wiem, wiem – prychem zniecierpliwiona. Wstaję i ruszam w stronę domu, a wszystkie myśli o George'u wylatują mi z głowy.

– Po drugie – ciągnie – ratowanie mężczyzny, który jest po drugiej stronie kuli ziemskiej, to nie twoje zadanie, Hannah.

– Moje, tato – odpowiadam stanowczo. Moje jak cholera. To tylko rozmowa przez telefon. – Czy jego przyjaciel miał rację, że jeśli Davey nie przyjmie trzeciej dawki chemii, umrze?

Tata milczy. A potem wzdycha.

– Prawdopodobnie tak. Właściwie na pewno. Dawki chemioterapii są dobierane bardzo starannie, nie bez powodu w określonych odstępach czasowych i...

– Dzięki, tato – przerywam mu. – To właśnie chciałam usłyszeć. Kocham cię.

– Hannah... – zaczyna, a ja mówię, że muszę kończyć. Żeby się zastanowić, co powiedzieć Daveyowi. Z komórką w ręku otwieram drzwi mieszkania. Nie mogę trafić do zamka, upuszczam klucz, podnoszę, znów próbuję, aż wreszcie zamykam za sobą drzwi.



Wpatrując się w telefon, siadam na kanapie. Nie wiem, co mam robić i co mówić. Jestem zdrętwiała

z przerażenia, boję się tak, że nie jestem w stanie znaleźć numeru Daveya. Jednak muszę. Nigdy nie sądziłam, że nasza następna rozmowa będzie tak wyglądała.

Przewijam kontakty, znajduję jego numer i wciskam zielony guzik. Mam motyle w brzuchu. Odbierz, proszę, odbierz...

On jednak nie odbiera. Włącza się poczta głosowa instruująca, że mam zostawić wiadomość. Samo słuchanie jego głosu po tak długim czasie boli bardziej, niż się spodziewałam.

Patrzę na telefon. Nie może tak być. Po prostu nie.

Teraz naprawdę chowam dumę do kieszeni, oddycham głęboko i znów wciskam zielony guzik. I tym razem Davey odbiera.

ROZDZIAŁ 23

Hannah

– Hannah? – pyta niepewnie, a ja nie mogę oddychać. Czuję ulgę pomieszaną z niepokojem, że w każdej chwili może się rozłączyć, zniknąć w jakiejś formie protestu.

– Daveyu – odzywam się. Minęło już tyle czasu, że nie wiem, jak mam się wobec niego zachowywać. Istnieje poważne ryzyko, że wybuchnę płaczem. – Nie rozłączaj się, proszę – mówię bardziej zdecydowanie, choć czuję się niepewnie.

– Nie zamierzam – odpowiada cicho.

– Za pierwszym razem nie odebrałeś.

– Sądziłem, że zadzwoniłaś przez pomyłkę. Nie chciałem wprawiać nas obojga w zakłopotanie.

– To nie była pomyłka.

– Wiem. Zadzwoniłaś po raz drugi.

– Chciałam... – Nie mam pojęcia, jak dokończyć zdanie. Nie mogę kłamać. „Chciałam sprawdzić, co u ciebie” to bzdety, nie powiem czegoś takiego. – Tęsknię za tobą – wyznaję. – Naprawdę tęsknię.

On milczy. A więc wszystko spieprzyłam. A nie minęła nawet minuta.

– Ja też za tobą tęsknię.

Zalewa mnie fala ulgi.

– Daveyu – mówię, a on wypowiada moje imię. – Próbowałam odpuścić. Ale to zbyt trudne.

Słyszę, jak wzdycha, i wreszcie się odzywa:

– Ja też. – Uśmiecham się, a on ciągnie: – Sprawdzałem, czy jesteś online, ale nie było żadnych postów o tobie. Niczego nie zamieszczasz.

– Ty też nie.

– W tej chwili nie mam za dużo do pokazania.

– Nie... Och, Davey...

– Wiem – mówi uspokajająco. – Wiem.

– Pisałeś do mnie wiadomości, ale nigdy ich nie wysyłałeś.

Słyszę, jak przetyka ślinę.

– Nie.

– Dlaczego?

– Dobrze mówić ci różne rzeczy, a potem... – Urywa.

– A potem nic mi nie mówić? – podsuwam.

Cisza.

– Tak. Pewnie myślisz, że zdziwaczałem?

– Sądzisz, że uznam cię za dziwaka, jeśli powiesz mi, jak się czujesz?

– Tak.

– Naprawdę tak uważasz? Myślisz, że będę cię osądzała?

– Nie wiem. Jestem tchórzem. Brakowało mi jaj, żeby wysłać te wiadomości.

– A co w nich było? – chcę wiedzieć.

– Różne rzeczy.

– Ile wiadomości napisałeś? I nie wysłałeś?

– A ile razy widziałaś, że je piszę i nie wysyłam?

– Dwa.

– No to odpowiedź brzmi „dwa”.

– Ale ile naprawdę napisałeś i nie wysłałeś?

Davey się śmieje.

– Dziesięć. Może piętnaście. Były bardzo długie. No i... – Zawiesza głos.

– No i ich nie wysłałeś – kończę za niego.

– Nie. A kiedy mnie na tym przyłapałaś, kiedy wysłałaś mi tamtą wiadomość...

– Widziałam, jak piszesz – przypominam mu.

– No tak. Więc po wiadomości „Widzę, jak piszesz”... przestałem.

– Masz kogoś, z kim możesz pogadać? – pytam. Boję się, że pisanie do mnie wiadomości, niewysyłanie ich i kasowanie jest dla niego jedynym wyjściem.

– Właściwie to nie. Mama płacze. Tata... jest zbyt męski, żeby radzić sobie z emocjami. Grant był dobry, ale nie rozumie.

– A ja zrozumieję?

– Wątpię.

– To się przekonaj. Powiedz, o czym myślisz poza tym, co jest oczywiste.

– Za dużo tego. Przede wszystkim: Hannah, czy jesteśmy przyjaciółmi?

Rozsiadam się na kanapie, podwijając nogi.

– Oczywiście.

– Czy jeśli powiem, że się z kimś spotykam, to będzie dla ciebie przykre?

Tak. Jak cholera.

– Nie – zapewniam, choć serce boli mnie bardziej niż pięć minut temu. – Jaka ona jest?

– Hm... – zaczyna Davey – to moja była dziewczyna Charlotte.

Pierdolona Charlotte, jak określił ją Grant. Dobrze to zapamiętałam.

– Wróciłeś do swojej byłej? – dziwię się. – Jak to się stało?

Żyjemy na dwóch krańcach świata. Nie możemy ze sobą być. Teraz to wiem. I uderza to we mnie jak pociąg. Gapię się przed siebie, słucham, jak mężczyzna, którego kocham i którego nigdy nie będę mogła mieć, opowiada mi o swojej dziewczynie.

– Ona jest... Charlotte... po prostu jest... – stwierdza, a ja nie wiem, jak to rozumieć, mimo to sugeruję:

– ...we właściwym czasie i we właściwym miejscu?

– Coś w tym rodzaju. A ty nadal spotykasz się tym gościem, o którym mi pisałaś?

Krzywię się.

– Tak, ale nie wysłałam tej wiadomości, żeby cię rozdrażnić. Chciałam, żebyś wiedział, że jestem twoją przyjaciółką, mam dobre intencje i że jestem szczęśliwa, tak jak chciałeś.

Davey milczy, a ja powstrzymuję się od pytania, czy nadal tam jest.

– No i jesteś? – pyta. – Szczęśliwa?

Myślę o George’u biegającym samotnie po Flats. Pewnie nawet się nie odwrócił, żeby sprawdzić, czy jestem.

– Tak – odpowiadam, nie chcąc rozwijać tematu.

– To dobrze.

To mógłby być z powodzeniem koniec rozmowy. Mam mu jednak tyle do powiedzenia i muszę to zrobić, zanim się rozłączy.

– Davey... – zaczynam.

– Tak? – Ma smutny głos

Chcę mu powiedzieć, że go kocham. Chcę znów mu powiedzieć, że za nim tęsknię. Ale to nie przyniesie niczego dobrego. Już nie. Za późno. Przygotowuję się więc na najgorsze.

– Jak przebiega leczenie? Już blisko do końca i będziesz wolny?

– Tak jakby – odpowiada wymijająco.

– Kiedy kolejna chemia? Albo ostatnia? – Jestem zbyt obcesowa. Wiem to. Muszę się opanować, działać powoli.

– Jutro.

To sprawdzian. Sprawdzian tego, jak bardzo mi ufa, jak bardzo ceni to, co było między nami przez te wszystkie miesiące. Ale czy mi powie? Moje serce zamiera, gdy powoli zanurzamy się w ciszy. On nie zamierza...

– Nie chcę chemii... – mówi wreszcie.

Nabieram powoli powietrza i powoli je wypuszczam. Czuję się tak, jakbym go oszukiwała, jakbym prowadziła go ścieżką do celu, a on nie wiedział, że nią podąża.

– Dlaczego? – pytam.

Znów cisza, a potem... Davey chyba płacze.

– Hannah, to tak boli.

Łzy, które powstrzymywałam, teraz wypełniają mi oczy.

– Tak mi przykro. Tak mi przykro, że przydarzyło ci się coś takiego.

– To nie twoja wina. Powinniśmy być razem, a ja to zniszczyłem – mówi nagle.

– Nie zniszczyłeś – zapewniam.

– Ta straszna... rzecz zrobiła ze mnie zakładnika. Złapała i nie chce puścić. Więc to ja postanowiłem ją zostawić. Chcę zacząć żyć. Chcę ruszyć do przodu i robić... cokolwiek. Cokolwiek, co nie jest spaniem, rzyganiem czy faszeringowaniem się lekami.

– Ale przecież chemia sprawia, że to odpuszcza, prawda? Przecież ona działa? – dopytuję się spanikowana. Czyżby nie był z Grantem szczerzy?

Davey wzdycha.

– Działa. Wydaje się, że działa, dlatego już tego nie chcę, skoro działa wystarczająco. Nie sądzę, bym potrzebował ostatniej dawki. Więcej nie zniosę. To jest straszne. Już samo myślenie o tym, że się zbliża, przyprawia mnie o mdłości. Chcę tylko zwinąć się na łóżku, udawać, że wszystko zniknęło, i obudzić się gdziekolwiek, byle nie tu.

– Daveyu, ile czasu?

– O co pytasz?

– Ile czasu to zajmuje? Każda sesja każdego dnia.

– Całe godziny. Godzinę za godziną. Pełne trzy dni, a potem po kilka godzin w ciągu dwóch tygodni. Ale na tym się nie kończy. Potem czuję się taki chory. To straszne. Dziś wszystko jest okej, a następnego dnia, w trakcie chemii i po niej, będę czuł się koszmarnie. Nie dam rady się nawet ruszyć. Wstanie i pójście do łazienki to ogromny wysiłek. Myślenie to ogromny wysiłek.

Nie mogę słuchać, jak płacze.

– Daveyu, musisz tam jutro pójść – mówię spokojnie. – Nie pokonasz raka, jeśli będziesz siedział w domu i liczył, że sam przejdzie.

– Wiem, ale mam dość.

Będę tego żałowała, mimo to mówię:

– Nie mogę sobie wyobrazić świata bez ciebie. Jeśli nie będziesz walczył... – Załamuje mi się głos. A teraz będę brutalna. Już nigdy się do mnie nie odezwie, ale muszę to powiedzieć. – Są ludzie, którzy zabiliby za to, by żyć. Są ludzie, którzy każdego dnia błagają, żeby ich leczono. Błagają o kolejne lekarstwo, które nie istnieje, a które by im pomogło, bo inaczej nie przeżyją. A ty to dostałeś... kombinację leków, i ona działa. Pokonałeś dwie trzecie drogi. To trzecia, ostatnia jej część, więc to zrób. Chcę cię prosić, byś zrobił to dla mnie. Chcę cię prosić, byś zrobił to dla mamy i taty. Chcę cię prosić, byś zrobił to dla Granta. Ale przede wszystkim chcę cię prosić, byś zrobił to dla siebie. Nie dla Daveya, jakim jesteś teraz, lecz dla Daveya w przyszłości. Dla tego, który stanie na nogi, bo pokona raka. Bo możesz to zrobić. Bo musisz.

Davey przestaje płakać.

– Halo? – pytam.

– Jestem.

– Daveyu, obiecaj mi, że jutro pójdziesz do szpitala. Obiecujesz? Mówię szczerze: następnym razem, gdy się odezwiesz, chcę, żebyś mi powiedział, że tam byłeś, że zacząłeś ostatnią serię chemii. Masz po co żyć. Nie poddawaj się. Nie poddawaj się akurat teraz. Proszę. Błagam cię...

Jestem zdesperowana.

I cię kocham. Kocham cię, powtarzam w myślach. Mimo że jesteś z kimś innym. Mimo że ja jestem z kimś innym. Kocham cię. I nie przestanę.

– Muszę kończyć – mówi.

– Daveyu, nie...

Na linii zapada cisza. Patrzę na ekran. Rozłączył się. Czuję ucisk w piersi, jestem otępiała. Nie wiem, co myśleć. Co czuć. Mija kilka sekund i po mojej twarzy zaczynają płynąć łzy, które przez całą rozmowę powstrzymywałam. Zdaję sobie sprawę, że jeśli Davey nie pojawi się na chemioterapii, to jedyne, co mi pozostanie, to czekać – rok, dwa lata – na telefon od Granta, który powie, że rak zabrał Daveya, że Davey umarł.

Myśl, że mogę go stracić, mimo iż wiem, że właściwie już go straciłam, jest tak strasznie bolesna, że

mam wrażenie, iż miażdży mi klatkę piersiową. Nie mogę już nic zrobić. Dałam z siebie wszystko. I nie mam tyle siły, jak kazał mi wierzyć Grant.

Rozlega się dzwonek do drzwi, więc idę otworzyć, ocierając łzy. W progu stoi George.

– Tu jesteś – mówi. – Gdzieś ty się, do cholery, podziała?

Rozglądam się.

– Tutaj – mówię, jakby żadne z nas nie wiedziało, że jestem w przedpokoju.

– Zniknęłaś na dobre. Martwiłem się. Nie było cię za mną.

– No nie było. Nie czułam się dobrze – kłamię. – Jestem wykończona. Muszę iść spać. – Jest w tym sporo prawdy. Zupełnie opadłam z sił.

– Okej. – George przykładą mi dłoń do czoła. – Nie masz gorączki, ale wyglądasz okropnie. Płakałaś?

Kręcę głową i pocieram twarz, pewnie mam na niej czerwone plamy.

– Przygotować ci kąpiel?

Ostatnie, czego chcę, to nurzać się w gorącym płynie.

– Nie, po prostu muszę się przespać.

– Mam zostać?

– A nie zamierzałaś?

– Nie na noc, nie. Muszę wstać rano. Mam klienta o szóstej.

– Okej.

– Okej, żebyś został, czy okej, żebyś sobie poszedł? – dopytuje się George.

– Obojętne. Po prostu muszę się położyć.

– Okej – powtarza. – No to cię zostawiam.

Podchodzi do mnie i całuje zdawkowo. Oddaję pocałunek, patrzę, jak zbiera swoje rzeczy, idzie do drzwi i je za sobą zamyka.

Kładę się do łóżka, nie zwracając sobie głowy myciem, szorowaniem zębów czy wkładaniem piżamy. Zwalam się nieprzytomna, a moje przemęczone ciało wciąż opina strój do biegania. Zapadam się w pościeli i śpię jak zabita. Sny o Daveyju pojawiają się i znikają, bo mimo że śpię, wciąż w sercu jestem skołowana.

ROZDZIAŁ 24

Hannah

Zrobiłam wszystko, co mogłam. To nie ode mnie, po tej stronie świata, zależy uratowanie człowieka po tamtej. Jakaś część mnie nienawidzi tej odpowiedzialności, jest potwornie wściekła na Granta, że postanowił zwrócić się do mnie, uznał, że jestem jedynym kluczem, który może spróbować otworzyć zamek i skłonić Daveya, by przyjął ostatnią dawkę chemii. Ta druga część uważa, że to niesamowite, iż Grant czuł, że może do mnie zadzwonić i że mogę coś zmienić, choć upłynęło tyle czasu. Davey i ja nie rozmawialiśmy od miesiący. Czy to, że Grant zadzwonił, mówi coś o tym, co Davey do mnie czuje? Czy rozmawiał z Grantem... czy po tym wszystkim nadal gada o mnie ze swoim swoim najlepszym przyjacielem? Odsuwam tę myśl. Podążanie tą drogą nikomu nie pomoże, a na pewno nie mnie. To, jak potraktowałam wczoraj George'a, jest niewybaczalne. Zostawiłam go samego w parku.



Rano wstaję z łóżka jak nowa. Nie czuję się spokojna, ale w połowie drogi do spokoju. Potrzebowałam tego, co stało się wczoraj. Wczoraj nie zdawałam sobie z tego sprawy, ponieważ byłam zdeterminowana, by pomówić z Daveyem, dziś jednak wiem, że nasza wczorajsza rozmowa nie oznaczała początku. Oznaczała koniec. Muszę zostawić go za sobą. Sądziłam, że nasza następna rozmowa mogłaby być początkiem czegoś, że ogień znów zapłonie. On jest jednak z kimś. I ja jestem z kimś. To koniec. Rozmowa z nim nie miała być wstępem do czegoś większego. Chciałabym móc powiedzieć, że w zimnym świetle dnia patrzę na to bez emocji, jednak przez okno wpada wiosenne słońce, przynosząc zmianę pogody, i świeżość, która jest w Londynie zapowiedzią lata. Wiosna ustępuje miejsca smużkom jasności mającym w sobie coś na kształt ciepła. Płaszcz mogę zostawić w domu. W głębi szafy wisi cienki biały blezer. Dobieram do niego obcisłe džinsy i płaskie pantofle ze szpiczastymi noskami. Nigdy się tak nie ubieram. W ciuchach, które wkładam do pracy, nie wyglądam bezbarwnie, ale też nie rzucam się w oczy, jednak dziś bardziej się postarałam, no, odrobinę.

Nie zdawałam sobie sprawy, że trochę czekałam, aż to, co jest między Daveyem i mną, wreszcie naprawdę się skończy. Idąc na stację, wdycham świeże powietrze – a przynajmniej tak świeże, jakie zdarza się czasem w Londynie – i po drodze kupuję kawę. Nie zamawiam takiej, jak zwykle, lecz macchiato – nie powiem George'owi – z odrobiną syropu waniliowego. Jest inna. I ja jestem inna. Przez moment myślę o George'u. Może powinnam mu powiedzieć o syropie? Może dzisiejszy dzień jest dobrym momentem, by zacząć być z nim bardziej szczerą, by bardziej skupić się na nim i na nas? Davey zniknął. A George tu jest. Dzisiaj wszystko może się rozpocząć na nowo.



Dziś po południu mam w pracy prezentację. Zabiegamy o prowadzenie kampanii marketingowej dla organizacji charytatywnej zajmującej się resocjalizacją więźniów. Właściwie odgrywam dość ważną rolę w próbie pozyskania tego nowego klienta, mój szef Craig chce wytoczyć potężne działa, więc wszyscy jesteśmy w to zaangażowani i musimy pokazać klientowi, co mamy do zaoferowania z marketingowego punktu widzenia. A ja mam go zadziwić i oczarować. Przynajmniej raz mam taką okazję. Zajmuję się tym od tak dawna, że przygotowałabym chyba podobną prezentację przez sen. Spędziłam sporo czasu, zapoznając się z różnymi formami resocjalizacji więźniów. Nie chcę się zagalopować, lecz dostrzegam wiele sposobów na promowanie organizacji charytatywnych oprócz tego, co już robią, współpracując z dużymi firmami i angażując je w programy doradcze. Mam mnóstwo pomysłów i zastanawiam się, czy o nich wspomnieć. Przy większym zaangażowaniu prawdopodobnie wycisnęliby z ludzi więcej pieniędzy, nie wydając ani grosza. Nie do końca wiąże się to z kompetencjami marketingu, chodzi raczej o komunikację.

Jestem pracowita i przygotowana więcej niż dobrze. I świetna w tym, co robię. To zadanie nie jest największym wyzwaniem, z jakim przyszło mi się w życiu zmierzyć, dlatego mam trochę czasu, żeby jeszcze poszperać. Dziś czuję się pewna siebie. Zaczynam nowe życie. Amen.

Przed prezentacją poprawiam makijaż w damskiej toalecie. Na sygnał przychodzącej wiadomości cała

drętwieję. Widzę numer ze Stanów, którego nie zapisałam. To Grant i na myśl o tym, co ta wiadomość może zawierać, ze strachu aż skręca mnie w żołądku. Otwieram ją.

Hannah, nie wiem, co mu powiedziałaś, ale Davey właśnie pojechał na ostatnią serię chemii. Dziękuję Ci, Grant x.

Przyciskam komórkę do piersi, zamykam oczy i dziękuję temu, co jest tam, na górze – bogom, przeznaczeniu, czemukolwiek – za to, że wysłało Daveya na chemioterapię. Teraz już nie należy do mnie ani odrobinę, ale jestem tak głupio przejęta, że pozwalam płynąć łzom. Z kabiny wychodzi jakaś kobieta i podaje mi chusteczki higieniczne z pojemnika przy lustrze.

– Wszystko w porządku? – pyta.

– Tak, dziękuję. – Widzi, że to nieprawda, ale uprzejma odpowiedź na takie pytanie nigdy nie brzmi „nie”, mimo że wyplakujemy sobie oczy. Staram się więc pozbierać.

– Mogę jakoś pomóc?

Kręcę głową.

– Nie, dzięki – odpowiadam, po czym, nie mogąc się powstrzymać, uśmiecham się łagodnie przez łzy, przewracam oczami i dodaję: – Problemy z chłopakiem.

– Ach... – mówi, jakby wiedziała, o co chodzi. – Potrafią być gnojkami, prawda? Dlatego spotykam się z kobietami – kończy ze śmiechem. Ten komentarz i u mnie wywołuje śmiech. – Jeśli ci to robi – wskazuje moją twarz całą w czerwonych plamach – to nie jest tego wart.

– To nie tak. Jest chory. Rak. I... – Urywam. O Boże, dlaczego ja o tym mówię? Powinam pokiwać głową na znak, że się z nią zgadzam, i udawać, że mam okropnego chłopaka.

Wyraz jej twarzy się zmienia.

– Och, tak mi przykro.

– To nie pani wina. – Próbuję sprawić, by z ciemności wyłoniła się jasność, i uświadamiam sobie, że to samo usłyszałam od Daveya, gdy powiedziała mi, jak mi przykro, że ma raka.

Kobieta opiera się o umywalkę, wyjmując z pojemnika kolejną garść chusteczek i mi je podaje. Patrząc w lustro i stwierdzam, że mascara skierowała się centymetr na południe.

– O Chryste – jęczę, ścierając makijaż.

– Moja dziewczyna miała raka piersi – wyznaje nagle kobieta, a ja odwracam się, by na nią spojrzeć.

– To okrutna choroba – dodaje tak po prostu.

Kiwam głową z poważną miną.

– O tak, to prawda. Czy ona... czy teraz jest z nią okej? – pytam nieśmiało.

– Żyje. Na szczęście. Rak jest złośliwy. Wciąż wypatrujemy, czy nie wrócił. Staramy się, żeby nie zdominował naszego życia, ale jesteśmy czujne.

– Nie mam żadnego doświadczenia w tej kwestii. On mieszka w Stanach, ja tutaj, nawet się nie widzimy, nie mogliśmy zrobić niczego, mieszkając tysiące kilometrów od siebie. – Oddycham głęboko. Wywnętrzam się przed tą biedną kobietą, którą przed chwilą poznałam i która miała to nieszczęście, że znalazła mnie płaczącą w damskiej toalecie. – Nigdy nie widziałam go „na żywo”, a teraz on już nie chce mnie znać. Odrzącił mnie. Mieszka tak daleko i odepchnął mnie jeszcze dalej.

Kobieta uśmiecha się ciepło.

– Można zostać odepchniętą, nawet jeśli mieszka się w tym samym domu. Niektórzy chcą poradzić sobie z tym sami, inni chcą nas ochronić przed okropnościami.

Ocieram łzy, wdzięczna za życzliwość. Mój makijaż nie istnieje. Obie odwracamy się w tym samym momencie, by wyjść z łazienki, ona rusza pierwsza i przytrzymuje mi drzwi.

– Powodzenia. Choć wiem, że brzmi to dziwnie. Sztuka polega na tym, żeby jednocześnie żyć swoim życiem. Nie odkładaj wszystkiego na później. Bądź przy nim, ale nie zapominaj, że kula ziemską wciąż się kręci. Nie rezygnuj z tego, co sprawia, że jesteś sobą.

– Dziś rano obudziłam się z takim właśnie poczuciem.

– To dobrze.

– Boże, przepraszam, wygadywałam takie głupoty.

Wybucham śmiechem.

– W porządku. Naprawdę.

Idę za nią korytarzem, a ona zmierza do sali konferencyjnej, do której zaniósłam już wszystkie moje

papiery i laptop. Zerkam na zegarek. Jestem odrobinę spóźniona, więc sprawiam wrażenie profesjonalistki, na czym tak mi zależało. Wchodzi do sali, a ja przystaję i każdy zakamarek mojego ciała wypełnia strach. Czy ta kobieta jest starszą stażem pracownicą mojej firmy z innego piętra, której nigdy nie spotkałam? Ona jednak siada po drugiej stronie stołu, gdzie zebrał się zespół naszego potencjalnego klienta, i podnosi na mnie wzrok. Przez jej twarz przemija wyraz zaskoczenia, gdy szef mówi:

– To jest Hannah Gallagher, nasza specjalistka od marketingu.

Wszyscy się przedstawiają i jest jasne, że osobą, na której mam zrobić wrażenie, jest kobieta, przy której dopiero co wyplakiwałam się w toalecie.

Jestem wytracona z równowagi. Z profesjonalistki zamieniłam się w idiotkę. Straciłam pewność siebie i cokolwiek mówię, Craig lekko ściąga brwi i od czasu do czasu kiwa głową. Trudno mi stwierdzić, czy daję plamę, czy jestem świetna. Nawiązuję kontakt wzrokowy z kobietą z toalety – ma na imię Cindy – i z jej kolegami, próbując pozwolić słowom płynąć, i opowieść o sukcesach kampanii, jakie zrealizowałam dla innych firm, łączy się z pomysłami, jakie mam dla tej organizacji charytatywnej.

Teraz pora, by stery przejął ktoś inny. Wyłaniają się różne pomysły, a mój szef jest wyjątkowo energiczny, chcąc pewnie zatrzeć złe wrażenie po mojej sknoconej prezentacji.

Cindy wygląda tak, jakby ktoś na nią krzychał, mimo że Craig przedstawia swoje propozycje spokojnie, choć może trochę za głośno, z dziecinnym entuzjazmem. Między nami mówiąc, uważam, że totalnie to spapraliśmy. Pozwalam myślom dryfować w stronę poruszającej się szarości za oknem, do chmur mknących po londyńskim niebie, aż spotkanie nagle się kończy, wymieniamy się wizytówkami, podajemy sobie ręce i się żegnamy.

Szef zwraca się do mnie i dwóch innych osób, które przedstawiały prezentacje:

– Myślę, że poszło bardzo dobrze.

Nikt nic nie mówi. Nikt nie składa deklaracji. Tylko enigmatyczne skinienia głową. Muszę stąd wyjść. Dziś miałam wcisnąć guzik „odśwież” na wygaszonym ekranie, którym stało się moje życie. Dzień pierwszy – schrzanienie spotkania z klientem, co wymagało połączonych wysiłków moich oraz mojego szefa. Tego nie było w rozkładzie dnia. Za to wielki drink w pubie w towarzystwie Clare na pewno jest.

– Ale z niego dupek – mówi Clare. – Nie wiem, jak on dostał tę pracę. – Clare jest najmniej dyskretną kierowniczką działu kadr, jaką spotkałam. – Ma mniejsze kwalifikacje niż ty – stwierdza znacząco.

– Ale większe doświadczenie – zauważam, broniąc Craiga.

Clare zastanawia się nad czymś przez chwilę.

– Właściwie to nie. Nie. Maks rok.

– Och...

– Dostał tę pracę, bo jest przebojowy – odpowiada Clare na pytanie, którego nie zadałam.

– Och... – powtarzam, wpatrując się w kieliszek i zastanawiając, jak mam to rozumieć.

– Ty nie jesteś przebojowa – oznajmia Clare, kończąc drugi kieliszek wina szybciej niż ja. Teraz moja kolej, by postawić. Za sekundę wstanę. Zamierzam też kupić chipsy, o których nie powiem George’owi. Czuję, że Clare musi coś zjeść, bo jest wstawiona.

– Co to znaczy, że „nie jestem przebojowa?” – pytam, przetrząsając torebkę w poszukiwaniu portmonetki.

– Eee... nieważne.

– No, mów. Jestem dużą dziewczynką. Możesz mi powiedzieć.

Widzę trybiki obracające się w otumanionej winem głowie Clare. Zamierza być strasznie niedyskretna, a ja modlę się w duchu, żeby się wygadała.

– Pamiętasz, jak przyszedł do nas na drugą rozmowę o pracę?

Przypominam sobie, co było pięć lat temu.

– Tak.

– A pamiętasz, kiedy Craig... nawiasem mówiąc, pracował u nas zaledwie od roku i właśnie awansował na stanowisko, o które ty się ubiegałaś... – Zaczyna trochę bełkotać. – A pamiętasz, jak Craig spytał cię, jakie masz oczekiwania, jeśli chodzi o pensję?

Pamiętam. Sądziłam, że to podchwytliwe pytanie. W ogłoszeniu napisano trzydzieści, trzydzieści pięć tysięcy funtów. Kiwam głową.

– A pamiętasz, co odpowiedziałaś?

– Nie – mówię z namysłem.

– A ja tak. – Clare pochyla się, żeby upić łyk wina z pustego kieliszka, odstawia go na stolik, zagląda do środka i stwierdza, że wina już nie ma. – To było okropne. Powiedziałaś: „Cóż, będę zadowolona z trzydziestu tysięcy, bo to trochę więcej, niż dostaję teraz, a bardzo chcę tę pracę”. – Przewraca oczami i udaje, że wali głową w stolik.

– No tak – bąkam.

Podnosi na mnie wzrok.

– Nadal nie widzisz, co było nie tak? Nawet teraz?

– Nie.

– Naprawdę?! – piszczy. – Problem z Hannah jest taki, że powinna cisnąć w stronę drugiego końca widełek. W ogłoszeniu napisano pięć koła więcej, a ty za nisko się wyceniłaś i chciałaś najmniejszej stawki, jaką zaproponowaliśmy. Mogliśmy dać ci więcej, dlatego napisaliśmy to w ogłoszeniu. Dlaczego mielibyśmy się domagać, żebyś chciała najniższą stawkę?

– Hm... Nie wiem... Po prostu...

– I to jest twój problem. Nie jesteś wystarczająco przebojowa. Wiesz, jaką pensję miał Craig, gdy pracował na twoim stanowisku?

Zostawiam jej furtkę:

– Eee... Podejrzewam, że nie możesz mi powiedzieć.

– Tak, to prawda – potwierdza, prostując się na krześle. – Nie wolno mi tego zdradzić. Ale powiedzmy, że to była górna granica widełek. I powiedzmy, że miał tylko rok doświadczenia więcej niż ty, a teraz jest dyrektorem marketingu i zarabia prawie dwa razy więcej niż ty.

– Co, kurwa?

– Naprawdę, Hannah. Podczas tamtej rozmowy kwalifikacyjnej miałam ochotę na ciebie nawrzeszczeć. Wierz mi, wiem, ile czasu zajmuje w tej cholernej firmie wydarcie kolejnego tysiąca do pensji. Craig to straszny sukinsyn. A ty zachowujesz się tak, że miną całe cholerne lata, zanim dostaniesz pensję, na jaką zasługujesz.

Wpatruję się w swój kieliszek. Dzień pierwszy nowej Hannah dość szybko poszedł się gonić.

– Więcej wina – oznajmiam, wstając.

– Weź butelkę – zarządza Clare. – Koniec z tymi małymi kieliszkami.

Po kilku godzinach ja i Clare jesteśmy nawalone i jedziemy tym samym Uberem do domu. Padam na łóżko, świat wiruje, co oznacza, że dzień drugi nowej Hannah będzie musiał zostać nowym dniem pierwszym.



W drodze do pracy sprawdzam pocztę i znajduję mejla od Cindy:

Hannah, miło było Cię wczoraj poznać. Czy możesz w wolnej chwili zadzwonić do mnie na komórkę? Pozdrawiam, Cindy.

Pod spodem jest numer jej telefonu.

Wpatruję się w tę tajemniczą wiadomość i nie mogę dojść, czy to sprawa służbowa, czy chce udzielić mi jeszcze więcej rad. Nie mam ochoty ich słuchać. I nie chcę już więcej myśleć o Daveyu.

Wypijam dużą kawę kupioną na dworcu, odbywam piekielną podróż metrem do stacji Liverpool Street i zmierzam do biura. Wyczuwam, że to będzie prywatna rozmowa, dlatego nie chcę odbyć jej przy biurku, więc idę powoli.

– Halo – odzywa się Cindy.

– Cześć, to ja, Hannah Gallagher z wczoraj. Dostałam twojego mejla.

– Cześć. Dziękuję, że dzwonisz. Chciałabym zamienić z tobą słówko. Zdecydowaliśmy, że nie skorzystamy z usług waszej firmy.

– Och... – Ogarnia mnie przygnębienie. Dzień drugi idzie jak po maśle.

– Ale to nie ma nic wspólnego z tobą.

– Nie?

– Nie. Craig jest trochę... nieważne. Podobało mi się to, co mówiłaś.

– Rozumiem...

– Hannah, wiem, że to byłoby bardzo nieetyczne proponować ci pracę, i to, co robię, jest trochę nie

w porządku, ale chciałabym przekazać ci pewną informację. Jesteśmy małą organizacją dobroczynną, a nasza dyrektorka marketingu wyprowadza się z mężem za granicę, więc mamy wolny etat. Jeśli zdecydowałabyś się ubiegać o tę pracę, szczegóły, jak złożyć aplikację, znajdziesz na naszej stronie.

Przystaję, ktoś za mną przeklina, omija mnie i rzuca nieprzyjemne spojrzenie.

– Och, rozumiem... – powtarzam. – Dziękuję.

– Hannah...

– Słucham?

– Uważam, że powinnaś złożyć podanie.

– Och... dziękuję. Rzucę... na to okiem.

– Zrób to. A nawet jeśli się nie zdecydujesz – a powtarzam, że powinnaś złożyć aplikację – i tak miło było cię poznać.

– Dziękuję. I nawzajem. Dzięki za pomoc. I chusteczki.

Cindy chichocze.

– Cała przyjemność po mojej stronie. Na razie, Hannah.

– Na razie.

Ruszam i na mojej twarzy pojawia się uśmiech. Dzień drugi właśnie stał się lepszy.

ROZDZIAŁ 25

Hannah, czerwiec

Idę sprężystym krokiem. Nic nie popsuje mi humoru. Z biura wyszłam późno, skończył się pierwszy tydzień mojej pracy z Cindy i jej zespołem. Zostałam łagodnie wprowadzona we wszystko, a projekty lądujące na moim biurku wiele dla mnie znaczą. Jestem odpowiedzialna za jedną osobę, która też właśnie dołączyła do zespołu, i razem uczymy się podstaw, a w tym przejściowym okresie pomaga nam odchodząca dyrektorka marketingu. Cindy to siła, z którą należy się liczyć, ale dobrze się dogadujemy, a organizacja charytatywna urządza w sobotę skromne letnie przyjęcie, by podziękować najwierniejszym darczyńcom. Cieszę się, że jestem w to zaangażowana, a nie skupiona na dziesięciu czy piętnastu markach jednocześnie, jak to było w agencji. To daje mi przestrzeń do wykazania się kreatywnością i dostarcza dreszczyku emocji, bo jestem teraz szefową zespołu i ludzie mnie słuchają. Każdego dnia, kiedy wstaję rano, napełnia mnie to radością. Nie zdawałam sobie sprawy, że w poprzedniej pracy działałam jak robot i dopadła mnie stagnacja. Nie zdawałam sobie sprawy, że Craig aż tak nisko mnie cenił.

Kiedy usłyszała, że odchodzę, wściekł się. Na pożegnalnym drinku sypał żartami i twierdził, że wszystkiego nauczyłam się od niego. Ostrzegł, żebym nie podpadła w nowej pracy, bo to postawi go w złym świetle. Ugryzłam się w język, uściskałam go na pożegnanie, a ponad jego ramieniem zobaczyłam, jak Clare pokazuje mu dwa faki. Będzie mi jej brakowało, ale mam zapisane w kalendarzu, że za kilka tygodni się spotykamy.

W sobotę wkładam powiewną sukienkę i pantofle na obcasach i idę do ogrodu przy HAC[4] w City na letnie przyjęcie firmowe. Moja poprzedniczka pracuje ze mną do końca miesiąca – wtedy skończy przekazywać mi wszystkie obowiązki – więc impreza to jej łabędzi śpiew, a ja, zanim wyjedzie, staram się nauczyć od niej jak najwięcej, łącznie z tym, jak zorganizować bajeczne letnie przyjęcie przy ograniczonym budżecie. Są tu nasi darczyńcy i moi koledzy, którzy przyprowadzili swoich partnerów. Zaprosiłam George'a i czuję się dumna, że będę mogła go pokazać. Wygląda dobrze w rozpiętej pod szyją białej, świeżo wyprasowanej koszuli, spodniach od garnituru i mokasynach. Ostatnio rzadko się widywaliśmy – oboje pracowaliśmy do późna – i jestem szczerze podekscytowana tym, że go zobaczę. Wciąż niesie mnie fala radości z tego, że mam nową pracę, którą uwielbiam, od dwóch miesięcy jestem nową Hannah, a w następny weekend zamierzam pojechać z George'em do Whitstable i przedstawić go rodzicom. Nie byłam pewna, czy to aż takie ważne. Miałam wrażenie, że po prostu naturalne. Gdy jednak spytałam mamę, w który weekend mogę przyjechać z George'em, usłyszałam w jej głosie szczerą podniecenie. Zauważyła, że nigdy nie przywiozłam do domu chłopaka, by mogli go poznać, i chociaż zdawałam sobie z tego sprawę, trochę się zdenerwowałam. „Poznać rodziców” brzmi... tak oficjalnie, ale dotarło do mnie, że przecież jesteście parą. I chociaż się tak nie określamy, to tak właśnie jest.

Kiedy idziemy przez ogród, wielką zieloną przestrzeń ukrytą w mieście i otoczoną budynkami, George trzyma mnie za rękę. Dla dzieci przygotowano różne rozrywki, dla tych, którzy nieoficjalnie chcą za temat imprezy uznać Dzień Sportu, są wyścigi. Po kilku minutach gawędzenia z kolegami z pracy i po tym, gdy zostaję przedstawiona darczyńcom, czuję, że dłoń George'a wysuwa się z mojej.

– Pójdę po drinki – szepcze i odchodzi.

Rozmawiam i krążę, przedstawiana gładko przez Kate, dyrektorkę marketingu, która przygotowuje się do wyjazdu za granicę.

– To jest Jonathan White – mówi, a ja wyciągam rękę, by uścisnąć jego dłoń. Gdy słyszę to nazwisko, coś mi dzwoni, ale nie wiem co. Potrząsam jego ręką, a Kate podaje mi szczegóły: jest architektem w City odpowiedzialnym za najnowszy drapacz chmur, który buduje się w centrum Londynu. Jest miły, wesoły i niesamowicie elegancki, a kiedy gawędzi z Kate i kiwa głową w moją stronę, włączając mnie do rozmowy, uświadamiam sobie, skąd znam tego człowieka. To dziwne, ale miał być szefem Daveya. Dawno, dawno temu... Próbuję sobie wyobrazić, jak z nim rozmawiał, proponując pracę człowiekowi, którego nie widział na oczy. Widzę, jak to się dzieje. Ten mężczyzna jest sympatyczny. Davey jest sympatyczny. Dobrze by się dogadywali. Teraz jednak nie ma mowy, żebym wspomniała o Daveyu. Choć bardzo bym chciała, muszę się powstrzymać. Davey pewnie zapomniał już o nim i o tym, że musiał odrzucić propozycję pracy. A pan White

pewnie w ogóle się tym nie przejął, tylko kazał działowi kadr znów kogoś poszukać i wszyscy wrócili do swoich zajęć.

Rozmawiamy przez kilka chwil o tym, czy Jonathan ma pomysł na program mentorski jako część naszej działalności. Już przekazuje dość duże datki. Kiwając głową, gdy mówi o naszej działalności, próbuję zrozumieć, jak to się dzieje, że ludzie czasami tak łatwo zapominają o innych. A niektórzy nie potrafią, choćby nie wiadomo jak bardzo się starali. Kate prowadzi mnie dalej, chcąc, bym poznała jak najwięcej wpływowych ludzi, aż wreszcie podchodzimy do barbecue. Wymykam się dyskretnie i zmierzam do toalety. Za rogiem dostrzegam ukrywającą się Cindy. Pali papierosa.

– Naprawdę nie powinnaś. – Wskazuję niedopałek. – Szczególnie że... no wiesz...

– To moja jedyna słabość – wyznaje. – Jeden dziennie. To okropne, wiem, ale nie piję i nie biorę narkotyków, więc mnie nie potępij.

– Nie będę.

Właśnie poznałam jej drugą połowę, Lynn, która szła w stronę barbecue. Powiedziała mi, że gdy ja oczarowywałam darczyńców, ona i George, jako zespół, wzięli udział w biegu z jajkiem na łyżce. Powiedziałam o tym Cindy.

– Lynn strasznie lubi rywalizować. Pozwoliła George’owi wygrać?

– Nie wiem – mówię ze śmiechem. – Właściwie to nie patrzyłam. Byłam zbyt zajęta gadaniem.

– Sprawia wrażenie bardzo miłego – zauważa Cindy.

Uśmiecham się.

– I taki jest.

– Wygląda jak okaz zdrowia, człowiek by się nie domyślił...

Zdezorientowana mrużę oczy i wtedy to do mnie dociera.

– Och... och, nie. To nie George... to nie on ma... no wiesz. To nie on.

– Och, rozumiem.

– Nie – powtarzam. – Tamten to ktoś inny. Ktoś, z kim... nie jestem... od wieków. A George i ja spotykamy się od lutego i... – Nie wiem, co właściwie chcę powiedzieć, więc milknę.

– Więc ten chory facet wciąż jest w Stanach?

– Tak. I nie jesteśmy razem. Już nie.

Cindy patrzy, jak George przekracza linię mety. Odwracam się i też spoglądam. Podejrzewam, że to nie pierwszy wyścig, który wygrał, bo oklaski nie są zbyt entuzjastyczne, i trochę mi go żal. Pewnie za bardzo starał się zwyciężyć i zrobić wrażenie. Słońce już zachodzi. Naprawdę muszę się napić, a George nie wrócił do mnie z drinkami.

– To ten, który odszedł – mówi Cindy.

Odwracam się do niej.

– Słucham?

– Ten gość w Stanach. To ten, który odszedł?

Śmieję się nerwowo z zażenowania, zupełnie jak nie ja.

– Chyba tak.

– No dobra. – Cindy zaciąga się po raz ostatni.

Wygląda na zbitą z tropu, jakbym specjalnie ją oszukała, ale nie draży tematu, tylko obejmuje mnie macierzyńskim gestem i idziemy na linię mety.

ROZDZIAŁ 26

Hannah, lipiec

– Ale tu ładnie – mówi George, gdy zmierzamy główną ulicą Whitstable w stronę plaży. Trzyma mnie za rękę, tak jak zawsze, gdy idziemy razem. Są wakacje, więc zjechały tłumy turystów. Dzieciaki w kostiumach kąpielowych idą po kamieniach, wspinają się ku linii brzegowej z wiaderkami w rękach, gotowe przynieść góry kamyków.

Uśmiecham się, zastanawiając, co będzie dalej ze mną, z George'em, z nami. Mocniej ściska moją dłoń. Rodzice mieli urządzić piknik i wziąć leżaki i właśnie idziemy się z nimi spotkać. Nasz pies Andrex został w domu, w zacienionym ogrodzie. Nie mogę się doczekać, kiedy go zobaczę, rzucę mu piłkę i będą patrzyła, jak kręci się po patio, próbując wywąchać, gdzie ona jest.

– To tutaj dorastałaś, Gallagher – odzywa się George. – Urocz.

– Mhm... Uwielbiam to miejsce, bardzo chciałabym pewnego dnia tu wrócić – mówię trochę zbyt obojętnie, czekając na reakcję, choć nie wiem, czy się jej doczekam.

Ku mojemu zaskoczeniu George jednak reaguje:

– Tutaj?

– Tak. A co, nie podoba ci się?

– Pięć minut temu wysiedliśmy z pociągu, Gallagher. Daj mi kilka chwil na zastanowienie. Chcesz, żebym przeniósł się tu z tobą? – pyta, ale to nie jest szczerze pytanie. Tylko się ze mną droczy.

– Może. Ze mną i z piątką naszych dzieci – żartuję.

Unika odpowiedzi, mówiąc:

– Tu jest trochę inaczej niż w Dagenham, gdzie się wychowałem.

– Pewnie tak. Będziesz musiał wkrótce mnie tam zabrać i przedstawić swoim rodzicom.

– Ale najpierw zobaczmy, jak nam pójdzie dzisiaj, dobrze?

Śmieję się.

– Jak to, że poznasz moich rodziców, może wpłynąć na to, czy poznam twoich?

Wzrusza ramionami.

– Po prostu może.

– Jak?

– Nie wiem. Jakoś.

Patrzę przed siebie. Dostrzegam moich starszych i im macham. George jeszcze bardziej wzmacnia uścisk.

– No to jesteście – mówi.

– Denerwujesz się?

– Ojcowie zawsze mnie nienawidzą – przypomina mi. – Więc twój tata też mnie znienawidzi.

– Dlaczego?

– Bo pieprzę jego córkę.

Nie wiem, czy mam być zdumiona, czy śmiać się z tej odpowiedzi.



Dwie godziny później wracamy z plaży. George zaproponował, że poniesie ciężkie rzeczy, z czego tata jest niezmiernie zadowolony. Wyjście na plażę okazało się sukcesem, mama i George ruszyli przodem, a on nie przestaje jej czarować.

Tata idzie w milczeniu, niesiemy pustą lodówkę turystyczną.

– O czym myślisz? – pytam nerwowo.

– Jest bardzo miły – odpowiada tata.

– Podoba ci się?

– Tak. Jest niezwykle rozmowny. Lubi swoją pracę. Bardzo.

– Podejrzewam, że był trochę zdenerwowany – mówię na obronę George'a. – No i podobno wszyscy ojcowie go nie lubią.

- Wszyscy ojcowie? To ile on miał dziewczyn?
- Nie za wiele. Ale chyba nie miał szczęścia w miłości.
- Tak jak ty? – pyta tata z uśmiechem.
- Hej! Jestem po prostu bardzo wybredna!

Spogląda przed siebie, na gawędzących mamę i George'a, po czym wraca spojrzeniem do mnie.

– A jaki jest ten drugi młody człowiek? – pyta i nie dając mi szansy na odpowiedź, ciągnie: – Sporo o tym myślałem, odkąd... no wiesz. Martwiłem się o ciebie.

- O mnie?
- Oczywiście. Byłaś bardzo przejęta.

Przechodzimy właśnie obok starej restauracji serwującej ostrygi. Odwracam wzrok i patrzę na morze.

- Tak, byłam. I chyba nadal jestem. Tylko nie mów mamie. I, na miłość boską, nie mów George'owi.
- Nie odpowiedziałas na moje pytanie – zauważa tata. – Jak on się czuje? Kontynuował leczenie?
- Tak.
- To dobrze – mówi zdecydowanie. – To dobrze.

Davey właśnie kończy chemię. Co teraz robi? Przechodzi przez tysiące badań i prześwietleń? Od czasu do czasu próbuję się dowiedzieć, na jakim etapie leczenia jest i co dalej. Zaglądam na fora, by sprawdzić, co robią inni mężczyźni w jego położeniu. To tyle, jeśli chodzi o wyrzucenie Daveya z głowy.

– A co George myśli o... Jak on ma na imię?

– Davey. – Nawet gdy wymawiam głośno jego imię, mam wrażenie, że zdradzam George'a. Rozmawianie o nim z tatą jest niestosowne. Powinniśmy gadać o czymś innym. – Właściwie to... właściwie to nie powiedziałam George'owi o Daveyu. Nie chcę.

Davey to moja prywatna sprawa. Wciąż mam go z tyłu głowy. Nie chcę opowiadać o tym, co nas kiedyś łączyło, nie chcę, by inni o tym dyskutowali i to analizowali. Bezpieczniej zostawić ten temat. Chciałabym, żeby tata przestał o niego wypytywać. Choć jestem w jakiś sposób szczęśliwa, gdy to robi, bo się o mnie troszczy.

Tata nie odpowiada. Ale wiem, że o tym myśli.

– Nie kontaktujesz się z nim od czasu do czasu, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku? – dopytuje się.

– Nie – odpowiadam zdecydowanie. – Nie rozmawiamy. I prawdopodobnie tak już zostanie.

Kiwa głową i mocniej zaciska dłoń na uchwycie lodówki. Patrzę w dal. Przyplływ nadszedł i się cofnął, zabierając morze, od wirującej wody odrywają się małe kamyki. Raczej wyczuwam, niż widzę, że tata mi się przygląda.

W domu George musi skoczyć do toalety.

- Potem się zbieramy, dobrze, Han?
 - Tak szybko? – dziwi się mama.
 - Chciałabym spędzić kilka minut z Andrexem – mówię. – Szybka herbata i dopiero pojedziemy?
- George wygląda na nadąsanego, jednak po chwili błyska charakterystycznym uśmiechem.

- Oczywiście.
- Porzucasz mu piłkę? Albo może posiedź, a ja się z nim pobawię – proponuję.

Zamierzam wyjaśnić, że Andrex jest żwawy tylko w taką pogodę, ale zbyt długa zabawa w upale nie jest dobra dla psów, jednak George się krzywi.

– Właściwie to nie lubię psów, Gallagher. Ty się z nim pobaw, a ja pomogę mamie przygotować herbatę.

Idzie na górę do łazienki, mama do kuchni na tyłach, żeby nastawić wodę, a tata odwraca się do mnie z kamienną twarzą.

- Hannah, on nie lubi psów. Musimy natychmiast zabić George'a.

ROZDZIAŁ 27

Hannah, sierpień

– Ten – mówię do Paula w salonie Tiffany & Co. przy Bond Street. – Albo... – wskazuję podkładkę z tyłu – ten. Zaczniemy od tego. One są idealne. A przez „idealne” rozumiem piękne, błyszczące i niesamowicie drogie.

– Wiem – odpowiada Paul – ale ona jest tego warta.

– A wiesz, jak mi było ciężko w ostatnim tygodniu – zagajam, gdy sprzedawca podsuwa mi podkładki, żebym mogła przymierzyć pierścionki w imieniu Mirandy – kiedy nie mogłam jej powiedzieć, że zamierzasz poprosić ją o rękę? – Łapię Paula za kołnierzyk koszuli i potrząsając nim jowialnie, powtarzam: – Wiesz, jak mi było ciężko?

– Jesteś twardzielką, Hannah – stwierdza Paul ze śmiechem. – A wiesz, jak mi było ciężko nie powiedzieć: „Idę z Hannah kupić pierścionek zaręczynowy, czy mogłabyś po prostu się odwalić i nie pytać, co dziś robisz?”. Miranda pytała o to z pięć razy. Nie wiem, jak inni kolesie sobie z tym radzą. Nie wiem, jak mogą się wymknąć, nieprzepytywani przez hiszpańską inkwizycję w osobie ich drugich połówek. Wyszedłem dziś sam, tylko dlatego że powiedziałem, że idę kupić jej prezent na urodziny. Więc to też musimy zrobić.

Zakładam pierwszy pierścionek, krzywię się i wyciągam przed siebie rękę.

– Pierścionek zaręczynowy i prezent na urodziny. Drogi dzień, kolego.

– Zgadza się. – Patrzy na moją dłoń. – Rany, ten jest ładny. Ale dlaczego jesteśmy u Tiffany’ego, skoro istnieje mnóstwo tańszych miejsc sprzedających takie rzeczy? – Nie jest to zbyt taktowne, ale sprzedawca udaje, że nie słyszy.

– Ponieważ Miranda zawsze marzyła o pierścionku zaręczynowym od Tiffany’ego – tłumaczę mu, spoglądając na klejnot na moim palcu. – Boże, pierścionki zaręczynowe są takie ładne, prawda?

Paul uśmiecha się smutno, jakbym była biedną starą panną, której należy współczuć. Pogadamy o tym, gdy znajdziemy się poza zasięgiem słuchu sprzedawcy. Zdejmuję pierścionek i zamierzam przymierzyć drugi. Jest nieco większy i Paul wdaje się w pogawędkę na temat czystości brylantów, kiwając głową, gdy sprzedawca mówi. Jestem oślepią blaskiem kamienia. I cieszę się szczęściem moich przyjaciół. Tak bardzo do siebie pasują.

Po wyjściu z salonu próbujemy znaleźć przyzwoity pub dla starszych państwa w okolicy Bond Street i po półgodzinie poszukiwań czegoś, gdzie ceny nie doprowadzą nas do płaczu, poddajemy się i idziemy do burgerowni, która ma przyzwoite menu koktajlowe.

– Ja stawiam – oznajmia Paul. – I dziękuję, że poświęciłaś czas, żeby pomóc mi wybrać pierścionek dla mojej przyszłej żony.

– Dzięki – mówię i natychmiast przestaję interesować się cenami. – To w takim razie, burger z homarem.

– Śmiało! I koktajle na szampanie do popicia?

– Poważnie? Paul, zawsze cię lubiłam.

Oboje się śmiejemy, a kiedy przybywają nasze drinki i czekamy na jedzenie, on wznosi toast:

– Zdrówka!

– Było mi tak trudno wczoraj wieczorem podczas kolacji w pubie udawać, że oboje robimy dziś zupełnie coś innego, że nie spotykamy się, by wybrać pierścionek – wyznaję.

– Nigdy wcześniej tego nie robiliśmy. Ja i ty – zauważa Paul. – Zawsze byliśmy ty, ja i Miranda.

Przytakuję.

– Jest miło, ale niech nam to nie wejdzie w zwyczaj, bo Miranda się wścieknie.

– Nigdy nie dałem jej pierścionka z brylantem – Paul klepie plecak, który leży obok niego, zawierający charakterystyczną turkusową torebkę od Tiffany’ego – więc wszystko może się zdarzyć. Mogę zrobić, co chcę, a ona i tak będzie zadowolona.

– Lepiej nie – ostrzegam go.

– Nie zrobiłbym niczego, co by ją zraniło. Kocham tę dziewczynę do szaleństwa.

– Szczęściar z ciebie. Znalazłeś tę jedyną. Już zawsze się jej trzymaj.

– Będę.

– A jak zamierzasz to zrobić? Jak zamierzasz się oświadczyć?

Opowiada, że w dniu urodzin zabierze Mirandę do małego wiejskiego hotelu w Cotswolds. Kiedyś zatrzymali się tam na drinka, siedzieli z piwem pod wierzbą, a za nimi płynął strumyk.

– Zrobię to właśnie tam. W miejscu, w którym już kiedyś siedzieliśmy, rozmawiając o życiu, miłości, o nas. Pod wierzbą. Żadnych banalnych fanfar w restauracji. Nic takiego. Nie będzie się tego spodziewała.

– Urocze. – Wyobrażam to sobie. Widzę Mirandę krzyczącą z radości w sposób, jaki nie przystoi damie, i skaczącą z podniecenia na tle subtelnej scenerii. Powie pewnie „kurwa”. Kilka razy. Uśmiecham się.

– Cieszę się, że jesteście szczęśliwi.

– Chryste, niech lepiej powie „tak” – mamrocze Paul, gdy przynoszą nam pół homara i burgery z truflami i frytkami oraz następną kolejkę koktajli.

Postanawiam nie zdradzać Paulowi, że Miranda, czekając, aż się oświadczy, zaczęła szukać potajemnie miejsca na wesele za granicą. Chce mieć gwarancję, że w tym wielkim dniu będzie świeciło słońce, a nienawidzi ślubów na plaży. Taka kombinacja to wyzwanie, więc zaczęła rozglądać się już wieki temu.

– Powie „tak” – zapewniam go.

Nie mam cienia wątpliwości. I lepiej zacznę już planować budżet na ten zagraniczny ślub. Udziela mi się ekscytacja moich przyjaciół.

– Czy możemy się nawalić? – pyta Paul, dopijając drinka i rozglądając się za kartą koktajli.

– Oczywiście.

Godzinę później musiałam zostawić na talerzu połowę kolacji, co powinno być karalne, ale dzięki gigantycznym wysiłkom George’a, bym się zdrowo odżywiła, nie mam w żołądku miejsca na to, co zamówiłam.

– Jak tam w pracy? – pyta Paul.

– Uwielbiam ją. Uwielbiam moją szefową. Uwielbiam moich współpracowników. Uwielbiam moją pensję.

– To dobrze, bo do ciebie pasuje – mówi z krzywym uśmiezkiem. Rzucam w niego frytką. – Cieszę się, że wzięłaś tę pracę. Bo ty nigdy o nic się nie starasz. Więc super, że trafiła ci się okazja.

Zamieram ze słomką od drinka w połowie drogi do ust i unoszę się na krześle.

– Co? – pytam i siadam.

– Och, wiesz, o co mi chodzi. Nigdy się nie starasz. Nigdy tak naprawdę o nic nie walczysz, nie walczysz o to, czego chcesz. – Paul głośno siorbie drinka, a ja się w niego wpatruję.

– Pozwól, że cię powstrzymam. Właśnie zaczęłam nową pracę, zapomniałeś?

– Ponieważ ktoś do ciebie zadzwonił i powiedział, żebyś złożyła podanie.

Auć! Biorę szklankę z drinkiem i zaczynam bawić się słomką, po czym ją odstawiam.

– O co jeszcze nie walczyć? – Natychmiast żałuję, że to powiedziałam.

– Ten koleś z Ameryki. Nie wsiadłaś do samolotu, żeby się z nim zobaczyć.

Czuję ucisk w gardle.

– Powiedział, żebym tego nie robiła.

– Phi! Ale wsiadłaś do samolotu z innym facetem. – Porusza znacząco brwiami.

– To były wcześniej zaplanowane wakacje. Nie wsiadłam tak po prostu do samolotu do Tajlandii. George i ja byliśmy tylko przyjaciółmi. – Chociaż nie wróciliśmy jako przyjaciele, ale tego już nie mówię.

– Zauważyłem, że George nie przychodzi już w soboty do tajlandzkiego pubu – mówi Paul, zmieniając temat, lecz nie do końca.

– Nie, bo ma dużo pracy. Jest lato. Panika bikini *last minute* sprowadza do niego mnóstwo dziewczyn.

Popijamy drinki. Te są właściwie koktajlami mlecznymi, bo dodano do nich sporą ilość likieru Baileys. Paul się pochyla i atakuje frytki, które zostawiłam w małej srebrnej miseczce, i pokazuje kelnerce, która właśnie koło nas przelatuje, że może zostawić mój talerz dokładnie tam, gdzie stoi, choć ona próbuje go zabrać. W kolejce przed drzwiami czeka na stolik jakiś blondyn, spoglądam w tamtą stronę i zatrzymuję spojrzenie na tyle jego głowy. Odwraca się. To nie Davey. Oczywiście, że nie. Dlaczego ja wciąż sobie to robię?

– Kochasz go? – pyta Paul z ustami pełnymi moich frytek.

– Słucham? – Jestem zdezorientowana. George. Mówi o George’u. – Nie wiem, co ci odpowiedzieć.

Przestaje przeżuwać.

– Powiedz prawdę – mówi, jakbym była tępa.

Nie odpowiadam od razu, tylko się zastanawiam.

– Han, twoje milczenie jest dość znaczące – zauważa Paul, gdy kończy przeżuwać.

– Skąd właściwie mamy wiedzieć, czy jesteśmy zakochani? Sądzę... sądzą, że to przychodzi stopniowo, no wiesz... Pozwalam, żeby dojrzywało naturalnie. Lubię go.

Paul mruży oczy, siorbie powoli mlecznego alkoholowego drinka, a jego papierowa słomka się rozpada.

– Nie powiedzieliśmy sobie nawzajem, że się kochamy. Po prostu... tak jakby... się spotykamy... – tłumaczę.

Paul powinien coś powiedzieć, by zatrzymać moje niezdarne wyjaśnienia.

– Od jak dawna?

Obliczam w myślach.

– Od sześciu miesięcy.

– Minęło sześć miesięcy, a wy wciąż tylko się spotykacie? Takie sformułowanie to sygnał, że możecie pieprzyć się z innymi.

– Nie! – protestuję. – Niczego takiego nie robimy!

– Ale go nie kochasz. – To stwierdzenie, nie pytanie.

Zastanawiam się.

– Nie mam pewności. – Tym razem postanawiam być szczerą. – To wciąż dla mnie nowe, wiesz? Jakbym nie dała temu związkowi szansy... jakbym nie dała szansy George'owi i sobie.

To prawda. Zrywałam z mężczyznami o wiele wcześniej niż na etapie, na jakim jestem teraz, ponieważ wiedziałam, że to nie to. Przy George'u nie mam takiego poczucia. Dobrze się dogadujemy, rozmawiamy. Wcześniej byłam zaabsorbowana Daveyem, ale to w ogóle nie była wina George'a. Chciałabym dać naszemu związkowi szansę, bo na to zasługuje.

– Jeśli nie wiesz od razu, to znaczy, że to nie to. – Przełykam. Skacze mi ciśnienie. – To, że kocham Mirandę, wiedziałem dość wcześnie – wyznaje Paul, zanim odpowiem na jego ostatnie spostrzeżenie.

– Wiedziałem, że nie tracę czasu.

– Cudownie.

– Wiesz, co mam na myśli. – Wbija wzrok w ponad połowę mojego burgera. Popycham talerz w jego stronę. – Porównywałem to, jak czuję się przy Mirandzie i jak się czułem przy byłej dziewczynie – ciągnie – chociaż wiedziałem, że nie muszę. Camilla.

– Szykowne imię.

– Szykowna dziewczyna. Ale w paskudny sposób, no wiesz... W weekendy popijała z rodzicami bolingera i nawet jej do głowy nie przyszło, żeby o drugiej w nocy robić mi loda na przystanku autobusowym.

– Jezu!

– Miałem dwadzieścia dwa lata i byłem napalony jak cholera.

– I, jak przypuszczam, nic się nie zmieniło.

Paul chichocze.

– Pomyślałem, że to musi być to. Camilla i ja chodziliśmy ze sobą przez kilka miesięcy. Sądziłem, że byłem zakochany, ale tego nie mówiłem, bo nie miałem pewności. Spytałem mamę, skąd wiadomo, że jest się zakochanym, a ona powiedziała: „Jeśli zadajesz sobie to pytanie, to prawdopodobnie nie jesteś. Bo takie rzeczy się po prostu wie”. I w głębi duszy wiedziałem, że nie kocham Camilli. I że nie pokocham.

Kiwam głową.

– Mama mądrze powiedziała. Więc zerwałeś z Camillą?

– Oszalałaś? Oczywiście, że nie. Regularnie uprawialiśmy seks. Nie wspominałem, że byłem napalonym dwudziestodwulatkiem? – Wybucham śmiechem. – Ale z Mirandą po prostu wiedziałem. Od razu się w niej zakochałem. Byłem... jestem... jak odurzony. Tworzymy zespół. Dużo robimy dla siebie nawzajem. Kibicujemy sobie. Mamy dla siebie czas, a jeśli nie, to staramy się go mieć. Jest pierwszą osobą, do której dzwonię, gdy zdarzy się coś niesamowitego albo okropnego. Czy George jest kimś takim dla ciebie?

Zastanawiam się nad tym, patrząc na kroplę keczupu na marmurowym stoliku. Wzruszam ramionami i odpowiadam cicho:

– Nie. – Przyłapuję się na tym, że myślę: a komu mam powiedzieć? Kiedy byłam w „związku”

z Daveyem, mó-

wiłam mu o wszystkim, o rzeczach dobrych i złych, to było łatwe, rozmowa toczyła się gładko. A wtedy stało się najgorsze i już nie mogłam mu o niczym opowiadać. Nawet nie zdradziłam Mirandzie, że do mnie pisał. To moja najlepsza przyjaciółka, ale tak bardzo się bałam, że będzie mnie osądzała. Oceniałam sama siebie według własnych standardów, nie dałam Mirandzie szansy, by mogła wyrazić opinię na ten temat. – Ale mam sąsiadkę Joan i Mirandę, zależy z którą zobaczę się najpierw.

– To Joan ma szczęście. A co do Mirandy, to musisz poczekać w kolejce.

– Zobaczmy jeszcze raz pierścionek – proponuję, rozpaczliwie chcąc zmienić temat. Paul grzebie w plecaku, otwiera pudełko i patrzymy w nastrojowym świetle restauracji, jak migocze.

– Szczęśliwa kobieta z tej Mirandy. – Wzdycham.

– Jak cholera – potwierdza Paul, śmiejąc się. – Dzięki, że pomogłaś mi go wybrać.

– Cała przyjemność po mojej stronie.

– Kochasz go? – pyta nagle znowu.

– Jak bardzo jesteś pijany? Już to przerabialiśmy.

– Nie George’a – mówi Paul cicho. – Tego drugiego. Tego Amerykanina.

Odwracam wzrok.

– Proszę, nie pytaj. Nie warto. On jest z kimś innym. I ja jestem z kimś innym.

– Każdemu jest ktoś przeznaczony – stwierdza Paul, próbując wykazać się życiową mądrością. – Choć nie zawsze jest pod ręką.

– Paul?

– Słucham?

Pochyliłam się do przodu i uśmiecham, żeby złagodzić to, co zamierzam powiedzieć.

– Zamknij się!

ROZDZIAŁ 28

Davey, wrzesień

Odkąd zacząłem szukać pracy w Londynie, minął rok. Z początku robiłem to na pół gwizdka, a potem podszedłem do sprawy poważnie. Snułem plany, aktualizowałem CV, włączyłem powiadomienia mejlowe, zapisałem się do agencji w Anglii i zacząłem śledzić rynek pracy.

Nawet nie wiem, co przede wszystkim mnie do tego skłoniło. Nie sądzę, by był to niepokój. Raczej... chęć zmiany. Ale nie zmiany dla samej zmiany. Chciałem doświadczyć czegoś nowego. Ludzie robią to przez cały czas – zmieniają miejsce. Im więcej o tym myślałem, tym bardziej tego pragnąłem. I wyjazd do Londynu nabierał sensu. Moi rodzice są Anglikami, więc technicznie rzecz biorąc, ja też, choć nigdy tak naprawdę tego nie czułem. Chciałem się jednak przekonać, co straciłem.

Znalezienie tego, o co mi chodziło, zajęło trochę czasu, a praca dla Jonathana White'a spełniała wszystkie moje oczekiwania, nawet takie, o których nie wiedziałem, że je mam. I kiedy w grudniu otrzymałem propozycję, bałem się i byłem w szoku, miałem jednak przeczucie, że to jest to. I właśnie się dzieje.

Sądzę, że jeśli nie miałbym Granta i... Hannah, którzy mnie zachęcali i przekonywali, że będzie fajnie, nie zrobiłbym tego. Ekscytacja rosła i zbliżał się dzień wyjazdu (Grant i ja nazwaliśmy go D-Day), byłem tak zdeterminowany, że miałem poczucie, iż nic mnie nie zatrzyma. Czy to nie ironia? Czułem, że nic mnie zatrzyma.

A jednak zatrzymało. Ale, ludzie! Nie wszystko w tym „nakazie zaprzestania działalności” jest do bani. Teraz jestem rekonwalescentem, a część tego stanu stanowi to, że ludzie, którzy mnie kochają, wciąż mi przypominają: „Jesteś jednym ze szczęściarzy”. Niechętnie przytakuję, a kiedy jestem na wizycie u doktora Khadera, a on, spoglądając w notatki, pyta mnie, jak się czuję, opieram się chęci, by odrzec z powagą: „Ty mi powiedz”.

– Doskonale, stary – mówię zamiast tego, ponieważ z taką odpowiedzią trudno dyskutować.



Są rzeczy, których nie mogłem ostatnio robić, i takie, które zrobić chciałem, lecz odkładałem je na później. Szczerze mówiąc, z powodów niezbyt godnych podziwu. Wciąż byłem z Charlotte. Grant i ja próbowaliśmy dociec, dlaczego czułem, że powinienem zakończyć sprawy z Hannah, a nie mogłem zrobić tego samego z Charlotte. Znow. Grant stwierdził, że to dlatego, iż miałem dostęp do dobrego seksu, a ponieważ byłem bez sił, Charlotte robiła wszystko za mnie, i to zadecydowało. Istniały jednak jeszcze inne miłe rzeczy, dla których warto było z nią być. Słuchała mnie, choć zaczynałem zdawać sobie sprawę, że mówi mi to, czego oczekuję. Nie mogłem zrozumieć, jaki plan się za tym kryje, ale może żadnego nie miała? Kiedy jednak było ze mną najgorzej – zdecydowanie najgorzej w całym życiu – trwała przy mnie, sprawiała, że czułem się normalnie, pożądanym. Chciałem jej za to podziękować, ponieważ był to najwspanialszy prezent, jaki mogła mi dać.

Przeoczyłem moment, gdy nasz związek zaczął przypominać ciężką pracę, to, że znow, tak jak kiedyś, w ogóle do siebie nie pasowaliśmy, że znow zaczęła intensywnie imprezować i się nie widywaliśmy, i że zachowywała się tak, jakby była młodsza o co najmniej dziesięć lat.

Widziałem wszystko, co zamieszczała w mediach społecznościowych, i wydawało się, że to, jak teraz żyje, jest... wyczerpujące. A w tyle głowy, a właściwie z przodu, miałem to, że kiedyś leciała na Granta. Myślę, że mój przyjaciel miał rację – to był rodzaj małostkowej zemsty. I że ten epizod naznaczył go na całe życie. Nigdy nie rozmawiałem o tym z Charlotte. Nie widziałem powodu, ponieważ w głębi duszy zdawałem sobie sprawę, że nasz związek nie jest na zawsze, i jak tchórz odpuściłem, bo tak było najłatwiej.

Ostatniego dnia chemii czułem się tak źle, że oddałbym wszystko, by trochę się przespać i nie czuć mdłości, nie chciałem jednak wzywać pielęgniarki, by podała mi pigułki przeciw wymiotom. Charlotte siedziała przy mnie i grała w grę na komórce. Wtedy z nią zerwałem, właśnie tam, w szpitalu. Nie mogłem trzymać jej w niepewności, podejrzewam też, że dreszczyk, gdy mówiła ludziom, że facet, z którym się spotyka, ma raka, stracił na atrakcyjności. Wiem, że to złośliwa uwaga, lecz ona była coraz mniej mną zainteresowana. A to nie wychodziło na dobre żadnemu z nas. Co zaskakujące, Charlotte, którą mój tata

nazywał uprzejmie „bardzo nerwową”, nawet na mnie nie wrzeszczała. Wstała i rzuciła tylko jedno zdanie, wskazując kroplówki i rurki:

– Powodzenia w szukaniu dziewczyny, która zniesie całe to gówno.

Nie chciałem zapeszać, zauważając, że to nie potrwa długo – to był ostatni cykl chemii – bo jeśli... nie? Bo jeśli to nie zadziała? Jeśli prześwietlenia i wyniki badań krwi wrócą z czerwoną chorągiewką i będę musiał zacząć leczenie od nowa? Gdy Charlotte wyszła z pokoju, na samą myśl o tym zwymiotowałem.

A teraz zaproponowano mi psychoterapię. Znowu. Lekarze pewnie uznali, że tego potrzebuję, a ja w pewnym stopniu się z nimi zgadzam, bo lepiej późno niż wcale. Będę się z kimś spotykał i rozmawiał o tym, co straciłem, bo, jak zauważył Grant, jestem niczym Harry Potter, jestem chłopcem, który przeżył. W zamian została mi jednak odebrana jakaś część mnie. I sądzę, że nadszedł czas, by dowiedzieć się, która. Nadszedł czas, by wstać z podłogi, otrząść się i wrócić do dawnego siebie i czegoś, co przypomina moje dawne życie.

Grant zawiózł mnie na pierwszą sesję, a gdy zaparkowaliśmy, powiedział:

– Nawet jeśli w ogóle nie skorzystasz na tych rozmowach, zgadzając się tu przyjść, zrobiłeś pierwszy krok.

Chcę mu powiedzieć: „Nie bądź fiutem, stary”, lecz za bardzo go kocham, no i ten gość rzadko jest poważny. Mówię tylko „dziękuję” i zmuszam się do niezręcznego nie- dźwiedziego uścisku na przednim siedzeniu samochodu.

Otwieram drzwi i chłodne powietrze z klimatyzacji znika w trzydziestostopniowym upale. Odwracam się, bo coś sobie przypomniałem.

– Hej, mówiłeś, że zrobisz dla mnie dwie rzeczy. Pamiętasz? – Grant patrzy tak, jakby nie wiedział, o co chodzi. – Kiedy nie chciałem iść na ostatni cykl chemii – przypominam mu.

Załamuje i lekko się uśmiecha.

– Tak, pamiętam.

– Powiedziałeś mi okropną prawdę o Charlotte.

– Przepraszam za to. – Na jego twarzy maluje się zmieszanie.

– A jaka była ta druga rzecz?

– Nieważne. Już nie. Zadziałała. Poszedłeś na tę ostatnią chemię.

Przeciągam dłonią po głowie, przetrawiając te słowa. Jestem mile zaskoczony czując, że zaczynają mi rosnać miękkie puszyste włosy. Uśmiecham się i wysiadam z samochodu. Jestem gotowy tam wejść. Grant też wysiada, woła mnie po imieniu i widzę, że zaraz pęknie, tak bardzo chce mi coś wyznać. I wyznaje:

– Powiedziałem Hannah.

– Powiedziałeś Hannah? – Odwracam się twarzą do niego. – Co takiego jej powiedziałeś?

– Że nie chcesz pójść na ostatni cykl chemii. I że jeśli jej nie weźmiesz, prawdopodobnie umrzesz.

Czeka, aż coś powiem. Trzymam ręce w kieszeniach moich najluźniejszych dżinsów, które teraz lepiej leżą, bo nie jestem już taki napompowany jak wtedy, gdy brałem sterydy i mogłem zjeść wszystko, nawet jeśli smakowało jak metal. Jak tak dalej pójdzie, to za miesiąc lub dwa może będę mógł nosić moje stare ciuchy. I poczuje się trochę bardziej normalnie. Ale jeszcze nie teraz.

– Nie jestem pewny, czy zamierzasz walnąć mnie w głowę komórką, czy podziękować.

– Poprosiłeś Hannah, żeby do mnie zadzwoniła?

– Nie prosiłem, błagałem – wyznaje Grant po prostu.

– Dlaczego ją?

– No... bo wiedziałem, że może to zrobić.

– Skąd? Nie poznałeś jej. Nigdy nawet z nią nie rozmawiałeś.

– Rozmawiałem – protestuje Grant. – W sylwestra wrzasnąłem do niej „cześć!”.

Uśmiecham się, lecz uśmiech znika, gdy uświadamiam sobie, że jestem wkurzony.

– Ale skąd wiedziałeś, że mi pomoże?

– Nie wiedziałem. Miałem nadzieję. I nic do stracenia. Chciałem, żebyś żył. A Hannah... z tego, jak o niej mówiłeś i co do niej czułeś... Ona jest miła, człowieku, była taka miła i... – Urywa, po czym pyta: – Co się stało podczas tamtej rozmowy?

Kręcę głową.

– Nie chcę o tym mówić.

– To takie dojrzałe, stary. Wciąż ją kochasz?

– Nigdy nie powiedziałem, że ją kocham – odpowiadam pospiesznie.

Grant stoi nieruchomo, wokół nas wiruje upał. Jestem przytłoczony.

– Więc jej nie kochasz?

– Daj spokój. Ona jest z kimś innym.

– A może już nie? Po tak długim czasie...

– Nieważne. Namieszałem jej w głowie. Namieszałem w głowie sobie. To nie w porządku znów się za nią uganiać.

– Tak, stary, jest miła i naprawdę cię lubi, pomogła ci szukać mieszkania, ale zdecydowanie nie była tobą zainteresowana. W żadnym wypadku nie powinieneś iść tą drogą.

Ale jest jeszcze cała reszta. Oglądaliśmy razem film, spaliśmy obok siebie. Nie wyobrażałem sobie, że tak można. W najczarniejszych godzinach, po tym, gdy wymiotowałem w szpitalu do jednorazowych misek, myślałem o tamtych nocach. Hannah w piżamie, z włosami związanymi na czubku głowy, śpiąca głęboko, a ja na nią patrzyłem. Nosilem ze sobą telefon i starałem się być jak najciszej, by jej nie przeszkadzać, gdy robiłem kolację czy pracowałem w nocy, i gdy powoli pakowałem rzeczy przed przeprowadzką. Hannah zniemacka zapadająca w sen... patrzeć na to było dziwnie uzależniające. Znów mógłbym patrzeć, jak śpi. Dlaczego oddaję się wspomnieniom? Teraz to boli.

Grant odkasłuje, jakby chciał mi przypomnieć, że tu jest.

– Powinieneś do niej zadzwonić – mówi.

– Powiniennem być na ciebie zły za to, że wtykasz nos w nie swoje sprawy – odcinam się jak dzieciak.

– Zrób to, bo Hannah i ja zaciągnęliśmy cię z powrotem na chemię. Uratowaliśmy ci życie, więc należy nam się co najmniej „dziękuję”.

– Dziękuję ci z całego serca. – Jestem szczerzy. Choć mój głos zbyt szczerze nie brzmi.

– A co z Hannah?

Patrzę mu w oczy.

– Obiecałem, że pozwolę jej żyć własnym życiem. I tak właśnie zrobię. Gdybym znów się pojawił, to nie byłoby w porządku.

ROZDZIAŁ 29

Davey

Okazało się, że mam o wiele więcej problemów niż tylko walka z chemią. Wiedziałem, że to nadejdzie. Ale czyż nie wszyscy mamy „problemy”? Nadal nie wiem, co sądzić o psychoterapii, wiem tylko, że w bardzo subtelny sposób – tak subtelny, że orientuję się dopiero po powrocie do domu – terapeuta próbuje dotrzeć do korzeni mojego gniewu. Przyznał, że straciłem ogromną część siebie, a gdy żartuję, że „oczywiście, jądro”, unosi brwi i lekko się uśmiecha. Uznałem ten uśmiech za swoje zwycięstwo.

Teraz muszę popracować nad odzyskaniem tej części siebie, tej części mojego życia, którą zaplanowałem, lecz musiałem wcisnąć pauzę. Staram się pamiętać, że to tylko pauza, opóźnienie. To, co zaplanowałem, odłożyłem na później. Ale z tego nie zrezygnowałem. Niby to wiem. Bardziej martwi mnie jednak ryzyko nawrotu raka. Niewiedza. Czekanie na badania kontrolne, które będę musiał robić przez następnych kilka lat. Słowo „remisja” jest traktowane jak lśniąca trofeum. Nie jest nim. To minimum tego, czego chcę.



Teraz mam zamiar wyłączyć „pauzę”. Otwieram w laptopie dwa okna. Praca dla architekta w Londynie. Szkoła gotowania we Włoszech. Wpatruję się w oba. I nie mogę zdecydować, czego chcę bardziej. Pójść na całość i zrobić karierę w mieście, w którym zamierzałem zamieszkać, czy wziąć urlop od życia? Nauczyć się gotować. Nauczyć się cieszyć tym, co dookoła. Po prostu... być. Zrobiłem sobie wolne od zarabiania pieniędzy, więc może powinienem zostać tutaj, znaleźć nową pracę lub poprosić, by przyjęli mnie do starej? Zdecydowanie potrzebuję nowego mieszkania – nie mogę dłużej siedzieć u rodziców.

Jest tyle ważnych decyzji, które muszę podjąć jednego dnia. Wiem, że powinienem już coś zdecydować. Znowu zacząć planować. Są rzeczy, które chcę robić. Doktor Khaled powiedział, że prześle mi moją dokumentację medyczną, gdziekolwiek będę jej potrzebował, więc jeżeli zdecyduję się opuścić Stany lub przynajmniej spróbuję, dokądkolwiek pojedę, moje dokumenty podążą za mną. Dopilnuje, bym nie zniknął z systemu, więc jeśli będzie to konieczne, dostanę skierowanie na badania krwi. Taka zmiana miejsca... to prawdziwa szansa. Spoglądam na mamę siedzącą obok mnie na kanapie. Ogląda telewizję, lecz tak naprawdę nie patrzy. Chyba wiem, co sobie myśli, gdy zerka na ekran mojego laptopa. Przez straszną chorobę o mało mnie nie straciła. Nie chce znowu mnie stracić, bo wyjadę na inny kontynent. Jeśli jednak teraz nie zacznę od nowa, nie będę dalej... żył, to czyż cała ta walka nie okaże się bezcelowa?

ROZDZIAŁ 30

Hannah, październik

Miranda i Paul są zaręczeni. Odbyło się to tak, jak chciał Paul, pod wierzbą, nad strumykiem przepływającym przez ogród na tyłach hotelu w Cotswolds. Jestem taka szczęśliwa, że o mało nie wybuchnę. Bardzo trudno było mi trzymać to tak długo w sekrecie. Miranda zadzwoniła i była tak podniecona, że krzyczała do telefonu. A potem podziękowała mi za to, że wybrałam najładniejszy pierścionek zaręczynowy na świecie.

– Hannah, jest od Tiffany’ego, ty spryciaro!

Nie chciałam przypominać, że to ona, w kółko powtarzając Tiffany & Co., wyznaczyła kierunek, w którym miałam poprowadzić Paula, gdy wyglądało na to, że zaręczyny są zapisane w gwiazdach. Podejrzewam również, że kiedy się zorientowała, że zaręczyny stają się bardzo prawdopodobne, powiedziała Paulowi, że to do mnie ma się zwrócić w sprawie zakupów.

A teraz obmyślamy stroje na ślub. Wieczory panieńskie. Organizację wesela. Zostałam główną druhną. Nigdy przedtem nie byłam na świeczniku, a jako druha wystąpiłam na ślubie starszej kuzynki, gdy miałam siedem lat. Teraz jest rozwódka. Szybko odpędzam tę myśl. Wyglądałam wtedy uroczo jak cholera, lecz tym razem, w wieku lat dwudziestu dziewięciu, zamierzam wyglądać też jak cholera, tylko że seksownie.

– A w co byłaś ubrana? – pyta Miranda, gdy siedzimy w mieszkaniu Paula nad do połowy zjedzoną pizzą. Nie powiem o niej George’owi, myślę, zanurzając solidny kawałek ciasta, jak łyżeczkę, w dipie czosnkowo-ziołowym. O Boże, jakie to dobre. Z mnóstwa powodów, lecz przede wszystkim dlatego, że nie jest jarmużem.

– W różową taftę oczywiście.

– Oczywiście. – Miranda kiwa poważnie głową.

– I białe koronkowe rękawiczki, jak w czasach wiktoriańskich.

Moja przyjaciółka nad czymś się zastanawia.

– To może zadziałać – żartuje. – Uroczę na siedmiolatce, zdzirowate na dwudziestokilkulatce.

Też kiwam głową. Nie mam nic przeciwko pojawieniu się w białych koronkowych rękawiczkach. W przeciwieństwie do tafty.

– Miałam nawet parasolkę – wyznaję odważnie.

– O mój Boże, parasolki! – wykrzykuje podekscytowana Miranda i natychmiast googluje ślubne parasolki.

– Jak będę trzymała twój i mój bukiet przy ołtarzu z parasolką w ręku?

– Słuszna uwaga. – Miranda wycofuje się z pomysłu.

– Jestem taka podekscytowana – wyznaję.

– Ja też. – Wstaje i bierze stos magazynów.

Czuję, że moje serce przyspiesza. Widziałam błyszczące ślubne magazyny na półce w supermarkecie, jednak nigdy nie byłam na tyle odważna, by wziąć jeden, przeglądać i marzyć. Zresztą nigdy nie miałam powodu. A teraz Miranda ma sześć błyszczących ślubnych magazynów i pochłone każdą.

– Dziś wieczorem zamierzam odhaczyć wszystko na naszej liście – oznajmia.

Podnoszę wzrok i się na nią gapię.

– Wszystko? Co rozumiesz przez „wszystko”?

– Sukienki, moją i twoją, garnitur dla Paula, jego drużby i małych paziów, kolorystykę i, co najważniejsze, miejsce.

– Jasna cholera. Po co ten pośpiech? Jesteś w ciąży?

Upija ogromny łyk wina.

– Chryste, nie! Ale nie chcemy czekać. Celujemy w maj. Oczywiście gdzieś za granicą. Od razu będziemy mieli miesiąc miodowy. – Wygląda na zadowoloną z tego pomysłu, a dla mnie brzmi to... dość męcząco. Zaczynam się zastanawiać.

– Maj? To będzie za... – Żeby to ogarnąć, muszę użyć palców u rąk. Pijemy drugą butelkę wina, pizza przybyła późno i nie wchłonęła jeszcze wystarczającej ilości alkoholu. Planowanie ślubu po pijaku powinno

być zabronione. – Za siedem miesięcy. Planowanie większości ślubów trwa rok...

– Hannah, czas to pieniądz. Zróbmy to. – Bierze jeden z magazynów i zaczyna przeglądać, więc ja, z nowo odkrytym strachem przed przyjaciółką i szacunkiem do niej, idę w jej ślady.

ROZDZIAŁ 31

Hannah, listopad

George i ja robimy w supermarkecie cotygodniowe zakupy. Rozbrzmiewa świąteczna muzyka. Już się zaczęło. Właściwie to świąteczne badziewie dostrzegłam w sklepach już w październiku, ale udawałam, że nie widzę. Święta rozjaśniają miasto, więc szczerze mówiąc, nie mam nic przeciwko nim. Choinkowe lampki uwielbiam mieć w domu o każdej porze roku. Nie mogę się oprzeć wrażeniu, że ten rok przeleciał bardzo szybko. W zeszłym roku koło Bożego Narodzenia przez pomyłkę zadzwonił do mnie mężczyzna mieszkający na drugim końcu świata. Uśmiecham się na tę myśl. To było zrzędzenie losu. I zamieniło się w coś nieoczekiwanego. I cudownego. A teraz tego nie ma.

Teraz jestem z George'em. I kupujemy razem jedzenie. Wpuściłam go do każdego zakamarka swojego życia, a on powoli robi to samo. Oboje bardzo się z tym ociążaliśmy, byliśmy ostrożni po bolesnych doświadczeniach z przeszłości. Żadne z nas nie chciało zostać zranione, porzucone, ponaglone. Rozkładamy to w czasie. I docieramy do celu.

Za kilka tygodni w weekend poznam jego mamę. Minęło sporo czasu i George wreszcie dał się przekonać, że to naturalny następny krok. Nadal nie jest pewny, czy powinnam wychodzić z nim i jego kumplami. Nad tym też się zastanawia. Boi się, że będą mnie podrywali albo opowiadali historie, które mnie do niego zniechęcą. Najpierw przerobimy przerażający punkt „poznaj moich rodziców”, a potem popracujemy nad grupą przyjaciół.

Nigdy nie byłam w jego mieszkaniu, bo twierdzi, że współlokator traktuje je jak śmietnik, więc woli siedzieć u mnie, gdzie mamy więcej prywatności i możemy się kochać, nie musząc pamiętać, żeby być cicho. Uwielbia również to, że moja łazienka jest taka czysta. Nie mówię mu, że mieszkanie jest nieskazitelne, ponieważ je sprzątam, i że mógłby to samo robić u siebie. Fajnie byłoby zobaczyć, jak mieszka, chociaż może to nie jest aż takie istotne, ponieważ większość czasu spędza u mnie.

Zwykle zostaje na trzy czy cztery noce w tygodniu, nie jest jednak fanem sobotnich wieczorów w pubie z Paulem i Mirandą i udaje mu się unikać kawowych poranków z Joan – lista jego klientów wciąż się wydłuża i musi być w pracy coraz wcześniej. Zbliżyliśmy się do siebie, jesteśmy szczęśliwsi i planujemy kolejne wspólne wakacje. Tęsknię za hedonistyczną wersją nas, za niewinnym flirtem, tak jak wtedy w Azji. George i jego przewodnik, olejek do opalania i śmiech, gdy porównywaliśmy swoje najgorsze randki i piliśmy piñacoladę z parasolką. I gdyby żadne z nas nie pchało wózka z zakupami w Tesco, jestem pewna, że wzięłyby mnie za rękę.

Szczerze mówiąc, zakupy spożywcze to nie jest ta część życia, do której chciałabym go wpuścić. Gdy tylko po coś sięgam, on ściąga brwi. Czuję nieodpartą pokusę, by wrzucić do wózka paczkę herbatników tylko po to, żeby zobaczyć, jak mały mięsień koło jego prawego oka drga, gdy liczy mikro- i makrokalorie. Ale tego nie robię. Kupuję je, wracając z pracy do domu. Muszę mieć przecież herbatniki na spotkania z Joan, więc je przemycam. Następnym razem ukryję je w rezerwuarze, jakbym była ćpunką.

Około siedemdziesięciu procent czasu w sklepie spędzamy w alejce z warzywami i owocami. Co jest dobre. George przekonał się na własnej skórze, że lepiej nie pytać, ile butelek wina za pięć funtów ładuje w moim wózku. Tęsknię za kubelkiem lodów Häagen-Dazs, ale nie warto na ten temat dyskutować, więc mijamy alejkę z lodami i zmierzamy do kasy. Häagen-Dazs są zdecydowanie warte tych kalorii. Inne rzeczy nie, ale lody bezwzględnie. Muszę się jednak zmieścić w kupione już sukienki na dwa śluby, a pierwszy będzie w następnym miesiącu. Wzdycham, mijając pralinki i tubki z kremami, i myślę o tym, jak dobrze będę wyglądała w dwóch nowych kieckach.

Nie spodziewałam się, że moje dwie najbliższe przyjaciółki jedna po drugiej wyjdą za mąż. Joan zrobiła mi niespodziankę w październiku, oznajmiając, że ona i Geoff pobierają się tuż przed Bożym Narodzeniem. Są ze sobą tak długo jak ja i George. Pogratulowałam jej, kiedy stałyśmy przy ogrodzeniu w ogródku, i obejmując ją, wyznałam, że w jakiś sposób sama czuję się z tego powodu jak nowa. Ona i Geoff są dowodem na to, że dawne związki i minione miłości nie muszą nas definiować, że możemy ruszyć naprzód, zacząć od początku i się zakochać.

Czy mogłabym już teraz wyjść za George'a, znając go tyle czasu, ile znają się oni? Raczej nie.

Rozkminiam tę kwestię w sobotni poranek, myśląc jak zwykle „Joan, szybciej”. Stoimy na przenikliwym zimnie, maczając w espresso Palermo kazaara zakazane herbatniki. Kawa jest cierpka, oceniamy ją na cztery i pół, głównie dlatego że doskonale rozgrzewa.

– Śmierć nadchodzi szybko, Hannah. Nie mamy tak jak wy, dzieciaki, luksusu, jakim jest czas.

„Śmierć nadchodzi szybko”. Myślę o tym, stojąc w kuchni i obserwując George’a, który ogląda na komórce na YouTube Joego Wicksa[5] i gotuje coś z łyżek brokułów, o których dzień czy dwa dni temu pomyślałam, że powinnam wyrzucić je do kosza z odpadami bio.

– Mamy migdały? – swiergoli.

Nie mam pojęcia, ale zanim cokolwiek odpowiem, on już zaczyna przeszukiwać szafki. „Śmierć nadchodzi szybko”. Czy powinnam przyspieszyć sprawy z George’em? Jeśli jutro umrę, to czy zrobiłam wszystko, co chciałam? Nie, oczywiście, że nie. Oto dwie głupie myśli, które przyszły mi do głowy prawie jednocześnie. W tym momencie życia jestem szczęśliwa. Patrzę w okno. George znalazł paczkę przeterminowanych migdałów, wznowił oglądanie YouTube i mamrocze coś o tahini.

Pada śnieg. Pada zresztą już od jakiegoś czasu, mały prostokąt betonu za oknem pokrył koc cienkiej puszystej bieli. Odstawiam kieliszek z winem, otwieram tylne drzwi i patrzę, jak białe płatki opadają z nieba na ziemię.

– Brrr... Hannah, jest cholernie zimno! Zamknij drzwi!

– Śnieg pada – informuję, nie przestając patrzeć.

Mój głos wibruje wokół mnie, warstwa śniegu tłumi dźwięki, wszystko brzmi, jakby było bliżej albo dalej, nie wiem... po prostu inaczej.

– No widzę. Mamy tahini?

Wie, że odpowiedź brzmi „nie”.

– Gdybyś zażądał zakazanych herbatników, na pewno znalazłabym mnóstwo – mówię pod nosem bardziej do siebie niż do niego.

– Co? – pyta roztargniony i słyszę, jak gada coś o zamiennikach.

Kiedy ostatni raz padał śnieg, mężczyzna oddalony ode mnie o tysiące kilometrów powiedział, że powinnam wyjść na dwór i zrobić śnieżnego anioła. Śmieję się z siebie, że wtedy go posłuchałam. Ale zamierzam zrobić to również dziś. Tylko że teraz chcę, by George też machnął anioła.

– Chodź no tu – mówię seksownym głosem.

– Seks w kuchni? Gallagher, znowu? Nie dam rady.

– Ależ dasz. I nie chodzi o seks. Idziemy robić śnieżne anioły.

– Chryste, nie – jęczy, wracając do swojego telefonu i łyżek brokułów.

– Właśnie że tak. Zróbmy coś wariackiego.

– Nie. – George jest niewzruszony. – Dostaniesz zapalenia płuc.

– Nie dostanę. – Zakładam sfatygowane uggi. – No chodź.

– Przemokniesz, włoż płaszcz.

– Jeśli włożę płaszcz, to nie będzie spontaniczne – wyjaśniam ze śmiechem.

Spogląda na moje stopy.

– Ale miałaś czas, żeby założyć te ohydne kapcie.

Ignoruję jego zrzęczenie, bo już jestem prawie za drzwiami. Ruszam do ogródka, tam gdzie beton się kończy, ustępując miejsca nierównej trawie – tam jest bardziej miękkie. George stoi w drzwiach, milcząco odmawiając dołączenia do mnie, ale na chwilę porzuca „wideogotowanie”. Przygląda mi się z rękami skrzyżowanymi na piersi, ściskając w dłoni łyżkę brokuła.

Kładę się, przez chwilę leżę nieruchomo, patrząc, jak pada na mnie śnieg. Pozwalam mu lądować na policzkach, czole i rzęsach, otwieram usta, wystawiam język, chłód śniegu topnieje w moich ustach, a ja się śmieję. Robię anioła, szorując rękami i nogami w górę i w dół po świeżo spadłym śniegu, aż jestem pewna, że wykonałam wgłębienie mającego mój kształt godne Michała Anioła. Myślę o Davey’u, a w głowie krąży mi zdanie „Śmierć nadchodzi szybko” i ląduje cicho jak śnieg. Wstaję przemoczona, ale szczęśliwa.

– Jesteś szalona – mamrocze George, a ja nie wiem, czy to stwierdzenie, czy wyraz czułości.

ROZDZIAŁ 32

Hannah, grudzień

Jest dopiero początek grudnia, lecz jeśli chodzi o Boże Narodzenie, już działałam. Choinka ubrana, po raz kolejny kupiłam nowe lampki. Liczę prezenty pod drzewkiem. Miranda i Paul dwudziestego trzeciego – zanim w dzień Wigilii, po pracy, jak pozostali londyńczycy rozbiegniemy się do pociągów, by pojechać do rodzinnych domów – mają przyjść na niby-Wigilię, żebyśmy pobyli razem. George też ma przyjść, więc jestem podekscytowana tą kolacją, świętami i tym, co przyniesie nowy rok. Przetrwiałam okres próbny w pracy i teraz jestem pełnoprawną członkinią zespołu. Nie, żeby do tej pory mnie za taką nie uważano, jednak gdzieś w głębi byłam spięta niezależnie od tego, jak dobrze wykonywałam swoją pracę.

Ten rok całkiem ładnie się kończy. To nasze pierwsze wspólne święta – no, takie na niby – potem George jedzie do rodziców na wielką imprezę, a ja do moich, do Whitstable. Zapewnia mnie, że tak jest dobrze, bo żadne z nas nie zobowiązywało się, że przedstawi to drugie swojej rodzinie. Może w przyszłym roku.

Pod choinkę kupiłam George'owi całe pudło cudowności. Stwierdzenie, że wymagało to czasu i wysiłku, byłoby niedopowiedzeniem. Oprócz mnóstwa drobiazgów są w nim odżywki proteinowe w różnych smakach, najnowsza książka kucharska Joego Wicksa plus voucher do SPA na wsi w północnym Essex, gdzie jest wyglądająca niesamowicie siłownia, basen, sauna i cała lista zabiegów. No i ja też chętnie tam pojadę. Kończę ozdabiać pudełko: dodaję czerwoną lśniącą wstążkę i kilka takich zabawnych, syntetycznych, które zakręcam, przeciągając przez nie energicznie otwartymi nożyczkami. Widziałam, jak robi to ktoś w sklepie, to było jak odjazdowa magiczna sztuczka, bo wstążka natychmiast się związała. Mam nadzieję, że to wszystko mu się spodoba.

Zanim jednak nadejdą święta, wybieramy się na ślub Joan i Geoffa. To ostatnia sobota przed Bożym Narodzeniem. Naród tłoczy się na głównych ulicach, robiąc ostatnie zakupy, więc jestem zadowolona, że mam to z głowy. Aby uczcić ten czas, włożyłam czerwoną sukienkę, etolę ze sztucznego futra i czerwone niskie szpilki. Cały ten zestaw krzyczy: „Idę na świąteczny ślub!”. Musiałam zwęzić sukienkę o jeden rozmiar, co mnie rozbawiło, zastanawiam się jednak, dlaczego moje cycki się skurczyły, podczas gdy reszta pozostała taka sama.

George został na noc, więc szykujemy się razem. Gdy po raz kolejny przesuwam prostownicą po włosach, jego cierpliwość powoli się wyczerpuje.

– Gallagher, dobrze wyglądasz – mówi, pukając w zegarek.

Odwracam się, by na niego spojrzeć. Ma na sobie granatowy garnitur, włosy zaczesał na prawą stronę.

– Ty też. Masz dziewczynę? – żartuję.

Wybuchł śmiechem.

– Już niedługo, jeśli się przez nią spóźnimy. Poza tym to twoi przyjaciele.

– Urocze! Geoff się ucieszy, gdy to usłyszy. Lubi cię.

– Tak, myślę, że jest w porządku. Będzie dziwnie zobaczyć ich całych. Zawsze widziałem tylko ich górną część zza ogrodzenia. Gallagher, ruchy! Raz, dwa!

Wyłącza prostownicę i ciągnie mnie do drzwi. Jak na człowieka, który jest wiecznie spóźniony, dziś się sprężył. Ja też. To prawdopodobnie najbardziej wystawny ślub, na jaki zostałam zaproszona. Sądząc po miejscu, programie i tym, że ma przyjść ponad sto osób, można przypuszczać, że Geoff jest bardzo, bardzo nadziany. Joan nie robiła tajemnicy z tego, że nie oszczędził pieniędzy na ich rejs i że na miesiąc miodowy jadą na Mauritius. Nadal nie mam pojęcia, co robił, zanim przeszedł na emeryturę, ale cokolwiek to było, najwyraźniej był w tym dobry i na emeryturze czerpie z tego korzyści.

Gdy jedziemy metrem, jeszcze raz czytam zaproszenie na grubym wytłaczanym papierze.

– Zaraz musimy przesiąść się na linię District – mówi trochę roztargniony George, poprawiając krawat i kręcąc szyją tak, że strzelają mu kręgi.

– Mhm... – odpowiadam, studiując kolejność wydarzeń w Kew Gardens. Świecka ceremonia odbędzie się w Oranżerii Nasha, drinki wypijemy w Oranżerii Księżnej Walii, a na przyjęcie przejdziemy do sali Oranżeria. Dużo tych oranżerii. Jestem podekscytowana ze względu na Joan i Geoffa, lecz także dlatego że w Kew Gardens byłam ostatnio na szkolnej wycieczce lata temu. Dla zaostrenia apetytu sprawdziłam ich

zimową ofertę wesel. Wszędzie będą lampki. I grzane wino. Dzięki Bogu, że ubrałam się na czerwono, bo nie jest tajemnicą, że gdy tylko ja i czerwone wino się spotykamy, to je na siebie wylewam.

Nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę suknię Joan. Powiedziała, że jest skromna i elegancka, jednak nikomu nie chciała jej pokazać.

Kiedy jedziemy metrem, trzymam Gerge'a z rękę, nasze dłonie spoczywają splecione na siedzeniu między nami.

Ponieważ mam bardzo małą torebkę, kieszenie spodni i kurtki George'a załadowałam moimi rzeczami, które się w niej nie zmieściły, takimi jak pudełko konfetti z prawdziwych płatków róż, błyszczek, puder i dezodorant. W torebce mam właściwie tylko komórkę i chusteczki, ponieważ wiem, że gdy powiedzą sobie „tak”, będę płakała.

George patrzy na mnie tak, jakby widział mnie po raz pierwszy w życiu.

– Niech cię, Gallagher, dobrze wyglądasz.

– Dzięki – mamrocę z ustami przy jego ustach, gdy mnie całuje.

Wstajemy i przygotowujemy się do skomplikowanej procedury zmiany linii.

– Myślisz, że Joan po obiedzie oceni kawę? – drażni się ze mną George, gdy idziemy przez stację w stronę naszej linii, pozwalając, by połknął nas tłum. Ilekroć zostawał u mnie na noc, nie przychodził na weekendowe pogawędki z Joan przy płocie. Albo szedł do pracy, albo pokazywał się, by pomachać i powiedzieć „cześć”, po czym się wycofywał. Byłam z tego zadowolona, bo to nasza sprawa, moja i Joan.

– Cztery na pięć – mówi, naśladując Joan, gdy wchodzimy na peron. – Ale nie tak dobra jak valpolicella z zeszłego tygodnia.

Ściągam brwi.

– To wino. I nie bądź niemiły.

I wtedy to się dzieje. To, o czym tak długo marzyłam, a potem wyrzuciłam z głowy, ponieważ było równie prawdopodobne jak wygrana na loterii.

Stoję na peronie z George'em i czekam na pociąg.

I go widzę. Daveya.

Na peronie naprzeciwko, czekającego na pociąg jadący w przeciwną stronę niż mój. A przynajmniej kogoś, kto wygląda jak on. Wyrzuciłam go z głowy, w każdym razie próbowałam, i ostatnio byłam bardzo dobra w unikaniu halucynacji, gdy jeździłam metrem, a jednak... teraz... na sąsiednim peronie stoi mężczyzna, czeka na pociąg i wygląda zupełnie jak Davey. Jest do niego tak podobny, że przestaję mówić, przestaję słuchać George'a nabijającego się z Joan i rozśmieszającego samego siebie.

George trzyma mnie za rękę i wmawiam sobie, że jestem psychiczna, że to nie Davey, że to nie może być on, mimo to wysuwam dłoń z dłoni George'a. Wykorzystuje tę chwilę, by spojrzeć na zegarek, a ja udaję, że chcę się podrapać, choć nie interesuje mnie, co sobie pomyśli. Widziałam Daveya podczas naszych rozmów na wideo i kilku zdjęciach, które mi wysłał, i próbuję dopasować stojącego przede mną mężczyznę – aczkolwiek jest na sąsiednim peronie – do jednego ze zdjęć sprzed wielu miesięcy. Boże, on naprawdę wygląda jak Davey. Jego włosy są o wiele krótsze, jakby je zgolił i właśnie trochę chaotycznie odrastały. Ma dwa ogromne plecaki i odkręca butelkę wody. Odchyła głowę i pije, ktoś pyta go, która godzina, a on się uśmiecha, a gdy ten ktoś mu dziękuje, odpowiada „nie ma za co” w sposób, w jaki robią to tylko Amerykanie. Wszystko wokół mnie się zatrzymuje.

Ten uśmiech. Dobry Boże, teraz myślę, że to naprawdę on. Cofam się, odsuwam od George'a i nie zdając sobie sprawy z tego, co robię, pędzę, pędzę, przepychając się przez tłum. Słyszę, jak George woła moje imię, lecz się nie zatrzymuję. Wbiegam po schodach, przeskakując po dwa stopnie naraz, pokonuję przejście oddzielające perony i rozdzielające nas, prześlizguję się między ludźmi, docieram do zakrętu i zaczynam schodzić na peron.

Po schodach wchodzi ludzie, co oznacza tylko jedno – pociąg wjechał na stację i pasażerowie wysiedli. Mogłabym krzyknąć. Biegnę jeszcze szybciej, mijam ludzi idących z dołu, błagając, by się przesunęli, i wreszcie ląduję na peronie. Davey zniknął. Pociąg jednak nie ruszył. Biegnę przez peron do miejsca, w którym stał, mniej więcej w połowie, tak mi się przynajmniej wydaje. Przepatruję wagony. Drzwi wciąż są otwarte. Powinam wsiąść, choć to szaleństwo... Powinam wsiąść. Lecz tego nie robię, tylko lustruję peron, na którym tłoczą się ludzie. Może nie wsiadł do tego pociągu, może odsunął się i czeka na następny? Biegnę przez tłum, wypatrując wysokiego blondyna z dwoma plecakami. Wyteżam wzrok, zaglądając do wagonów,

po czym znów prawie biegnę. Drzwi się zamykają. Nie! Nie! Cholera! Wszystko dzieje się tak szybko. Za szybko.

I wtedy go dostrzegam. Pisze coś na telefonie. Wpatruję się w niego. Gdybym była bardziej rozgarnięta, zaczęłabym walić w okno, ale nie jestem rozgarnięta. Ani drgnę. Po prostu patrzę, jak pisze. Nie mam czasu wyjąć komórki z mojej małej torebki, by do niego zadzwonić, napisać, powiedzieć, żeby podniósł wzrok. Gapię się tylko na mężczyznę, którego nigdy nie spotkałam i który teraz stoi przede mną we własnej osobie. Ponieważ jestem pewna, że to on. Jakby wyczuł, że jest obserwowany... podnosi wzrok i patrzy wprost na mnie.

Opuszcza rękę z telefonem, lecz wyraz jego twarzy nie świadczy o tym, że mnie rozpoznał. To nie on, myślę. No widzisz, Hannah, na sto procent oszalałaś. Pociąg rusza, a mężczyzna nie patrzy już tak, jakbym była przezroczysta, patrzy na mnie. Uśmiecha się i uderza w niego piorun rozpoznania. Wzdycha głęboko, pociąg przyspiesza, a ja spoglądam na jego usta. Widzę, jak mówi „Hannah” i zaszokowany szeroko otwiera oczy. Po czym znika, porwany do tunelu.

Jestem tak wstrząśnięta, że po prostu gapię się na puste miejsce, w którym przed chwilą był, i nie mam czasu ani siły zastanawiać się, co on tu robi, dlaczego do mnie nie napisał albo... cokolwiek. Tak dziwnie się rozstaliśmy...

Słyszę za sobą swoje imię i się odwracam. Nie wiem, dlaczego się spodziewałam, że to Davey, skoro on zanurza się właśnie w podziemne ciemności. A jednak sądziłam, że to on, i nienawidzę siebie za to, że na widok George'a na mojej twarzy maluje się rozczarowanie.

– Hannah, co jest, do cholery?

– Ja... ja myślałam... myślałam, że może jesteście nie na tym peronie.

George się rozgląda, jakby peron mógł udzielić mu odpowiedzi, dlaczego oszalałam.

– Nie, byliśmy na właściwym. – Wpatruje się we mnie.

Kiwam głową.

– Okej.

– Tak po prostu poszłaś sama? Dokąd zamierzałaś pojechać metrem beze mnie?

– Nie, nie zamierzałam wsiąść do metra. Nie zrobiłabym czegoś takiego.

George wygląda na zranionego i rozczarowanego.

– Co się dzieje?

– Nic – mówię, a wzburzenie, które wibruje w mojej głowie, sprawia, że nie mogę wymyślić, co odpowiedzieć, więc powtarzam kłamstwo: – Sądziłam, że jesteście na złym peronie.

George otwiera usta, by się odezwać. I je zamyka. Kręci lekko głową, jakby mnie oceniał. Chce włożyć rękę do kieszeni, ale nie może, bo pełno w nich moich rzeczy, pozwala więc bezwładnie zwisać im wzdłuż ciała. Przebiegł z pomostu na peron i nawet się nie zadyszał, nawet się nie spocił.

– Czy... możemy wrócić na właściwy peron? – pyta cicho.

– Tak – odpowiadam, a on bierze mnie za rękę. Po raz ostatni spoglądam w ciemność tunelu, który pochłoniął Daveya.



Zebranie myśli zajmuje mi całą drogę do Kew Gardens. Nie odzywam się do George'a, nie patrzę na telefon. Po prostu gapię się przed siebie, gdy metro staje na stacjach i rusza, wioząc nas przez ciemność i światło, przez ciemność i światło... i tak w kółko, aż dojeżdżamy do Kew.

Dopiero gdy siedzę i oglądam świecką ceremonię ślubną, mogę jakoś sformułować myśli. Davey ma się dobrze. Wyglądał dobrze. Może trochę inaczej, ale dobrze. Miał plecaki. Czy tu mieszka? Czy właśnie się tu przeprowadził, czy był przez kilka tygodni i wraca do Stanów? Te pytania uderzają mnie tak szybko i wściekle, że gdybym nie siedziała na krześle, tobym upadła. A jeśli to nie był on? Ale był. Jestem tego pewna. Wymówił moje imię. Wymówił moje imię!

ROZDZIAŁ 33

Davey

To była Hannah. To ona. Jestem tak oszołomiony, że nie wiem, co robić. Powinienem wrócić? Tak, powinienem. Tak. Ale jej już dawno tam nie ma. Przegapiłem mój przystanek i musiałem cofnąć się kilka stacji, znów przejechać ten odcinek, aż znalazłem tę właściwą. Gapię się zdezorientowany na mapę metra wiszącą nade mną na ścianie, by się zorientować, którą linią mam jechać, patrzę, ale niczego nie widzę. Te kolorowe linie nic mi nie mówią, więc ktoś pokazuje mi kierunek, w którym zmierzam, czyli do stacji Gatwick Express.

Gdy tylko siadam w pociągu, który wiezie mnie na lotnisko, mogę się wreszcie pozbierać, spróbować zrozumieć, co się stało i jak. Hannah znalazła się na peronie metra w tym samym czasie co ja. Stała naprzeciwko okna wagonu, tuż przede mną, przez tych kilka chwil, gdy pociąg się zatrzymał... Ona też tam była. Nie potrafię tego ogarnąć. Gdybym wierzył w przeznaczenie, powiedziałbym, że to miało się zdarzyć. Lecz jeśli tak, to czy nie powinna wsiąść do wagonu, może pociąg mógłby stać dłużej albo być opóźniony... cokolwiek, co pozwoliłoby nam się... spotkać?

Nie mogę zamknąć oczu i się przespać, bo przeoczę stację, więc rozglądam się nieprzytomnie. Teraz wyczerpanie dopada mnie znacznie szybciej.

Już wyjeżdżam. Mój pobyt w Anglii był krótki, choć udało mi się dużo wcisnąć, w weekend odwiedziłem nawet Kornwalię. W jakiś sposób chciałem sobie udowodnić, że mogę robić rzeczy, które robiłem, zanim wykończyła mnie chemia. Nadal jestem słaby, ale potrzebowałem tego. Pokonałem raka i nic mnie nie zatrzyma. Aż do szesnastej, kiedy to muszę sobie uciąć dwudziestominutową drzemkę. Nie każdego dnia. Czasami. A potem znów jestem niepokonany.

Do Kornwalii jest daleko, a ja miałem mało czasu, lecz było warto. Turkus morza w St Ives mnie powalił. To część moich korzeni, moje DNA, nie mam tam jednak żyjących krewnych, więc zmagalem się z samotnością, gdy jadłem kornwalijskie pierogi we Falmouth i lody na murku w porcie w Padstow.

A potem pojechałem do Whitstable. Chciałbym powiedzieć, że z powodów turystycznych, lecz Hannah tyle opowiadała mi o tym miejscu, że musiałem zobaczyć to, co widziała ona, gdzie dorastała. Siedziałem na kamieniach w tym małym nadbrzeżnym miasteczku i patrzyłem, jak Tamiza wpada do morza.

To właśnie widziała Hannah w sylwestra, gdy do niej zadzwoniłem.

Jadłem rybę z frytkami na kamienistej plaży, wziąłem jeden kamyk i wsunąłem do kieszeni, by co jakiś czas na niego popatrzeć. Bo tak. Przeszedłem przez miasto i się w nim zakochałem, choć dopóki Hannah mi o nim nie opowiedziała, nigdy nie słyszałem o tym miejscu.

Czas w Londynie minął szybko. Nie spodziewałem się, że aż tak. Przez tych kilka dni zrobiłem wszystko, o czym opowiadała Hannah i co mieliśmy zrobić razem. Pojechałem na wycieczkę czerwonym piętrowym autobusem i zwiedziłem Tower. Za bardzo się wstydziłem, by zrobić sobie selfie z gośćmi w czerwonych mundurach, ale powiedziałem im „cześć” i przez dwie godziny stałem w kolejce, żeby zobaczyć królewski skarbiec. Byłem w Narodowej Galerii Portretu i znalazłem obraz przedstawiający siostry Brontë, który tak bardzo podoba się Hannah. Siedziałem przed nim przez chwilę, chłonałem pociągnięcia pędzla i niewidzialną przestrzeń, w której znajdował się ich brat. Jest, lecz go nie ma. Ja czułem się trochę podobnie. Ale nigdy więcej. Potem poszedłem go Galerii Narodowej obok i się pogubiłem. Hannah miała rację, Narodowa Galeria Portretu jest lepsza.

Dziś, w ostatni dzień pobytu, obudziłem się, spakowałem rzeczy do plecaków, zapłaciłem za hotel i żeby oszczędzić pieniądze, postanowiłem zamiast wziąć taksówkę, pojechać na stację kolejową metrem. I wtedy ją zobaczyłem. Wyglądała... niesamowicie. Pięknie. Ta sukienka. Włosy. Była wystrojona, niemal nie do poznania, dlatego tyle czasu – za dużo – zajęło mi ułożenie w głowie wszystkich kawałków i zorientowanie się... że to ona. Stała tam, przede mną, wpatrywała się we mnie tak, jakby ona też nie mogła uwierzyć w to, co widzi.

Wyjmuję kieszonkowe wydanie *Pokoju z widokiem*, które pod wpływem impulsu kupiłem w księgarni niedaleko Covent Garden, wpatruję się w okładkę i czuję żal, że opuszczam Londyn. Żal, że już nie zdołałem się z nią skontaktować. Byłem takim tchórzem. Wszystko, co robiłem, jeśli chodzi o Hannah, było czystym,

zwyczajnym tchórzostwem. Nie skontaktowałem się z nią, ponieważ tak strasznie łatwo rezygnuję. Zrezygnowałem z Hannah. Zrezygnowałem z chemii, lecz ona i Grant zmusili mnie, bym wrócił do szpitala. Jestem człowiekiem w drodze, idę ścieżką... ale dokąd? Nie mam pojęcia. To nowa ścieżka, a ja nie wiem, co jest za rogiem. Wybrałem ją, by znów kierować własnym życiem. I jestem pewien, że postąpiłem właściwie, zrywając z Hannah. Utwierdziłem się w tym, gdy zobaczyłem faceta, który przybiegł za nią. Jego wzrok przesuwający się z tyłu jej głowy na mnie. Wyraz jego twarzy. Ogarniający go gniew. Jeszcze jeden nieszczęśliwy koleś. Gdy na nią patrzył, w jego spojrzeniu były zdumienie, ból i dezorientacja. Ja jej to zrobiłem. Ja.

Powiedziałem, żeby żyła swoim życiem, nie marnowała czasu na faceta, który tysiące kilometrów od niej jest faszerywany lekami, faceta, który starał się nie rezygnować z życia, lecz który w końcu zrezygnował. Wiem, że postąpiłem słusznie. Musiałem tak postąpić. Nie chciałem jeszcze bardziej mieszać tej dziewczynie w głowie. Poza tym przecież poradziłem jej, żeby się z kimś związała.

I, jak widziałem, zrobiła to.

Można mnie posądzać o różne rzeczy, ale nie jestem gościem, który rzuca się na czyjąś dziewczynę, rozbija związki, nawet jeśli Hannah w jakimś sensie była kiedyś moja.

ROZDZIAŁ 34

Hannah

Wciąż jestem w szoku. Kiwam głową, uśmiecham się. Patrzę, jak Joan sunie w filigranowej tiarze i w sukni, która niczym jedwabna pajęczyna przylega idealnie do jej drobnej sylwetki. I na Geoffa wyglądającego jak człowiek bezgranicznie zakochany w idącej mu naprzeciw przyszłej żonie. Nie mogę jednak o tym myśleć ani tego ogarnąć. Nagle to wszystko wydaje się takie odległe. Davey tu jest. Davey. Tu. Jest.

W duchu cieszę się, że to świecka ceremonia. Żadnych hymnów. To sprawia, że wszystko odbywa się szybciej, choć szczęśliwa para wybrała do wspólnego śpiewania *When I'm Sixty Four* Beatlesów. To sprawia, że się uśmiecham, mimo iż nie czuję się na tyle przytomna, by to docenić. Joan chichocze ironicznie, ponieważ ona i Geoff już dawno przekroczyli ten wiek.

Paul i Miranda też zostali zaproszeni. Miranda ze mną mieszkała, więc zanim się wyprowadziła, jeśli nie miała akurat śmiertelnego kaca, od czasu do czasu brała udział w naszych ponadpłotowych pogawędkach.

Ten ślub jest kwintesencją piękna. Świątecznego piękna. Ja jednak idę do naszego stolika jak na autopilocie. Gdy czekamy, aż zaserwują weselne śniadanie, Paul i George gawędzą. Obserwuję ich, myśląc, że dobrze im się gada. Nie są przyjaciółmi, po prostu rozmawiają, ponieważ są zmuszeni do przebywania w tym samym pomieszczeniu. Paul coś mówi, a George wybucha śmiechem, po czym rzuca mi wymowne spojrzenie i przewraca oczami. Uśmiecham się lekko, lecz gdy po ułamku sekundy odwraca wzrok, znów rzednie mi mina.

Miranda opowiada mi o swoim ślubie. Jestem pewna, że mówi coś o tym, by pobrać się w innym kraju, coś o tym, że tu zawsze leje, a wesela za granicą są rzekomo inne, a ja podczas tej jednostronnej konwersacji w odpowiednich momentach wydaję odpowiednie odgłosy. Nie jestem w stanie myśleć, nie jestem w stanie mówić. A już na pewno nie jestem w stanie mówić o Daveyu, o tym, że go widziałam. Jest mi niedobrze. Sądzę, że mogę zwymiotować. Albo zacząć krzyczeć. Albo zrobić obie te rzeczy, zupełnie jakbym była tą małą dziewczynką z *Egzorcysty*.

Wstaję, zbyt gwałtownie odsuwając krzesło. Miranda urywa w pół zdania. Jestem taka nieuprzejma. Nie chciałam się tak zachować, ale muszę stąd wyjść.

– Przepraszam – mówię do wszystkich i do nikogo przy naszym okrągłym stole. – Muszę tylko... – Odwracam się, mając nadzieję, że wszyscy myślą, że idę do toalety. Trochę się spodziewam, że Miranda lub George pójdą za mną, lecz żadne z nich tego nie robi i po raz pierwszy, odkąd zobaczyłam Daveya, mogę sformułować spójną myśl, więc jestem zadowolona, że nikt nie wstał i nie depcze mi po piętach. Gdy już jestem w toalecie, opuszczam klapę sedesu i na niej siadam. I zaczynam. Podjęłam decyzję. Zamierzam skasować numer Daveya. Jeśli chciałby ze mną porozmawiać, być ze mną lub się skontaktować, to do tej pory mógł to zrobić. On jednak nigdy nie zadzwonił. Nie uprzedził, że przyjeżdża. Zatelefonowałam do niego, ponieważ Grant mnie o to poprosił, a nawet błagał. A teraz czuję się jak idiotka.

Jeśli nie zamierzam go więcej widzieć, muszę to zaakceptować i zrobić coś drastycznego, przyznać sama przed sobą, że to koniec i że już nic więcej się nie wydarzy. Wyjmuję z torebki telefon, otwieram WahtsAppa i wiadomości do i od Daveya. Wciskam „usuń” i przenoszę wszystkie do kosza, a potem znikają jedna po drugiej, gdy wciskam czerwoną ikonkę „kosz”. Nie czuję się jednak oczyszczona. Czuję się tak, jakby wydarto mi kolejny kawałek duszy. Nadal jednak wrywam kolejne kawałki, gdy znajduję zdjęcia, które mi wysłał. Patrzą na jego przystojną twarz, jak robi śmieszne oczy do Kristie i Phila. Dopiero gdy łyzy kapią na ekran komórki i zamazują piksele, orientuję się, że płaczę.

Drży mi ręka, jednak mój palec zawisa nad ikonką „kosz”, uderzam w nią, wciskam „czy chcesz usunąć zdjęcia”. Pierwsze: zrobione naprędce, bez koszuli, opalony, umięśniony, na skórze krople wody po prysznicu. Wygląda wspaniale. Był miły, zabawny, a potem chory, a teraz tu jest i nie odezwał się ani słowem. „Usuń”. To musi zniknąć. Nie mogę już tego ciągnąć. Nie mogę się go trzymać.

A teraz – wiem, że jeśli nie zrobię tego teraz, natychmiast, to się załamie – wyświetlam wiadomość do Daveya. Wyznam mu to, o czym wiedziałam, lecz czego nigdy nie powiedziałam: Kocham Cię. Kocham.

A potem robię dokładnie to, co zrobił Davey ze swoimi wiadomościami: kasuję, napisałam wiadomość,

lecz jej nie wysyłam. Następnie odnajduję jego numer w kontaktach. „Usunąć kontakt?” Wciskam „tak” i Davey znika z mojego telefonu i z mojego życia. Na zawsze.



Poprawiam palcami makijaż i wracam do stolika. Miranda nakryła moje jedzenie talerzem, żeby nie wystygło. Posyłam jej pełne wdzięczności spojrzenie, a ona ściera z mojej twarzy drobinę tuszu, którą musiałam przeoczyć.

– Wszystko w porządku? – pyta.

– Teraz tak.

Ściska moją nogę w milczącym geście solidarności, która nie wymaga wyjaśnień.

George patrzy na mnie, lecz się nie uśmiecha, nic nie mówi, tylko mi się przygląda. Odwracam się w jego stronę, posyłam wymuszony uśmiech, od którego nawet mnie robi się niedobrze. On wraca do rozmowy z Paulem.

Co ja zrobiłam? Co ja robię? Nie mam pojęcia. Jestem wykończona, ale Miranda napełnia nasze kieliszki winem, zanim biedny kelner miał szansę się zorientować, że już opróżniła swój.

– Dawaj, napijmy się. To wesele. Przy tym stole jest jak na pogrzebie.

Więc robię, co mi każe. To łatwiejsze niż wymawianie się. Wypijam wino jednym haustem, ale nie wiem, czy robi mi się po tym lepiej, czy gorzej. Później się okaże.



– Znalazłem się obok ciebie kilka sekund przed tym, gdy wypowiedziałem twoje imię – mówi George, wkładając ręce do kieszeni. Jesteśmy już u mnie w domu, więc może wyładować z nich wszystkie moje drobiazgi.

– Słucham?

Jestem zalana w pestkę. Wiem to. Świat właściwie nie wiruje. Gdybym nie czuła się dziś... tak dziwnie, powiedziałabym, że jest mi wesoło. Jest jednak wprost przeciwnie.

– Na stacji, kiedy uciekłaś. Dotarłem do ciebie kilka sekund wcześniej, zanim zawołałem cię po imieniu.

Odwracam się i na niego patrzę.

– Czuję się pijana – mówię, ponieważ nie do końca rozumiem, czy zadaje mi pytanie, na które muszę wymyślić jakąś odpowiedź. Jeszcze nie teraz.

– Kuchnia – rzuca. – Kawa.

Robi mi kawę rozpuszczalną, po czym siadamy przy małym stoliku przysuniętym do ściany.

– Mogę dostać mleko? – pytam z nadzieją, gdy podaje mi mocną czarną kawę. – Jest trochę gorzka.

– Mnie też jest gorzko – odpowiada ku mojemu zaskoczeniu.

Siada, ignorując moją prośbę o mleko. Mogłabym wstać i sama je sobie wziąć, lecz tego nie robię. Nie wiem, czy to w tej chwili pomoże.

– Biegłaś za kimś. – To nie brzmi jak pytanie. – Widziałem, że na ciebie patrzył. Widziałem, jak wymawiał twoje imię. Kto to był?

A więc George też to widział. Nie wiem, czy mam się cieszyć, czy czuć upokorzona. A więc sobie tego nie wyobraziłam.

– Nikt – kłamię odruchowo. Nie chcę o tym rozmawiać. To nam nie pomoże. Nie pomoże mnie. Nie wyjdzie z tego nic dobrego. – Nikt, kto cokolwiek dla mnie znaczy. – Wiem, że to także kłamstwo, ale jestem pewna, że za jakiś czas nim nie będzie.

George trzyma uszko kubka i widzę, że zastanawia się, jak sformułować następne zdanie.

– Nie widziałem twojej twarzy, tylko tył głowy, ale widziałem, jak szybko biegłaś. Chyba w życiu tak nie pędziłaś, Hannah. – Zauważam, że już nie nazywa mnie Gallagher, i wiem, że to zły znak. – Muszę wiedzieć, kto to był. Myślę, że jesteś mi winna wyjaśnienie, dlaczego tak pędziłaś i do kogo.

Nie mogę dłużej kłamać. Nie jestem w stanie. To nie w porządku wobec George’a.

– Davey.

Wygląda na zdezorientowanego. Nie ma pojęcia, o kim mówię.

– A kto to jest?

– Davey. Ten Amerykanin.

Nadal nie wie, o co mi chodzi, bo nie podałam żadnych szczegółów. I sędzę, że to mówi o nas wszystko. Wiem, że nie byłam szczególnie otwarta, jeśli chodzi o Daveya. Byłam jednak uczciwa. Powiedziałam, że mnie zostawił. Wymieniłam jego imię. Poinformowałam nawet Daveya, że spotykam się z George'em, choć właściwie nie byliśmy jeszcze razem. To dlatego Davey mnie porzucił, chciał, żebym żyła własnym życiem, zamiast trwać przy nim, gdy walczył z rakiem. Kiedy przypominam o tym George'owi, wybucha śmiechem.

– Powiedziałam coś śmiesznego? – pytam cicho.

– Davey? To był Davey?

– Tak.

Przestaje się śmiać.

– Wideo-Davey. Davey odległy o tysiące kilometrów? Davey, którego nigdy, kurwa, osobiście nie spotkałaś? Davey, który cię porzucił? – Nie mogę wtrącić słowa, bo on ciągnie: – Zostawiłaś mnie na peronie, żeby popędzić do mężczyzny, z którym byłaś związana, który cię porzucił i z którym nigdy się nie spotkałaś? – Milczę. To nie brzmi dobrze. Odchyła głowę, patrzy w sufit, jakby tam znajdowała się odpowiedź. – Uciekłaś ode mnie do faceta, z którym się nigdy nie spotkałaś – powtarza bardziej do siebie, jakby przypominał to sobie, by się torturować.

– Nie uciekłam od ciebie. Ja... działałam pod wpływem impulsu. Po prostu pobiegłam.

– Hannah, to nie wystarczy. Nie wystarczy. – Osuwa się na krzesło. – To nigdy nie wystarczało.

– Wiem o tym. Wiedziałam od dawna. – Czy kiedykolwiek o coś cię prosiłem?

– Właściwie nie.

– Prosiłem cię, żebyś zrobiła dla mnie tylko jedno. Tylko jedno. Żebyś brała pigułki. – Mrugam zaszokowana tą dziwną zmianą tematu rozmowy. – Mówiłem ci, że nie znoszę kondomów.

– A ja nie znoszę brać pigułek – odgryzam się. – Też ci mówiłam. Nie znalazłam takich, po których nie byłabym żarłoczna i gruba, i które nie obracałyby mojego libido w pył. Umówiłam się na wizytę, żeby założyć spiralę i...

– A ile czasu zajęło ci załatwienie tego? Przypominałem ci kilka razy, ale wciąż zmuszałaś mnie do używania kondomów. Byliśmy razem prawie przez rok. Jak długo zamierzałaś czekać z telefonem do swojego lekarza?

Mam ochotę krzyknąć: „Nie chciałam brać pigułek dla kogoś, kogo nie Kocham!”, lecz milczę. Kiedyś w przychodni pielęgniarka usiadła obok mnie, poinformowała uprzejmie, że jeśli chodzi o długoterminową antykoncepcję, świat poszedł do przodu, i zaproponowała spiralę.

Wstaję. Muszę pomyśleć. Muszę się zastanowić, co robić. Zostawiam kawę na stoliku i idę do lodówki po mały karton mleka, stoi jednak za butelką z winem, więc ją wyjmuję.

– Nie jesteś już wystarczająco pijana? – pyta George, dostrzegając wino. – Do kurwy nędzy, ty i twoi nudni przyjaciele osuszyliście cały bar.

Gapię się na niego.

– Nie osuszyliśmy. Miranda wypła tylko trochę, ponieważ jest na diecie przed swoim ślubem w przyszłym roku, a Paula widziałam tylko z...

– Wychodzę – przerywa mi George.

Nawet nie przychodzi mi do głowy, by go zatrzymać. Dopiero teraz dociera do mnie, że byliśmy w naszym związku nieuczciwi. Wiedziałam, że do siebie nie pasujemy, ale myślałam: będzie lepiej. Będzie lepiej.

– Zamierzasz coś powiedzieć? – pyta George.

Wstyd mi, ale nie. Jestem zbyt zajęta myśleniem. To jest ten bodziec, którego potrzebuję, choć nie wiedziałam, że na niego czekam. George i ja nie powinniśmy już być razem. Nie tak mają wyglądać związki. Chcemy zupełnie różnych rzeczy, jesteśmy zupełnie różnymi ludźmi. Na początku było dobrze, lecz okazuje się, że do siebie nie pasujemy, już nie. Pozwoliłam sobie wejść w ten związek i ignorowałam to, że zaczyna się psuć. Wiem, że nie będę żałowała tej decyzji, będę tylko żałowała każdej krzywdy, jaką mu wyrządziłam. Jestem gotowa, by to powiedzieć, lecz on odzywa się pierwszy:

– Hannah, zabiorę swoje rzeczy. To już... już nic z tego nie będzie.

Wciążam gwałtownie powietrze. Uderza we mnie mieszanina emocji. George i ja przynajmniej raz

jesteśmy po tej samej stronie. To boli, ale tylko przez chwilę. Jestem wdzięczna, że doszedł do tego wniosku przede mną.

– Sądzę, że ani przez chwilę nie byłaś zaangażowana – mówi. – Starłaś się zachowywać pozory. Oboje się staraliśmy.

Trudno mi się z tym spierać. George nigdy nie wpuścił mnie do swojego życia. Zawsze miał jakieś wymówki. Zawsze jakiś powód. Ale może ja też tak do końca nie pozwoliłam mu się do siebie zbliżyć? Nigdy nie powiedział, że mnie kocha, i ja też nigdy tego nie powiedziałam. A powód jest jasny jak słońce.

George zbiera swoje rzeczy, chodząc w milczeniu po domu. Czeka w kuchni, nie zamierzam deptać mu po piętach. Nie powinnam być zaskoczona. Naprawdę nie powinnam. Ale w jakiś sposób jestem. Czy związki zawsze kończą się o wiele szybciej, niż się zaczęły? Po kilku minutach George staje w drzwiach. Widać, że jakaś jego część nie chce wyjść. Jakaś część mnie chce, by został.

– Mam dla ciebie prezent pod choinkę – mówię.

George śmieje się gorzko.

– Zatrzymaj go sobie.

– Nie, chcę, żebyś go miał. – Mijam go w drzwiach i wyjmuję spod choinki pudełko. – Włożyłam w to dużo wysiłku.

– Szkoda, że nie włożyłaś wysiłku w nasz związek.

Zamykam oczy, oddycham głęboko i nie odpowiadam. Pragnie mieć ostatnie słowo. Rozumiem to.

– Dzięki – mamrocze pod nosem, gdy podaję mu pudełko. – Ja dla ciebie jeszcze niczego nie mam.

Boże Narodzenie już za kilka dni, jak długo zamierzał zwlekać z kupieniem mi czegoś? I czy w ogóle miał zamiar mi coś kupić?

– Zaczęło się dobrze – stwierdza. – Mam na myśli nas. Tajlandia była jak eksplozja, więc może powinniśmy byli na tym zakończyć.

Kiwam z uśmiechem głową, a on go odwzajemnia. Prawie. Choć mnie kusi, nie przypominam mu, co wtedy powiedziałam i że to on zachęcał mnie, żebyśmy to ciągnęli. A jednak nie powinnam była się na to zgodzić. Widziałam, jak szybko wszystko się zmienia. Dziesięć miesięcy. Wytrzymałszy dziesięć miesięcy. A powinniśmy być ze sobą tylko przez dziesięć dni. Założę się, że to moja wina. Może nigdy tak naprawdę nie dopuściłam do siebie George'a psychicznie, a jedynie fizycznie? Nie dałam mu szansy, choć na nią zasługiwał. Ale teraz tego nie powiem.

Paul miał rację: najwyraźniej łatwo mną kierować. Pozwoliłam Daveyowi zakończyć naszą znajomość i nie walczyłam. Wiedziałam, że George i ja nie powinniśmy być razem, lecz zgadzałam się, by to trwało. Rzuciłam pracę i znalazłam nową, tylko dlatego że namówiła mnie Cindy. Dzięki Bogu to akurat poszło dobrze. Czy gdyby wiedziała, jaka jestem naprawdę, zatrudniłaby mnie? Ale to... Wiem, że to musiało się stać, mimo że nie ja powiedziałam o tym pierwsza. Zdobywanie punktów nie jest w moim stylu.

Ku mojemu zaskoczeniu George odkłada pudełko z prezentem na kuchenny blat, robi krok do przodu i mnie obejmuje.

– Ach, Gallagher, daliśmy z siebie wszystko.

Podnoszę na niego wzrok i się uśmiecham.

– O tak. – Jestem wdzięczna, że to kończy się tak miło.

– Posłuchaj, czy wyświadczysz mi przysługę? – pyta. – Anuluj swoje członkostwo w siłowni. Znajdź sobie inną.

– Och... dobrze.

– Nie chcę cię już więcej widzieć, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

O rany. To tyle w kwestii „miło”. Kiwam głową.

– Oczywiście.

Nie chcę mu mówić, że dzięki sponsorom mam w pracy darmową siłownię, a chodziłam do tej, w której pracuje George, tylko dlatego, żeby być bliżej niego – pracował tak dużo, że inaczej bym go nie widywała. Mimo to ten pożegnalny cios jest bolesny.

– Na razie, Hannah – mówi, biorąc prezent i mamrocząc niewyraźnie: – Dzięki. – Po czym gmera przy zamku i wychodzi.

Do przedpokoju wpada lodowato zimne grudniowe powietrze. Wychodzę na ścieżkę popatrzeć na jego znikającą sylwetkę. Nie ogląda się za siebie.

Spoglądam w nocne niebo. Czuję, jak moje nogi otula chłód. Chmury się rozwiały i tysiące kilometrów nade mną gwiazdy migoczą jasno, a ich światło pokonuje ogromną odległość, by do mnie dotrzeć.

Po chwili znów spoglądam na koniec ulicy. George już zniknął.



– Nigdy nie pozwoliłaś mu się do siebie zbliżyć?! – wybucha Miranda, która przysłała z Paulem na niby-

-Wigilię, gdy mówię jej, dlaczego ja i George zakończyliśmy nasz związek. Przyjmowanie gości to ostatnia rzecz, jakiej teraz potrzebuję, ale też najlepsza. – To on nigdy nie pozwolił ci się zbliżyć do siebie! Czy widziałaś jego mieszkanie? W ciągu tego prawie roku?

– Nie. Powiedział, że go nie lubi, że nie lubi swoich współlokatorów i że moje mieszkanie jest ładniejsze.

– I nie wiesz nawet, gdzie mieszka?

– Około dziesięciu minut stąd.

– Dziesięć minut samochodem czy na nogach? Którą drogą? – naciska.

Masuję sobie skronie. Od dwudziestu czterech godzin ze stresu boli mnie głowa i nic mi nie pomaga.

– Jestem pewna, że mówił, ale nie pamiętam.

– Poznał twoich rodziców. A czy ty poznałaś jego?

– Nie. Ale miałam poznać.

– Dlaczego więc przez prawie rok nie zdołał tego zaplanować?

Próbuję myśleć.

– Bez powodu. Tak się po prostu stało. Czas, praca i... – To w każdym razie wciskał mi George, ale to słaba wymówka, więc odpuszczam.

– Zabierając się pierwszy, wyświadczył ci przysługę – wtrąca Paul. – To palant. Irytująco przystojny palant. Pod każdym względem. Dał ci trochę przyzwoitego seksu i sobie poszedł. Jak słyszę, bez walki. To, że odszedł, tylko wyjdzie ci na dobre.

Posyłam mu zasłużony uśmiech i kiwam głową. To wyjdzie mi na dobre. Wiem o tym.

Miranda otrzepuje ręce, jakby chciała powiedzieć: „Sprawa zamknięta”.

– Taak... właściwie to nie płaczę. Czuje się dobrze, naprawdę. Po prostu muszę pojechać do domu i zobaczyć się z mamą i tatą, no wiecie... Uch!

Przesuwam dłoń po czole. Wiem, że nadeszła pora, by powiedzieć moim najbliższym przyjaciółom, dlaczego ja i George zerwaliśmy. Ale jak to ująć? Nie mogę. Boli już samo myślenie o tym. Wiem też, że jeśli tylko zacznę mówić o Davey, to się rozplaczę. Więc im nie powiem. Nie powiem im, że go widziałam. Tak nakazuje instynkt samozachowawczy. Po prostu nie.

– No tak... dobrze. A właściwie doskonale – stwierdza Miranda. – Więc smutna przemowa podtrzymująca na duchu nie jest potrzebna?

– Smutna przemowa podnosząca na duchu nie jest potrzebna.

– Dzięki Bogu. – Wyjmuje pakunki z wielkiej torby z Selfridges. – Więc możemy teraz wręczyć sobie prezenty?

ROZDZIAŁ 35

Hannah, styczeń

Stoję w błocie. Pod moimi butami – które teraz są jeszcze bardziej znoszone i pokryte plamami wody – topnieje cienka warstwa śniegu. Podaję Joan przez ogrodzenie talerz z herbatnikami, a ona patrzy zachwycona, zapinając zimowy płaszcz. Wsuwa ciasteczka z jeszcze większym apetytem niż zwykle, już nie musi zmieścić się w suknię ślubną. Jedna moja przyjaciółka przeszła przez ślubny kobierzec, a Miranda ochoczo nań wkracza. Pewnie powinnam czuć się trochę wykluczona, patrząc na to weselne zamieszanie, ja jednak bardzo się cieszę, że jestem młodą wolną singielką.

– Alleluja – kwituje Joan, gdy jej to mówię.

Robi tę sztuczkę z herbatnikiem: w ostatniej sekundzie ratuje go przed utonięciem. Jestem pod wrażeniem. Nigdy tego nie opanuję.

– Chyba przybrałaś trochę na wadze – zauważa Joan.

Przeżuwam herbatnik.

– Co? Przecież trzy razy w tygodniu chodzę na siłownię – protestuję.

– Ale to dobrze – zapewnia pospiesznie. – Super. Bo zrobiłaś się chuda i wyglądałaś niezdrowo.

– To przez ten cały jarmuż. Nie tęsknię za tym czymś.

– A za nim?

– Za George'em? Nie – odpowiadam stanowczo.

– Oczywiście, że za George'em. A sądzisz, że kogo miałam na myśli?

Nie potrafię powiedzieć, czy się ze mną drażni, czy mnie sprawdza. Nie polykam przynęty, tylko niepostrzeżenie zmieniam temat:

– No to opowiedz mi o miesiącu miodowym.

Słucham opowieści Joan o pięknych starych domach na Mauritiuisie, o parku narodowym, o nurkowaniu w krystalicznie czystych wodach, opalaniu się i czytaniu powieści. A potem szokuje mnie, oznajmiając, że wyprowadza się z Wanstead.

Opada mi szczęka.

– Mówisz poważnie?

Kiwa głową.

– Geoff ma dom w Hertfordshire, więcej tam zieleni, no i teraz jesteśmy małżeństwem.

No jasne. To takie oczywiste, że nie wiem, jak mogłam na to nie wpaść.

– Myśleliśmy, żeby zatrzymać nasz londyński kąt do spania, jednak z Hertfordshire jeżdżą pociągi, więc możemy wpaść do Londynu, kiedy tylko chcemy. Wynajmę moje mieszkanie. Geoffa przyjeżdżanie tutaj kosztowało dużo wysiłku... no, ale nie sądzę, byśmy często bywali w Hertfordshire. Geoff kocha podróżować i muszę przyznać, że mogłabym się przyzwyczaić do kabiny pierwszej klasy na „Virgin Atlantic”. Hannah, mają bar na pokładzie!

Wybucham śmiechem i ponad dzielącym nas ogrodzeniem ściskam jej zimną dłoń.

– Bardzo się cieszę, Joan. Szczerze. Cieszę się ze względu na was oboje.

– Dziękuję ci. – Joan odwzajemnia uścisk.

Mój wzrok przyciąga jakiś ruch w jej kuchni. To Geoff, wyglądający szykownie w jednym ze szlafroków Joan, patrzy przez okno i macha do mnie, ciepło się uśmiechając. Odwzajemniam i uśmiech, i machnięcie.

– Uwielbiam, gdy przyjaciele odnajdują miłość – mówię z westchnieniem.

Joan mruga znacząco.

– Ja też. Ani słowa od tego twojego... hm... – Z prychnięciem wypuszcza powietrze. Joan rzadko brakuje słów, więc mrużę oczy i czekam. – Amerykanina? – kończy wreszcie.

Wzdycham głęboko.

– Och... nie. Ani słowa. – To prawda. – Ale... go widziałam. – wyznaję. Joan otwiera usta, żeby coś powiedzieć, po czym je zamyka. – W dzień twojego ślubu. W prawdziwym życiu. Widziałam go. Tutaj. W Londynie. W metrze – mówię urywanymi zdaniami. Za każdym razem, gdy sobie o tym przypominam,

a zdarza się to co trzy minuty, chaotyczne myśli to wszystko, na co mnie stać.

– Rozmawiałaś z nim?

– Nie. Był w wagonie. Jechał w drugą stronę.

– Cholera! – Chichoczę, słysząc, jak Joan przeklina. Zwykle robi to, gdy jest pijana, co nie zdarza się często.

– No żebyś wiedziała. Biegłam. Biegłam, żeby go złapać. I mnie widział. A ja widziałam jego. George pobiegł za mną. Ale Davey zniknął. Drzwi wagonu się zamknęły... no i tyle. Odjechał. I przez całe twoje wesele George nie wspomniał o tym ani słowem. A gdy wróciliśmy do domu... – Teraz moja kolej, żeby prychnąć, bo nie wiem, jak dokończyć zdanie. Wzruszam ramionami. – Było wiele powodów, dla których ja i George do siebie nie pasowaliśmy, ale to był katalizator i zakończyliśmy nasz związek. – Joan wygląda na zaniepokojoną, lecz nic nie mówi, a ponieważ nie lubię niezręcznego milczenia, dodaję: – Zepchnęłam Daveya na dalszy plan, wiesz? – Joan przytakuje. – Ale od czasu do czasu przebija się na pierwszy. I tu był. Właśnie tu. A ja nie wiedziałam, czy śmiać się, czy płakać, przestać oddychać... ale wiedziałam jedno: że jakoś muszę się do niego dostać.

– Nie rozmawialiście? – Kręcę głową. – Jak wyglądał?

– Joan, dręczysz mnie. Wyglądał seksownie.

– Nie, nie to miałam na myśli. Chodziło mi o to... to znaczy... czy wyglądał na zirytowanego, nieszczęśliwego, uradowanego, zaskoczonego?

Znów wzruszam ramionami.

– Nie mam pojęcia. Najpierw patrzył tak, jakby mnie nie widział, a potem się uśmiechnął, wymówił moje imię i zniknął.

Joan otwiera ze zdumienia usta, po czym szepcze:

– O mój Boże.

– Nie zadzwonił do mnie.

– Kiedy? – Joan pochyla się nad ogrodzeniem.

– Nigdy. Nie zadzwonił, gdy skończył leczenie. Bo przypuszczam, że skończył, ale właściwie to nie mam pojęcia. Kiedy był w Londynie, też nie zadzwonił, więc... – Pozwalam, by to słowo zawisło w powietrzu, mając nadzieję, że Joan jakoś usprawiedliwi zachowanie Daveya.

Lecz ona tego nie robi.

– Nie wiem, co o tym sądzić – wyznaje.

– Ja też nie.

– A biegłabyś tak do George'a? – zaskakuje mnie pytaniem. Mrużę oczy, a ona wyjaśnia: – Sytuacja z George'em i Daveyem jest zupełnie różna. Obaj nie wytrzymali zbyt długo...

– Dziękuję ci – wtrącam z przekąsem.

– Wiesz, o co mi chodzi. Ale tylko jeden zrobił na tobie wrażenie. To nie George uciekł, tylko Davey. Pobiegłaś za nim, mimo że z tobą skończył. Kochałaś George'a? – Zamierzam odpowiedzieć, ale nie mogę. Kręcę tylko głową, patrząc w filiżankę. – A Daveya?

Odrywam wzrok od pustej filiżanki.

– Myślę, że... Tak, tak sądzę. Coś nas łączyło. Mówiąc to, czuję się jak idiotka.

– George był typową odskocznią – stwierdza Joan.

Potrzebuję sekundy, po czym odpowiadam:

– Wiem. Choć trwało to za długo.

– No właśnie. I co teraz?

– Nic. To koniec. Wykasowałam Daveya z telefonu. – I wypowiadam śpiewnie moje ulubione słowa: – Instynkt samozachowawczy.

Teraz Joan spogląda do filiżanki, jakby były w niej fusy, z których da się wyczytać przyszłość.

– Mężczyzna nie jest tym, czego potrzebuję – oznajmiam z przekonaniem. – Chcę się widywać z przyjaciółmi, ciężko pracować, bo kocham moją pracę, chcę przez kilka miesięcy odpocząć od nieudanych randek z gównianymi kolesiami. To niezdrowe, tak miotać się od jednego faceta do drugiego. Zamierzam dobrze się bawić i kultywować życie singielki – recytuję, jakby to była jakaś mantra czy mem.

– Życie to jest coś, co się nam przytrafia, gdy jesteśmy zajęci robieniem planów – mówi Joan. – John Lennon – wyjaśnia.

- Kochasz Lennona.
- O tak. Ten człowiek był geniuszem.
- Stukam pustą filiżanką w filiżankę Joan.
- Amen.



Kiedy wracam do domu, nie mogę się powstrzymać i googluję kabiny pierwszej klasy, co jest prostą drogą do wygooglowania sobie wakacji. Nie wyjeżdżałam nigdzie od lutego zeszłego roku, gdy byłam z George'em w Tajlandii. Kiedy o tym myślę, wzdrygam się i odruchowo zaciskam powieki, żeby odciąć się od niedawnego wspomnienia, od tego, dokąd mnie to zaprowadziło, i przysięgam sobie, że tym razem pojedę na wakacje sama.

Gdy wpisuję *samotne wakacje w lutym*, wyskakuje mnóstwo propozycji, a mnie dziwnie korci wyjazd na narty. Nigdy na takim nie byłam. I nie umiem jeździć na nartach. Czuję jednak, że nowy rok powinien nieść ze sobą wyzwanie, a jest nim nauka czegoś nowego. Po raz pierwszy w życiu zamierzam wyjechać sama i osiąść sztukę jeżdżenia na nartach. Pewnie na stoku złamię rękę, zdecydowanie będzie to wyjście poza strefę komfortu, ale to coś zupełnie nowego. Na myśl o tym czuję przyływ energii. Przynajmniej raz powinnam wyjść ze strefy komfortu.

Wysyłam mejla do działu kadr z prośbą o urlop i otrzymuję odpowiedź jednocześnie z potwierdzeniem rezerwacji pobytu. Dołączę do szkoły narciarskiej, będę jeździła na nartach, ile dusza zapagnie, jadła zapiekanki ziemniaczane, piła czerwone wino i zawierała znajomości. Oddam się wszelkim aktywnościom, jakie będą w pakiecie wyjazdu dla osoby samotnej, pozwolę, by życie i los wzięły mnie w swoje ręce na tak długo, jak będą chciały. A nie, nie – pozwolę im sobą rządzić tak długo, jak ja zechcę.

ROZDZIAŁ 36

Hannah, luty

Zatrzymuję się właśnie na najłatwiejszej niebieskiej trasie, gdy dzwoni Miranda w sprawie wieczoru panieńskiego. Czuję się jak kretyńka, bo w lewej ręce trzymam kijki, a prawą przyciskam do ucha komórkę, z goglami zsuniętymi na czoło. Na wszystko, co mówi, bardzo chcę odpowiadać głośnym „tak, tak!”, by wyglądać jak bardzo wyluzowana narciarka, lecz z tego rezygnuję.

Odliczanie do ślubu już się rozpoczęło. Miranda skreśla dni w kalendarzu, jakby była więźniarką czekającą na zakończenie kary. Codziennie dostaję SMS-a z nową liczbą dni, co mnie wkurza, bo ostatnich kilka spędziłam, wlewając w siebie – wraz z innymi samotnymi podróżnikami – tyle pysznego grzanego wina podczas lunchów, że kiedy wrócę do domu, będę musiała poszerzyć sukienkę. Notuję w pamięci, by nie zamawiać po raz trzeci z rzędu deski serów do puddingu. I puddingu. Kropka. Po całym dniu jeżdżenia na okrągło niebieskimi trasami (jestem już blisko czerwonych, naprawdę blisko) odczuwam jednak taki głód, że na kolację zjadłabym wszystko, co mają w menu.

Dziś moją aktywnością jako osoby podróżującej w pojedynkę (cieszę się, że nie nazwali tego wakacjami dla singli) będzie wieczór quizów. Nasza ósemka automatycznie tworzy drużynę grającą przeciw pozostałym stolikom. W hotelu mieszkają też pary i rodziny, które wyciągnęły swoje dzieci ze szkół, mimo że nie mają ferii. Sprawdziłam: w ferie ceny są niebotycznie wysokie.

Zaprzyjaźniłam się z jednym z samotnych narciarzy, facetem o imieniu John, który jest całkiem miły. Zamierzamy spotkać się dwa razy po południu, by pojeździć na nartach, ponieważ lekcje kończą się dość wcześnie. Czuję jednak niechęć do zadawania się z facetem podczas wakacji (już to przerabiałam), dlatego gdy wyczułam, że John za bardzo flirtuje – co nie było nieprzyjemne, po prostu zrobił się zbyt pewny siebie – postanowiłam, że zaproszę też spokojną trzydziestokilkulatkę Nicole, która nie może jakoś odnaleźć się w grupie.

Teraz jednak w moim uchu rozbrzmiewa głos Mirandy, a Nicole stara się nie podsłuchiwać. Mija nas sześciolatek ze szkółki, który pędzi, nie używając kijków.

– Rozpuszczone małe skurwysyny – rzuca ze śmiechem i niezbyt cicho Nicole i już wiem, że się dogadamy.

– Mają niżej środek ciężkości – szepczę do niej, podczas gdy Miranda podaje mi najważniejsze informacje dotyczące ślubu, które zaczerpnęła wprost z czasopism. – No więc, czy to jest jak Tinder na żywo? – pyta, zmieniając temat. – Coś jak reality show: stacja narciarska, dużo singli i zobaczymy, kto kogo bzyknie?

– Mirando! – wykrzykuję z przyganą. – Oczywiście, że nie!

Właściwie to było moje główne zmartwienie, że będą tu single mający nadzieję na jakieś macanki. A dla mnie ten temat jest zamknięty.

John jest słodki, zabawny, spotykaliśmy się w ciągu ostatnich kilku dni, lecz gdy wyczułam, że do gry wraca dawna Hannah i postanowiłam przystopować, zanim sprawy zajdą za daleko, wyglądał na trochę zaszokowanego. Obserwuję go teraz, jak zerka na jedną z instruktorek, i wiem, że ją poderwał. Nicole i ja zaplanowałyśmy, że jutro – żeby zrobić sobie przerwę od nart i dać odpocząć nogom od niewygodnych butów narciarskich – pójdziemy na degustację win. To miło znaleźć coś wspólnego z ludźmi i zawierać nowe znajomości. Szkoda, że nie robiłam tego w Tajlandii.

Mój tata często mawia, że jedynym, czego uczy nas historia, jest to, że tak naprawdę nie uczy nas niczego. Czuję uderzającą do głowy mieszkankę dumy i zadowolenia, że nie pozwoliłam, by znów przytrafiło mi się coś takiego jak rok temu.

Wracam do domu odświeżona, z nową energią, gotowa na to, co przyniesie życie, i z grupką nowych przyjaciół. Nicole i ja umówiłyśmy się na spotkanie, John spytał, czy wymienimy się numerami. Nie bardzo wypadało odmówić, lecz zastrzegłam, że nie wyjdziemy poza sferę przyjaźni.

Nie mogę zapomnieć, że o tej porze rok temu Davey i ja byliśmy bardzo zaangażowani w to, co nas łączyło, cokolwiek to było. Nie zamierza do mnie zadzwonić. Teraz to wiem. Nie skontaktował się ze mną po tym, gdy zobaczył mnie na peronie. Nie wiem, czy nadal jest w Londynie, czy się tu przeniósł, czy był tylko przejazdem i wrócił do Teksasu. Mam jednak nadzieję, że cokolwiek robi, jest szczęśliwy. Rozmyślam

o tamtej chwili na stacji metra częściej, niż powinnam. Jeżeli pozwalam sobie na analizowanie tamtego dnia, tamtego momentu... co oznaczał... lub czego nie oznaczał... Nie mogę. Po prostu nie mogę. Mam nadzieję, że gdziekolwiek Davey przebywa i cokolwiek robi, jest zdrowy i szczęśliwy.

ROZDZIAŁ 37

Davey, marzec

Przyrządzam makaron *paccheri* z czerwonymi sycylijskimi krewetkami i ze świeżą rukolą. Kiedy mówię „przyrządzam”, to naprawdę przyrządzam. Od zera. Ten makaron to szerokie rurki i szef kuchni uczy mnie, jak zawijać pasy ciasta.

Trattoria jest malutka, w środku przez cały dzień unosi się pokrzepiający zapach drewna z pieca do pizzy, większość stolików stoi na zewnątrz, na tarasie na placu otoczonym przez jasne, zbudowane z piaskowca kamienice Montepulciano. Architekt, który we mnie drzemie, aż ślini się na widok tego placu, ręcznie formowanej spójności średniowiecznych budowli pod jasnym, wiosennym, włoskim słońcem. W oddali, w dole, aż po horyzont ciągną się wysokie cyprysy. Niezbyt często oglądam ten widok, ponieważ większość czasu spędzam w małej kuchni. I jestem tu w swoim żywiole. Robię coś, co kocham.

– Uśmiechasz się – zauważa Marco, pochylając się nad moim ramieniem.

Biorę mały wałek, przesuwam nim po wstążkach makaronu, delikatnie je przenoszę i biorę się do następnych. Coś tak prostego jak makaron można robić z miłością. Dlaczego wcześniej tego nie wiedziałem?

Kiedys byłem szczęśliwy. Wydaje się, że to było tak dawno temu. Teraz znów jestem szczęśliwy, odsuwam od siebie myśli, czy znów zachoruję, czy rak wróci, a jeśli tak, to gdzie uderzy. Jeśli głowa boli mnie dłużej niż dzień, czy to oznacza, że już jest i jako miejsce powrotu wybrał mój mózg? Wiem, że nigdy nie przestanę wypatrywać guzków, których nie powinno być, jakichkolwiek oznak, choć szczerze mówiąc, nie wiem, gdzie ich szukać. Zamierzam być świadomy ryzyka, nie pozwolę jednak, by zdominowało każdą chwilę mojego życia, tak jak wcześniej. Jestem szczęśliwy, że żyję, lecz teraz inaczej wykorzystam czas. Już się nad sobą nie użalam. Przetrwiałem. Zaczynam żyć.

Zaprzyjaźniłem się z dziewczyną z Nowego Jorku, która zaczęła uczyć mnie włoskiego. Spotkałem ją na małym kursie gotowania w Rzymie. Potem razem podróżowaliśmy. Czekala na swojego chłopaka, który miał dołączyć później. Jako kumple wędrowaliśmy z plecakami przez Włochy i pożegnaliśmy się, gdy dotarliśmy do Toskanii. Nie zamierzałem kontynuować tej znajomości, bo nie wiedziałem, jak długo tu zostanę. Ale dobrze się bawię. Co kilka miesięcy kontaktuję się z moim lekarzem, wiem, że wkrótce muszę zrobić badanie krwi i tomografię. Doktor Khader powie mi kiedy. Trudno mi zignorować nowo nabyte zamiłowanie do przygody. Musisz żyć, Davey, natychmiast zrobić coś ze swoim życiem, coś nowego, innego.

Gdy przygotowuję kolejne danie, Marco, szef kuchni i właściciel tej rodzinnej trattorii, udziela mi instrukcji, mówiąc bardzo powoli po włosku. Ubijam ricottę, by nadziać nią słodkie smażone *cannoli*. Nie czuję się już jak odpowiedzialny dorosły architekt. Czuję się młodziej, jakbym dopiero co skończył college i podróżował, radząc sobie sam, czego właściwie nigdy do tej pory nie robiłem. Marco jest miły, ponieważ wie, jak bardzo chcę się nauczyć jego rzemiosła. Mówi niewiarygodnie dobrą angielszczyzną. Podśluchał moją rozmowę telefoniczną z doktorem Khaderem, więc wyczuwam, że dodał dwa do dwóch i wie, że w moim życiu coś było nie w porządku. Trwamy jednak przy powolnym włoskim i dopiero kiedy widzi po moim spojrzeniu, że nie mam pojęcia, co właśnie powiedział, przechodzi na angielski. Jest cierpliwy.



Spotkaliśmy się, gdy wyszedł przed restaurację na papierosa. Siedziałem na tarasie jego trattorii na miejskim placu, raczyłem się jednym z dań ze specjalnej oferty i entuzjasmowałem tym, jakie jest wspaniałe. Był to najlepszy makaron *trofie*, jaki w życiu jadłem, z kasztanami, serem Fontina, zwieńczony zapiekаныmi migdałami. Zażartowałem, że jeśli nauczyłby mnie, jak to przyrządzić, mógłbym podawać do stołu i zmywać naczynia, a on potraktował mnie poważnie. Kiedy stało się jasne, że nie mówię po włosku na tyle dobrze, by być kelnerem, Marco uprzejmie zatrudnił mnie na pełny etat w kuchni, gdzie myłem patelnie, kroilem warzywa, obierałem owoce i się uczyłem. Zamierzam zostać tu przez kilka miesięcy, aż do lata, kiedy rozpocznie się mój kurs gotowania i będę musiał opuścić Marco.

Skończyliśmy obsługiwać ostatnich gości, zebrałem krzesła i ustawiłem je jedno na drugim. Marco stoi na tarasie, lustrując plac, podaje mi piwo i sam upija łyk. Zwykle przynosi mi kawę, lecz dziś wybrał dla nas obu piwo marki Peroni. Nie piłem alkoholu od ponad roku, od sylwestra, kiedy przygotowywałem się do

wyjazdu do Londynu, do Hannah. Zastanawiam się, co ona teraz robi. Próbuję wyrzucić ją z głowy. Tamtej nocy imprezowałem po raz ostatni, a potem moje życie było jazdą w dół.

Po chemii nie mogłem pić alkoholu. Rozważam, czy powinienem wypić to piwo. Jestem już zdrowy. W remisji. Patrzę na *peroni*, jakby w nim kryła się odpowiedź.

– Zasłużyłeś na nie – zachęca Marco.

– Dziś wieczorem nie mówisz do mnie po włosku?

– To był długi dzień. Nie mam siły – żartuje.

Stukamy się butelkami i upijam łyk. Okazuje się, że tęskniłem za piwem. Marco bierze dwa krzesła, które dopiero co sprzątnąłem, siada na jednym, a drugie popycha w moją stronę. Ma rozpiętą koszulę i wygląda luzacko, dobrze się czuje w swoim ciele. Przechodzące obok dwie młode kobiety patrzają na niego, a on bezczelnie rzuca w ich stronę coś, czego nie mogę wystarczająco szybko przetłumaczyć. Śmieją się w trochę wymuszony sposób, a jedna kręci głową. Marco unosi w ich stronę butelkę. Mimo tego wszystkiego jego pierwszą i jedyną pasją jest gotowanie. Mówię mu to, a on kręci głową.

– Dla kobiet zawsze jest czas.

– Z żadną cię nie widuję – zauważam.

– Bo jestem dyskretny – odpowiada z uśmiechem. – Mama nie pochwalałaby tego, jakie kobiety przyprowadzam do domu. – Wskazuje głową wewnątrz restauracji, gdzie jego matka kończy czyścić szklanki i zbiera się do wyjścia. – I dlatego już nie mieszkam z rodzicami.

Odzywa się komórka w jego kieszeni. Wyjmuje ją, szybko coś pisze i odkłada. Uśmiecham się. Marco ma dobre życie.

– A teraz masz dziewczynę? – chcę wiedzieć.

Pochyliła się konspiracyjnie w moją stronę.

– Mam trzy.

– Co?! – O mało się nie opluwam. – Jak to? Mogę spytać, skąd masz na to siły?

Wzrusza ramionami.

– Mam, po prostu.

– One wiedzą o sobie nawzajem?

– Nie. Oczywiście, że nie. Nie jestem głupi.

Teraz już nie wiem, czy Marco ma dobre życie, czy straszne. Trzy kobiety naraz. To jak praca. Ciężka praca. Jest zajęty. I może trochę samotny.

– A ty? – pyta. – Kolejka kobiet w Ameryce? Mają smutne miny, bo wyjechałeś do Włoch? Złamane serca?

– Nie. – Kręcę powoli głową i nie mówię nic więcej.

Myślę o Charlotte. Ona na pewno nie ma złamanego serca. Jeśli było jej smutno, to tego nie okazała. Sądzę, że raczej była zła, że znów z nią zerwałem. No i myślę o Hannah. O Hannah, której pozwoliłem odejść.

– Davey nie ma czasu na kobiety? Davey jest... – pstryka palcami, zastanawiając się – nie zakonnica... jest inne słowo.

– Mniczem – podpowiadam mu. – Nie, nie jestem mniczem.

– Hm... – Patrzy na mnie. Jeśli czeka na szczegóły, to się nie doczeka.

Jakby to wyczuwając, jednym szybkim haustem dopija piwo.

– Mam randkę – oznajmia, puszczać do mnie oko. – Do jutra, mój przyjacielu.

Odkłada krzesło na stos, przybija mi żółwika i bierze ze środka swoje rzeczy.

Patrzę, jak on i jego matka wychodzą, zamykają lokal i się żegnają. Odchylam się na krzesło i obserwuję przez chwilę nocny ruch na placu, uliczne latarnie i kręcących się ludzi. Piję powoli piwo, ciesząc się samotnością.

Jestem dopiero w połowie butelki, może dlatego że dla człowieka, który był trzeźwy przez ponad rok, ta połowa jest jak cztery piwa... Jest mi ciepło w środku i czuję się odrobinę pijany. Zaraz zrobię coś głupiego. Biorę komórkę, wyświetlam wiadomość od Hannah i czytam te starsze. Wracam na sam początek, śledzę naszą wspólną wędrowkę, uśmiecham się na widok tych, które napisałem, gdy wybrałem zły numer. Potem umówiliśmy się na pierwszą rozmowę, a potem na następną i następną... Oglądam też jej zdjęcia. Gdy na nią patrzę, cały się spinam. I przypominam sobie, jak stała na peronie i wpatrywała się we mnie tak, jakbym był duchem.

Co robi teraz, w tej chwili? Dziś w nocy niebo jest czyste. Czy jest czyste również tam, gdzie przebywa? Czy widzi te same gwiazdy co ja? Patrzy w górę? A może ogląda Netfliksa? Jest z przyjaciółmi? Z tym facetem? Tak bardzo chciałbym wiedzieć, kim on jest. Czy to ten sam koleś, o którym mi pisała? Ten, z którym, jak twierdziła, jest szczęśliwa? A może jest z kimś nowym? Och, pierdolić to. I tak nie mogę nic z tym zrobić. Jestem tu. Ona tam. Ale przynajmniej jesteśmy na tym samym kontynencie. Odległość między nami wreszcie się zmniejszyła.

Tylko że Hannah nigdy nie była bardziej oddalona ode mnie niż teraz.

ROZDZIAŁ 38

Hannah, kwiecień

To oczywiście, że w przyszłym życiu nie powrócę jako organizatorka ślubów. To bardzo trudne. Miranda jednak wszystko ogarnia i cieszy się każdą sekundą. Nie jest upiorną panną młodą. Już kilka miesięcy temu znalazła na stronie z wyprzedzami suknię ślubną i ją zamówiła, przymierzyła i zaprosiła mnie, żeby mi ją zademonstrować. Nie mogłam się doczekać wycieczki do eleganckiego sklepu z artykułami ślubnymi, w którym wyniosła kobieta o dwuczłonowym nazwisku przed wielkim pokazem ślubnych kreacji poda nam szampana. Ale to, co dostałam, było właściwie lepsze. Miranda nie czekała, aż przyjdę. Otworzyła mi drzwi, mając na sobie suknię, i spytała:

– I co sądzisz?

Aż krzyknęłam. Wyglądała idealnie. Pozwoliła mi nawet ją przymierzyć. Oczywiście w niej utonęłam, bo nie mam metra osiemdziesięciu wzrostu jak Miranda. Ale nawet ja musiałam przyznać, że suknie ślubne nie bez powodu cieszą się tak dobrą reputacją. A potem Miranda otworzyła arkusz kalkulacyjny i odhaczała poszczególne punkty, zaznaczała kolumny, klikała i przeciągała.

Kilka tygodni przed wielkim dniem w domu Mirandy i Paula odbywamy rozmowę, którą Miranda uważa za niezręczną. Widzę to po jej minie i niemal przerażonym spojrzeniu, gdy pyta, czy potrzebuję osoby towarzyszącej.

Oczywiście, że nie. A niby z kim miałabym pójść? Jeśli dzięki temu, że będę sama, zwolni się uświęcone miejsce przy weselnym śniadaniowym stole, będę bardziej niż szczęśliwa. Poza tym do towarzystwa będę miała Joan i Geoffa, no i teraz, dokądkolwiek pojedę, mogę zawierać przyjaźnie, co mnie cieszy. Potańczę z nieznanymi i wrócę do domu jako szczęśliwa singielka.

– Jeśli nie posadzisz mnie przy stole dla singli, będę potrzebowała przynajmniej Joan i Geoffa.

– Nie mamy stołu dla singli – przypomina Miranda i się krzywi. – Kto w ogóle tak robi?

Zgadzamy się, że to najgorszy z weselnych koszmarów.

– Chyba że pojawią się jacyś mężczyźni, którzy mi przypasują – mówię, choć nie jestem pewna, czy o to właśnie mi chodzi. – Na razie nie mam ochoty z nikim się spotykać, ale zawsze mogę dać się zbałamucić pilotowi w pełnym umundurowaniu.

– Żaden ci nie przypasuje. – Miranda rzuca okiem na Paula, który wpatruje się, nie mrugając, w PlayStation i kontynuuje przeprowadzanie przez ekran małego człowieczka grającego w piłkę nożną. – Wszyscy samotni koledzy Paula to pokraki – dodaje szeptem.

Kiwam mądrze głową, a Paul zerka na nas, uśmiecha się, po czym znów zaczyna wgapiać się w ekran.

– Ma rację, to pokraki. Miranda ustrzeliła najlepszego z naszej grupy.

Miranda spogląda na mnie.

– Fakt. – Po czym zgadza się posadzić mnie z Joan i Geoffem i zaznacza to w swojej tabelce. – Zrobione.

Jestem zazdrosna. Wiem, że to okropne się do tego przyznawać, ale jestem. Jeszcze nie byłam na ślubie, ale wiem, że to będzie ślub roku. Śluby za granicą albo są najbardziej ekscytującą rzeczą na świecie, albo obciążeniem dla kieszeni gości. Byłam zapraszana na tyle zagranicznych ślubów, że w końcu połączenie kosztów udziału w wieczorach panieńskich, biletów lotniczych, hoteli i samych wydarzeń o mało nie doprowadziło mnie do bankructwa. Pewnego lata miałam pięć ślubów rozrzuconych po całej Europie i rodzice musieli odbyć ze mną poważną rozmowę na temat pieniędzy. Jak je zarabiać. Jak nie wydać wszystkich za jednym zamachem.

Teraz jednak jest inaczej.

Bo to ślub we Włoszech.

ROZDZIAŁ 39

Hannah, maj

Koniecznienie muszę zobaczyć pole maków w Toskanii. Jest koniec wiosny i maki są w pełnym rozkwicie. Z mojego pokoju na ostatnim piętrze przepięknego starego hotelu w kolorze piaskowca mam cudowny widok na miasto i na wzgórze, które schodzi łagodnie ku dolinie i winnicom poniżej. Mieszkam na poddaszu i żeby omijać nisko umieszczone belki, muszę się schylać, lecz przez otwarte okno wpadają promienie słońca i rozświetlają pokój.

Wyglądam przez okno, widzę błysk purpury i wiem, że tam jest, czeka na mnie. Jeśli nie postoję na polu maków choćby przez minutę i nie pozwolę się otoczyć delikatnym szkarłatnym kwiatom, chyba oszaleję. Nie mam pojęcia, kiedy to zrobię, bo grafik Mirandy jest zwariowany.

Brukowane ulice i żółte ceglane ściany sprawiają, że w mieście panuje atmosfera spokoju. Zanim nadejdzie wielki dzień, jesteśmy tylko ja, Miranda, Paul i ich najbliższa rodzina. Czas przed najważniejszym wydarzeniem spędzamy na zwiedzaniu, a wieczorami jemy w małych trattoriach w miasteczku.

Poddałam się i kupiłam egzemplarz *Pokoju z widokiem* E.M. Fostera. Bardzo się boję, że książka nie będzie tak dobra, jak film. Nawet jej jeszcze nie otworzyłam. Gdy tu jestem, czuję się jak jej bohaterka, Lucy Honeychurch. Spoglądam na książkę z poczuciem winy, gdy do drzwi puka Miranda, by zabrać mnie na zwiedzanie.

W ciągu następnych kilku dni odwiedzamy *duomo*, katedrę, jedziemy na degustację win i oglądamy trzy kościoły. Przypominam sobie, jak byłam z George'em, i nieskończoną liczbę świątyń, które chciał obejrzeć. Kiedy mama Mirandy sugeruje, byśmy zwiedzili kolejny kościół, odpadam. Mogłabym posiedzieć trochę na słońcu, poczytać książkę, wypić wielki kieliszek lokalnego wina i pozwolić, by świat toczył się swoim torem. Gdy postanawiają pójść do kościoła stojącego u stóp wzgórza, idę do hotelu, biorę książkę i wędruję na główny plac, Piazza Grande. Czternastowieczne budynki otaczające go z czterech stron są niskie, o barwie czerwieni i piasku. Na jednym z rogów placu mieści się trattoria z zaledwie kilkoma wolnymi stolikami na tarasie. W ogóle nie znam włoskiego, ale jakoś udaje mi się dać znać kelnerowi, że chcę coś zamówić. Nie pamiętam, kiedy jadłam sama w przyzwoitej restauracji, bo Pret przy Liverpool Station się nie liczy.

Zwykle jem lazanię, lecz dziś jestem odważna i szukam czegoś, czego normalnie nigdy bym nie zamówiła (czegoś innego niż wino, które oczywiście zamawiam zawsze). Rozsiadam się, obserwuję, jak mieszkańcy niosą do domów torby z owocami, warzywami i ze świeżym chlebem. Patrzę na turystów z komórkami w rękach nawigujących po ulicach, czytających informacje o budynkach umieszczone na ich frontach. Kiedy przewodniki zastąpiły telefony?

Rzucam się na talerz z przekąskami i... trafiam do nieba. Jest na nim cukinia w lekkiej panierce faszerywana makrelą, oliwki, małe pomidorki i kapary, stos świeżych różowych krewetek z burrata i kawałki *anchois* smażone z parmezanem, pomidorami i pesto. Otwieram książkę, zanim jednak zdołam przeczytać choć jedną stronę, zjadam wszystko, co było na talerzu.

Podchodzi kelner, by napełnić moją szklanek wodą, dostrzega pusty talerz i pyta żartem:

– Nie smakowało pani?

Wybucham śmiechem.

– To było niebiańskie. Wasze menu jest niesamowite.

– O tak – mówi z dumą. – Chciałaby pani zjeść coś jeszcze? Główne danie, jeśli przekąski nie wystarczyły?

– Chyba na razie mam dość.

Choć od rozstania z George'em minęło wiele miesięcy, wciąż nie wróciłam do mojej zwykłej wagi. I nadal nie mogę jeść tyle, ile bym chciała, co, jak sądzę, nie jest takie złe. Teraz jednak, gdy patrzę na to boskie menu, myślę, że jeszcze wrócę do Włoch. Postaram się tu przyjechać i spróbuję zwolnić tempo. Może w ogóle powinnam w życiu zwolnić, znaleźć czas na jądanie w restauracjach w niektóre wieczory? Nie zamierzam jednak zbyt szybko zwalniać przed jutrem. Bo jutro jest ślub, a ja mam suknię drużny, w którą, jak na razie, się mieszczę.

ROZDZIAŁ 40

Davey

Czas wyjeżdżać. Marco przekonał mnie, bym został jeszcze jeden dzień i pomógł mu przy imprezie. Przygotowywał się do niej tygodniami i przydałaby mu się dodatkowa para rąk, więc zostanę jeszcze przez dwadzieścia cztery godziny. A potem już mnie nie ma, ruszam ku następnej przygodzie.

Zdałem sobie z czegoś sprawę. Zmiana kierunku i kontynentu oraz nowe hobby zajęły mi dużo czasu, więc po letnim kursie gotowania będę musiał wrócić do domu. Problem w tym, że nie wiem, gdzie ten dom jest. Nie mam już mieszkania i starej pracy, a nie mogę znów zamieszkać z rodzicami. Nie w moim wieku. Muszę znaleźć sobie nowe miejsce do mieszkania. Nowe życie do ukształtowania. Muszę się ustatkować, być bardziej świadomym i bardziej stabilnym.

Myślę, że powinienem wyruszyć w podróż i odkryć, gdzie pasuję i gdzie powinienem osiąść. To następny etap tej przygody. Nie wiem, czy nadal chcę być nomadą, jak dotychczas. Pragnę się jednak dowiedzieć, gdzie będzie mój dom.

ROZDZIAŁ 41

Hannah

Miranda i Paul pobrali się w ratuszu przy Piazza Grande. Kew Gardens były eleganckie, jednak nie dorównują renesansowemu *palazzo*. Właśnie byłam świadkiem, jak dwie osoby, które najbardziej lubię, mówią sobie „tak”, muszę jednak wyznać, że mój wzrok wędrował ku wielkim zdobionym meblom i portretom w złotych ramach.

Miranda i Paul podpisują dokumenty, a fotograf robi im zdjęcia. Joan, Geoff i ja siedzimy w drugim rzędzie krzeseł i obserwujemy naszych przyjaciół, którzy wyglądają na bardzo zadowolonych i szczęśliwych, a harfistka wygrywa melodyjnie wiązaną popowych piosenek. To było ustępstwo Paula, by zatrudnić harfistkę, jednak pod warunkiem, że nie będzie muzyki klasycznej, tylko coś rozpoznawalnego. Mamy niezłą zabawę, próbując rozszyfrować, czego właśnie słuchamy.

– To *Fix You* Coldplay – podsuwam niepewnie po raz drugi, choć tak naprawdę nie mam pojęcia, co to jest.

– A to *Bitter Sweet Symphony* Verve – mówi Geoff ze znużeniem, gdy harfistka przechodzi gładko do następnego kawałka. Ja i Joan odwracamy się w jego stronę.

– Och, nie chciałeś oceniać z nami kawy, a w tę grę grasz – zauważa cicho Joan.

– Bo tę grę rozumiem – odpowiada Geoff. – I jestem w tym dobry. – Joan i ja musimy niechętnie to przyznać, bo gdy zaczyna się następna piosenka, Geoff niemal krzyczy uradowany: – *F.E.A.R.* Iana Brown!

Zerkam na niego.

– Geoff, nawet nie dałeś nam szansy zgadnąć – marudzę.

– Możesz spróbować z następną, ale tylko jeśli nie powiesz po raz trzeci *Fix You*.

Gdy wychodzimy na łagodne tokańskie słońce i obrzucamy nowożeńców konfetti z suszonych płatków kwiatów, zdaję sobie sprawę, jaka jestem szczęśliwa, mając przyjaciół, którzy są dla mnie jak rodzina.

Spoglądam na restaurację w rogu placu. Miranda wybrała ją na weselne przyjęcie po przeczytaniu recenzji na TripAdvisorze. Negocjowała bezpośrednio z właścicielem i zarazem szefem kuchni, twierdząc, że to tańsze niż wynajęcie firmy cateringowej. Czasami po prostu wie, czego chce, i do tego dąży. Też chciałabym taka być. Ostatnio myślę, że nie dzielą mnie od tego miliony kilometrów. Dokonywanie wyborów, podejmowanie decyzji, działanie na własną rękę – to sprawia, że jestem naprawdę szczęśliwa.

Kelnerzy i kelnerki wchodzą z tacami, więc bierzemy kieliszki prosecco i drobne przekąski na wykałaczkach, które możemy pogryzać, idąc przez plac do prywatnej enklawy, gdzie będziemy jedli, pili i świętowali przez następnych kilka godzin.

Dostrzegam kelnera, który obsługiwał mnie wczoraj, i uśmiecham się do niego. Nie rozpoznaje mnie, co lekko mnie deprymuje. Nie jestem bardziej umalowana niż wczoraj. Cholercia, aż tak łatwo mnie zapomnieć? Wychylam kieliszek prosecco i ruszam prosto do wymuskannej włoskiej kelnerki, która wygląda na lekko zaniepokojoną tłumem Brytyjczyków wpadających na nią i jej tace z alkoholem. Nie różnię się od nich, lecz gdy biorę z tacy trzy ostatnie kieliszki – dla siebie, Joan i Geoffa – mówię „dziękuję” i się uśmiecham. Moi przyjaciele są dopiero w połowie pierwszego kieliszka i patrzą z zainteresowaniem na mój zapal do picia.

Zostajemy zaprowadzeni do ogrodu, gdzie w głębi stoi sześć okrągłych stołów nakrytych białymi lnianymi obrusami, z białymi serwetkami i polnymi kwiatami w małych słoikach. Z wyjątkiem kwiatów i szkła wszystko jest białe. Na kremowych ceglanych murach wiszą doniczki z roślinami i girlandy białych lampek, na stołach w bezwietrzne popołudnie migoczą świece.

Podchodzi do nas Miranda, a my ściskamy ją po kolei i składamy życzenia.

– Wygląda jak zdjęcie z Instagrama! – piszczę.

– Wiem! – Miranda też piszczy. – Powinam krążyć między gośćmi, ale oczywiście zaczęłam od was i nie ruszę się stąd, dopóki Paul mnie nie zauważy.

– Miałas rację, tu nie ma odpowiednich facetów. – Daję jej lekkiego kuksańca.

– Wiem, przykro mi. Ale za to kilku kelnerów wygląda całkiem niezłe.

– Kilku kelnerów wygląda na dziewiętnaście lat – zauważam z przyganą.

– Więc? – odzywa się poważnie Joan, a Geoff rzuca mnie i Mirandzie spojrzenie mówiące: „co jest, do kurwy nędzy?”.



Zasiadamy do weselnego śniadania. Nigdy nie rozumiałam, dlaczego mówi się na to „śniadanie”, skoro ewidentnie jest to lunch. Kelnerzy pchają wózki wyładowane barwnym wyborem wędlin, serów i pieczywa i zachęcają, byśmy się częstowali, napełniali talerze i cieszyli się jedzeniem w oczekiwaniu na główne danie. Miranda wyznała, że tylko raz zachowała się jak upiorna panna młoda, kiedy upewniała się, czy jedzenie będzie w przeważającej części beżowe. W sukni koloru kości słoniowej przy pryskającym sosie marinara nie miałyby szans, więc główne danie jest tercetem makaronów, które natychmiast pochłaniam, z moimi ulubionymi *orecchiette* z kremowym sosem, chrupiącymi szparagami, prażonymi orzeszkami piniowymi i burrata. Nigdy nie sądziłam, że można pokochać makaron tak bardzo, jak ja pokochałam ten, a kiedy się skończył, rozglądałam się tęsknie, na wypadek gdyby zaproponowali więcej. Nie zaproponowali.

Gdy przychodzi czas na przemowy, wypłakuję morze łez. Słucham, jak tata Mirandy wygłasza najcudowniejszą mowę o dniu, w którym się urodziła. Na koniec świadek opowiada mnóstwo dowcipów o nadmuchiwanym lalkach i o tym, jak Paul zapisał sobie na ramieniu wszystkie francuskie czasowniki i dzięki tej sztuczce zdał maturę na czwórkę. Wybuchamy śmiechem, a jego mama ma przerażoną minę. Co rozśmiesza nas jeszcze bardziej.

Po przemowach jestem uprzejma i pamiętam, że gdy skończę pogawędkę z gościem siedzącym po jednej mojej stronie, powinnam zwrócić się do osoby siedzącej po drugiej i z nią również porozmawiać. To jeden z kumpli Paula o imieniu Jim. Gadamy o wakacjach, o Włoszech i Toskanii. Żadne z nas tu nie było, lecz ja mam nad nim kilka dni przewagi i Jim postanawia zostać nieco dłużej, więc zastanawiamy się, dokąd mógłby pojechać. Wyjmuję telefon i pokazuję mu zdjęcia kościołów... mnóstwa kościołów, galerii, muzeów i winnic.

Jim mówi, że wszystko, co do tej pory widział, to pola maków, i że były piękne. Pożyczył z hotelu rower i wczoraj tam pojechał.

– Jak długo się tam jedzie? – chcę wiedzieć.

– Około pół godziny. Są przepiękne.

Milczę, zastanawiając się, jak mogłabym zobaczyć pole maków, zanim jutro polecę do domu. Nie sądzę, by mi się to udało. Nie starczy mi czasu, bo dziś jest wesele, a lot mam o idiotycznie wczesnej porze.

– Jeśli chcesz pożyczyć hotelowy rower, jestem pewny, że mogę to załatwić – proponuje Jim. – Dość łatwo tam dotrzeć, po prostu wyjedź w miasta główną drogą, a potem w dół wzgórza.

Myślę o przebłyskach czerwieni, które dostrzegłam z okna hotelowego pokoju. Muszę tam pojechać. Muszę zobaczyć te maki. Pół godziny rowerem. Dziesięć minut stania na polu i pół godziny z powrotem. Powinnam zapytać Mirandę, czy nie ma nic przeciwko temu, że wymknę się w środku wesela.

Mówię Joan i Geoffowi, co zamierzam, a Geoff oznajmia, że skoro ja pojedę popatrzeć na pole, on wyślizgnie się na drzemkę, jak to robią mężczyźni w pewnym wieku.

– Oczywiście, że możecie przez chwilę odpocząć – zgadza się Miranda. – Specjalnie dla nas otworzyli wieżę zegarową, więc jeśli ktoś chce, może tam wejść i podziwiać widok. Niektórzy z gości tak robią, więc będzie chwila przerwy. Tort pokroimy później. Po prostu wróćcie na dwudziestą, dobrze? A my posiedzimy tutaj, posłuchamy śpiewaczki, będziemy wygrzewali się na słońcu, pili limoncello i prowadzili życie towarzyskie.

Jim i ja idziemy prosto do hotelu. Jim zamierza wypożyczyć dla mnie rower i wyprawić w drogę, a ja obiecuję, że wrócę za półtorej godziny, czy coś koło tego, tylko pomknę na pole makowe i wrócę. Jestem nieprzytomna z podniecenia. Nie sądzę, by pole maków zmieniło moje życie, ale jestem we Włoszech i muszę je zobaczyć.

ROZDZIAŁ 42

Davey

Gdy kończę przygotowywać tiramisu, do kuchni wkracza Marco. Pracuję z nim od kilku miesięcy, a to najbardziej zwariowany dzień, jaki mieliśmy. Marco był bardzo podekscytowany tym zleceniem, podekscytowany pieniędzmi i uznaniem, bo narzeczeni spośród wszystkich restauracji w mieście wybrali jego lokal. To tiramisu jest największym daniem, nad jakim kiedykolwiek pracowałem, i nie mogę uwierzyć, że Marco obdarzył mnie takim zaufaniem i mnie z tym zostawił.

Po drugiej stronie placu, w ogrodzie, śpiewaczka operowa zaczęła arię. Ledwie ją słyszę. Cały dzień spędziłem w kuchni i Marco mówi, że muszę wyjść i zaczerpnąć świeżego powietrza. Dostrzegam, że jeden z kelnerów wygląda na totalnie wykończonego. Przyniósł tacę z filiżankami do kawy i czeka, aż mama Marco ją zaparzy. Oboje wyglądają na zmęczonych, więc proponuję, że przejmę ich obowiązki i dam im pięć minut na złapanie oddechu. Napełniam kawą dwa dzbanki, biorę porcelanowe filiżanki sprowadzone specjalnie na to wydarzenie, opuszczam trattorię i wychodzę na słońce. Jest tak jasno, że przydałyby mi się ciemne okulary, ale ich nie mam. Moje oczy powoli się przyzwyczajają. Myślę o tym, że na cały dzień utknąłem w kuchni, ale byłem szczęśliwy. Teraz jestem na dworze i dobrze zmienić scenerię.

Zanoszę kawę do ogrodu i wypatruję kogoś, kto wygląda tak, jakby jej potrzebował. Nie jestem zawodowym kelnerem, lecz Marco zapewnił mnie, że goście w większości mówią po angielsku, więc jestem pewny, że nie będzie bariery językowej.

Mija mnie jakiś facet, idzie w stronę starszej kobiety i siada obok niej. Ona się odwraca, dostrzega, że niosę dzbanki i pokazuje gestem, bym podszedł.

Uśmiecham się do niej, a ona mówi:

– *Caffè, per favore.* – Zwraca się do młodego kolesia siedzącego obok niej: – Przynajmniej próbuję. To tyle, jeśli chodzi o moje postępy we włoskim.

– Może ja też próbuję – mówię.

Starsza pani podnosi na mnie wzrok.

– A więc nie jest pan Włochem. Zdradzają to pana blond włosy, prawda?

Uśmiecham się, nalewam jej kawę, ziewam i przepraszam.

– Panu też nalać kawy? – pytam mężczyznę, lecz on kręci głową.

– Wyglądasz na wykończonego, stary – mówi. – Usiądziesz?

Śpiewaczka się rozkręciła i choć nie jest to mój ulubiony rodzaj muzyki, działa kojąco. Ale nie mogę przecież siedzieć z gośćmi, prawda? To byłoby trochę dziwne.

– Nie, w porządku. Nie chcę przeszkadzać. Popatrzę stamtąd. – Wskazuję jeden z kamiennych filarów portyku opleciony kwiatami i lampkami.

– Ależ usiądź, proszę. – Kobieta się rozgląda. – Jeśli nie będziesz miał z tego powodu kłopotów, napij się kawy, to cię trochę orzeźwi.

To niezły pomysł, więc kiwam głową i siadam na krześle obok niej. Pozostałe krzesła są puste, a resztki jedzenia zabrane przez moich kolegów. Na stole przede mną leży komórka w różowym etui, więc przesuwam ją w stronę kobiety, sądząc, że to jej.

– Och, to mojej przyjaciółki. Nie wiedziałam, że ją zostawiła.

Koleś siedzący obok prawie nie słucha naszej rozmowy. Ciekawe, czy ta dwójka dobrze się zna, czy po prostu siedzą obok siebie, przypadkowi goście, znajomi na jeden wieczór, którzy potem...

Uświadamiam sobie, że zbyt często mi się to przydarza: przyjaciele na jeden dzień. Albo na kilka miesięcy. A potem nic. Odchodzą. Dlaczego śluby tak mnie przygnębiają? Dlaczego właśnie ten? Lepiej mi było w kuchni. Marco przygotowuje wieczorny bufet. Widzę, że w odległym zakątku ogrodu zespół wyjmuje instrumenty. Atmosfera wkrótce się zmieni. Kiedy śpiewaczka skończy, wstanę i wrócę do kuchni, by być poza zasięgiem wzroku ludzi.

Facet się rozgląda.

– Powinna wkrótce wrócić – mówi do kobiety. A więc słuchał. – Wysłałem ją na rowerze na pole maków. To nie zajmie jej dużo czasu. Może z godzinę?

Znów ziewam.

– Proszę to wypić – nakazuje kobieta, bierze z tacy filiżankę, nalewa mi mocnej czarnej kawy, wdychając jej aromat. – Mój mąż poszedł się zdrzemnąć. Powinnam mu powiedzieć, żeby też się napił.

– Mieszka pan tutaj? – pyta facet.

– Czasowo. Uczę się od szefa gotowania.

– Jedzenie jest doskonałe – podkreśla. – Naprawdę. Genialne. Strasznie się najadłem.

Kobieta kiwa entuzjastycznie głową.

– Powiem szefowi. Będzie przeschęśliwy. – Tak jak ja, przecież pomagałem przyrządzać niektóre potrawy.

Są zaintrygowani, że jestem Amerykaninem we Włoszech, pytają mnie, jakie miejsca odwiedzić, co polecam, jak długo tu jestem. Kobieta mnie rozśmiesza, podkreślając to, co mówi, dziwnymi przekleństwami. Wyczuwam, że jest trochę wstawiona. Już ją lubię.

Facet wstaje, bierze kawę i zwraca się do mnie i do starszej pani:

– Miło mi było państwa poznać. – Po czym tylko do starszej pani: – Sprawdzę, czy pani przyjaciółka bezpiecznie wróciła.

Kobieta bierze telefon przyjaciółki, wsuwa go do torebki i mówi:

– Dziękuję.

– Pana też miło było poznać – odwzajemniam uprzejmości.

Zastanawiam się, czy to znak, że ja też powinienem sobie pójść, ale nie chcę zostawiać kobiety samej, więc zostaję. Śpiewaczka przechodzi do następnej pieśni, a ja jestem oczarowany i dziwnie spokojny. Nie mam pojęcia, co to za utwór, lecz kobieta, obok której siedzę, nuci go cicho, po czym upija łyk kawy.

– Oj, nie jest to nespreso, prawda?

– To lavazza – odpowiadam ze śmiechem.

Kiwa mądrze głową.

– To bezdyskusyjne pięć na pięć. A ja rzadko daję pięć.

Odwracam się od śpiewaczki i poświęcam kobiecie całą moją uwagę, a mój umysł przetwarza to, co właśnie powiedziała. Przez chwilę nic nie mówię, aż wreszcie pytam:

– Czy ocenianie kawy to narodowa rozrywka Brytyjczyków?

Kobieta uśmiecha się dziwnie z mieszaniną dumy i zażenowania.

– Nie. To sport, który uprawiamy moja sąsiadka i ja. Mąż uważa nas za wariatki, bo stoimy na zimnie i oceniamy smaki nespreso na od zera do pięciu. Sądzi, i się z tym nie kryje, że powinniśmy oceniać do dziesięciu i wprowadzić bardziej spójny system punktacji, zamiast brać liczby z powietrza.

Kiwam głową, upijam łyk kawy, ale myślami błędzę gdzie indziej, wracam do rozmów, które prowadziłem dawno temu z kimś, kto też oceniał kawę.

– Pani sąsiadka?

– Tak. To właściwie jedyne chwile, kiedy się z nią widzę. Przez płot w ogródku.

Myślę intensywnie. Mój umysł jeszcze nie zaskoczył. Może dlatego że jestem bardzo zmęczony. Nie chcę zadać tego pytania. Nie chcę wspominać jej imienia, więc nie pytam, jak się ta sąsiadka nazywa. To nie może być Hannah. Jej sąsiadką nie może być Hannah. Więc nie pytam. I nie pozwalam sobie o tym myśleć.

Mówi się, że jednego człowieka od drugiego dzieli sześć osób. Sześć stopni oddalenia. Sześcioro ludzi stojących między mną i każdą osobą na tej planecie. Podobno. Patrzę na kobietę siedzącą po mojej prawej stronie, na kobietę, którą właśnie poznałem, i odważam się pomyśleć nieśmiało, że jej od Hannah nie oddziela sześć osób, że jest o wiele bliżej. Moje milczenie się przedłuża i już nie mogę słuchać śpiewaczki, bo słyszę tylko coraz mocniejsze i szybsze bicie własnego serca, więc odwracam się do niej i pytam:

– Czy pani ma na imię Joan?

Wpatruje się we mnie, a ja mam wrażenie, że coś wyssało z ogrodu całe powietrze.

– Skąd, na Boga, pan to wie?



Dziesięć minut później Joan ściska moje ramię i ciągnie mnie w stronę państwa młodych. Nie mogę mówić ani myśleć. Ledwie idę. Od kiedy ustaliliśmy, że ona jest tym, kim jest, a ja jestem tym, kim jestem, Joan działa za mnie.

Panna młoda robi krok do przodu i oskarża Joan, że „Geoff drzemie po lunchu, a ona wyrywa dobrze zbudowanego młodego kelnera”.

Joan z szeroko otwartymi oczami kręci głową i mówi do niej:

– Muszę cię wypożyczyć na pięć minut.

Starsza pani i świeżo upieczona żona opuszczają mały krąg przyjaciół, którym przeszkodziliśmy, i idziemy pod portyk.

Panna młoda przesuwa po mnie wzrokiem raz czy dwa. Czuję się skrępowany jeszcze bardziej niż przedtem.

– Mirando, to jest Davey – oznajmia Joan.

Miranda uśmiecha się do mnie i wyciąga rękę.

– Cześć, Davey. Jesteś jednym z przyjaciół Paula?

– Nie, nie, pracuję w restauracji – odpowiadam jak automat.

Teraz mnie nie ma. Zostaw wiadomość. To jest Miranda! To jest Miranda, przyjaciółka Hannah!

– Jedzenie jest znakomite – mówi Miranda. – Nie mogę się doczekać tortu – dodaje.

– Dziękuję, przekażę komplementy szefowi. – Teraz jeszcze bardziej przypominam automat. Nawet nie zdaję sobie sprawy, że mówię.

– Przestań gadać o jedzeniu! – prychna Joan. – To jest Davey!

Miranda niby się śmieje, ale wygląda na zdezorientowaną.

– Już to mówiłaś. – W jej śpiewnym tonie słychać zakłopotanie.

– Davey – powtarza Joan z większym naciskiem. – Davey od Hannah.

Miranda patrzy na mnie, na Joan, a potem znów na mnie, po czym unosi głowę i pyta powoli:

– Że co?

Joan kiwa głową.

– Davey od Hannah – mówi jeszcze raz i wszyscy tworzymy dziwaczny trójkąt niedowierzania.

– Davey od Hannah? – cedzi Miranda, również powoli. – Davey, ten od Hannah jest... tutaj?

Potwierdzam milcząco. Nie wiem, co mógłbym jeszcze zrobić. Czy powiedzieć. Co brzmiałoby choć trochę normalnie.

– Co ty tu robisz? – pyta Miranda. Jej głos jest o oktawę wyższy niż przedtem, słychać w nim niedowierzanie.

– Pracuję. A raczej pracowałem, bo jutro wyjeżdżam.

Mirandzie opada szczeka, mruga kilka razy. Wygląda, jakby chciała zakląć.

– Kuuurwaaa... – mówi wreszcie, wpatrując się we mnie. – Mój Boże, jesteś taki jak na zdjęciach, a teraz na ciebie patrzę.

Prostuje się i rozgląda. Żadne z nas się nie odzywa, aż wreszcie podchodzi pan młody i wlepia we mnie oczy.

– Cześć – rzucam, bo nikt nic nie mówi.

– Cześć, stary – odpowiada, jest trochę podchmielony. – Muszę wyznać, że wypięłem kilka piw. Wiem, że powinienem cię znać, bo jesteś na moim weselu, ale jeśli mam być szczery, to nie pamiętam, skąd cię znam i jak masz, kurde, na imię.

Miranda i Joan wyglądają na zagubione. Wiem, że ja też, ale odruchowo wyciągam rękę.

– Jestem Davey.

– Miło mi cię poznać. – On też wyciąga rękę, lecz zatrzymuje się w pół drogi, podchodzi bliżej i uważnie mi się przygląda. Potem patrzy na Mirandę, jakby chciał coś powiedzieć, ale nie wie co. – Davey? Ten... ten... – Przenosi wzrok na mnie. – No...

– Tak – wtrąca się Joan. – To ten Davey.

– Co. Jest. Kurwa? Naprawdę? Hannah cię zaprosiła?

– Uciszcie się... na sekundę. Muszę pomyśleć – mówi Miranda. – A właściwie, to gdzie jest Hannah? Nigdzie jej nie widzę.

Na te słowa gwałtownie się prostuję.

– To Hannah tu jest?

Miranda potwierdza.

No oczywiście, że Hannah powinna tu być. To jest Miranda. Jej najbliższa przyjaciółka. To jasne, że

powinna być na ślubie najbliższej przyjaciółki. O mój Boże, Hannah tu jest. Nie wiem, co robić. Poza tym prawie spotkaniem na stacji metra nigdy nie widziałem jej w prawdziwym życiu. Nigdy nie miałem okazji. Los, czy co to tam jest, miał wobec mnie inne plany, upewnił się, że nigdy jej nie spotkam. A potem sam utwierdziłem się w przekonaniu, że to się nie stanie, i już nigdy do niej nie zadzwoniłem.

A teraz... ona tu jest. I ja tu jestem. I jestem przerażony. A jeśli nie będzie chciała mnie widzieć? Jeśli mnie nienawidzi? To jest Hannah... którą polubiłem, w której się zakochałem i którą porzuciłem. Nie chciałem z nią rozmawiać. Nigdy jej nie podziękowałem za to, że namówiła mnie na ostatnią serię chemioterapii. Nie powinienem jej tak traktować. Ale teraz muszę opuścić to wesele. Nie wolno mi znów wywracać życia Hannah do góry nogami, zwłaszcza że jest z kimś innym. Uważam, że to przyniesie więcej szkody niż pożytku. I mówię to Joan.

– Nie gadaj bzdur – ucina. – Już nie są razem. On do niej nie pasował. Tej dziewczynie na tobie zależało, martwiła się o ciebie i jestem pewna jak cholera, że cię kocha.

– O Jezu! – Przesuwam dłonią po twarzy.

Jak ja mam, do diabła, na to zareagować? Przecież nie mogę powiedzieć, że czuję to samo. Nie mogę powiedzieć Joan niczego takiego. Ale jeśli nawet Hannah nie jest już z tamtym facetem, czy mogę to zrobić? Tak po prostu wkroczyć w jej życie, jakby nic się nie stało?

– Jeśli myślisz, że znów możesz odejść... – wtrąca się Miranda – to powiem Paulowi... nie, powiem Joan, żeby cię przytrzymała, a ja wymyślę przez ten czas, co zrobić. – Spogląda na Paula, który wzrusza ramionami i popija piwo. – Nie waż, się kurwa, nigdzie iść – ostrzega mnie.

Grzebie w kieszeni męża w poszukiwaniu komórki, po czym coś na niej niecierpliwie wystukuje. Obok mnie dzwoni torebka Joan i Joan zmuszona jest wyjaśnić, co się dzieje, gdy Miranda się poddaje po bezowocnej próbie połączenia się z Hannah.

Muszę coś zrobić. Nie chodzi o nich. Chodzi o mnie. Chodzi o Hannah. Wreszcie moja kolej, bym wkroczył do akcji.

– Idę jej poszukać – oznajmiam zdeterminowany, a wszyscy patrzą na mnie, jakby wątpili w ten nagły zwrot i spodziewali się, że ucieknę.

Wiem, że właśnie to powinienem zrobić. Cokolwiek się stanie, Hannah i ja musimy się spotkać. Nie wiem, czy będziemy razem, nie wiem, czy po całym tym czasie mnie zechce. Wiem jednak, że muszę się tego dowiedzieć.

Popatrzeć jej w oczy i przeprosić. Zobaczyć ją w prawdziwym życiu. Muszę to wszystko zrobić, zanim każde z nas pójdzie w swoją stronę.

– Jest na polu maków przy głównej drodze wyjazdowej z miasta – mówi podekscytowana Joan.

– Okej – odpowiadam cicho.

Odwracam się, lecz Miranda przywołuje mnie z powrotem.

– Wiem, że miałeś ciężki czas. Nawet nie potrafisz sobie wyobrazić, przez co przeszedłeś. Ale jeśli ją znajdziesz i po raz drugi złamiesz jej serce, dopadnę cię i wypatroszę jak rybę.

Ze zdziwienia aż otwieram usta. Ale kiwam głową.

– Brzmi uczciwie.

Oddalam się od nich powoli, wychodzę z ogrodu i idę przez plac. Wiem, że mnie obserwują, lecz nie oglądam się za siebie. Wpatruję się w kamienie brukowe pod stopami, aż się rozmazują, gdy zaczynam biec. Biegnę tak szybko, jak nie biegłem od długiego czasu. Jestem tak pochłonięty tym, co mam zrobić, jak w zeszłym roku. To wróciło: potrzeba zobaczenia Hannah. Uderza mnie przytłaczający przyływ adrenaliny.

Wpadam do restauracji.

– Potrzebuję twojego motocykla – rzucam do Marco. – Nie prosiłbym, gdyby to nie było ważne.

– *Cosa intendi?*[6] – Marco podnosi wzrok znad sosu, który właśnie miesza.

– To długa historia. Muszę pożyczyć twój motor. Muszę kogoś odnaleźć.

– *Vita o morte?*[7]

Teraz nie czas na drażnienie tematu i mówienie powoli po włosku, więc trzymam się mojego „domyślnego ustawienia” pół na pół.

– Nie zamierzam kłamać. To nie życie albo śmierć. To coś jeszcze innego. *Amore*.

– *Amore*. – Marco kiwa głową i sięga do kieszeni spodni po kluczyki. – Nic więcej nie mów, mój przyjacielu. – Rzuca mi je i wskazuje kask. – To też węz.

– *Grazie*, Marco.

Pewnego wieczoru Marco, gdy zamknęliśmy, pozwolił mi dla zabawy przejechać się na swoim motorze w górę i w dół ulicy. Załapałem, ale mnie to nie cieszyło. Dawcy narządów, tak moja mama nazywa motocyklistów. Ostatnio wystarczająco często ocierałem się o śmierć. Teraz jednak myślę, że może warto spaść z tego czegoś, a nawet się zabić, pragnąc zobaczyć Hannah. Za restauracją wsiadam na motor, przekręcam kluczyk, zakładam kask i wyjeżdżam z miasta w stronę pola maków.

ROZDZIAŁ 43

Hannah

Tutaj wszystko jest takie nieruchome, z wyjątkiem kwiatów. Pole znaczą smugi czerwonopomarańczowych maków falujących lekko na tle zielonego pejzażu, wszystko wygląda jak obraz namalowany czystymi barwami, który ożył tylko dla mnie. Przyłapałam je w chwili chwały. Za kilka tygodni, gdy skończy się wiosna, ustępując miejsca włoskiemu latu, maki zaczną znikać. Teraz jednak są niezwykle bujne, a ich płatki cienkie i delikatne. Wzdłuż drogi rośnie rząd wysokich cyprysów, o jeden z nich oparłam rower wypożyczony przez Jima

Z tyłu spoglądają na mnie wzniesione na skale mury Montepulciano w kolorze piasku i górująca nad nimi średniowieczna cytadela. Nade mną ciemnoniebieskie tokańskie niebo. Wzdycham głośno, ale nie ma tu nikogo, kto by mnie usłyszał. Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów jestem sama. Jak to się dzieje, że choć mieszkam w pojedynkę, zawsze jestem z kimś? Gdy nie mam żadnych zajęć, szukam towarzystwa, nie wiedząc, co ze sobą zrobić. Nigdy nie stanęłam w ciszy w moim mieszkaniu. Ciągłe jestem czymś zaabsorbowana. Albo oglądałam telewizję. Zawsze w ruchu. A teraz się zatrzymam. Powinnam zamknąć oczy, lecz to, co mnie otacza, jest zbyt wspaniałe. Kołyszące się lekko polne kwiaty, a wokół pola i doliny. Muszę spędzać mniej czasu na bieganiu po parku, a więcej na oglądaniu polnych kwiatów. Zawsze jestem w biegu. Nigdy nie przystaję. Nie doceniam prostych rzeczy.

Zobaczyłam maki i nie chcę stąd odjeżdżać. Jeszcze nie teraz. Powiedziałam Jimowi, że spędzę tu dziesięć minut. Nie powinnam niepokoić Mirandy w dniu jej ślubu. Ale słońce świeci wysoko na niebie, a maki rosną tak obficie.

Nie czuję się jak Lucy Honeychurch z *Pokoju z widokiem*, mimo że jestem tu, w tym miejscu. Czuję się jak ja. To sprawia, że uśmiecham się jeszcze szerzej. Bycie sobą wcale nie jest takie złe. Może szukałam tego, co już miałam? Dobre rzeczy zdarzają się tym, którzy na nie czekają. A ja czekałam, żeby się dowiedzieć, czy lubię siebie. I myślę, że tak.

Cisza mnie otacza, lecz nie pochłania. Spaceruję po polu. Jeszcze dziesięć minut. Ten dzień nie jest dla mnie, jest dla Paula i Mirandy, więc spędzę tu jeszcze tylko dziesięć minut i wracam. Muskam palcami maki. Za długo mnie nie ma. Zaraz wracam. Już za chwilę...

Wszystko wokół mnie jest takie ciche. Z wyjątkiem ryku motocykla na drodze za mną.

ROZDZIAŁ 44

Davey

Widzę ją. Ma na sobie blad różową sukienkę. Ścisną mnie w żołądku, choć jeszcze do niej nie podszedłem. To się dzieje. To właśnie się dzieje. Zatrzymuję motor, a ponieważ nie mam wprawy, chwycę się pode mną. Wyłączam silnik, podprowadzam motor do cyprysów, opuszczam podpórkę i stawiam obok roweru. Roweru Hannah. Zdejmuję kask, kładę na siedzeniu motoru Marco i znów zaczynam panikować. Jak wyglądam? Czy nie jestem potargany? Sprawiam wrażenie zmęczonego. Tak powiedział facet przy stole. Czy Hannah w ogóle mnie rozpozna? Czy będzie chciała mnie rozpoznać? Co powie? Cokolwiek to będzie, zniosę to.

Zaczynam nerwowo pstrykać palcami, przesuwał dłońią po włosach, które odrosły nieco ciemniejsze niż przedtem. Nie mogę tu stać cały dzień. Teraz albo nigdy. Zaszedłem tak daleko. Niech się dzieje, co chce.

ROZDZIAŁ 45

Hannah

Dzięki Bogu motor przestał hałasować. Rozglądam się, lecz nie widzę ani maszyny, ani motocyklisty, pewnie pojechał dalej. Odwracam się, by spędzić tu jeszcze minutę, bo naprawdę pora już iść.

Gdy ruszam przez morze maków w stronę roweru, dostrzegam mężczyznę zmierzającego między cyprysami na pole.

Idę i zastanawiam się, czy motocyklista się zatrzymał, ponieważ zobaczył na polu samotną kobietę, co jest doskonałą okazją, by na nią napaść, bo niczego się nie spodziewa. Wciąż jest daleko, lecz im bardziej się zbliża, tym wyraźniej widzę, jaki jest wysoki. Unosi rękę i patrzy wprost na mnie. Nie dostrzegam rysów jego twarzy, lecz coś każe mi się zatrzymać i na niego gapić. Rozglądam się, po czym ruszam, lecz tym razem o wiele wolniej niż przedtem. Jesteśmy tu tylko my, więc byłoby nieuprzejme – i dziwne – gdybym nie zauważyła osoby, obok której przechodzę. Powiem „dzień dobry” i wrócę rowerem na wesele.

On idzie w moją stronę, a ja w jego, aż jesteśmy około trzydziestu metrów od siebie, lecz gdy otwieram usta, by pozdrowić nieznanego, nie wydobywa się z nich żadne słowo. Tylko na niego patrzę. Nie zdaję sobie sprawy, że się zatrzymałam, on jednak nie przestaje iść, zmniejszając odległość między nami. Wreszcie jest tak blisko, że jeśli zrobię dwa czy trzy kroki, będę mogła go dotknąć.

Mrugam raz, dwa razy, lecz wciąż brakuje mi słów. Ponieważ to niemożliwe, by stojący przede mną mężczyzna był tym, kim myślę, że jest. Kiedyś widziałam go wszędzie. Kiedyś sądziłam, że widzę go na ulicy czy w autobusie. Wydawało mi się, że gdy pójdę do pracy i otworzę drzwi biura, on będzie tam na mnie czekał. Był czas, kiedy miałam pewność, że to on, w metrze. Wymówił bezgłośnie moje imię, nie dzieliły nas już tysiące kilometrów, tylko kilka centymetrów szkła... i o wiele więcej: to, co zostało powiedziane, i to, co nie zostało.

Niemożliwe więc, by mężczyzna stojący przede mną na polu maków w Montepulciano to był Davey. Chociaż wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazują na to, że jest. Zaciskam zęby i kiedy ból zaczyna promieniować do szczęk, inny ból znajduje drogę do mojego serca i ośmielam się oddychać, ośmielam się mówić. Tylko że on odzywa się pierwszy:

– Hannah. – To z pewnością jest akcent Daveya.

Na jego twarzy powoli pojawia się uśmiech. Taki sam jak podczas wideorozmów i na zdjęciach, które skasowałam. I nie jestem w stanie nic powiedzieć. Mogę tylko skinąć głową, a wtedy wszystkie emocje, które tłumiłam przez cały ten czas – i takie, których nie tłumiłam – wypływają na powierzchnię. Zaczynam płakać. Davey robi krok do przodu.

– Hannah – powtarza nieco łagodniej. – Nie płacz.

– Jesteś tutaj. – Tylko na tyle potrafię się zdobyć. Moje synapsy zalewa niedowierzanie.

On kiwa głową, nie spuszczać ze mnie wzroku.

– I ty też.

– Tak – szepczę, choć nie jestem pewna, czy mnie słyszy.

Davey podchodzi jeszcze bliżej i ściera z mojego policzka strużkę łez.

– Tak bardzo cię przepraszam.

– Za co? – pytam.

Davey tu jest!

– Za wszystko. Za wszystko, co zrobiłem. Za wszystko, co powiedziałem. Za wszystko, czego nie powiedziałem. Za to, że zniknąłem. Sądziłem, że to będzie jak plaster, sądziłem, że gdy się z tobą rozstanę, to będzie tak, jakbym go zdarł i ból minie. Teraz zdałem sobie sprawę, że ból zniknął, ale ciebie nie ma. Przepraszam, bo wciągnąłem cię w coś, co nie było twoją sprawą, twoim cierpieniem, a kiedy próbowałaś przy mnie być, nie pozwoliłem ci na to. Byłem pewny, że tak będzie najlepiej.

– Zraniłeś mnie – mówię, ponieważ to prawda i ponieważ nie mogę wymyślić, co jeszcze powiedzieć. On tu jest, stoi przede mną. Miałam rację, by na niego spojrzeć, muszę unieść głowę, taki jest wysoki. A jego włosy nie są tak jasne, jak były. Widzę jego niebieskie oczy tak wyraźnie, że dostrzegam małe żółte cętki tworzące aureolę wokół tęczówek.

– Nie wiedziałam, co robić. Chciałam pomóc, a ty mnie odepchnąłeś.

– Wiem. – Bierze mnie za rękę i nie mogę uwierzyć jak dobrze, po całym tym czasie, móc go dotknąć. Jego dłonie są większe, niż sobie wyobrażałam. Pochłaniają moje i jest tak, jakby przepływała przez nas cała elektryczność świata.

– Masz takie delikatne dłonie – mówi. I śmieje się zaszokowany, jakby nie mógł uwierzyć, że tu jestem. Ja też nie mogę uwierzyć, że on tu jest, i mu to mówię. Davey najwyraźniej musi mi coś powiedzieć, więc ciągnie: – To, że zadzwoniłem do ciebie przez pomyłkę... nie wiem, czy to było przeznaczenie. Nie jestem pewien, czy w to wierzę. Ale odnalezienie cię tutaj, właśnie teraz... stoisz tu przede mną... Trudno zaprzeczyć, że ty i ja jesteśmy tu, na tym polu, i ja powinienem cię przeprosić i podziękować. A potem... Jezu, nie mam pojęcia, co ma być potem.

W odpowiedzi ściskam tylko jego rękę, moje palce oplatają jego opalone palce, ponieważ nie wiem, co chciał przez to powiedzieć, i ponieważ on tu jest, a być może już nigdy nie będziemy mieli takiej szansy. Może już nigdy nie będę miała szansy dotknąć dłoni Daveya, dotknąć jego. Może to kolejny śmiesznie szlachetny gest, a potem znów wytnie mnie ze swojego życia. Mocniej ściskam jego rękę.

– Dlaczego mi dziękujesz?

– Bo uratowałaś mi życie.

Wiem, że wyglądam na zdezorientowaną.

– Niby jak?

– Zadzwoniłaś do mnie i domagałaś się, żebym poszedł na ostatnią serię chemii.

– Zrobiłbyś to i beze mnie.

– Nie jestem tego taki pewny. Jak powiedział Grant, byłem egoistycznym fiutem. Poszedłem na chemię, ponieważ powiedziałaś, że inni zabiliby za możliwość takiego leczenia, jakie ja miałem. Za szansę na życie.

– Jak się teraz czujesz? – pytam szeptem. Mam cichą nadzieję, że chemia zadziałała tak, jak miała zadziałać. Bez niej miałby szansę przeżyć najwyżej pięć lat. Nawet nie chcę sobie tego wyobrażać. Nie mogę znieść myśli o świecie bez Daveya, nawet jeśli on będzie żył w swoim świecie, beze mnie.

– Dobrze. Tak sądzę. Wyniki badania krwi były w normie. Żyję. Choć teraz mam lekki mętlik w głowie – wyznaje, lekko się uśmiechając. – Ale tu jestem.

Przyglądam mu się. Też chcę się uśmiechnąć, lecz zamiast tego pytam:

– I co teraz?

Davey uśmiecha się jeszcze szerzej.

– Nie wiem, Hannah.

– Widziałam cię wszędzie. A ciebie nie było. A potem byłeś. Na peronie i w wagonie metra. To byłeś ty czy nie ty?

– Tak, to byłem ja.

– Dokąd jechałeś?

– Donikąd. Dokądkolwiek. Wiem, że jeśli powiem, że pojechałem odnaleźć siebie, wyjdę na fiuta, zwłaszcza że mi się nie udało. Nie odnalazłem siebie. Więc przyjechałem odnaleźć ciebie, nie szukając cię. Byłem też w Whitstable.

Ze zdumienia otwieram usta.

– Naprawdę?

– Siedziałem na kamienistej plaży i patrzyłem na morze. Chciałem widzieć to samo, co widziałaś ty, gdy rozmawialiśmy w sylwestra. Chciałem zobaczyć miasteczko, w którym dorastałaś. Chciałem cię tam poczuć. I w jakiś sposób poczułem. Ale byłem tchórzem i do ciebie nie zadzwoniłem... To, jak cię zostawiłem, jak się zachowywałem... naprawdę myślałem, że lepiej ci będzie beze mnie.

Najpierw kiwam głową, a potem nią kręcę.

– Zerwałaś ze mną, kiedy jedyne, czego chciałam, to być z tobą... To było takie trudne. Ale rozumiem, dlaczego tak postąpiłaś.

– Nie chciałem, żebyś była częścią mojej choroby. Nie chciałem być z tobą tylko dlatego, że połączył nas rak.

– Ale przecież nie to nas połączyło. Przecież gdy zachorowałaś, byłam daleko, a ty pozwoliłaś, by twoja choroba jeszcze bardziej nas rozdzieliła.

Davey wzdycha głęboko.

– Teraz to wiem. Ale wtedy nie miałem siły zastanawiać się nad tym, co będzie dla nas najlepsze. Nawet nie wiedziałem, czy będziemy jacyś „my”. Wiedziałem, że cię lubię, mimo to pomyślałem, że najlepiej będzie pozwolić ci odejść. A potem za tobą tęskniłem, a utrata ciebie bolała tak bardzo, że nie mogłem nikomu o tym powiedzieć. Nawet tobie.

Bierze w dłoń moją drugą rękę i stoimy, splatając palce, tylko my, na polu szkarłatnych maków, półtora roku po tym, gdy przez pomyłkę do mnie zadzwonił. Nigdy nie sądziłam, że coś takiego w ogóle jest możliwe.

– Nie wiem, co teraz zrobić – wyznaje.

– Ja też nie.

Lecz nagle wiem. Puszczam rękę Daveya, dotykam jego twarzy, przesuwam dłoń po policzku. Nareszcie czuję go pod palcami, realnego człowieka, który tu stoi, który nie jest już daleko, który za mną tęsknił, za którym ja tęskniłam i z którym od dziś chcę spędzić każdy dzień, poznawać go, dotykać, całować, być z nim. Nagle robię się odważna i mu to wszystko mówię. Wyznaję, jak bardzo chcę go poznać, jak bardzo chcę z nim być. I staram się nie płakać, gdy zapewnia, że pragnie tego samego i jakie mamy szczęście, że po tym wszystkim, co się wydarzyło, dostaliśmy drugą szansę. A potem pochyla się, bierze mnie w ramiona, mocno przytula, a każda część mnie ożywa, gdy Davey całuje mnie na polu maków w Toskanii. To wszystko, czego pragnęłam. I o wiele więcej.

ROZDZIAŁ 46

Hannah, październik

Jestem na lotnisku i czekam na Daveya. Odkąd odnaleźliśmy się we Włoszech, byłam tu w prawie każdy weekend. Odkąd staliśmy na tamtym polu, trzymając się za ręce i snuliśmy plany, niezliczoną liczbę razy wylatywałam stąd lub czekałam na jego przyjazd. Umówiliśmy się, że gdy podejmiemy naukę w szkole gotowania, będziemy latali na zmianę do Londynu i Florencji, wiedząc, że potrwa to tylko przez lato. Nie przejmowałam się tym, że może tak być już zawsze. Dom to człowiek, nie miejsce.

Teraz jednak jest inaczej. Ustaliliśmy, że będziemy żyć dniem dzisiejszym, z tych dni zrobiły się miesiące, a teraz snujemy plany na nadchodzące lata – polecimy razem do Stanów, żebym mogła poznać jego rodziców. Planujemy też, gdzie zamieszkamy w Londynie, a właściwie nie planujemy. Bo nie wiem, czy Davey zamierza zostać u mnie tylko przez jakiś czas, a potem znaleźć sobie coś w pobliżu. Mamy jeszcze tak dużo do odkrycia w sobie nawzajem i szczęście, że przed nami tyle czasu.

Mam przebłyski wspomnień, jak stałam tu prawie dwa lata temu, trzymałam afisz i zastanawiałam się, czy kupić Daveyowi kawę. Czekałam na mężczyznę, którego nie widziałam na oczy i który nigdy nie przybył. Tym razem jest zupełnie inaczej. Tym razem naprawdę przyleci. Zanim wsiadł do samolotu, wysłał mi wiele wiadomości. I tym razem, kiedy wylądował, wiem, że naprawdę jest gdzieś na lotnisku. Czekam na niego. A on czeka na mnie.

Lato się skończyło, a Davey skończył szkołę gotowania. W hali przylotów czuć jesienny chłód. Otulam się kurtką, mijają mnie ludzie, witają starych przyjaciół i ukochanych. W sklepach na lotnisku sprzedają już świąteczne gadżety. Zawsze uwielbiałam ten czas w roku. Do mojego mieszkania wdarł się kolejny komplet lampek, tym razem oplata radośnie szafki w kuchni. Nie ma jeszcze połowy października, a ja jestem gotowa na Boże Narodzenie. Jestem gotowa na Daveya. Jestem gotowa na wszystko.

Davey przesyła mi zdjęcie, jak odbiera bagaż. Dwa plecaki z jego podróżnym życiem. Na zdjęciu z taśmociągami ma oczy zmęczone po locie, jednak uśmiecha się konspiracyjnie i wskazuje zdjęcie za sobą, na którym ktoś stoi. To fotos z programu o nieruchomościach, który oglądaliśmy jednocześnie w niektóre wieczory, on we Włoszech, ja w Londynie.

Po kilku minutach widzę, jak automatyczne drzwi się otwierają i w moją stronę idzie niemal dwumetrowy blondyn. Podchodzi do mnie i mocno się przytulamy.

Staję na palcach, by go pocałować.

A potem zabieram do domu.

OD AUTORKI

W pierwszych miesiącach 2013 roku mój mąż Steve, młody (trzydzieści jeden lat), wysportowany, zdrowy, niepalący, pijący umiarkowanie facet, bardzo aktywny, zaczął się źle czuć. Właśnie planowaliśmy drugie urodziny naszej córeczki. Byliśmy przeciętnym małżeństwem, zastanawialiśmy się, dlaczego nasza mała nie śpi, dlaczego je tak, jakby nie było jutra, i jak mamy radę wychowywać dziecko, skoro oboje mamy własne firmy: ja prowadziłam agencję PR, a Steve zarządzał budowlami w południowo-wschodniej Anglii. Bardzo rzadko przyjeżdżałam do Wielkiej Brytanii. Sądziłyśmy, że było nam tak ciężko, jak to tylko możliwe. A potem Steve podupadł na zdrowiu. Nie bardzo, lecz na tyle, by leżeć przez kilka dni w łóżku i narzekać, że czuje się zmęczony, nie może się ruszyć i musi odpocząć. Trzeciego dnia nawet mój niefrasobliwy mąż zaczął się denerwować. I wtedy padły fatalne słowa:

- Jedno z moich jąder wygląda trochę dziwnie.
- Jak dziwnie?
- Spuchło do rozmiarów pomarańczy.

Nie spieszyłam się z wezwaniem lekarza. Nie sądziłam, że to coś więcej niż skutek jakiegoś urazu. On też nie. Zadzwoiłam do mojej mamy. Razem pogoolowałyśmy (nie róbcie tego!) i zdiagnozowałyśmy u Steve'a świnkę, mimo iż był pewny, że został przeciw niej zaszczepiony.

Ponieważ nasza córeczka nie była jeszcze na szczepieniach, zawiozłam ją do mamy, a Steve dochodził do siebie. Leczenie świnki polega właściwie na przeczekaniu, co Steve zrobił. Dwa dni powinny wystarczyć, jednak on czuł się coraz gorzej.

Choć brzmi to dziwnie, gdy patrzymy w przeszłość, zdajemy sobie sprawę, że nasz pies wiedział, że dzieje się coś poważnego, a my nie. Psy mają dziwny zmysł powonienia i często intuicję, której my nie mamy. To wrażliwe i bystre zwierzęta. Socks, nasz mały piesek, którego już z nami nie ma, powąchał Steve'a, po czym zwinął się obok niego na łóżku, zaskowyczał i nie dał się ruszyć.

Mogłabym skrócić tę historię, lecz tego nie zrobię, ponieważ jeśli w Waszym życiu jest mężczyzna lub jesteście, Czytelnicy, mężczyznami, te informacje mogą Wam się przydać. I może pewnego dnia ocalą Wam życie. Więc zapnijcie pasy. Wyruszamy w podróż z błędną diagnozą raka i z pewnością nie chcecie tego przegapić.

Zapisałam Steve'a na wizytę do naszego lekarza. Rejestratorka miała chyba więcej entuzjazmu niż wiedzy, ponieważ wysłała go do domu, zgadzając się z nami, że to świnka.

Minęło kolejnych kilka dni, kazano nam czekać na wyniki badania krwi, które nigdy nie nadeszły.

Podzwoniłam w parę miejsc, mąż wciąż leżał w łóżku i był szary na twarzy, a śmierć rozpoczęła swój bezlitosny pościg.

Wreszcie spotkaliśmy się ze starszym lekarzem, który wyglądał bardzo poważnie i skierował Steve'a do specjalisty. Czekaliśmy... a potem Steve został wezwany na USG, które, według radiologa, niczego nie wykazało.

- Boli?
- Nie. (Tu powinno zapalić się czerwone światełko, ale wtedy tego nie wiedzieliśmy).
- Nie boli w ogóle?
- Nie.

– Prawdopodobnie nic panu nie jest. To pewnie infekcja. Musi pan wrócić do swojego lekarza i poprosić o antybiotyki.

Szósty zmysł to zabawna stara bestia. Steve był zachwycony, uśmiechał się triumfalnie, choć wciąż wyglądał okropnie. Mnie jednak zrobiło się niedobrze i wiedziałam, że coś jest bardzo nie tak. Steve wrócił do łóżka i wziął więcej paracetamolu. Ja poszłam wyprowadzić psa – najpierw musiałam ściągnąć go ze Steve'a – i w połowie zwyczajowej spacerowej rundki wyjęłam telefon, zadzwoniłam do wujka, który pracował w prywatnym szpitalu, i spytałam:

- Znasz jakiegoś dobrego urologa? Sądzę, że Steve ma raka.

I tu wkrocza nasz wybawiciel Henry Lewi, człowiek, który wiele lat wcześniej doszedł do tego, że powodem późnego rozpoznawania raka jąder mogą być urazy sportowe – nie żeby Steve takie urazy miał. Mówię Wam to tylko po to, by pokazać, że lekarze w średnim wieku, którzy mają doświadczenie, widzieli

wielu pacjentów i wiedzą różne rzeczy. Po jakimś czasie, gdy Steve'owi nic już nie groziło, powiedział nam, że pracując w Szkocji, u kilku policjantów w Glasgow zdiagnozował raka jąder spowodowanego tym, że nosili pałki po określonej stronie. Pewne miejsca były narażone na tarcie, co otwierało drogę nowotworowi. Ot, taki wesoły fakt.

Pan Lewi natychmiast wysłał Steve'a do swojej specjalistki od USG na kolejne badanie. Patrzyłam, jak skanuje jego intymne części ciała, potem dół brzucha, organy znajdujące się wyżej, klatkę piersiową i przesuwając się w stronę szyi. Pamiętam, że myślałam: O Boże, ona szuka czegoś na górze.

I tak było. Znalazła guz, a potem wytropiła, że rozprzestrzeniła się na klatkę piersiową. Steve'owi zrobiono badanie krwi, którego wyniki dostaliśmy w rekordowym czasie, po czym poszliśmy do pana Lewiego, a ten przekazał nam wieści dobre i złe.

– To nie świnka, ale sądzę, że to akurat wiedzieliśmy, prawda? Zła wiadomość jest taka, że pana markery nowotworowe osiągnęły górną granicę. To rak.

Była środa, a pan Lewi miał zaplanowane zabiegi aż do soboty, ponieważ jednak rak rozprzestrzenił się w ciele Steve'a bardzo szybko, oznajmił:

– Ja i mój zespół chirurgów ustaliliśmy, że przyjdziemy wcześniej, żeby pana zoperować. Jest pan pierwszy na liście.

Kiedy prywatny chirurg mówi w środę, że może usunąć guza w sobotę, wierzcie mi, będziecie kopać, jak głęboko się da, dacie mu tysiące funtów, których nie macie, i będziecie się modlili, by uratował osobę, którą kochacie.

Oczywiście potem Steve musiał przejść wyczerpującą chemioterapię. Chociaż guz został usunięty kilka dni po diagnozie, rak był w całym jego ciele, dlatego musieliśmy opuścić cudownego doktora Lewiego i wrócić do źle funkcjonującego i niedofinansowanego państwowego systemu opieki zdrowotnej (informacja dla nie-Brytyjczyków: finansowanego z podatków).

Żywię głęboki szacunek dla osób współpracujących ze służbą zdrowia i pielęgniarek. Pracowali przez całą dobę, by zapewnić Steve'owi komfort i dobre odżywianie, zaaplikowali mu starannie zaplanowaną chemioterapię. Zawsze mieli dla niego uśmiech i jakiś żart, który sprawiał, że się uśmiechał, nawet jeśli wyglądał okropnie i uśmiech pojawiał się tylko od czasu do czasu w przerwach między atakami torsji i błaganiami, by zakończyć chemię po dwóch seriach. Kiedy ja i Steve odbyliśmy niemal taką samą rozmowę, z użyciem tych samych słów, jak Hannah i Davey, nie byłam taka miła. Rozmowa była krótsza, głośniejsza i pełna przekleństw. Wygrałam. I piszę to po dziesięciu latach, podczas wakacji, patrząc, jak Steve bawi się z dziećmi w basenie.

Państwowy system opieki zdrowotnej jest obciążony wieloma biurokratycznymi błędami, ale jest też wspaniały. Staramy się go trzymać, choć jednocześnie jesteśmy zadowoleni z nowego prywatnego planu opieki (tak na wszelki wypadek, bo już raz się sparzyliśmy). Gdy okazało się, że Steve jest zbyt „toksyczny”, by zostać ojcem (chemia długo krąży w organizmie), odczekaliśmy odpowiednio długo, by starać się o drugie dziecko. Powiedziano nam jednak, że prawdopodobnie nie uda mi się po raz drugi zająć w ciążę, mimo to zdecydowaliśmy, że nie będziemy się szarpać z zapłodnieniem in vitro, a po kilku miesiącach, co niesamowite, po tym, przez co przeszedł Steve, i po tym, jak powiedziano nam, żebyśmy nie mieli nadziei na dziecko, zaszłam w ciążę w naturalny sposób i w 2015 roku urodziłam córkę.

Opowiedzieliśmy naszym dzieciom, co przydarzyło się Steve'owi, pomijając niektóre nieprzyjemne szczegóły, a raz czy dwa naszą drugą córeczkę nazwaliśmy dzieckiem cudu. Bo potrzeba było cudu, bym po tym wszystkim zaszła w ciążę. Steve jest bardzo dumny z tego, że choć „działaliśmy na pół gwizdka”, mamy drugie dziecko.

Ponieważ za pierwszym razem nasza córeczka źle usłyszała, nazywa siebie dzieckiem Ameryki[8]. Nie poprawiamy jej. Tak jest zabawniej. A jeśli mówi to komuś, a ten ktoś pyta „że jak?”, Steve i ja wymieniamy spojrzenia i mówimy: „Nie przejmuj się, to długa historia”.

PODZIĘKOWANIA

Ta książka została napisana w Wielkiej Brytanii podczas długiej serii lockdownów, gdy wiosna przeszła w lato, potem nastąpiła zima i znów wiosna. *Mężczyzna, którego nigdy nie spotkałam* różni się do innych moich powieści – z gatunku fikcji historycznej – które napisałam pod moim prawdziwym imieniem Lorna. Prawdopodobnie właśnie z powodu lockdownu. Nie mogąc spotykać się z przyjaciółmi czy rodziną, miałam mnóstwo czasu (gdy skończył się horror nauczania domowego!), by przemyśleć i rozwinąć pomysł na tę książkę. Czulałam, że pisanie jej jest szaleństwem, a to z dwóch powodów. Po pierwsze, nigdy nie zajmowałam się tym gatunkiem literackim (a okazało się, że nie możecie się doczekać na drugą książkę Elle Cook). Po drugie, czulałam, że to nie ja powinnam opowiadać tę historię, bo tak naprawdę to opowieść mojego męża Steve’a. Nie jestem Hannah, a Steve to nie Davey, wykorzystałam tylko pewne szczegóły diagnozy i leczenia. To temat niebywale osobisty dla nas obojga, choć bardziej dla Steve’a, więc dziękuję mu stokrotnie za to, że pozwolił mi zamieścić część swojej historii w opowieści o Hannah i Davey.

Gdy zapytałam go nieśmiało, co sądzi o tym pomysle, musiał usiąść i przez chwilę się zastanowić, po czym powiedział: „Jeśli to zachęci czytelniczki do zasugerowania mężczyznom swojego życia, żeby badali swoje dolne obszary i sprawdzali, czy nie ma tam jakichś zmian, nieprawidłowości, guzów czy opuchlizny, to dla mnie to jest w porządku”. Więc zróbcie to, proszę.

Steve zawsze będzie moim bohaterem. Zadeedykowałam mu tę książkę.

Z całego serca dziękuję także panu Henry’emu Lewiemu, konsultantowi urologicznemu, do którego poszliśmy „na wszelki wypadek”, gdy Steve dwa razy został błędnie zdiagnozowany (wtedy tego nie wiedzieliśmy). Natychmiast zorientował się, co się dzieje, i przeprowadził go spokojnie przez konieczne badania i operację. Bez wątpienia Henry Lewi uratował mojemu mężowi życie.

To działo się dziesięć lat temu, przez ten czas spotykałam ludzi, którym muszę podziękować za to, że ta książka się pojawiła. Moja niezrównana agentka Becky Ritchie wierzyła w nią wystarczająco mocno, by nazwać ją „naprawdę, naprawdę wyjątkową” (tak, Becky, mam tego mejla w małym folderze), gdy przesałam jej tekst, zastrzegając, że to coś zupełnie innego. Biedaczka zwykle dowiaduje się ostatnia, na jaki to szalony pomysł wpadłam. Dziękuję Ci, Becky, za fantastyczne wsparcie i za przeprowadzenie mnie przez szybki proces podpisywania wstępnej umowy na książkę i za to, co robiłaś za kulisami. Każdego dnia jestem wdzięczna Tobie i zespołowi A.M. Heath.

Mojej wspaniałej redaktorce Emily Griffin i jej zespołowi dziękuję za to, że przybyła do mnie, pędząc na złamanie karku, i uczyniła proces redagowania całkowicie bezbolesnym. Także za to, że pokochała Hannah i Daveya tak bardzo jak ja. Dziękuję też Caroline Weishuhn, mojej redaktorce w Stanach Zjednoczonych, że wskoczyła na pokład i okazała się mistrzynią. Dziękuję błyskotliwej znakomitej Laurie Ip Fung Chun za doprowadzenie książki do mety.

Pisanie podziękowań do książki, która ukaże się dopiero za jakiś czas, oznacza, że nie znam wszystkich osób zaangażowanych w proces sprowadzania *Mężczyzny, którego nigdy nie spotkałam* na świat. Są to: graficy, korektorzy, adiustatorzy i osoby z działu sprzedaży... wszyscy, którzy uczestniczyli w tworzeniu książki na kolejnych etapach – dziękuję Wam.

Jak zawsze, ogromne podziękowania dla Romantic Novelist’s Association i jego lokalnego oddziału z Chelmsford za plotki i lunche.

Write Club, nasza niezawodna brygada – czyli Peter, Sue, Tracy, Nic, Karen & Snoopy – jest istnym cudem, jestem Wam wdzięczna za wsparcie i dobre rady. Co ja bym bez Was wszystkich zrobiła?

Dziękuję grupie Savvies z Facebooka. Jesteście gromadą genialnych pisarzy, zawsze kompetentnych i chętnie dzielących się wiedzą.

Podziękowania dla: Steve’a, mamy, taty, Emily, Alice, Luke’a, Cassie, Natalie, Sarah i Nicky za Wasze niekończące się wsparcie i za to, że zawsze okazujecie, jak jesteście ze mnie dumni.

Autorzy byłiby nikim bez czytelników. Dlatego dziękuję Wam bardzo, moi cudowni Czytelnicy, że kupujecie tę książkę, słuchacie audiobooka czy wypożyczacie ją z bibliotek. Jeśli Wam się podoba, byłoby wspaniale, gdybyście zamieścili recenzje na Amazonie lub Goodreads. Recenzje są bardzo ważne. Pokrzepiają bardziej niż czekolada i wino, a, co najważniejsze, pomagają innym znaleźć nowe książki. Gdybyście znaleźli czas i skontaktowali się ze mną, by powiedzieć „cześć” i przesłać zdjęcia, jak czytacie moją książkę w jakimś

słonecznym miejscu, gdybyście do tego napisali, czy sprawiła Wam radość, czułabym się zaszczycona. Miałam wielkie szczęście, że tak wielu z Was wybrało się w podróż z Lorną Cook, i jeśli zdecydowaliście się na to również z Elle, dziękuję Wam z całego serca.

Zapraszam na swoje media społecznościowe, gdzie rozmawiam o wszystkim, co dotyczy moich książek, polecam pozycje ukochanych autorów, wrzucam zdjęcia zachodów słońca, plaż, wina, książek, ciastek... Z przyjemnością z Wami pogawędzę.

Z miłością, Lorna/Elle

www.lornacookauthor.com

Facebook: LornaCookWriter

Instagram: LornaCookAuthor

Twitter: LornaCookAuthor

[1] Rightmove – największa brytyjska firma zajmująca się handlem nieruchomościami i wynajmem (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

[2] Macmillan Cancer Support – jedna z największych brytyjskich organizacji charytatywnych, która zapewnia specjalistyczną opiekę zdrowotną, informacje i wsparcie finansowe osobom dotkniętym chorobą nowotworową.

[3] Cancer Research UK – brytyjska organizacja charytatywna, której celem jest wspieranie badań nad chorobami nowotworowymi oraz poszerzanie świadomości społecznej na ich temat.

[4] Honourable Artillery Company – przy siedzibie tej organizacji znajduje się największy ogród w Londynie, który można wynajmować na różnego rodzaju uroczystości i imprezy.

[5] Joe Wicks – popularny brytyjski trener fitness, autor książek kucharskich.

[6] *Cosa intendi?* (wł.) – O co ci chodzi?

[7] *Vita o morte* (wł.) – Życie albo śmierć.

[8] Słowa *miracle* (cud) i *America* brzmią podobnie.